

**CLIVE CUSSLER**

# **LODOWA PUŁAPKA**



## PROLOG

Sen wywołany narkotykiem przeniósł ją w nicość; dziewczyna podjęła śmiertelne zmaganie o powrót do świadomości. Gdy z wolna otwierane oczy przywitało przyćmione światło, jakby za mgłą, w nozdrza wdarł się obrzydliwy zgniły zapach. Była naga; gołe plecy ściśle przywierały do wilgotnej, pokrytej żółtym szlamem ściany. Przed przebudzeniem próbowała sobie wmówić, że to niemożliwe, nierealne. To musiał być senny koszmar. Zanim jednak miała szansę pokonania wzbierającej w niej paniki, nagle z podłoża zaczął podnosić się żółty szlam, oblepiając jej bezbronne uda. Prerażona do ostateczności zaczęła wołać krzykiem szaleństwa, gdy paskudztwo pełzło po jej nagim spoconym ciele coraz wyżej i wyżej. Desperacko walczyła o życie, aż oczy wyszły jej z orbit. Wszystko na nic; kostki i nadgarstki były ciasno przykute łańcuchami do ściany. Powoli ohydny mąż wślimaczyła się na jej piersi. Gdy usta dziewczyny wykrzywił grymas niesamowitego przerażenia, nagle w mrocznym pomieszczeniu niewidzialny głos zabrzmiał jak wibrujący ryk.

- Panie poruczniku, przepraszam, że przeszkadzam w studiach, ale obowiązki wzywają.

Porucznik Sam Neth zamknął z trzaskiem książkę.

- Szlag by cię trafił, Rapp - zwrócił się do mężczyzny o zgorzkniałej twarzy, siedzącego obok niego w kabinie warkoczącego samolotu - ilekroć dojdę do ciekawego momentu, zawsze musisz mi przerwać.

Chorąży James Rapp skinął w kierunku książki. Na jej okładce dziewczyna zapadająca się w żółtą breję, która wypełniała basen, mimo wszystko zdołała utrzymać się na powierzchni, co wydedukował po olbrzymich nie tonących piersiach.

- Jak pan może czytać taki chłam? - zapytał.

- Chłam? - Neth boleśnie wykrzywił twarz. - Nie dość, że zakłóca mi pan spokój, to na dodatek bawi się pan w mego osobistego krytyka literackiego! - Uniósł wielkie dłonie w geście udawanej rozpacz. - Dlaczego zawsze przydzielają mi drugiego pilota, którego umysł nie jest w stanie pojąć osiągnięć współczesnej sztuki? - Neth wyciągnął się i odłożył książkę na byle jak zrobioną półkę, wiszącą z boku szafki na ubrania. Spoczywało tam kilka pism o zagiętych rogach, pokazujących nagie kobiece ciała w wielu uwodzicielskich pozach. Było jasne, że literackie upodobania porucznika niekoniecznie dotyczyły klasyki.

Neth westchnął, przeciągnął się w fotelu, po czym z uwagą spojrział przez szybę w dół na morze.

Samolot patrolowy Straży Wybrzeża Stanów Zjednoczonych już od czterech godzin i

dwudziestu minut przeprowadzał nużącą, ośmiogodzinną kontrolę gór lodowych i odbywał służbę kartograficzną. Bezchmurne niebo zapewniało kryształową widoczność, a wiatr ledwo poruszał wodną kipieli; na północnym Atlantyku w połowie marca taka pogoda była nadzwyczajnym zjawiskiem. Neth wraz z czterema ludźmi siedział w kabinie; pilotował i nawigował olbrzymi czterosilnikowy boeing, podczas gdy sześciu pozostałych członków załogi wypełniało obowiązki w przedziale transportowym, bacznie wpatrując się w ekrany radarów i innych urządzeń kontrolnych. Neth spojrzął na zegarek, a następnie wychylając samolot na skrzydło, naprowadził jego dziób na prosty kurs ku wybrzeżu Nowej Fundlandii.

- No, to obowiązki z głowy. - Neth odprężył się i sięgnął po horror. - Rapp, wykaż trochę własnej inicjatywy. I nie waż się mi przeszkadzać, aż będziemy w St. John's.

- Postaram się - odparł Rapp lodowato. - Jeśli ta książka jest tak zajmująca, to może by pan mi ją pożyczył?

Neth ziewnął.

- Nic z tego. Mam zasadę nie pożyczać książek z mojej prywatnej biblioteki.

Nagle słuchawka zatrzeszczała mu przy uchu, Neth podniósł mikrofon.

- Dobra, Headley, mów, co tam masz?

Z tyłu, w skąpo oświetlonym brzuchu samolotu, starszy marynarz Buzz Headley intensywnie wpatrywał się w radar, na jego twarzy odbijała się zielona, nieziemska poświata ekranu.

- Panie poruczniku, mam dziwne wskazanie. Osiemnaście mil stąd, namiar trzy-cztery-siedem.

Neth pstryknął włącznikiem mikrofonu.

- Mów dalej, Headley. Co to znaczy: dziwne? Oglądasz górę lodową, czy przestroiliłeś radar na stary film z Drakulą?

- Może podłączył się pod pana seksowny horror? - mruknął Rapp.

- Sądząc po konfiguracji i rozmiarach - znów mówił Headley to jest góra, ale mam zbyt silny sygnał jak na zwykły lód.

- Bardzo dobrze. - Neth westchnął. - Będziemy musieli to sobie obejrzeć. - Dał znak Rappowi. - Bądź grzecznym chłopcem i daj nas na kurs trzy-cztery-siedem.

Rapp kiwnął głową i skręcił stery, zmieniając kierunek. Przy akompaniamencie jednostajnego ryku czterech tłokowych silników typu Pratt-Whitney i towarzyszącej mu nieustannej wibracji samolot w łagodnym przechyle skierował się ku nowemu horyzontowi.

Neth wziął lornetkę i zwrócił ją ku bezmiarowi niebieskiej wody. Wyregulował pokrętłami ostrość i zmagając się z drzeniem maszyny, trzymał szkła najbardziej nieruchomo, jak mógł. Wkrótce ją dostrzegł: biała, nie poruszająca się plamka, która jaśniała na lśniącym szafirowym morzu. Wraz z pokonywanym dystansem lodowa góra powoli rosła w dwóch okrągło ściennych tunelach lornetki. Neth podniósł mikrofon.

- Co to będzie, Sloan?

Główny obserwator lodu na pokładzie Boeinga, porucznik Jonis Sloan, już od jakiegoś czasu przypatrywał się górze przez wpółotwarte drzwi towarowe usytuowane z tyłu kabiny pilotów.

- Normalka, bułka z masłem - głosem robota zabrzmiał Sloan w słuchawkach Netha.

- Warstwowa góra z płaskim wierzchołkiem. Około sześćdziesięciu metrów wysokości i jakieś milion ton.

- Normalka? - Neth niemal się zdziwił. - Bułka z masłem? Raczej niechętnie wybrałbym się tam z wizytą. - Zwrócił się do Rappa: - Jaki mamy pułap?

Rapp wpatrywał się przed siebie.

- Trzysta metrów. Cały dzień mamy ten sam pułap... tak jak wczoraj i przedwczoraj...

- Dziękuję, sprawdzam tylko - przerwał Neth tonem zwierzchnika. - Nawet nie wiesz, Rapp, że dzięki twym dużym zdolnościom panowania nad sterami na starość czuję się coraz bezpieczniej.

Założył mocno sfatygowane lotnicze gogle, zapiął się na myśl o wiejącym zimnie i otworzył boczne okno, aby lepiej widzieć.

- Jest - skinął na Rappa. - Zrób parę nalołów i zobaczymy, co zobaczymy.

Wystarczyło zaledwie kilka sekund, by twarz Netha okrzepla jak zaprawiona w bojach poduszka na szpilki; lodowate powietrze szorowało mu skórę, aż szczęśliwie zdrętwiała. Zacisnął zęby z wzrokiem utkwionym w lodzie.

Wdzięcznie płynąca w dole ogromna lodowa masa wyglądała jak kliper widmo pod pełnymi żaglami. Rapp przymknął przepustnice i delikatnie skręcił stery, wprowadzając samolot patrolowy w przechył umożliwiający zakręt po szerokim łuku w lewo. Ignorując wychylenie i wskazania przyrządów, ocenił kąt nalołu, obserwując uważnie ponad ramieniem Netha migoczącą bryłę lodu. Trzykrotnie ją okrążył, czekając na znak Netha, by wyrównać lot. Wreszcie Neth kiwnął głową i sięgnął po mikrofon.

- Headley! Ta góra jest golotka jak pupa niemowlaka.

- Tam na dole coś jest - włączył się Headley. - Mam śliczną kropkę na...

- Szeffie, widzę ciemny obiekt - przerwał mu Sloan. - Nisko, przy linii wodnej, na zachodniej ścianie.

Neth zwrócił się do Rappa:

- Zejdź na sześćdziesiąt metrów.

Zaledwie kilka minut zajęło Rappowi wykonanie polecenia. Minęły następne minuty, a on wciąż krążył wokół góry, prowadząc samolot z prędkością tylko o trzydzieści kilometrów na godzinę większą od krytycznej.

- Niżej - mruknął pochłonięty obserwacją Neth - jeszcze o trzydzieści metrów.

- Dlaczego po prostu nie wylądujemy na tym świństwie? - Rapp zachęcał do rozmowy. Nie widać było po nim nadmiernej koncentracji. Jego twarz przybrała wyraz senności. Jedynie kropelki potu na brwiach zdradzały wielkie emocje wywołane ryzykownym pilotażem. Niebieskie fale wydawały się tak blisko, że aby je dotknąć, wystarczyło wyciągnąć rękę nad ramieniem Netha. A napięcie stale rosło; ściany góry lodowej strzelały teraz tak wysoko, że jej szczyt pozostawał niewidoczny z okien kabiny. Jeden zbędny ruch - pomyślał - jedno zdradliwe zawirowanie powietrza i czubek lewego skrzydła zawadzi o grzbiet fali, nieodwołalnie zmieniając ogromny samolot w samoniszczący się młynek.

Nagle Neth uświadomił sobie istnienie czegoś bardzo niezrozumiałego, czegoś, co przekraczało niewidzialne granice wyobraźni i rzeczywistości. To coś pomału przeistaczało się w konkret, kształt stworzony przez człowieka. Po oczekiwaniu, które dla Rappa trwało wieczność, Neth wreszcie wciągnął głowę do kabiny, zamknął okno i nacisnął przełącznik mikrofonu.

- Sloan? Widziałeś to? - Słowa były niewyraźne i ciche, jakby Neth mówił przez poduszkę. Rapp początkowo myślał, że tak jest z powodu zlodowaciałych ust Netha. Ale później, gdy przelotnie spojrział na niego, zdumiał się, widząc zdrętwiałą twarz nie z zimna, lecz wskutek nieopisanego strachu.

- Widziałem - dochodzący z interkomu głos Sloana brzmiał jak mechaniczne echo. - Jednak nie sądzę, żeby to było możliwe.

- Ja też - powiedział Neth - ale to jest tam w dole. Statek, cholerny statek widmo uwięziony w lodzie. - Odwrócił się do Rappa, kręcąc głową, tak jakby nie wierzył własnym słowom. - Nie byłem w stanie dojrzeć żadnych szczegółów. Jedynie niewyraźny zarys dzioba, może rufy, ale nie mogę powiedzieć niczego na pewno.

Zsunął gogle i podniesionym kciukiem prawej ręki wskazał kierunek. Rapp odetchnął z ulgą i wyrównał samolot, utrzymując bezpieczny zapas odległości między

podwoziem a zimnym Atlantykiem.

- Przepraszam, panie poruczniku - zabrzmiał w słuchawkach głos Headleya. Pochylony nad radarem marynarz wnikliwie obserwował białą plamkę usytuowaną niemal na środku ekranu. - Niech pan wierzy albo nie, ale całkowita długość tej rzeczy w lodzie wynosi w przybliżeniu czterdzieści metrów.

- Prawdopodobnie zaginiony trawler rybacki. - Neth energicznie rozcierał policzki, krzywiąc się z bólu, gdy powróciło normalne krążenie.

- Czy mam się skontaktować z dowództwem okręgowym w Nowym Jorku i poprosić o ekipę ratunkową? - konkretnie zapytał Rapp.

Neth przecząco pokiwał głową.

- Nie ma potrzeby na gwałt wzywać statku ratowniczego. To oczywiste, że tam nikt nie ocalał. Po wylądowaniu w Nowej Fundlandii złożymy dokładny raport.

Nastąpiło ogólne milczenie. Przerwał je głos Sloana:

- Niech pan przeleci nad górą, szefie. Zrzucę farbę, żeby było można ją szybko odnaleźć.

- Racja, Sloan. Rzuć, gdy dam ci znak. - Następnie Neth zwrócił się do Rappa: - Na stu metrach daj nas nad najwyższą część góry.

Boeing, którego cztery silniki wciąż pracowały ze zredukowaną mocą, dostojnie przeleciał nad majestatyczną górą niczym monstrualny mezozoiczny ptak szukający swego pierwotnego gniazda. Z tyłu przy drzwiach bagażowych czekał Sloan z wyciągniętą ręką. Potem, na wydaną przez Netha komendę, rzucił w powietrze pięciolitrowy szklany pojemnik pełen czerwonej farby. Słój stawał się coraz mniejszy i mniejszy, zmieniając się w małą kropkę, zanim w końcu trafił w strzelistą, gładką ścianę celu. Przyglądając się temu uważnie, Sloan widział, jak smuga jaskrawego cynobru powoli posuwa się w dół wazącej milion ton góry lodowej.

- Strzał w dziesiątkę - niemal radośnie powiedział Neth. Ekipa poszukiwawcza nie będzie miała żadnych kłopotów z odnalezieniem jej. - Potem nagle jego twarz spochmurniała; spoglądał na miejsce, gdzie spoczywał pogrzebany w lodzie nieznany statek. Biedacy! Zastanawiam się, czy kiedykolwiek dowiemy się, co się z nimi stało.

Rapp miał zamyślony wzrok.

- Większego grobowca nie mogli sobie wymarzyć.

- To tylko stan przejściowy. W dwa tygodnie po tym, jak góra wejdzie w Golfsztrom, nie zostanie z niej nawet tyle lodu, aby ochłodzić kilka puszek piwa.

W kabinie zapadła cisza, której głębię podkreślał monotony warkot silników

samolotu. Zatopieni w swoich myślach mężczyźni przez chwilę trwali w milczeniu. Byli w stanie jedynie wpatrywać się w złowieszczy biały szczyt i rozmyślać nad zamkniętą w grubym lodzie tajemnicą.

Wreszcie Neth, niemal poziomo wyciągając się w fotelu, powrócił do stanu niewzruszonego spokoju.

- Panie chorąży, jeśli nie ma pan nieodpartej ochoty wykąpania w zimnej wodzie tego wlokącego się grata, niech pan zabiera nas do domu, zanim zdechną wskaźniki paliwa. I żadnego zawracania głowy, proszę - dodał z groźną miną.

Rapp spojrział na Netha z politowaniem, wzruszył ramionami i ponownie skierował samolot patrolowy na kurs do Nowej Fundlandii.

Samolot patrolu Straży Wybrzeża zniknął i w zimnym powietrzu umilkły ostatnie pomruki silników. Niebotyczna góra lodowa znów skrywała swą tajemnicę w śmiertelnej ciszy, towarzyszącej jej od momentu oderwania się od lodowca na zachodnim wybrzeżu Grenlandii przed prawie rokiem.

Potem nagle, na lodzie powyżej linii wodnej góry, zrobił się niewielki, lecz zauważalny ruch. Dwie niewyraźne zjawy pomału przybrały kształt dwóch wstających ludzi, którzy spoglądali w kierunku oddalającego się boeinga. Z odległości dwudziestu kroków nie sposób ich było dostrzec gołym okiem; obaj nosili białe kombinezony śniegowe, które doskonale zlewały się z jednobarwnym tłem.

Stali długo i nasłuchując cierpliwie czekali. Kiedy z zadowoleniem stwierdzili, że samolot patrolowy nie wróci, jeden z mężczyzn ukląkł i grzebiąc w śniegu odsłonił mały nadajnik radiowy. Wyciągnął antenę teleskopową długości trzech metrów, nastawił częstotliwość i zaczął poruszać małą dźwignią. Nie musiał tego robić ani mocno, ani długo. Ktoś gdzieś prowadził uważny nasłuch na tej samej częstotliwości i odpowiedź nadeszła prawie natychmiast.

## ROZDZIAŁ 1

Drżąc z przeraźliwego zimna, komandor porucznik Lee Koski przygryzł ustnik fajki, a zaciśnięte pięści głębiej wepchnął do podbitego futrem kombinezonu. Przed dwoma miesiącami skończył czterdzieści jeden lat, z których osiemnaście zabrała mu służba w Straży Wybrzeża. Koski był niski, bardzo niski i ciężki, wielowarstwowe zaś ubranie sprawiało, że jego wzrost i szerokość były prawie równe. Poniżej kręconych włosów koloru pszenicy błyszcząły oczy z niezmienną intensywnością, niezależną od nastroju, w jakim się znajdował. Był świadomym własnych możliwości perfekcjonistą, a tym samym właścicielem cechy nader pomocnej w tej sferze życia, którą wypełniało mu dowodzenie najnowszą jednostką Straży Wybrzeża, superkutrem Catawaba. Z rozstawionymi nogami stał na mostku niczym kogut gotowy do walki; kiedy odezwał się do stojącego za nim, wielkiego jak góra mężczyzny, nie zadał sobie trudu, by się odwrócić.

- Nawet z radarem w taką pogodę będą mieli cholerną zabawę ze znalezieniem nas - jego głos był szorstki i przenikliwy jak zimne powietrze Atlantyku. - Widoczność nie jest większa niż na milę.

Porucznik Amos Dover, pierwszy oficer na Catawacie, precyzyjnie przytknął niedopałek papierosa na wysokość trzech metrów. Obserwował z zainteresowaniem analityka, jak wiatr porwał dymiący pręcik i ponad mostkiem statku poniósł daleko w spienione morze.

- To, czy będą mieli, jest bez znaczenia - wymamrotał ustami zsiniałymi od zimnego wiatru. - Kołysz nas tak, że pilot tego śmigłowca musiałby być wyjątkowym durniem albo pijany w trupa, albo jedno i drugie, żeby nawet pomyśleć o lądowaniu tam. - Kiwnął głową do tyłu, w kierunku mokrej od mżawki platformy dla helikopterów.

- Niektórym ludziom kompletnie nie zależy na tym, w jaki sposób umrą - powiedział z powagą Koski.

- Niech tylko nie mówią, że nie zostali ostrzeżeni. - Nie dość, że Dover wyglądał jak wielki niedźwiedź, to jeszcze mówił głosem, który wydawał się dochodzić z głębi żołądka. - Zaraz po starcie z St. John's powiadomiłem pilota śmigłowca o silnie wzburzonym morzu i gorąco odradzałem lot do nas. W odpowiedzi usłyszałem jedynie grzeczne dziękuję.

Zaczęło padać; wiejąca z prędkością dwudziestu pięciu węzłów wichura smagała kuter strumieniami deszczu, który wypędził po sztormiaki wszystkich mężczyzn pełniących służbę na pokładzie. Na szczęście dla Catawaby i jej załogi trzy stopnie, utrzymujące się powyżej zera, chwilowo oddalały obawę przed temperaturą zamarzania - nader nieprzyjemnym stanem, w którym cały statek pokrywał się powłoką lodu.



Koski i Dover zdążyli założyć sztormiaki, gdy na mostku zatrzeszczał głośnik.

- Panie kapitanie, mamy ptaszka na radarze i nie spuszczaamy go z oka.

Koski podniósł radiotelefon i potwierdził wiadomość. Potem zwrócił się do Dovera.

- Obawiam się - powiedział obojętnym tonem - że niedługo zacznie się zabawa.

- Pewnie zastanawia się pan, skąd ten pośpiech z przysłaniem nam pasażerów? - zapytał Dover.

- A pan nie?

- Ja oczywiście też. Zastanawiam się również, dlaczego rozkaz oczekiwania na przyjęcie cywilnego śmigłowca nadszedł bezpośrednio z głównego dowództwa w Waszyngtonie zamiast z dowództwa naszego okręgu.

- To jest cholerna nierozwaga ze strony komendanta - burknął Koski - że nie powiedział nam, czego chcą ci ludzie. Jedno jest pewne; nie mają zamiaru popłynąć w wycieczkowy rejs na Tahiti...

Nagle Koski znieruchomiał, wsłuchując się w bezbłędną pracę grzmiącego wirnika helikoptera. Przez pół minuty maszyna była zasłonięta chmurami. A potem obaj dostrzegli ją w tym samym momencie. Leciała z zachodu w małym deszczu, kierując się prosto na statek. Koski natychmiast rozpoznał jej typ; cywilna wersja Ulyssesa Q-55 z dwoma miejscami siedzącymi, śmigłowiec, który był zdolny rozwijać prędkość prawie czterystu kilometrów na godzinę.

- Tylko wariat próbowałby lądować - z przekąsem powiedział Dover.

Koski wstrzymał się z komentarzem. Chwycił radiotelefon i ryknął do mikrofonu:

- Połącz się z pilotem helikoptera i powiedz mu, żeby nie podchodził do lądowania, gdy pokonujemy trzymetrowe fale. Powiedz mu, że nie będę odpowiadał za żadne szaleństwa z jego strony!

Koski odczekał kilka sekund ze wzrokiem przykutym do śmigłowca. - I co?

- Pilot mówi - zaskrzeczał w odpowiedzi głośnik - że jest bardzo wdzięczny za okazaną mu przez pana troskę oraz uprzejmie prosi, żeby pana ludzie byli pod ręką i zabezpieczyli maszynę, gdy tylko dotknie platformy.

- Grzeczny skurwiel - zamruczał Dover - to trzeba mu przyznać.

Wysunąwszy dolną szczękę o następny centymetr, Koski wyłobił jeszcze jeden rowek na ustniku fajki.

- Uprzejmiaczek, cholera! Ten idiota może rozwalić kawał mojego statku. - Z rezygnacją wzruszył ramionami, sięgnął po tubę okrętową i krzyknął w ustnik: - Chiefie Thorp! Niech pana ludzie będą gotowi do zabezpieczenia ptaszka natychmiast po

wylądowaniu. Ale, na litość boską, niech pan ich nie puszcza, zanim mocno nie siądzie na platformie... i ekipa ratunkowa niech będzie w pogotowiu.

- W tej sytuacji - rzekł cicho Dover - nie chciałbym być na miejscu tych facetów, nawet gdyby proponowano mi za to wszystkie seksbomby Hollywoodu.

Koski wyliczył, że nie może skierować Catawaby pod wiatr, który wzmagając turbulencję poszycia, spowoduje zagładę śmigłowca. Natomiast ustawienie równoległe do fali powodowało duży przechył statku, uniemożliwiający stabilne lądowanie. Zdobywana przez lata praktyka i umiejętność właściwej oceny sytuacji wraz z doskonałą znajomością możliwości Catawaby sprawiły, że decyzję podjął niemal rutynowo.

- Weźmiemy ich pod wiatr i falę od dzioba. Zredukować szybkość i zmienić kurs.

Dover skinął głową i zniknął w sterówce. Po chwili wrócił.

- Według rozkazu, dziób pod wiatr i najwolniej, jak pozwala morze.

Koski i Dover chłodnym okiem obserwowali, jak jasnożółty helikopter zakręcił w chmurach pod wiatr i pod kątem trzydziestu stopni podchodził do rufy Catawaby, zostawiającej na wodzie szeroki ślad. Mimo ostrego naporu wiatru pilot potrafił jakoś utrzymywać maszynę w spokojnym locie. Około stu metrów od celu śmigłowiec zaczął tracić prędkość, aż w końcu niczym koliber zawisł w powietrzu nad wznoszącym się i opadającym lądowiskiem. Przez krótki czas, który Koskiemu wydawał się wiecznością, helikopter wisiał na niezmiennej wysokości, jego pilot zaś określał szczytowy punkt podnoszonej na grzbietach fal rufy kutra. Potem nagle, gdy platforma osiągnęła apogeum, pilot śmigłowca przymknął przepustnicę i Ulysses zgrabnie opadł na Catawabę, której rufa w chwilę później runęła między fale.

Ledwie płozy dotknęły platformy, pięciu ludzi z załogi kutra rzuciło się na rozkołysane lądowisko w strugę silnego nadmuchu, aby przymocować helikopter i uchronić go przed zdmuchnięciem do wody. Wkrótce zamarł silnik, płaty wirnika znieruchomiały, a z boku kabiny otwarły się drzwi. Na platformę wskoczyli dwaj mężczyźni, pochylając głowy przed silną mżawką.

- Co za skurwiel - mruknął z zachwytem Dover. - Wylądował tak, że wyglądało to na nic trudnego.

Koski napiął mięśnie twarzy.

- Lepiej, żeby mieli pierwszorzędne rekomendacje i uprawnienia, które rzeczywiście pochodzą z Głównego Dowództwa Straży Wybrzeża w Waszyngtonie.

Dover uśmiechnął się.

- Może to są kongresmani na inspekcji.

- Mało prawdopodobne - odparł zwięźle Koski. - Czy mam ich zaprowadzić do pana kabiny? Koski pokiwał głową.

- Nie. Niech pan przekaże im ode mnie wyrazy szacunku i zaprowadzi do mesy oficerskiej. W tej chwili - uśmiechnął się chytrze - interesuje mnie jedynie filiżanka gorącej kawy.

Dokładnie dwie minuty później kapitan Koski siedział przy stole. w mesie oficerskiej, z przyjemnością obejmując zziębniętymi dłońmi kubek z parującą czarną kawą. Kubek był opróżniony prawie do połowy, gdy otwarły się drzwi i do kabiny wszedł Dover, prowadząc za sobą puciołowatego osobnika z dużymi okularami bez oprawki, zainstalowanymi na łysej głowie okolonej siwymi, sztywnymi włosami. Mimo że na pierwszy rzut oka przypominał Koskiemu stereotyp szalonego naukowca, mężczyzna miał okrągłą, dobroduszną twarz i wesołe brązowe oczy. Widząc spojrzenie dowódcy statku, nieznajomy z wyciągniętą ręką pomaszerował do stołu.

- Kapitan Koski, jak sądzę. Hunnewell, doktor Bill Hunnewell. Przepraszam za kłopoty, które panu sprawiamy.

Koski wstał i uścisnął dłoń Hunnewella.

- Witam na pokładzie, doktorze. Proszę, niech pan siada i napije się kawy.

- Kawy? Nie znoszę tego świństwa - powiedział z żalem Hunnewell. - Ale za łyk kakao oddałbym duszę.

- Mamy kakao - odrzekł uprzejmie Koski. Wyciągnął się do tyłu na krześle i zawołał:

- Brady!

Z kambuza nieśpiesznie wyszedł ubrany w białe wdzianko steward. Był długi, szczupły i szedł kołyszącym się krokiem, który bez wątplenia zdradzał jego teksańskie pochodzenie.

- Tak jest, panie kapitanie. Co to ma być?

- Filiżanka kakao dla naszego gościa i jeszcze dwie kawy dla porucznika Dovera oraz... - Koski zawiesił głos i pytająco spojrzał na oficera. - Wydaje mi się, że brakuje nam pilota doktora Hunnewella.

- Za chwilę tu będzie. - Dover miał nieszczęśliwy wyraz twarzy. Wyglądało, jak gdyby starał się ostrzec Koskiego. - Chciał się upewnić, że helikopter jest dobrze przymocowany.

Koski z namysłem przyglądał się Doverowi, lecz po chwili odwrócił od niego wzrok.

- Już wiesz, co ma być, Brady. I przynieś dzbanek na dolewki. Brady potwierdził polecenie jedynie skinieniem głowy i wrócił do kambuza.

- To prawdziwy luksus - powiedział Hunnewell - mieć dookoła siebie cztery solidne

ściany. Można osiwieć od siedzenia w tym trzęsącym się latadle, w którym za całą osłonę przed żywiołami służy plastikowa bańka - ze śmiechem pogładził białe kosmyki otaczające jego okrągłą lepetynę.

Koski odstawił kubek, lecz nie uśmiechał się.

- Myślę, że nawet nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak mało brakowało, aby stracił pan resztkę włosów wraz z życiem. Lot przy takiej pogodzie jest czystą lekkomyślnością ze strony pilota.

- Zapewniam pana, że ta wyprawa była absolutnie konieczna powiedział Hunnewell cierpliwym tonem nauczyciela przemawiającego do małego ucznia. - Pan, załoga i statek macie do wypełnienia ogromnej wagi zadanie, w którym czas odgrywa główną rolę. Nie możemy sobie pozwolić na stratę choćby minuty. - Z kieszeni na piersiach wyciągnął małą kartkę i podał ją nad stołem Koskiemu. Zanim wyjaśnię naszą obecność, muszę pana prosić o zmianę kursu na podaną tutaj pozycję.

Koski wziął papier, nie czytając go.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze Hunnewell, ale nie jestem upoważniony do spełnienia pana prośby. Jedyne rozkaz, jaki otrzymałem z głównego dowództwa, dotyczył wzięcia na pokład dwóch pasażerów. Nie było żadnej wzmianki o tym, że macie karte blanche na kierowanie moim statkiem.

- Nic pan nie rozumie.

Znad kubka z kawą Koski świdrował wzrokiem Hunnewella.

- To, doktorze, jest najważniejsze dzisiaj stwierdzenie. Jakie są pana kompetencje? Dlaczego znalazł się pan tutaj?

- Niech się pan nie denerwuje, kapitanie. Nie jestem wrogim agentem, pragnącym dokonać sabotażu na pana drogocennym statku. Mam doktorat z oceanografii, a obecnie jestem zatrudniony przez Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych - NUMA.

- Bez urazy - powiedział Koski pojednawczo. - Ale moje pytania wciąż pozostają bez odpowiedzi.

- Może ja pomogę oczyścić atmosferę - spokojnie, lecz autorytatywnie zabrzmiał nowy głos.

Koski zeszywniał na krześle i odwrócił się w kierunku postaci niedbale opartej w drzwiach, postaci wysokiej i dobrze zbudowanej. Opalona na brązowo twarz o ostrych, niemal drapieżnych rysach oraz przenikliwe zielone oczy wskazywały, że to nie jest mężczyzna, który pozwoli sobie nadepnąć na odcisk. Był ubrany w granatową lotniczą kurtkę wojskową i mundur. Czujny, choć z pozoru obojętny, obdarzył Koskiego łaskawym

uśmiechem.

- Ach, jest pan wreszcie - głośno rzekł Hunnewell. - Kapitanie Koski, pozwoli pan, że przedstawię majora Dirka Pitta, dyrektora do zadań specjalnych w NUMA.

- Pitta? - powtórzył jak echo Koski. Spojrzał na Dovera i podniósł brew. Dover tylko wzruszył ramionami, wciąż czując się niepewnie. - Czy to przypadkiem nie ten sam Pitt, który przed rokiem zlikwidował podwodny przemysł w Grecji?

- Lwia część uznania należy się co najmniej dziesięciu innym ludziom - odrzekł Pitt.

- Oficer lotnictwa, który pracuje nad badaniami oceanograficznymi - powiedział Dover. - To nieco odległa dziedzina od pana pierwotnego żywiołu, prawda, majorze?

W kącikach oczu Pitta pojawiły się wywołane uśmiechem zmarszczki.

- Ale nie dalej niż Księżyc, na którym lądowali lotnicy z marynarki wojennej.

- Słuszna uwaga - przyznał Koski.

Pojawił się Brady i podał kawę oraz kakao. Następnie wyszedł i znów wrócił. Zostawił tacę z kanapkami i zniknął, tym razem na dobre. Koski zaczął się czuć niewyraźnie. Naukowiec z poważnej agencji rządowej to nie było nic dobrego. Oficer z innej formacji, mający ciągot do niebezpiecznych eskapad, to już o wiele za dużo. Ale kombinacja ich obu - siedzących przy stole i mówiących, co ma robić - to była absolutna katastrofa.

- Jak mówiłem, kapitanie - rzekł Hunnewell niecierpliwie możliwie Jak najszybciej musimy się dostać na pozycję, którą panu podałem.

- Nie - bez ogródek powiedział Koski. - Przykro mi, że moja postawa może wydawać się nieprzyjemna, lecz musicie przyznać, iż mam pełne prawo odmówić waszym żądaniom. Jako kapitan tego statku jestem zobowiązany wykonywać rozkazy pochodzące jedynie Z Okręgowego Dowództwa Straży Wybrzeża w Nowym Jorku lub głównego dowództwa w Waszyngtonie. - Przerwał, by nalać sobie jeszcze jeden kubek kawy. - Rozkaz, który otrzymałem, mówił o wzięciu dwóch pasażerów, o niczym więcej. Wykonałem go i teraz wracam na poprzedni kurs patrolowy.

Pitt Spojrzał na nieugiętą twarz Koskiego wzrokiem metalurga, badającego wytrzymałość grudki stali wysokiej jakości. Nagle wstał, podszedł ostrożnie do drzwi kambuza i zajrzał do środka. Brady był najęty przesypywaniem ziemniaków z pojemnego worka do olbrzymiego parującego gara. Następnie Pitt z niezmienną ostrożnością zawrócił i uważnie obejrzał mały korytarz na zewnątrz mesy. Zauważył, że niewinna gra przyniosła efekt: Koski i Dover śledząc jego ruchy, wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Pitt zaś, najwyraźniej zadowolony, że nikt nie podsłuchuje, zawrócił i usiadł przy stole.

- W porządku, panowie - wyszeptał, nachylając się do obu. - Teraz powiem, o co chodzi. Pozycja, którą podał wam doktor Hunnewell, dokładnie odpowiada położeniu pewnej wyjątkowo ważnej góry lodowej.

Koski zaczerwienił się, lecz jego twarz pozostała nieruchoma.

- Nie chciałbym, żeby to głupio zabrzmiało, majorze, ale jeśli wolno wiedzieć, jaką to górę lodową uważa pan za wyjątkowo ważną? Pitt chwilę milczał w celu wywołania większego efektu.

Taką pod której powłoką znajduje się wrak statku. Gwoli dokładności rosyjskiego trawlera nafaszerowanego najnowszą i najbardziej zaawansowaną elektroniką, jaką do celów szpiegowskich wymyśliła sowiecka nauka. Nie mówiąc o szyfrach i kompletnych danych dotyczących ich systemu inwigilacji całej półkuli zachodniej.

Koski nawet nie mrugnął. Nie odrywając oczu od Pitta, wydobyl z wnętrza kurtki kapciuch i zaczął spokojnie nabijać fajkę.

- Sześć miesięcy temu - kontynuował Pitt - rosyjski trawler o nazwie Novgorod pływał zaledwie kilka mil od wybrzeża Grenlandii, prowadząc obserwację rakietowej bazy Powietrznych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych na wyspie Disko. Zdjęcia lotnicze wykazały, że na Novgorodzie znajdują się wszelkie znane nam elektroniczne anteny odbiorcze oraz jeszcze parę innych. Rosjanie rozgrywali to na zimno; trawler wraz z załogą złożoną z trzydziestu pięciu doskonale wykwalifikowanych mężczyzn, a także kobiet, nigdy nie błakał się po wodach terytorialnych Grenlandii. Stanowił nawet miły widok dla naszych pilotów, którzy podczas złej pogody wykorzystywali go jako punkt nawigacyjny. Po trzydziestu dniach większość rosyjskich statków szpiegowskich została zwolniona ze służby, ale ten trwał na posterunku bite trzy miesiące. Departament Wywiadu Marynarki Wojennej zaczął się zastanawiać nad tak długą zwłoką. A potem pewnego sztormowego poranka Novgorod zniknął. Stało się to na trzy tygodnie przed przybyciem statku zmiennika. To opóźnienie pozostaje tajemnicą; do tej pory Rosjanie nigdy nie naruszyli zwyczaju odsyłania statku szpiegowskiego, jeżeli na posterunku nie pojawił się inny. - Pitt przerwał, by zgasić papierosa w popielniczce. - Są tylko dwie drogi, którymi Novgorod mógłby się dostać do domu, do mateczki Rosji. Jedną przez Bałtyk prowadzi do Leningradu, a druga przez Morze Barentsa do Murmańska. Brytyjczycy i Norwegowie zapewniają nas, że Novgorod nie wybrał żadnej z nich. Krótko mówiąc, Novgorod z całą załogą przepadł gdzieś pomiędzy Grenlandią a brzegami Europy.

Koski postawił na stole kubek, wpatrując się z zamyśleniem w brudne dno.

- Wydaje mi się trochę dziwne, że Straż Wybrzeża nigdy o tym nie została

powiadomiona. Wiem na pewno, że nie otrzymaliśmy żadnego meldunku o zaginięciu rosyjskiego trawlera.

- Waszyngtonowi również wydało się to dziwne. Dlaczego Rosjanie mieliby utrzymywać w tajemnicy utratę jednostki? Jediną logiczną odpowiedzią jest stwierdzenie, że starali się nie dopuścić do tego, żeby którykolwiek kraj na Zachodzie wpadł na ślad ich najnowocześniejszego statku szpiegowskiego.

Usta Koskiego wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Chce pan, żebym kupił wiadomość o zakutym w lodzie sowieckim statku szpiegowskim? Niech pan da spokój, majorze.

Przestałem wierzyć w bajki, gdy przekonałem się, że na świecie nie ma krasnoludków ani królowy Śnieżki.

Pitt zignorował złośliwość Koskiego.

- Tak czy inaczej, lecz to właśnie jeden z waszych samolotów patrolowych zauważył zarys trawlera w górze lodowej na pozycji 47° 36'N - 43° 17'W.

- To prawda - rzekł zimno Koski - że Catawaba jest najbliższą tej pozycji jednostką ratowniczą, ale dlaczego rozkaz zbadania góry nie wyszedł z dowództwa okręgowego w Nowym Jorku?

- Przez chęć zachowania tajemnicy - odpowiedział Pitt. Ostatnia rzecz, na którą zgodziliby się chłopcy w Waszyngtonie, to publiczny komunikat przez radio. Na szczęście pilot, który zauważył górę lodową, poczekał, aż wyląduje, a dopiero później złożył dokładny meldunek o jej lokalizacji. Naturalnie, nasza koncepcja polega na znalezieniu trawlera, zanim dopadną go Rosjanie. Sądzę, że zdaje pan sobie sprawę, kapitanie, jak bezcenne są dla naszego rządu jakiegokolwiek tajne informacje, dotyczące sowieckiej floty szpiegowskiej.

- Chyba lepiej byłoby umieścić na górze lodowej ludzi od spraw elektroniki i interpretacji tajnych informacji wywiadu. - Niewielka zmiana, jaka zaszła w głosie Koskiego, w żadnym razie nie wskazywała na to, że kapitan zmiękł. Była jednak wyraźnie odczuwalna. - Proszę mi wybaczyć to, co powiem, ale pilot i oceanograf to jest bez sensu.

Pitt badawczo spojrział na Koskiego, potem na Dovera i znów na Koskiego.

- Fałszywe twierdzenie - powiedział cicho - choć oparte na właściwym założeniu. Gdy w grę wchodzi operacje szpiegowskie, Rosjanie nie są tak całkiem prymitywni. Wojskowy śmigłowiec tułający się nad otwartym morzem, gdzie rzadko kiedy przepływają statki, albo wcale nie przepływają, musiałby wzbudzić ich podejrzenia. Natomiast jednostki Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych są powszechnie znane z prowadzenia badań naukowych nawet na najbardziej odległych akwenach.

- A wasze kwalifikacje?

- Mam duże doświadczenie w lataniu śmigłowcem w warunkach arktycznych - odpowiedział Pitt. - Doktor Hunnewell jest bez wątpienia czołowym na świecie autorytetem w dziedzinie badań formacji lodowych.

- Rozumiem - rzekł powoli Koski. - Doktor Hunnewell przyjrzy się górze, zanim nabałagani chłopcy z wywiadu.

- Zgadł pan - potwierdził Hunnewell. - Jeśli pod lodem rzeczywiście jest Novgorod, do mnie należy określenie najwygodniejszego sposobu dotarcia na statek. Jestem pewien, kapitanie, że doskonale pan wie, iż z górami lodowymi nie ma żartów, są zbyt zdradliwe. To tak jak z cięciem diamentu; mały błąd jubilera i po sprawie. Zbyt dużo ciepła w niewłaściwym miejscu i lód pęknie albo się przełamie. Ponadto gwałtowne topnienie może doprowadzić do zmiany środka ciężkości góry i spowodować, że jej wierzchołek nagle znajdzie się pod wodą. Widzi więc pan, że zbadanie masy lodowej, zanim w miarę bezpiecznie będzie można wejść na Novgorod, jest absolutną koniecznością.

Wyraźnie odprężony, Koski wyciągnął się na krześle. Przez chwilę popatrzył w oczy Pitta, po czym uśmiechnął się.

- Poruczniku Dover! - Tak jest.

- Proszę uprzejmie spełnić życzenie panów, położyć statek na kurs  $47^{\circ} 36'N - 43^{\circ} 17'W$  i dać całą naprzód. Niech pan powiadomi dowództwo okręgowe w Nowym Jorku o naszym zamiarze zmiany pozycji.

Spojrzał na twarz Pitta, oczekując zmiany jej wyrazu. Żadnej zmiany jednak nie było.

- Proszę się nie gniewać - powiedział grzecznie Pitt - ale sugeruję, żeby pan zrezygnował z meldunku do dowództwa okręgowego.

- Jestem daleki od jakichkolwiek podejrzeń - odrzekł Koski przeproszającym tonem.

- Tak jednak jest, że nie mam zwyczaju krążenia po północnym Atlantyku bez informowania Straży Wybrzeża, gdzie znajduje się jej własność.

- W porządku, ale byłbym zobowiązany, gdyby nie wspominał pan, dokąd płyniemy.

- Pitt zaciągnął się papierosem. - Proszę też; żeby powiadomił pan biuro NUMA w Waszyngtonie o naszym szczęśliwym przybyciu na pokład Catawaby i poinformował, że z chwilą poprawy pogody będziemy kontynuować lot do Reykjavíku.

Koski uniósł brwi.

- Do Reykjavíku na Islandii?

- To jest nasz punkt docelowy - wyjaśnił Pitt.



Koski już zaczął coś mówić, ale zastanowiwszy się, wzruszył tylko ramionami.

- Lepiej pokażę panom wasze kwatery. Doktor Hunnewell zwrócił się do Dovera - może spać w kajucie głównego mechanika. Natomiast major Pitt będzie kwaterował u pana, poruczniku.

Pitt z uśmiechem spojrział na Dovera, a potem na Koskiego. - Lepiej jest mieć mnie na oku?

- Pan to powiedział, nie ja - odrzekł Koski zaskoczony zbolalym wyrazem, jaki nagle pojawił się na obliczu Pitta.

Cztery godziny później Pitt drzemał na koi wciśniętej do żelaznej klatki, którą Dover nazywał swoją kajutą. Był zmęczony niemal do bólu, lecz zbyt wiele myśli kłębiło się w jego głowie, by mógł wkroczyć do raju głębokiego snu. Tydzień temu o tej porze siedział ze zwariowanym na punkcie seksu rudzielcem na tarasie hotelu Newporter Inn, podziwiając malownicze brzegi plaży w Newport. Z przyjemnością przypominał sobie, jak obejmując dziewczynę jedną ręką i trzymając szklaneczkę szkockiej z lodem w drugiej ręce, przyglądał się luksusowym jachtom przemykającym niczym zjawy po skąpanej w świetle księżyca zatoce. Teraz był sam i ubolewał nad tym, że pośrodku lodowatego Atlantyku musi cierpieć katusze na składanej, twardej jak deska koi na pokładzie rozkołysanego kutra Straży Wybrzeża. Muszę być urodzonym masochistą - pomyślał - żeby zgłaszać się na ochotnika do każdego szalonego przedsięwzięcia wymyślonego przez admirała Sandeckera. Admirał James Sandecker, naczelny dyrektor Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, spaliłby się ze wstydu, słysząc określenie: szalone przedsięwzięcie; cholernie wredne matactwo - to było bardziej w jego stylu.

- Cholernie żałuję, że cię ściągam ze słonecznej Kalifornii, ale podrzucili nam to wredne matactwo. - Sandecker machał dwudziestocentymetrowym cygarem jak batutą. Był mały, ognistorudy i miał twarz sępa. - Od nas wymaga się prowadzenia naukowych badań podwodnych. Dlaczego my? Dlaczego nie marynarka? Dlaczego Straż Wybrzeża nigdy sama nie może poradzić sobie ze swoimi problemami? - Pałac cygaro, z irytacją kręcił głową. - Tak czy owak, zwalili to na nas.

Pitt skończył czytać i odłożył na biurko admirała żółtą teczkę oznaczoną napisem „tajne”.

- Myślę, że to jest niemożliwe, aby statek uwiązał we wnętrzu góry lodowej.

- Jest to nadzwyczaj mało prawdopodobne, ale doktor Hunnewell zapewnia mnie, że może się zdarzyć.

- Odnalezienie właściwej góry może się okazać trudne; upłynęły cztery dni od

spostreżenia jej przez Straż Wybrzeża. Do tej pory ta wybujala kostka lodu mogła przedryfować pół drogi do Azorów.

- Doktor Hunnewell sporządził wykres prądu i prędkości dryfu, ograniczając obszar do pięćdziesięciu mil kwadratowych. Jeśli masz dobry wzrok, nie będziesz miał żadnych problemów ze spostrzeżeniem góry, zwłaszcza że Straż Wybrzeża oznaczyła ją czerwoną farbą.

- Wypatrzenie jej to jest jedna sprawa - w zamyśleniu powiedział Pitt - druga to wylądowanie na niej helikopterem. Czy nie byłoby wygodniej i bardziej bezpiecznie dostać się tam...

- Nie! - przerwał mu Sandecker. - Żadnych statków. Jeśli ta rzecz pod lodem jest tak ważna, jak myślę, to poza tobą i Hunnewellem nie chcę tam nikogo, kto byłby bliżej góry niż na pięćdziesiąt mil.

- Może to pana zaskoczy, admirale, ale ja nigdy dotąd nie lądowałem śmigłowcem na górze lodowej.

- Bardzo możliwe, że nikt inny też. Dlatego właśnie poprosiłem, abyś został moim dyrektorem do zadań specjalnych - figlarnie uśmiechnął się Sandecker. - Masz nieznośną skłonność do, no powiedzmy, dostarczania towaru na miejsce.

- Czy tym razem - nieśmiało zapytał Pitt - będę miał szansę ewentualnej odmowy przyjęcia zadania?

- W grę wchodzi wyłącznie zgłoszenie ochotnicze. Pitt bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem, dlaczego zawsze tak łatwo panu ulegam. Zaczynam podejrzewać, że wyćwiczył mnie pan jak rasowego gołębia, który zawsze wraca do gniazda.

Na twarzy Sandeckera zakwitł szeroki uśmiech. - Ty to powiedziałaś, nie ja.

Szczęknęła klamka i drzwi kabiny otwarły się. Pitt leniwie otworzył jedno oko i zobaczył wchodzącego Hunnewella. Gruby doktor jak linoskoczek usiłował balansować między koją Pitta a szafką na ubrania Dovera, by w końcu dostać się do fotelika przy biurku. Słysząc było wyraźnie dwugłos, w jaki zlało się westchnienie Hunnewella i skrzypiący protest fotela, gdy doktor umieszczał swój ciężar między poręczami.

- Jak, na miły Bóg, taki gigant jak Dover w tym się mieści? z niedowierzaniem zapytał nie bardzo wiadomo kogo.

- Spóźnił się pan - ziewnął Pitt. - Spodziewałem się pana kilka godzin temu.

- Nie mogłem się kręcić po kątach ani prześlizgiwać przez szyby wentylacyjne niczym szpieg. Musiałem poczekać na jakiś pretekst, żeby móc z panem porozmawiać.

- Pretekst?

- Tak. Wyrazy szacunku od kapitana Koskiego. Podano kolację. - Po co to całe kręcenie? - ponuro zapytał Pitt. - Nie mamy nic do ukrycia.

- Nic do ukrycia! Nic do ukrycia! Kłamał pan tam jak z nut i jeszcze mi pan spokojnie mówi, że nie mamy nic do ukrycia? Hunnewell z rozpaczą pokiwał głową. - Obaj staniemy przed plutonem egzekucyjnym, gdy w Straży Wybrzeża dowiedzą się, jak ich wykiwaliśmy, wyłączając ze służby jeden z najnowszych kutrów.

- Helikoptery mają obrzydliwy zwyczaj nielatania z pustymi zbiornikami - złośliwie rzekł Pitt. - Musieliśmy mieć bazę operacyjną i źródło paliwa. Catawaba była jedynym statkiem w okolicy dysponującym odpowiednim zapleczem. Poza tym to pan wysłał lipny rozkaz z Głównego Dowództwa Straży Wybrzeża i to na pana mają haka w tej sprawie.

- A ta niedorzeczna historyjka o zaginionym rosyjskim trawlerze? Nie może pan zaprzeczyć, że to pana wymysł od początku do końca. Pitt podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się w sufit.

- Sądziłem, że wszystkim się spodobała.

- Nie podpisuję się pod nią. To było najbardziej perfidne nadużycie zaufania, którego kiedykolwiek, na moje nieszczęście, byłem świadkiem.

- Wiem. Są takie chwile, w których siebie nienawidzę.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, co się stanie, gdy kapitan Koski przejrzy nasz przebiegły planik?

Pitt wstał i przeciągnął się.

- Po prostu zrobimy to, co zrobiliby dwaj inni godni zaufania Amerykanie.

- To znaczy? - szepnął Hunnewell z powątpiewaniem. Pitt uśmiechnął się.

- Gdy przyjdzie czas, zaczniemy się o to martwić.

## ROZDZIAŁ 2

Spośród wszystkich oceanów tylko Atlantyk jest całkowicie nieobliczalny. Pacyfik, Indyjski, a nawet Morze Arktyczne mają odmienne zwyczaje i kaprysy, lecz łączy je wspólna cecha - rzadko kiedy nie dają znaku zmieniającego się im humoru. Ale nie Atlantyk, zwłaszcza na północ od piętnastego równoleżnika. W ciągu kilku godzin gładki jak lustro ocean może zmienić się we wrzący kocioł, w którym miesza huragan o sile dwunastu stopni w skali Beauforta. Bywa jednak, że zmienna natura Atlantyku działa w drugą stronę. Po nocy, podczas której silne wiatry i wzburzone morze grożą sztormem, wstaje świt z rozpostartą jak okiem sięgnąć lazurową taflą pod bezchmurnym niebem. Taki poranek przywitał ludzi z Catawaby, a wschodzące słońce towarzyszyło im w rejsie po spokojnych wodach.

Pitt pomału budził się; jego wzrok skupił się na tylnej części białych spodenek ogromnego rozmiaru, ściśle opinających Dovera nachylonego przy myciu zębów.

- Nigdy pan nie wyglądał bardziej uroczo - powiedział Pitt. Dover odwrócił się. Lewe dolne zęby trzonowe miał ubrudzone pastą.

- Hm?

- Powiedziałem dzień dobry!

Dover tylko pokiwał głową, zamruczał coś niewyraźnie i znów odwrócił się do umywalki.

Pitt usiadł i słuchał. Poza szmerem maszyn jedynym mechanicznym dźwiękiem był szum ciepłego powietrza tłoczonego przez wentylator. Ruch statku był tak łagodny, że prawie niewyczuwalny.

- Nie chciałbym okazać się niegościnnym gospodarzem, majorze - powiedział z uśmiechem Dover - ale radzę opuścić pielesze.

Za półtorej godziny powinniśmy się znaleźć na obszarze pana poszukiwać.

Pitt zrzucił koce i wstał.

- A więc po kolei. Jaką kategorię ma pana firma, jeśli chodzi o śniadania?

- Dwie gwiazdki w skali Michelina - wesoło odparł Dover. Ja stawiam.

Pitt szybko się umył, zrezygnował z golenia i błyskawicznie wskoczył w lotnicze ubranie. Podążył za Doverem dziwiąc się, jak taki wielki mężczyzna mógł chodzić po statku i nie walić głową przynajmniej dziesięć razy dziennie w niskie przegrody.

Właśnie skończyli śniadanie, które według Pitta w każdym z lepszych hoteli kosztowałoby parę dobrych dolarów, gdy pojawił się marynarz i oznajmił, że kapitan Koski chce ich widzieć na mostku. Dover podążył za podwładnym, wyprzedzając o kilka kroków

Pitta niosącego filiżankę z kawą. Gdy weszli do pomieszczenia kontrolnego, kapitan z Hunnewellem pochylali się nad stołem z mapami.

Koski podniósł wzrok. Wreszcie jego żuchwa nie była wysunięta niczym dziób lodołamacza, a przenikliwe niebieskie oczy wydawały się spokojne.

- Dzień dobry, majorze. Jest pan zadowolony z pobytu u nas? - Kwatera nieco przyciasna, ale jedzenie jest doskonałe.

Na twarzy kapitana pojawił się niewielki, lecz szczery uśmiech. - Co pan myśli o naszej elektronicznej krainie czarów? Obracając się o trzysta sześćdziesiąt stopni, Pitt zrobił inspekcję pomieszczenia. Wyglądało ono jak z filmu science fiction. Od podłogi do sufitu stalowe obudowy wypełniała ogromna liczba komputerów, monitorów telewizyjnych i innych skomplikowanych urządzeń. Krzyżowały się na nich nieskończenie długie rzędy pokręteł i przełączników, mających konkretne przeznaczenie, a kolorowych światełek wskaźników wystarczyłoby do oświetlenia frontonu kasyna w Las Vegas.

- Robi wrażenie - odrzekł Pitt, popijając kawę. - Radar obserwacji powietrza, radar obserwacji powierzchni morza, najnowszy sprzęt nawigacyjny typu Loran pracujący na wysokich i bardzo wysokich częstotliwościach, że nie wspomnę komputerowego systemu sporządzania wykresów nawigacyjnych - Pitt mówił nonszalanckim tonem rzecznika prasowego zatrudnionego w stoczni, która zwodowała Catawabę. - Producent wyposażył Catawabę w najnowocześniejszy sprzęt oceanograficzny, meteorologiczny, nawigacyjny i łączności o wiele gruntowniej, niż wyekwipowany jest którykolwiek podobny statek na świecie. Pana jednostka, kapitanie, jako stacja meteorologiczna może przebywać na pełnym morzu w każdych warunkach atmosferycznych, a jej głównym przeznaczeniem jest prowadzenie akcji ratunkowych oraz oceanograficznych prac badawczych. Dodam, że jest obsługiwana przez siedemnastu oficerów oraz stu sześćdziesięciu ludzi pozostałej załogi i że za sumę około trzynastu milionów dolarów zbudowała ją stocznia Northgate w Wilmington w stanie Delaware.

Z wyjątkiem zajętego mapą Hunnewella, Koski, Dover oraz pozostali mężczyźni obecni w pomieszczeniu zamarli. Gdyby Pitt był pierwszym przybyłym na Ziemię Marsjaninem, nie stałby się obiektem większego, przechodzącego w podziw niedowierzania.

- Proszę się nie dziwić, panowie - powiedział, zadowolony z siebie. - Mam zwyczaj zawsze odrabiać pracę domową.

- Rozumiem - ponuro rzekł Koski; choć widać było, że niczego nie rozumie. - Może zechciałby pan nam zdradzić powody, dla których tak dokładnie odrobił pan lekcje.

- Powiedziałem już - Pitt wzruszył ramionami - mam taki nawyk.

- Bardzo irytujący w tych okolicznościach. - Koski spojrział na Dovera z odrobiną niepewności w oczach. - Ciekawi mnie, czy rzeczywiście jest pan tym, za kogo się podaje.

- Doktor Hunnewell i ja jesteśmy bona fide - zapewnił Pitt.

- Przekonamy się o tym dokładnie za dwie minuty, majorze. Nagle ton Koskiego stał się cyniczny. - Ja też lubię odrabiać lekcje.

- Pan mi nie ufa - rzekł oschle Pitt. - Szkoda. Pański wysiłek umysłowy na nic się nie zda. Doktor Hunnewell i ja nie mamy zamiaru ani możliwości, żeby zagrozić bezpieczeństwu statku oraz załogi.

- Nie mam powodu, by panu ufać. - Wzrok i głos Koskiego były lodowato zimne. - - Nie ma pan pisemnych rozkazów, nie otrzymałem przez radio żadnej informacji, dotyczącej zakresu pana kompetencji, nie mam nic... nic poza niejasną wiadomością z głównego dowództwa, oznajmiającą wasze przybycie. Twierdzę, że mógłby ją nadać każdy, kto zna nasz system łączności.

- Wszystko jest możliwe - powiedział Pitt. Nie mógł się oprzeć, podziwowi dla spostrzegawczości Koskiego. Kapitan trafił dokładnie w dziesiątkę.

- Jeżeli gra pan w jakąś brudną grę, majorze, nie chcę brać w niej udziału...

Koski przerwał, aby odebrać wiadomość od marynarza, po czym zajął się studiowaniem meldunku. Na jego twarzy pojawił się wyraz zastanowienia. Ze zmarszczonymi brwiami podał kartkę Pittowi.

- Wydaje się pan niewyczerpanym źródłem niespodzianek.

Jeżeli Pitt nie wyglądał niewyraźnie, to bez wątpienia tak właśnie się poczuł. Zdemaskowanie nie nastąpiło od razu, miał więc dużo czasu, żeby się do tego przygotować. Niestety jego opowieść nie okazała się wystarczająco wiarygodna. Zdecydował, że nie pozostaje mu nic innego, niż odebrać z dobrą miną meldunek z rąk kapitana. Wiadomość brzmiała:

Dotyczy zapytania o dr. Williama Hunnewella i majora Dirka Pitta. Referencje doktora Hunnewella pochodzą z najpewniejszych źródeł. Jest dyrektorem Kalifornijskiego Instytutu Oceanografii. Major Pitt jest rzeczywiście dyrektorem do zadań specjalnych NUMA. Jest także synem senatora George'a Pitta. Obaj są zaangażowani w badania oceanograficzne najwyższej wagi dla interesów państwa. Należy im udzielić wszelkiej możliwej pomocy, powtarzam wszelkiej możliwej pomocy. Ponadto proszę poinformować majora Pitta, że admirał Sandecker prosi, aby major wystrzegał się oziębłych kobiet.

Pod meldunkiem widniał podpis Komendanta Straży Wybrzeża. - Alarm odwołany -

Pitt delektował się każdą przeciąganą sylabą. Stary lis Sandecker użył swych wpływów, aby wciągnąć do gry wyprowadzonego w pole Komendanta Straży Wybrzeża. Odetchnął głęboko i oddał Koskiemu depeszę.

- Przyjemnie jest mieć przyjaciół na wysokich stanowiskach powiedział Koski, nie ukrywając złości.

- Czasami to się przydaje.

- Nie pozostaje mi nic innego, niż pogodzić się z tym - rzekł bezradnie Koski. - Nie chciałbym nadużywać czyjegoś zaufania, ale naturalnie ostatnia część wiadomości była zaszyfrowana?

- To żadna tajemnica - odparł Pitt. - W ten chytry sposób admirał Sandecker nakazał doktorowi Hunnewellowi i mnie lot do Islandii po zbadaniu góry lodowej.

Koski powstał chwilę w milczeniu, kręcąc ze zdumienia głową. Kręcił nią jeszcze wtedy, gdy Hunnewell uderzył ręką w stół z mapami.

- Panowie, mam. Dokładne położenie naszego statku widma, wiercie lub nie, z dokładnością do dwóch mil kwadratowych. Hunnewell był wspaniały. Jeśli zdawał sobie sprawę z panującego przed chwilą napięcia, to zupełnie tego nie okazywał. Złożył mapę i wpakował ją do kieszeni ocieplacza. - Majorze Pitt, lepiej startujemy I najprędzej, jak można.

- Jak pan sobie życzy, doktorze - odrzekł zgodnie Pitt. - Za dziesięć minut śmigłowiec będzie rozgrzany i gotowy do drogi.

- Dobrze - skinął głową Hunnewell. - Jesteśmy teraz na obszarze, na którym samolot patrolowy zaobserwował górę. Zgodnie z moimi obliczeniami przy obecnej prędkości dryfu góra lodowa powinna dotrzeć na skraj Gofsztromu w ciągu jutrzejszego dnia. Jeżeli patrol prawidłowo ocenił jej wielkość, góra już zaczęła się topić z szybkością tysiąca ton na godzinę. Gdy dostanie się w ciepłe wody Gofsztromu, nie przetrwa nawet dziesięciu dni. Pozostaje jedynie pytanie: kiedy wrak zostanie uwolniony spod lodu? Łatwo sobie wyobrazić, że już go mogliśmy stracić, ale miejmy nadzieję, że jest i będzie jeszcze przez parę dni.

- Jaki przewiduje pan zasięg? - spytał Pitt.

- Mniej więcej dziewięćdziesiąt mil. Znajdziemy się wówczas w bezpośrednim sąsiedztwie góry - odparł Hunnewell.

Koski spojrzał na Pitta.

- Zaraz po waszym starcie zredukuję prędkość do jednej trzeciej i utrzymam kurs jeden-zero-sześć stopni. Ile czasu wam to zajmie? - Trzy i pół godziny powinno wystarczyć

- odpowiedział Pitt. Koski wyglądał na zafrasowanego.

- Cztery godziny. Po czterech godzinach idę po was do góry lodowej.

- Dziękuję, kapitanie - rzekł Pitt. - I proszę wierzyć w to, że jestem autentycznie wdzięczny za pańską troskę.

Koski mu wierzył.

- Czy jest pan pewien, że nie mogę podpłynąć Catawabą w pobliże obszaru poszukiwań? Gdybyście mieli wypadek na lodzie albo wpadli do morza, bardzo wątpię, czy dotarłbym do was na czas. W wodzie o temperaturze czterech stopni całkowicie ubrany człowiek może przeżyć zaledwie dwadzieścia pięć minut.

- Będziemy musieli zaryzykować. - Pitt pociągnął ostatni łyk kawy i popatrzył beznamiętnie na pustą filiżankę. - Rosjanie od razu poczuliby pismo nosem, gdyby jeden z ich trawlerów zobaczył, że statek Straży Wybrzeża w niedzielę znajduje się poza zwykłym obszarem patrolowym. Dlatego ostatni skok zrobimy helikopterem. Możemy lecieć na tyle nisko, żeby nie namierzył nas żaden radar, a przy okazji będziemy trudno widzialni. Ważny także jest czas. Dotarcie na pozycję Novgoroda i z powrotem zajmie śmigłowcowi jedną dziesiątą czasu, w jakim zrobiłaby to Catawaba.

- Dobra - westchnął Koski. - To w końcu pana działka. Chcę was widzieć z powrotem na platformie, powiedzmy... - spojrzął na zegarek i zawahał się - nie później niż o dziesiątej trzydzięci. - Następnie uśmiechnął się. - Jeśli okaże się pan grzecznym chłopcem i wróci o czasie, będzie na pana czekała ćwiarteczka johnnie walkera.

- To się nazywa zachęta - roześmiał się Pitt.

- To mi się nie podoba! - wrzasnął Hunnewell, przekrzykując ryk silnika. - Do tej pory powinniśmy już coś zobaczyć.

Pitt spojrzął na zegarek.

- Na razie mieścimy się w czasie. Zostały nam jeszcze ponad dwie godziny.

- Nie może pan wejść wyżej? Jeżeli podwoimy pole widzenia, dwukrotnie zwiększą się szanse na znalezienie góry.

Pitt przecząco pokręcił głową.

- Nie mogę. Podwoilibyśmy również szansę na odkrycie nas. Bezpieczniej będzie, jeśli zostaniemy na czterdziestu pięciu metrach.

- Dzisiaj musimy ją znaleźć - rzekł Hunnewell. Jego twarz cherubina przybrała zacięty wyraz. - Jutro może być za późno na drugą próbę. - Przez chwilę studiował rozłożoną na kolanach mapę, a następnie wziął lornetkę i wycelował ją na zachód w grupę kilku gór lodowych.



- Czy widział pan po drodze jakieś góry przypominające wyglądem tę, której szukamy? - zapytał Pitt.

- Prawie godzinę temu minęliśmy jedną o podobnych wymiarach i ukształtowaniu, ale na jej ścianach nie było czerwonej farby. Hunnewell omiótł lornetką gładką powierzchnię oceanu, z którego sterczały setki potężnych gór lodowych; jedne - wyszczerbione i spękane, inne - zaokrąglone i gładkie, wszystkie jednak wyglądały niczym białe kartonowe bryły geometryczne nieregularnie rozrzucone na niebieskiej wodzie.

- Moje ego doznało wstrząsu - wyznał z bólem Hunnewell. Podobny błąd w obliczeniach nie zdarzył mi się od czasów lekcji trygonometrii w średniej szkole.

- Może wiatr zmienił kierunek i zepchnął górę na inny kurs.

- Mało prawdopodobne - mruknął Hunnewell. - Podwodna masa góry jest siedem razy większa od tego, co widać nad powierzchnią. Poza prądem morskim nic nie jest w stanie wpłynąć na jej ruch. Niesiona prądem góra z łatwością pokonuje wiejący z przeciwka wiatr o sile dwudziestu węzłów.

- Połączone siły niewyciężonej natury.

- To nie wszystko, te przekłete bryły są prawie niezniszczalne.

Hunnewell rozmawiał i obserwował przez lornetkę. - Naturalnie pękają i topnieją, ale dopiero wtedy, kiedy wpłyną na cieplejsze, południowe wody. Jednakże zanim wejdą w Gofsztrom, nie boją się ani sztormu, ani człowieka. Lodowcowe góry lodowe próbowano rozbijać torpedami, dwustumilimetroowymi działami okrętowymi, bombami termicznymi oraz niszczyć za pomocą wielu ton pyłu węglowego, który absorbując promienie słoneczne, przyspiesza proces topnienia. Rezultaty tego były porównywalne ze szkodami, jakich mogło doznać stado słoni ostrzelanych z procy przez plemię anemicznych Pigmejów.

Pitt wszedł w ostry zakręt, okrążając nagie zbocza wysokiej góry ze ściętym wierzchołkiem. Manewr ten przyprawił Hunnewella o skurcz żołądka.

Doktor jeszcze raz przyjrzał się mapie. Sprawdzili dwieście mil kwadratowych i niczego nie znaleźli.

- Spróbujmy przez piętnaście minut lecieć na północ. Następnie z powrotem na wschód na skraj tej lodowej gromadki. Potem przez dziesięć minut na południe i wracamy na zachód.

- Już się robi, wzorowy zwrot na północ - powiedział Pitt. Zmienił położenie sterów, utrzymując śmigłowiec w bocznym skręcie aż do chwili, gdy kompas wskazał zero stopni.

Minuty mijały jedna za drugą. Rosło zmęczenie Hunnewella; które wyraźnie dało się zauważyć po pogłębiających się zmarszczkach wokół jego oczu.

- Jak stoimy z paliwem?

- To jest akurat nasze najmniejsze zmartwienie - odpowiedział Pitt. - Kończy się nam natomiast rezerwa czasu i optymizmu.

- Mogę śmiało przyznać - rzekł znużonym głosem Hunnewell że mój optymizm wyczerpał się już przed kwadransem.

Pitt poklepał go po ramieniu.

- Niech się pan nie poddaje. Nasza nieuchwytna góra lodowa może być tuż-tuż.

- Gdyby okazało się, że jest tak rzeczywiście, zaprzeczyłoby to wszystkim znanym teoriom dryfu.

- A ta czerwona farba znacząca. Czy nie mógł jej zmyć wczorajszy sztorm?

- Na szczęście nie. Farba zawiera chlorek wapnia, składnik głęboko penetrujący. Trzeba tygodni, a czasami miesięcy, żeby zmyć jego ślady.

- Pozostaje wobec tego jeszcze jedna możliwość.

- Wiem, o czym pan myśli - rzekł Hunnewell. - Niech pan da spokój. Od ponad trzydziestu lat współpracuję ze Strażą Wybrzeża, lecz nigdy nie słyszałem, aby pomylili się w określeniu pozycji lodu.

- A więc jeszcze co innego. Bryłka o wadze miliona ton wyparowała...

Pitt nie dokończył zdania z dwóch powodów; po pierwsze, helikopter zszedł z kursu, a po drugie, zauważył coś kątem oka. Hunnewell nagle znieruchomiał w fotelu, a następnie pochylił się do przodu z lornetką ściśle przyciśniętą do oczu.

- Mam ją! - krzyknął.

Pitt nie czekał na polecenie; zniżył lot i skierował się w stronę wskazywaną przez lornetkę.

- Proszę - Hunnewell podał mu szkła. - Niech pan sam spojrzy i powie, czy to, co widzą moje stare oczy, nie jest złudzeniem.

Aby nie stracić góry lodowej z pola widzenia, Pitt ze zręcznością żonglera manewrował jednocześnie sterami śmigłowca i lornetką.

- I co, można się pozbyć czerwonej farby? - zapytał Hunnewell z zaczepką w głosie.

- Wygląda jak sok truskawkowy na porcji lodów waniliowych. - Nic z tego nie rozumiem - pokiwał głową Hunnewell. - Ta góra nie powinna tam być. Według wszelkich praw dryfu w prądzie morskim ona powinna znajdować się przynajmniej dziewięćdziesiąt mil na południowy wschód.

Była tam jednak. Na wyraźnie zarysowanej linii horyzontu spoczywał olbrzymi, wystrzelający do nieba masyw lodowy, którego piękną, stworzoną przez naturę rzeźbę

oszczędziła chemikaliami ludzka ręka. Zanim Pitt zdążył opuścić lornetkę, soczewki wzmocniły blask odbitych od lodu promieni słońca. Chwilowo oślepiiony podwyższył pułap i nieznacznie zmienił kurs, aby wyjść poza uniemożliwiający widzenie blask. Dokładnie minutę później wewnątrz jego oczu zakończył się pokaz sztucznych ogni.

Wkrótce potem Pitt zdał sobie sprawę z obecności w wodzie niewyraźnego, prawie niedostrzegalnego cienia. Nie miał czasu na dokładne oględziny ciemnego kształtu. Uniemożliwił je śmigłowiec, pod którego płozami niecałe sto metrów niżej umykały niebieskie fale. Gdy góra lodowa była jeszcze oddalona o siedem mil, Pitt zatoczył półkole i skręcił na wschód w kierunku Catawaby.

- Co się panu stało, do diabła? - spytał Hunnewell tonem żądającym odpowiedzi.

Pitt zignorował pytanie.

- Obawiam się, że mamy nieoczekiwanych gości.

- Bzdura! W polu widzenia nie ma żadnego statku ani samolotu. - To są goście z dołu.

Hunnewell pytająco uniósł brwi. Powoli opadł na oparcie.

- Okręt podwodny?

- Okręt podwodny.

- Całkiem możliwe, że jeden z naszych.

- Szkoda, doktorze, że jest to tylko pobożne życzenie.

- A więc Rosjanie załatwili nas. - Hunnewell wykrzywił usta. Boże drogi, spóźniliśmy się.

- Jeszcze nie. - Pitt zakreślił śmigłowcem następny półkolisty łuk, kierując się z powrotem ku górze lodowej. - Za cztery minuty będziemy stali na lodzie. Łódź podwodna dotrze tam za co najmniej pół godziny. Przy odrobinie szczęścia możemy znaleźć to, czego szukamy, i wyniesiemy się stamtąd przed ich wylądowaniem.

- To wygląda zbyt pięknie - bez przekonania powiedział Hunnewell. - Wie pan, że Rosjanie nie przyjdą bez broni, jeśli zobaczą, jak biegamy po lodzie?

- Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Prawdę mówiąc, kapitan tego rosyjskiego okrętu dysponuje aż nadmiernymi środkami, by rozerwać nas na strzępy, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Założę się jednak, że nie zaryzykuje tego.

- Co ma do stracenia?

- Nic. Poza reperkusjami, jakie wywołuje poważny incydent międzynarodowy. Każdy kapitan, wart choćby rubla, jest całkowicie przekonany, że pozostajemy w stałym kontakcie radiowym z bazą, że podaliśmy jej pozycję jego łodzi, że nasza baza tylko czeka na jego

pierwszy strzał, aby rozgłosić wieść o krwawym mordzie. Ta część Atlantyku należy do naszej strefy wpływów i on doskonale o tym wie. Jest za daleko od Moskwy, żeby grać rolę dzielnicowego watażki.

- Dobrze, dobrze - powiedział Hunnewell. - Niech pan leci. Wolę chyba dostać kulę tam, niż jeszcze minutę siedzieć w tej maszynie do mielenia mięsa:

Pitt nie odezwał się już ani słowem. Wykonał podejście i bez żadnych trudności posadził śmigłowiec na skrawku płaskiego lodu, nie większym od prostokąta o długości sześciu metrów i szerokości czterech i pół metra. Zanim na dobre zatrzymał się główny wirnik, wraz z Hunnewellem wyskoczyli z kabiny. A potem, stojąc w ciszy góry lodowej, Pitt zastanawiał się; kiedy wynurzy się rosyjski okręt podwodny oraz co znajdą w tajemniczym lodzie, oddzielającym ich od zimnej, nieprzyjaznej wody. Nie dostrzegli najmniejszego śladu życia. Poza lodowatym wiatrem muskającym policzki nie było tam nic. Zupełnie nic.

### ROZDZIAŁ 3

W absolutnej ciszy upłynęły minuty, podczas których Pitt nie potrafił powiedzieć nic istotnego. Gdy wreszcie odezwał się, miał wrażenie, iż jego głos brzmi jak niewyraźny szept. Dlaczego mówię szeptem? - pomyślał. Hunnewell sondował lód dziesięć metrów dalej, natomiast rosyjski okręt podwodny stał nieruchomo na powierzchni morza w odległości jednej czwartej mili od północnego skraju góry. W końcu Pittowi udało się zwrócić uwagę Hunnewella, mimo że głos był przytłumiony niemalże kościelną ciszą.

- Czas mija, doktorze. - Nie wiadomo dlaczego zdawało mu się, że może być podsłuchany, choć Rosjanie nie usłyszeliby go, nawet gdyby krzyczał najgłośniejszym głosem, jak potrafi.

- Nie jestem ślepy - warknął Hunnewell. - Kiedy tu będą?

- Mogą tu być za piętnaście, dwadzieścia minut, tyle czasu zajmie im spuszczenie pontonu na wodę, wiosłowanie, wyjście na brzeg i przejście trzystu pięćdziesięciu metrów.

- Cholera, nie możemy stracić ani chwili - powiedział Hunnewell niecierpliwie.

- Znalazł pan już coś?

- Nic. - Hunnewell pokręcił głową. - Wrak musi być głębiej, niż myślałem. - Gorączkowo wcisnął sondę w lód. - Jest tu, musi tu być. Czterdziestometrowy statek nie mógł zniknąć.

- Może Straż Wybrzeża widziała statek widmo?

Hunnewell przerwał pracę, aby poprawić słoneczne okulary.

- Załogę patrolu mogą zmylić oczy, ale radaru oszukać się nie da.

Pitt podszedł do otwartych drzwi helikoptera. Spojrzał na Hunnewella, następnie na okręt podwodny, któremu w chwilę potem przyglądał się już przez lornetkę. Dokładnie obserwował zarysowany w dole kontur łodzi i wyskakujące z włazów figurki, rozbiegające się w pośpiechu po mokrym pokładzie. W ciągu niespełna trzech minut duży sześciuosobowy ponton został napompowany, zrzucony za burtę i obsadzony przez grupę mężczyzn wyposażonych w broń automatyczną. Wkrótce potem obok szumu niebieskich fal dał się słyszeć niewyraźny, podobny do wystrzału odgłos, który dla Pitta był wystarczająco donośny, żeby radykalnie zmienić jego pierwotne obliczenia czasu.

- Zbliżają się. Pięciu, może sześciu, nie mogę powiedzieć na pewno.

- Są uzbrojeni? - Pytanie Hunnewella zabrzmiało natarczywie. - Po zęby.

- Mój Boże, człowieku! - krzyknął zdenerwowany naukowiec. - Nie stój i nie gap się. Pomóż mi szukać wraka.

- Nic z tego nie będzie - odrzekł pomalutku Pitt. - Oni tu będą za pięć minut.

- Za pięć minut? Przecież powiedział pan...

- Nie przewidziałem, że będą mieli ponton z silnikiem. Całkowicie zaskoczony Hunnewell gapił się na okręt podwodny. - Jak Rosjanie dowiedzieli się o wraku? Jakim cudem znali jego pozycję

- To żaden cud - odparł Pitt. - Jednemu z agentów KGB w Waszyngtonie niewątpliwie wpadł w ręce, nietajny przecież, raport patrolu Straży Wybrzeża. Następnie przekazali go wszystkim trawlerom rybackim oraz okrętom podwodnym, które mieli w tym rejonie Atlantyku, i nakazali wszczęcie poszukiwań. Dzięki niefortunnemu dla nas, lecz szczęśliwemu dla nich, zbiegowi okoliczności, odkryliśmy tę górę w tym samym momencie.

- Zdaje się, że zepsuliśmy meczową piłkę - rzekł ze smutkiem Hunnewell. - Oni wygrali, my przegraliśmy. Niech to szlag, gdybyśmy chociaż znaleźli kadłub wraka, moglibyśmy przynajmniej zniszczyć go ładunkami termicznymi i nie dopuścić do niego Rosjan.

- Zwycięzca bierze wszystko - mruknął Pitt. - Milion ton najczystszej i najlepszej na Atlantyku, prawdziwego grenlandzkiego lodu.

Hunnewell był zaskoczony, lecz nic nie powiedział. Wyrażna obojętność Pitta nie miała żadnego sensu.

- Niech pan mi powie, doktorze - kontynuował major - jaką dzisiaj mamy datę?

- Datę? - spytał całkiem już oszołomiony Hunnewell. - Jest środa, dwudziesty ósmy marca.

- Za wcześniej - powiedział Pitt. - O trzy dni za wcześniej na prima aprilis.

- To nie czas ani miejsce na żarty - stanowczo stwierdził Hunnewell.

- Dlaczego nie? Ktoś zrobił doskonały kawał nam i tym błaznom na dole. - Pitt wskazał na szybko zbliżające się towarzystwo. - Pan, ja, Rosjanie, my wszyscy staliśmy się obiektem największego pośmiewiska, jakie do tej pory zdarzyło się na północnym Atlantyku. A osiągnie ono szczyt w momencie, gdy my i oni dowiemy się, że w tej górze lodowej nie ma żadnego wraka. - Przerwał, by wypuścić chmurę dymu. - I nigdy nie było.

Na całkowicie zdumionej twarzy Hunnewella pojawił się nikły ślad nadziei.

- Niech pan mówi dalej - rzekł zachęcającym tonem.

- Załoga patrolu zameldowała nie tylko o wskazaniu radaru, ale także o spostrzeżeniu zarysu statku w lodzie. Siedzieli w samolocie lecącym prawdopodobnie z regulaminową prędkością trzystu kilometrów na godzinę. W związku z tym my mieliśmy nieporównanie większe szanse spostrzeżenia czegośkolwiek.

Hunnewell wyglądał na zamyślonego. Wydawał się zastanawiać nad tym, co

powiedział Pitt.

- Nie jestem pewien, do czego pan zmierza. - Uśmiechnął się, nagle zrobił się pogodny jak zawsze. - Ale coraz lepiej zaczynam poznawać pana lisią przebiegłość. Pan musi coś chować w rękawie.

- Nic takiego. Sam pan powiedział, że według wszelkich praw dryfu w prądzie morskim właściwa góra lodowa powinna znajdować się dziewięćdziesiąt mil na południowy zachód.

- To prawda. - Hunnewell z szacunkiem spojrzał na Pitta. A konkludując, co dokładnie ma pan na myśli?

- Nie co, lecz kogo, doktorze. Kogoś, kto z nami wszystkimi bawi się w chowanego. Kogoś, kto usunął czerwoną farbę z góry ukrywającej statek i na wabia pomalował identycznym znacznikiem inną, odległą od właściwej o dziewięćdziesiąt mil.

- Naturalnie, górę, nad którą przelecieliśmy parę godzin temu. Ta sama wielkość, konfiguracja i waga, ale nie było na niej czerwonej farby.

- Właśnie tam znajdziemy nasz tajemniczy statek - rzekł Pitt. Dokładnie w miejscu, w którym zgodnie z pana wyliczeniami miała być.

- Ale kto robi te sztuczki? - zapytał Hunnewell z twarzą pokrytą głęboką zadumą. - Oczywiście nie Rosjanie, oni są w takim samym kłopotcie jak przed chwilą my.

- To nieważne w tym momencie - odrzekł Pitt. - Jak najszybciej i bez żalu pożegnajmy ten pływający pałac lodowy i odlećmy w siną dal. Właśnie wylądowali nasi niespodziewani goście. - Pitt skinął w dół na zbocze. - A może pan tego nie zauważył?

Hunnewell nie zauważył. Spozrzegł ich dopiero teraz. Pierwsi wysłannicy z łodzi podwodnej wyskakiwali na skraj lodu. W ciągu kilku sekund pięciu z nich już się wspinało, idąc ostrożnie w kierunku Pitta i Hunnewella. Byli ubrani na czarno i silnie uzbrojeni - rosyjska piechota morska. Mimo że dzielił ich dystans ponad stu metrów, Pitt zorientował się po ich jednoznacznym wyglądzie, że doskonale wiedzą, co robić i po co zostali wysłani.

Major ostrożnie wszedł do śmigłowca, włączył zapłon i nacisnął rozrusznik. Jeszcze łopaty wirnika nie wykonały pierwszego obrotu, a Hunnewell już kulił się w fotelu, mocno przypięty pasami bezpieczeństwa.

Zanim Pitt zamknął drzwi kabiny, wychylił się, przytknął zwinięte dłonie do ust i krzyknął do nadchodzących Rosjan:

- Życzę miłego pobytu. Tylko nie zapomnijcie posprzątać po sobie!

Idący na czele oficer nadstawił ucha, po czym wzruszył ramionami, nic nie rozumiejąc. Był pewien, że dla jego wygody Pitt niekoniecznie będzie krzyczał po rosyjsku.

Tak jakby chcąc zasygnalizować pasażerom helikoptera pokojowe zamiary, oficer opuścił pistolet maszynowy i zasalutował, gdy tymczasem Pitt z Hunnewellem, rezygnując z wladania górą lodową, wznosili się w jaskrawo błękitne niebo.

Major nie marnował czasu; utrzymując minimalną prędkość, przez piętnaście minut leciał kursem na zachód. Następnie, po wyjściu z zasięgu wzroku oraz zasięgu radaru okrętu podwodnego, zakreślił długim łukiem na południowy zachód i przed jedenastą piętnaście odnalazł zgubę.

Gdy patrzyli w dół na lodowego giganta, Pitta i Hunnewella ogarnęło uczucie pustki. Nie było ono spowodowane końcem wielogodzinnej niepewności - dawno przecież wyczerpali wyznaczony przez Koskiego limit czasu - lecz wywołał je pełen grozy wygląd tajemniczego statku. Niczego podobnego żaden z mężczyzn nigdy dotąd nie widział. Górę lodową otaczała atmosfera przerażającego odosobnienia, jakie nie występuje na Ziemi, lecz na odległej, martwej planecie. Bezruch naruszały jedynie przenikające przez lód promienie słońca, wykrzywiając zarys kadłuba i kształt poszycia statku w szeregu stale zmieniających się cieni. Widok był tak nierealny, że major z trudnością pogodził się z widocznym faktem jego istnienia. Gdy zajął się sterami, by obniżyć lot śmigłowca, był prawie pewien, że pogrzebany w lodzie statek zniknie.

Pitt spróbował wylądować na kawałku gładkiej powierzchni blisko krawędzi góry, ale kąt nachylenia terenu okazał się zbyt duży. W końcu usiadł dokładnie nad wrakiem. Hunnewell wyskoczył z helikoptera chwilę przedtem, nim płozy musnęły lód, i zanim dołączył do niego Pitt, zdołał obejść statek od dzioba do rufy.

- Dziwne - mruknął. - Bardzo dziwne. Nic nie wystaje nad powierzchnię, nawet maszt i antena radarowa. Każdy centymetr kwadratowy jest szczelnie pokryty solidnym lodem.

Pitt wyjął chusteczkę z kieszeni lotniczej kurtki i głośno wytarł nos. Następnie wciągnął powietrze, jak gdyby badając je.

- Czuje pan coś dziwnego, doktorze? Hunnewell lekko odchylił głowę i powoli wachał.

- Wyczuwam ślad jakiejś woni. Ale jest zbyt słaby, żebym potrafił go rozpoznać.

- Nie obraca się pan we właściwych kręgach - z uśmiechem powiedział Pitt. - Gdyby częściej wychodził pan ze swego laboratorium i wiedział coś więcej o życiu, wtedy poznałby pan wyraźny zapach spalonych śmieci.

- Ale skąd dochodzi?

Pitt wskazał na wrak pod nogami.



- Tylko stamtąd.

Hunnewell pokręcił głową.

- W żadnym wypadku. Jest faktem naukowym, że z zewnątrz nie można wyczuć zapachu substancji nieorganicznej, którą pokrywa warstwa lodu.

- Mój nochal nigdy nie kłamie. - Ciepło nadchodzącego południa zaczęło brać górę na chłodem i Pitt rozsunął suwak kurtki. W lodzie musi być szczelina.

- Niech pan da spokój - rzekł cierpko Hunnewell - i przestanie bawić się w psa tropiciela, a zacznie rozmieszczać ładunki termiczne. Jedyne sposoby na dostanie się do wraka to stopienie pokrywy lodowej.

- To może być niebezpieczne.

- Proszę mi zaufać - łagodnym tonem powiedział Hunnewell. Nie mam zamiaru rozbić góry i nie chcę stracić wraka, śmigłowca oraz naturalnie życia. Zamierzam zacząć od małych ładunków i stopniowo posuwać się w dół.

- Nie myślałem o górze, lecz o wraku. Jest cholernie prawdopodobne, że nastąpiło pęknięcie zbiorników paliwa i olej napędowy zalał kadłub na całej długości. Jeżeli pomylimy się i podpalimy choć kroplę, cały wrak stanie w ogniu i zrobi się jedno wielkie bum.

Hunnewell na twardym lodzie przestępował z nogi na nogę.

- Jak więc pan zamierza się przez to przebić? Posługując się soplem lodu?

- Doktorze Hunnewell - rzekł cicho Pitt. - Nie kwestionuję faktu, że dzięki nadzwyczajnemu intelektowi jest pan powszechnie znany. Wszakże, jak większość genialnych umysłów, nie ma pan zmysłu praktycznego ani pojęcia o normalnych sprawach. Mówi pan o jakichś ładunkach termicznych, soplach lodu. Po co zawracać sobie nimi głowę i narażać się na wysiłek fizyczny, skoro cały problem może rozwiązać zwykłe: Sezamie, otwórz się.

- Stoi pan na odprysku lodowca - powiedział Hunnewell. Jest to twarda, lita bryła. Nic pan z nią nie zrobi.

- Przykro mi, ale paskudnie się pan myli, przyjacielu.

- Niech pan to udowodni! - Hunnewell obdarzył Pitta podejrzliwym spojrzeniem.

- Zmierzam do stwierdzenia, że praca już została wykonana. Z całą pewnością nasz Machiavelli i jego wesoła kompania uczynnych pomocników byli tu przed nami. Proszę, niech pan patrzy. - W teatralnym geście podniósł rękę.

Hunnewell pytająco uniósł brwi i spojrzał w kierunku wskazanym przez Pitta, studiując uważnie szerokie oblicze stromej lodowej zbocza. Wzdłuż zewnętrznych

krawędzi oraz blisko dolnej części podstawy, zaledwie parę metrów od miejsca, w którym stali, lód był gładki i równy. Lecz począwszy od szczytu aż do środka zbocza był podziurawiony jak niewidoczna strona Księżyca.

- W porządku - mruknął Hunnewell. - Zdaje się, że ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby usunąć ślady czerwonej farby, zrzuconej przez Straż Wybrzeża. - Popatrzył na wierzchołek góry długim, beznamiętnym spojrzeniem, po czym odwrócił się do Pitta.

- Po co ktoś miałby ręcznie zeszkrobywać pozostałości farby, skoro z łatwością mógłby zatrzeć wszystkie ślady za pomocą ładunków wybuchowych?

- Nie umiem powiedzieć - odparł Pitt. - Może bali się, że góra pęknie albo nie mieli materiałów wybuchowych, kto to wie? Ale założę się o miesięczną pensję, że te mądrale nie tylko skrobały lód. Musieli znaleźć sposób na dostanie się do wraka.

- Pozostaje nam jedynie odszukać lampkę z napisem: Wejście stwierdził Hunnewell złośliwie. Nie przywykł, by ktoś ubiegał go w wyciąganiu wniosków, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że również tego nie lubił.

- Kawalek naruszonego lodu będzie bardziej pożądanym.

- Domyślam się - powiedział Hunnewell - że chodzi panu o przykrycie kamuflujące wejście do jakiegoś lodowego tunelu.

- Podobna myśl przemknęła mi przez głowę.

Doktor popatrzył na Pitta przez górną część okularów.

- No, to zabierajmy się do roboty. Jeżeli będziemy tak dłużej stali i teoretyzowali, to moje jądra będą mogły służyć jako modelowy przykład odmrożenia.

To miało być łatwe przedsięwzięcie, jednak realizacja okazała się trudniejsza, niż Pitt przypuszczał. Zdarzył się bowiem niemożliwy do przewidzenia wypadek. Idącemu po zboczu Hunnewellowi pośliznęła się stopa i zaczął bezradnie zjeżdżać w dół po stromiźnie wpadającej do lodowatego oceanu. Upadł na twarz; palce rąk niczym szpony usiłowały wbić się w lód, a rysujące twardą powierzchnię paznokcie wykrzywione były aż do bólu. Przez chwilę zsuwał się wolniej, lecz wciąż o wiele za szybko. Upadek był tak nagły, że zanim zdążył pomyśleć o zawołaniu o pomoc, kostkami stóp ocierał się już o krawędź dziesięciometrowego urwiska.

Pitt, w momencie gdy usłyszał krzyk, pracowicie układał stos z porozrzucanych brył lodu. Odwrócił się i spostrzegł będącego w śmiertelnym niebezpieczeństwie Hunnewella. Przez chwilę, nie dłuższą niż mgnienie oka, pomyślał, że gdyby Hunnewell wpadł do lodowatej wody, nie byłoby dla niego ratunku. Jednym ruchem zerwał kurtkę i wystrzelił ku zboczu w akrobatycznym skoku, unosząc w powietrzu skierowane do góry nogi.

Dla ogarniętego paniką umysłu Hunnewella karkołomna ewolucja Pitta była aktem czystego szaleństwa.

- O Boże, nie, nie! - krzyknął. Nic więcej jednak nie mógł zrobić, niż tylko przyglądać się Pittowi, zmierzającemu do niego niczym rozpędzony bobslej. Pomyślał, że być może miałyby szansę, gdyby major został na górze. Teraz wydawało się prawie pewne, że razem zginą w przerażająco zimnej, słonej wodzie. Dwadzieścia pięć minut, słowa kapitana Koskiego kołatały mu w głowie; dwadzieścia pięć minut - tyle życia zostawało człowiekowi w wodzie o temperaturze czterech stopni. A oni i tak nie wydostaliby się na strome zbocza góry lodowej, chociażby mieli na to cały czas świata.

Gdyby Pitt poświęcił tylko chwilę i zastanowił się nad tym, bez wątpienia przyznałby Hunnewellowi rację; sunąc ślizgiem po lodzie, z nogami nad głową, niewątpliwie wyglądał jak wariat. Kiedy zaledwie długość nogi dzieliła go od zderzenia z Hunnewellem, błyskawicznie opuścił stopy i uderzając z impetem w lód, jęknął z bólu. Nieustępliwie orząc piętami powierzchnię zmarzliny, wreszcie zatrzymał się z nadwreżonymi mięśniami. Jak gdyby kierowany instynktem, w tym samym momencie podał Hunnewellowi rękaw kurtki.

Przerażonego naukowca nie trzeba było zachęcać. Uchwycił nylonowy materiał z siłą, jakiej nie powstydziliby się imadło i zawisł na rękawie, drżąc na całym ciele. Niemal minutę czekał, by rytm jego niestarego jeszcze serca zwolnił do kilku uderzeń ponad normę. Rozglądając się ze strachem na boki, spostrzegł to, czego nie poczuło zdrętwiałe ciało; krawędź lodowego zbocza sięgała mu zaledwie do pasa, nogi wisały nad przepaścią.

- Jeśli będzie pan gotów - powiedział Pitt łagodnym głosem, w którym jednak wyraźnie pobrzmiwała nuta zdenerwowania niech pan spróbuje podciągnąć się do mnie.

Hunnewell przecząco pokręcił głową.

- Nie dam rady - jęknął chrapliwie. - Mogę się tylko trzymać rękawa.

- Nie może pan znaleźć oparcia na nogę?

Nie odpowiedział. Znów tylko zrobił przeczący ruch.

Mocniej zaciskając dłonie na kurtce, Pitt wykonał skłon między szeroko rozstawione nogi.

- Siedzimy tu sobie wyłącznie za sprawą dwóch obcasów z twardej gumy, bez żadnych raków. Skruszenie lodu wokół nich nie zabierze dużo czasu. - Posłał Hunnewellowi pokrzepiający uśmiech. - Proszę nie robić gwałtownych ruchów. Mam zamiar ściągnąć pana w jednym kawałku z tego zbocza.

Tym razem Hunnewell przytaknął. Czuł bolesne skurcze żołądka, paliły go końce palców, a na złanej potem twarzy malowało się cierpienie i przerażenie. Tylko

zdeteminowany wzrok Pitta był w stanie przebić się przez tę spotęgowaną bólem zasłonę strachu. Patrząc na szczupłą, ogorzałą twarz majora, która emanowała pewnością siebie i siłą woli, Hunnewell poczuł niewielką ulgę.

- Niech pan przestanie się szczyrzyć - powiedział nieśmiało i zacznie wreszcie ciągnąć.

Ostrożnie, powoli, centymetr po centymetrze Pitt holował do góry doktora. Upłynęło sześćdziesiąt nieskończenie długich sekund, zanim głowa Hunnewella znalazła się na wysokości jego kolan. Jednym ruchem Pitt puścił kurtkę i chwycił naukowca pod pachy.

- To była łatwiejsza część zadania - oznajmił. - Trudniejsza zależy od pana.

Mając nareszcie wolne ręce, Hunnewell rękawem kurtki wytarł pot z czoła.

- Niczego nie mogę zagwarantować. - Czy ma pan przy sobie cyrkiel?

Hunnewell osłupiał na chwilę. A potem przytaknął ruchem głowy. - Mam w wewnętrznej kieszeni.

- Dobrze - mruknął Pitt. - Teraz niech się pan na mnie wdrapie i wyprostuje. Gdy już będzie pan mocno stał na moich ramionach, niech pan wyjmie cyrkiel i wbije go w lód.

- Hak! - wykrzyknął Hunnewell w nagłym olśnieniu. - Cholernie sprytnie pan to wykombinował.

Hunnewell zaczął się wspinać po leżącym majorze, dyszał jak parowóz w Górach Skalistych, ale dopiął swego. Przytrzymywany przez Pitta lekko za kostki, wyjął cyrkiel służący mu zwykle do wykreślania kursów na mapach i zagłębił go w lód.

- W porządku - wystękał.

- Teraz jeszcze raz to samo - rzekł Pitt. - Wytrzyma pan?

- Niech się pan pośpieszy - odparł Hunnewell. - Mam prawie sztywne ręce.

Oparty piętą o wyżłobienie w lodzie, wciąż zapewniające bezpieczeństwo, Pitt sprawdził, czy pod jego ciężarem Hunnewell nie osunie się w dół. Jednak cyrkiel trzymał mocno. Posuwając się zwinnie i miękko niczym kot, Pitt przeczołgał się obok Hunnewella. Gdy dłońmi wyczuł krawędź zbocza, za którą był równy lód, wpełznął jak wąż na płaską powierzchnię. Nie zmarnował ani chwili. Doktorowi zdawało się, że Pitt prawie natychmiast zrzucił mu wyjętą z helikoptera linę. Pół minuty później blady, wyczerpany oceanograf usiadł na lodzie u stóp majora. Odetchnął głęboko i spojrzał Pittowi w twarz.

- No, tak - rzekł z uśmiechem major. - Stawia mi pan wykwiniony obiad w najbardziej eleganckiej restauracji w Reykjavíku, płaci za wszystkie drinki i przedstawia mnie najseksowniejszej islandzkiej nimfomance.

- Obiad i trunki ma pan załatwione, przynajmniej tym mogę spłacić mój dług wdzięczności. Niestety nimfomanki nie mogę obiecać. Wiele lat minęło od czasu, kiedy zabiegałem o kobiece wdzięki, więc boję się, że wyszedłem z wprawy.

Pitt roześmiał się, poklepał Hunnewella po ramieniu i pomógł mu wstać.

- Niech się pan tym nie przejmuje, stary przyjacielu. Dziewczyny to moja działka. - Nagle przerwał. Kiedy znów się odezwał, jego głos był już poważny. - Pana dłonie wyglądają, jakby wyszły spod szlifierki.

Hunnewell podniósł ręce, obojętnie przyglądając się krwawiącym palcom.

- Odrobina środka dezynfekcyjnego, manicure i będą jak nowe. - Niech pan nie żartuje - powiedział Pitt. - W helikopterze jest apteczka. Zrobię panu opatrunek.

Kilka minut później, kiedy Pitt kończył bandażować mu ostatni palec, Hunnewell zapytał:

- Czy przed moim upadkiem trafił pan na ślad tunelu?

- Zrobili świetną robotę - odrzekł Pitt. - Płaszczyzna otworu wejściowego nachylona jest ukośnie do powierzchni i nie odróżnia się od otoczenia. Gdyby ktoś nie zostawił przez nieuwagę odcisku dłoni na śniegu, mógłbym chodzić po wejściu, nie zauważając go.

Twarz Hunnewella nagle spochmurniała.

- Przeklęta góra lodowa - powiedział posępnym tonem. Przysięgłbym, że żywi do nas jakąś wrogość.

Zgiął palce i uważnie przyjrzał się ośmiu małym opatrunkom zakrywającym paznokcie. Miał zmęczone oczy i zatroskaną twarz.

Pitt zrobił kilka kroków, podniósł okrągłą płytę lodu o średnicy dziewięćdziesięciu oraz grubości dziesięciu centymetrów i odsłonił niedokładnie wyżłobiony tunel, w którym z ledwością mieścił się pełznący człowiek. Odruchowo odwrócił głowę; z otworu wydobywała się ostra, drażniąca woń strawionego ogniem kadłuba, spalonej farby i oleju napędowego.

- To powinno udowodnić, że potrafię wyczuwać zapachy przez lód - rzekł.

- Tak, zdał pan egzamin z wężowania - stwierdził zadowolony z siebie Hunnewell - ale fatalnie się pan pomylił w swojej teorii wykorzystania ładunków termicznych. Okazuje się, że tam w dole jest wytopione przejście. - Przerwał na chwilę, by spoza opuszczonych okularów obdarzyć Pitta nauczycielskim spojrzeniem. - Moglibyśmy eksplodować tyle ładunków, ile dusza zapagnie, a wrakowi i tak by to nie zaszkodziło.

Pitt wzruszył ramionami.

- Nie przegrywa tylko ten, kto nie gra - zawyrokował, podając Hunnewellowi latarkę.

- Ja idę pierwszy. Po pięciu minutach rusza pan za mną.

Hunnewell przykucnął na brzegu lodowego tunelu, obserwując wchodzącego na kolanach Pitta.

- Po dwóch minutach. Daję panu dwie minuty, nie więcej. Potem idę za panem.

Przejście, oświetlone od góry rozproszonymi przez kryształki lodu promieniami słońca, miało długość sześćdziesięciu metrów i biegło w dół pod kątem trzydziestu stopni. Dochodziło do wypalonych, szerniałych i pofałdowanych stalowych blach kadłuba. Okropny odór sprawiał, że Pitt miał trudności z oddychaniem. Potrząsając głową, major próbował odpędzić wstrętą woń. Odsuwając się o pół metra od strawionego ogniem metalu, dokonał nagłego odkrycia; tunel nie kończył się jeszcze, lecz zakręcał i biegnąc równolegle nad pokładem, prowadził do niesamowicie zdeformowanego włazu, znajdującego się trzy metry dalej. Pitt uzmysłowił sobie, jak wysoka musiała tu panować temperatura, żeby w dziele zniszczenia rozgrzać do białości stal.

Po spękanych krawędziach luku zsunął się w dół. Stojąc oświetlał promieniami latarki zniekształcone przez gorąco ściany. Nie był w stanie stwierdzić, do czego służyło to pomieszczenie. Piekielny pożar doszczętnie strawił każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Nagle Pitt poczuł strach przed nieznanym. Na kilka chwil zamarł w bezruchu, zmuszając umysł do zapanowania nad nie kontrolowanymi odczuciami. Następnie, stąpając po zgłiszczach, podszedł do drzwi bocznego korytarza i skierował w mrok snop światła.

Promienie przedarły się przez ciemność aż do schodów prowadzących na dolny pokład. Korytarz był pusty, tylko na podłodze leżał popiół ze zwęglonego dywanu. Panowała pełna grozy cisza. Żadnego zgrzytu blach poszycia, żadnego szmeru maszyn, żadnego szumu wody rozbijającej się o inkrustowane porostami dno; nie było słyhać nic poza przytłaczającym bezdźwiękiem próżni. Stojąc w drzwiach, Pitt zastanawiał się przez chwilę. Pierwsza pojawiła się myśl, lub raczej przeświadczenie, że coś straszego pokrzyżowało plany admirała Sandeckera. Tego, co tu się zdarzyło, nie brali pod uwagę nawet w najczarniejszych przewidywaniach.

Przez właz wsunął się Hunnewell i dołączył do majora. Przystanąwszy obok niego, wpatrywał się w poczerniałe ściany, odkształcony metal i stopione zawiasy, które kiedyś dźwigały drewniane drzwi. Przygnębiony, oparł się o ścianę i z zamkniętymi oczyma kiwał głową, tak jakby wpadł w trans.

- Nie znajdziemy tu absolutnie nic, co mogłoby się nam przydać. - Nic nie znajdziemy - powtórzył Pitt zdecydowanie. - To, czego nie strawił ogień, niewątpliwie

uprzętnęli nasi nieznanymi przyjaciele. - Aby podkreślić swe słowa, skierował na podłogę strumień światła, wskazując na nakładające się ślady stóp, prowadzące od luku i z powrotem. - Zobaczymy, o co im chodziło.

Kroczyli w popiele, idąc korytarzem do następnego pomieszczenia. Dawniej była to kabina radiooperatora. W rumowisku trudno było cokolwiek rozpoznać. Z koi i mebli zostały czarne szkielety opalonego drewna, szczątki zaś sprzętu radiowego stanowiły zastygłe kłębowisko stopionego metalu, ozdobione koralikami stwardniałej cyny. Obaj mężczyźni zdążyli się już przyzwyczaić do przytłaczającego odoru i niesamowitości zwęglonego wnętrza. Jednak w najmniejszym stopniu nie byli przygotowani na spotkanie z czymś równie odrażającym, jak to, z czym się teraz zetknęli.

- O, mój Boże - jęknął Hunnewell. Latarka wypadła mu z rąk i toczyła się po pokładzie, aż zatrzymała się na szczątkach fatalnie zdeformowanej głowy i oświetliła skremowaną żuchwę szczerzącą zęby w makabrycznym uśmiechu.

- Nie zazdroszczę mu takiej śmierci - szepnął Pitt.

Hunnewell nie zniósł okropnego widoku. Zataczając się poszedł w kąt kabiny, gdzie przez kilka minut nie mógł uporać się z nudnościami. Kiedy w końcu wrócił do Pitta, wyglądał tak, jakby przed chwilą został zdjęty z krzyża.

- Przepraszam - rzekł potulnie. - Nigdy dotąd nie widziałem spalonych zwłok. Nie miałem najmniejszego pojęcia, że mogą - tak wyglądać. Zresztą nigdy się nad tym nie zastanawiałem. To nie jest ładny widok, prawda?

- Nie ma nic takiego jak ładne zwłoki - powiedział Pitt. On również poczuł, że zbiera mu się na wymioty. - Jeżeli ta kupka popiołu na pokładzie jest zapowiedzią następnych wydarzeń, to powinniśmy znaleźć jeszcze czternaście takich samych.

Hunnewell z wykrzywioną twarzą schylił się po latarkę. Następnie, trzymając ją pod pachą, wyjął z kieszeni notes i przerzucił kilka stron.

- Tak, ma pan rację. Statek płynął z sześcioma ludźmi załogi i dziewięcioma pasażerami; w sumie piętnaście osób. - Grzebiąc się nieco, odszukał właściwą stronę. - Ten nieszczęśnik to musi być radiooperator... Svendborg, Gustav Svendborg.

- Musi albo i nie. Tylko jego dentysta jest w stanie stwierdzić to na pewno. - Pitt patrzył na szczątki, które należały kiedyś do żywej istoty, i zastanawiał się, jak do tego doszło. Czerwono pomarańczowa ściana piekielnego ognia; krótki, nieludzki krzyk; szaleństwo wywołane przez ból płonącego ciała oraz konwulsje kończyn zaproszonych do tańca śmierci. Pomyślał, że śmierć w płomieniach, poprzedzona nieopisanym cierpieniem w ostatnich sekundach życia, jest w odczuciu ludzi i zwierząt najbardziej przerażającą

formą zagłady.

Pitt ukląkł, chcąc dokładnie przyjrzeć się spalonemu ciału. Zmrużył oczy i zacisnął wargi. Wszystko odbyło się tak, jak sobie wyobraził, lecz z pewną różnicą. Skurczone przez potworne gorąco, zwłoki znajdowały się w pozycji płodowej z kolanami podciągniętymi do brody oraz rękami przyciśniętymi do boków tułowia. Skierował promień latarki na pokład za strawionym przez ogień ciałem, oświetlając skręcone stalowe nogi fotela radiooperatora, sterczące zza ludzkich szczątków.

- Co tak pana zainteresowało w tym okropieństwie? - zapytał blady jak ściana Hunnewell.

- Niech pan spojrzy - odparł Pitt. - Wygląda na to, że biedny Gustav umarł siedząc. Najwyraźniej spalony fotel rozpadł się pod nim.

Hunnewell nic nie powiedział, tylko pytająco spojrzął na majora.

- Nie wydaje się panu dziwne - kontynuował Pitt - że człowiek tak po prostu smaży się na śmierć i nawet nie fatyguje się wstać albo nie próbuje uciec?

- Nie ma w tym nic dziwnego - odrzekł Hunnewell z kamiennym wyrazem twarzy. - Prawdopodobnie płomienie ogarnęły go w momencie, gdy siedział przy nadajniku i wołał mayday. - Zaczął krztusić się w nawrocie mdłości. - Boże, nasze dywagacje i tak mu już nie pomogą. Wynośmy się stąd i przeszukajmy resztę statku, dopóki jeszcze jestem w stanie chodzić.

Pitt skinął głową, odwrócił się i wyszedł. Udali się do wnętrza wraka. Maszynownia, kambuz, salonik, wszystko, co zobaczyli, przedstawiało taki sam obraz śmierci jak kabina radiooperatora. Żołądek Hunnewella zobojętniał, jeszcze zanim w sterówce odkryli trzynaste i czternaste zwłoki. Naukowiec wiele razy korzystał z notesu, odnotowując na poszczególnych stronach kolejne zgony, aż między wygniecionymi okładkami zostało do przekreślenia cienką grafitową linią już tylko jedno nazwisko.

- To by było na tyle - powiedział, zamykając z trzaskiem notatnik. - Znaleźliśmy wszystkich z wyjątkiem człowieka, dla którego tu jesteśmy.

Pitt zapalił papierosa, po czym wypuścił kłęb niebieskiego dymu. Zdawał się nad czymś zastanawiać.

- Wszystkie ciała są tak dokładnie zwęglone, że jakakolwiek identyfikacja jest niemożliwa. Jedno z nich mogło należeć do niego.

- Ale nie należało - stwierdził z przekonaniem Hunnewell. Właściwe zwłoki nie byłyby trudne do zidentyfikowania, przynajmniej - dla mnie. - Przerwał na chwilę. - Wie pan, interesującą nas osobę znałem raczej dobrze.



Pitt ze zdziwieniem uniósł brwi. - Nic o tym nie wiedziałem.

- To żadna tajemnica. - Hunnewell chuchnął na szkła okularów i wytarł je chusteczką. - Człowiek, dla którego dopuściliśmy się tylu kręctw oraz ryzykowaliśmy życie, by go odnaleźć, a który najprawdopodobniej niestety nie żyje, sześć lat temu chodził na moje zajęcia w Instytucie Oceanografii. Wyjątkowo zdolny chłopak. Wskazał na szczątki dwóch spalonych ciał. - Szkoda, że skończył w ten sposób.

- Skąd ta pewność, że odróżniłby go pan od innych? - zapytał Pitt.

- Rozpoznałbym po sygnetach i obrączkach. Miał fioła na tym punkcie. Nosił je na wszystkich palcach z wyjątkiem kciuków.

- Pierścionki nie dają gwarancji prawidłowej identyfikacji.

- Pozostaje jeszcze brak palca u lewej stopy - rzekł Hunnewell z nikłym uśmiechem.

- Czy to wystarczy?

- Wystarczy - odparł zamyślony Pitt. - Nie znaleźliśmy jednak podobnych zwłok. A przeszukaliśmy już cały statek.

- Niezupełnie. - Hunnewell wyjął z notesu złożoną kartkę i w świetle latarki rozwinął ją. - To jest dokładny plan statku. Skopiowałem go z oryginału w archiwum morskim. - Wskazał na pomarszczony papier. - Niech pan spojrzy tutaj, na tył pomieszczenia nawigacyjnego. Tam jest wąska drabina schodząca do miejsca ukrytego pod fałszywym wentylatorem.

Pitt przestudiował pośpiesznie zrobiony szkic. Następnie odwrócił się i wyszedł.

- Wejście jest w porządku. Drabina jest cholernie popalona, ale te szczelby, które zostały, wytrzymają chyba nasz ciężar.

Usytuowane pośrodku kadłuba, odizolowane oraz pozbawione iluminatorów pomieszczenie było zrujnowane bardziej niż inne; stalowe blachy pokrywające ściany odstawały wygięte niczym postrzępiona tapeta. Wydawało się puste. Pożar nie zostawił najmniejszego śladu po umeblowaniu. Pitt klęczał, grzebiąc w popiele w poszukiwaniu ludzkich szczątków, gdy nagle usłyszał krzyk Hunnewella.

- Tutaj! - Naukowiec padł na kolana. - Tutaj, w rogu.

Skierował światło na niewyraźny kształt, trudno rozpoznawalną garść zwęglonych kości, które kiedyś składały się na szkielet żywego człowieka. Odróżnić dały się jedynie pozostałości żuchwy i miednicy. Hunnewell schylił się nisko i ostrożnie odgarnął szczątki. Gdy wstał, w rękę trzymał kilka małych kawałków zniszczonego metalu.

- Być może nie jest to stuprocentowy dowód. Lecz większej pewności nigdy mieć nie będziemy.

Pitt wziął metalowe bryłki, oświetlając je latarką.

- Doskonale pamiętam te pierścienie - powiedział Hunnewell. Piękna ręczna robota; osiem różnych, ślicznie oprawionych kamieni półszlachetnych znajdujących na Grenlandii. W każdym została wyrzeźbiona podobizna starożytnego boga nordyckiego.

- Robi wrażenie, choć trochę to pretensjonalne.

- Być może dla pana, dla obcego - rzekł cicho doktor. - Ale gdyby pan go znał... - Umilkł w pół zdania.

Pitt z zainteresowaniem przyjrzał się Hunnewellowi.

- Czy zawsze łączą pana ze studentami związki uczuciowe?

- Geniusz, łowca przygód, naukowiec, człowiek legenda, dziesiąty najbogatszy człowiek świata, zanim skończył dwadzieścia pięć lat. Miły i szlachetny, zupełnie nie zepsuty przez sławę i bogactwo. Tak, może pan powiedzieć, że przyjaźń z Kristjanem Fyrie była związkiem uczuciowym.

To dziwne - pomyślał Pitt. Odkąd wylecieli z Waszyngtonu, naukowiec po raz pierwszy wymienił nazwisko Fyrie. Wypowiedział je łagodnie i z pełnym podziwem. Pitt dobrze pamiętał, że takim samym tonem mówił o Islandczyku admirał Sandecker.

Stojąc nad żalonymi szczątkami jednej z najpotężniejszych postaci międzynarodowej finansjery, nie czuł grozy sytuacji. Gdy patrzył w dół, nie potrafił jakoś skojarzyć leżących u jego stóp prochów z żywą osobą, którą gazety uznawały za uosobienie przedsiębiorczego intelektualisty przemierzającego świat w odrzutowcu. Może gdyby poznał słynnego Kristjana Fyrie, obudziłoby się w nim podobne uczucie. Ale bardzo w to wątpił. Nie należał do osób, które łatwo wpadały w zachwyty. Kiedyś ojciec powiedział mu, że człowiek pozbawiony wspaniałej szaty chodzącej doskonałości staje się nagim, zawstydzonym i bezbronnym zwierzęciem.

Pitt jeszcze przez chwilę przyglądał się skręconym, metalowym kółkom, po czym oddał je Hunnewellowi. Zaraz potem do jego uszu, gdzieś z górnego pokładu, doszedł słaby dźwięk. Nieruchomy, bacznie nasłuchiwał, lecz dźwięk rozpląnął się w pokrywających wrak ciemnościach. Cisza, jaka zapanowała w zrujnowanej kabinie, była jednak dziwnie złowróżbna; można było odnieść wrażenie, że ktoś obserwuje każdy ich ruch, słucha każdego słowa. Pitt przygotował się do obrony, ale było już za późno. Oślepiło go ostre światło rozbłysłe na wierzchołku drabiny i iluminujące całe pomieszczenie.

- Rabujecie zmarłych, panowie? Na Boga, jestem całkowicie pewien, że wy dwaj jesteście zdolni do wszystkiego. - Twarz była schowana za źródłem światła, lecz głos niewątpliwie należał do kapitana Koskiego.



## ROZDZIAŁ 4

Pitt stał nieruchomy i milczący pośrodku spalonego pokładu.

Zdawało mu się, że stał tak cały wiek, gdy tymczasem jego umysł pracował nad rozwiązaniem zagadki nagłego pojawienia się Koskiego. Spodziewał się ewentualnego wkroczenia kapitana na scenę, ale z pewnością nie w ciągu najbliższych trzech godzin. Teraz było jasne, że zamiast czekać na wyznaczone spotkanie, Koski zmienił kurs i gdy tylko śmigłowiec zniknął mu z oczu, poszedł Catawabą całą naprzód na pozycję wykreśloną przez Hunnewella. Koski skierował snop światła na drabinę, odsłaniając za sobą twarz Dovera.

- Mamy wiele do omówienia. Majorze Pitt, doktorze Hunnewell, słucham panów.

Pitt zastanawiał się nad bardziej wyrafinowanym wstępem, ale rozmyślił się.

- Rusz dupę, Koski! Złaż tu! I żebyś czuł się bezpieczniej, weź ze sobą tę kupę mięsa, należąca do twojego zastępcy.

Upłynęła dokładnie minuta groźnej ciszy, nim Koski odpowiedział:

- Jest pan w sytuacji, która nie bardzo upoważnia do stawiania kategorycznych żądań.

- Czemu nie? Dla doktora Hunnewella i dla mnie to za duże ryzyko, żeby z założonymi rękami przyglądać się pańskiej zabawie w detektywa amatora. - Pitt zdawał sobie sprawę, że jest zbyt arogancki, lecz chciał koniecznie zyskać przewagę nad Koskim.

- Nie musi się pan wściekać, majorze. Uczciwe wyjaśnienie załatwi sprawę. Od chwili przybycia na mój statek cały czas pan kłamał. Novgorod, co pan powie?! Najbardziej zielonemu studentowi Akademii Straży Wybrzeża nawet przez myśl by nie przeszło sklasyfikowanie tej jednostki jako radzieckiego trawlera szpiegowskiego.

Gdzie anteny radarowe, gdzie supernowoczesny sprzęt, który opisał pan tak obrazowo? Wyparowały z całym wyposażeniem? Od początku nie kupowałem tego, co mówiliście razem z Hunnewellem, ale pana historyjka była przekonywająca i, ku memu zdumieniu, potwierdziło ją moje własne dowództwo. Prowadził pan brudną grę, majorze. Użył pan mojej załogi i mojego statku jak salonki z pełną obsługą. Trzeba to wyjaśnić. Nie wydaje mi się, że bym w tych okolicznościach prosił o zbyt wiele. Interesuje mnie jedynie odpowiedź na proste pytanie:

- O co tu chodzi, do jasnej cholery?

Pitt uznał, że Koski jest wybity z uderzenia. Kogucik w kapitańskiej czapce nie żądał, lecz prosił.

- Mimo wszystko musicie zejść na dół. Część odpowiedzi leży w tych popiołach.

Ruszyli po chwili wahania. Koski zszedł po drabinie, ciągnąc za sobą mamucią bryłę Dovera, a potem spojrzął na twarze Pitta i Hunnewella.

- Dobra, panowie. Zaczynamy.

- Obejrzał pan większą część wraka?

Koski przytaknął.

- Wystarczającą. Pływam już osiemnaście lat, ale nigdy nie widziałem tak usmażonego statku.

- Rozpoznaje pan go?

- To niemożliwe. Nic nie zostało, po czym można by zidentyfikować tę jednostkę. Był to motorowy jacht wycieczkowy. Tylko tyle jest pewne. Postawiłbym na to każde pieniądze.

- Koski zagadkowo spojrzął w oczy Pitta. - To raczej ja powinienem oczekiwać odpowiedzi. Do czego pan właściwie zmierza?

- Czy słyszał pan coś o Laksie?

Koski skinął głową.

- Ponad rok temu Lax zaginął z całą załogą i właścicielem, islandzkim magnatem przemysłu wydobywczego... - Przerwał, by sobie coś przypomnieć. - Fyrie, Kristjan Fyrie. Chryste, przez kilka miesięcy szukało go pół Straży Wybrzeża, ale bez powodzenia. No więc, co jest z tym Laxem?

- Stoi pan na nim - wolno rzekł Pitt, pozwalając, by słowa wywarły odpowiednie wrażenie. Skierował na pokład światło latarki. - A te spopieliałe szczątki to wszystko, co zostało z Kristjana Fyrie.

Kapitan szeroko otworzył oczy, jego twarz stała się trupio blada.

Zrobił krok do przodu, wpatrując się na dół w materię oświetloną żółtym kręgiem

- Mój Boże, jest pan pewien?

- Identyfikacja po kremacji jest przedsięwzięciem więcej niż ryzykownym, ale doktor Hunnewell za sprawą osobistych drobiazgów Fyrie jest jej w dziewięćdziesięciu procentach pewien.

- Tak, pierścionki. Słyszałem o nich.

- To być może nie jest dużo, ale o wiele więcej, niż mogliśmy znaleźć przy innych ciałach.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział zdumiony Koski. - To niemożliwe. Statek tej wielkości nie mógł bez śladu zniknąć na prawie rok, aby potem znienacka pojawić się jako doszczętnie spalony wrak uwieczony w środku góry lodowej.

- Wydaje się jednak, że mógł - odezwał się Hunnewell.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze - rzekł Koski, patrząc Hunnewellowi prosto w oczy. - Od razu przyznaję, że nie mogę się z panem równać pod względem naukowej znajomości formacji lodowych. Jednakże włóczyłem się po północnym Atlantyku wystarczająco długo, aby wiedzieć, że prądy mogą znieść górę lodową z pierwotnego kursu, że może ona krążyć lub błąkać się u wybrzeży Nowej Fundlandii nawet przez trzy lata, co dla Laxa było okresem aż nadto wystarczającym, żeby jakimś cudem mógł na nią trafić i dać się uwięzić. Ale proszę mi nie brać za złe, jeśli powiem, że teorią nie da się wstrzymać biegu rzeki.

- Ma pan rację, kapitanie - powiedział Hunnewell. - Szanse na podobne zdarzenie są wyjątkowo znikome, niemniej jednak jest ono prawdopodobne. Dobrze pan wie, że strawiony pożarem statek stygnie przez wiele dni. Jeżeli prąd morski lub wiatr popchną kadłub na górę i ich napór nie ustanie, wystarczy zaledwie czterdzieści osiem godzin, a nawet mniej, żeby cały statek uwiązał pod powłoką lodową. Symulację tej sytuacji może pan przeprowadzić, wsadzając rozgrzany do czerwoności pogrzebacz w bryłę lodu. Pogrzebacz dopóty będzie ją topił, dopóki nie ostygnie. Następnie rozmrożony lód ponownie zamarza i szczelnie pokrywa obiekt.

- W porządku, doktorze, w tej rozgrywce punkt dla pana. Pozostaje jednak jeszcze jeden ważny fakt, którego nikt nie wziął pod uwagę.

- To znaczy? - zapytał z naciskiem Pitt.

- Ostatni kurs Laxa - powiedział Koski rzeczowo.

- To nie jest tajemnica - stwierdził major. - Informowały o tym wszystkie gazety. Rankiem dziesiątego kwietnia ubiegłego roku Fyrie wraz z załogą i pasażerami opuścił Reykjavik, kierując się do Nowego Jorku. Ostatni raz był widziany przez tankowiec Standard Oil sześćset mil od przylądka Farewell na Grenlandii. Później po Laksie wszelki śluch zaginął.

- Do tej pory wszystko się zgadza. - Koski osłonił uszy kołnierzem kurtki i próbował uspokoić szcękające z zimna zęby. Z wyjątkiem tego, że wspomniany kontakt wzrokowy nastąpił w pobliżu pięćdziesiątego równoleżnika, czyli o wiele dalej na południu niż granica występowania gór lodowych.

- Chciałbym panu przypomnieć, kapitanie - rzekł Hunnewell, nieśmiało unosząc brwi - że pańska macierzysta Straż Wybrzeża w ciągu jednego roku odnotowała nie mniej niż tysiąc pięćset gór lodowych poniżej czterdziestego piątego równoleżnika.

- Ja z kolei chciałbym panu przypomnieć, doktorze - upierał się Koski - że w interesującym nas roku liczba gór lodowych poniżej czterdziestego ósmego równoleżnika

wyniosła zero.

Hunnewell wzruszył tylko ramionami.

- Byłoby bardzo wskazane, doktorze, gdyby wyjaśnił pan, dlaczego góra pojawiła się w miejscu, w którym nigdy jej nie było. A później z uwięzionym w swym wnętrzu Laxem w ciągu jedenastu i pół miesiąca przesunęła się, ignorując przeciwne prądy, o cztery stopnie na północ, gdy tymczasem wszystkie inne góry lodowe na Atlantyku dryfowały na południe z prędkością trzech węzłów.

- Nie potrafię - otwarcie przyznał naukowiec.

- Pan nie potrafi? - zapytał Koski z wyraźnym niedowierzaniem. Spojrzał na Hunnewella, następnie na Pitta i znów na Hunnewella. - Wy cholerne skurwiele! - warknął. - Tylko nie próbujcie mnie jeszcze raz wykiwać!

- Posługuje się pan dość niewybrednym słownictwem, kapitanie - rzekł ostro Pitt.

- A czego innego, do diabła, pan się spodziewa? Obaj jesteście wybitnie inteligentnymi ludźmi, a zachowujecie się tak, jakbyście cierpieli na mongolizm. Na przykład doktor Hunnewell; światowej sławy uczony, a nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego góra lodowa może płynąć na północ pod Prąd Labradorowski. Jest więc pan albo fałszywym doktorem, doktorze, albo najgłupszym profesorem na liście profesorów.

Oczywistą prawdą jest, że lodowy kolos nie może dryfować pod prąd, tak jak lodowiec nie może posuwać się pod górę.

- Nikt nie jest doskonały - oznajmił Hunnewell, bezradnie wzruszając ramionami.

- Żadnej uprzejmości, żadnej uczciwej odpowiedzi. Czy o to wam chodzi?

- To nie jest kwestia uczciwości - powiedział Pitt. - Tak samo jak pan wykonujemy rozkazy. Jeszcze godzinę temu Hunnewell i ja działaliśmy zgodnie z precyzyjnym planem. Teraz cały plan nadaje się do wyrzucenia przez okno.

- Ha, ha, ha. Jaki będzie następny ruch w tej zagadkowej grze?

- Problem w tym, że nie potrafimy wszystkiego wyjaśnić. Na dobrą sprawę wiemy diabelnie mało. Powiem panu, co wiemy. Potem sam pan będzie musiał wyciągnąć z tego wnioski.

- Mogliśmy się wcześniej dogadać.

- Niekoniecznie. Jako kapitan statku dysponuje pan pełnią władzy. Ma pan absolutne prawo odmówić wykonania rozkazu komendanta lub wydać zgoła przeciwny, jeśli uzna pan, iż tamten może zagrażać załodze oraz statkowi. Nie mogłem więc ryzykować. Musieliśmy otoczyć pana zasłoną dymną, żeby chciał pan z nami współpracować. Poza tym mieliśmy nikomu nie ufać. Nie zamierzam dłużej

podporządkowywać się temu rozkazowi.

- Kolejna zasłona dymna?

- Może i tak - powiedział Pitt ze śmiechem. - Tylko po co? Hunnewell i ja nie mamy już nic do stracenia. Umywamy ręce od tego bałaganu i lecimy na Islandię.

- Wszystko zwalacie na mnie?

- Dlaczego by nie? Opuszczone, dryfujące wraki to pana podwórko. Niech pan przypomni sobie waszą dewizę. Semper paratus zawsze gotowy - członek Straży Wybrzeża jest zawsze gotowy do niesienia ratunku, no i tak dalej.

Koski w niepowtarzalny sposób wykrzywił twarz.

- Wolałbym, żeby pan darował sobie tandetne uwagi, a skoncentrował się na faktach.

- Bardzo proszę - rzekł łagodnie Pitt. - Legenda przedstawiona na Catawabie była prawdziwa do momentu, w którym Laxa zastąpiłem Novgorodem. Oczywiście jacht Fyriego nie miał tajnego sprzętu elektronicznego ani innego wyrafinowanego wyposażenia szpiegowskiego. Wiózł natomiast ośmiu wybitnych inżynierów i naukowców z przedsiębiorstwa Fyrie Mining Limited, udających się do Nowego Jorku na rozpoczęcie tajnych rozmów z dwoma najpoważniejszymi dostawcami sprzętu wojskowego naszym siłom zbrojnym. Gdzieś na statku, prawdopodobnie w tym pomieszczeniu, znajdował się pakiet dokumentów zawierający wyniki badań dna morskiego. Pozostanie tajemnicą, co zespół Fyriego znalazł pod wodą. Bardzo wielu ludzi było zainteresowanych tymi informacjami, więc naszemu rządowi ogromnie zależało, by mieć je w swoich rękach. Podobnie zresztą jak Rosjanom, którzy imali się wszelkich sposobów, by je przechwyć.

- Ostatnie zdanie wiele wyjaśnia - rzekł Koski. - To znaczy?

Koski wymienił z Doverem porozumiewawcze spojrzenia.

- Byliśmy jednym ze statków poszukujących Laxa; był to pierwszy rejs patrolowy Catawaby. Gdziekolwiek spojrzeliśmy, wszędzie napotykaliliśmy kilwatery rosyjskich jednostek. Byliśmy jednak zbyt zadufani w sobie, uważaliśmy bowiem, że obserwują nasz system prowadzenia poszukiwań. Teraz okazało się, że oni również tropili Laxa.

- To jest także powód naszego wejścia wam w paradę - dodał Dover. - Dziesięć minut po waszym odlocie z dowództwa Straży Wybrzeża otrzymaliśmy ostrzeżenie przed rosyjskim okrętem podwodnym, patrolującym rejon zgrupowania gór lodowych. Próbowaliśmy, lecz nie zdołaliśmy połączyć się z wami.

- Teraz wszystko jest jasne - przerwał mu Pitt. - W czasie naszego lotu do wraka cisza radiowa miała kluczowe znaczenie. Na wszelki wypadek wyłączyłem radio. Nie



możliśmy niczego nadawać ani odbierać.

-- Gdy kapitan Koski powiadomił dowództwo o niemożności skontaktowania się z waszym śmigłowcem - kontynuował Dover dostaliśmy wyraźny rozkaz pójścia za wami jako eskorta na wypadek, gdyby Iwan stał się zbyt nerwowy.

- Jak nas znaleźliście? - zapytał Pitt.

- Nie minęliśmy nawet dwóch gór, gdy spostrzegliśmy żółty helikopter. Wyglądał niczym kanarek w pościeli.

Pitt z Hunnewellem popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. - Co was tak rozśmieszyło? - spytał zaciekawiony Koski.

- Szczęście i najzwyczajniejszy w świecie przypadek - rzekł Pitt z rozbawionym obliczem.

- Przez trzy godziny lataliśmy jak kot z pęcherzem, zanim trafiliśmy na ten lodowy pałac na wodzie, a wy znaleźliście go w pięć minut po rozpoczęciu poszukiwań.

Następnie Pitt opowiedział w kilku zdaniach o górze przynęcie i spotkaniu z rosyjskim okrętem podwodnym.

- Mój Boże - mruknął Koski. - Twierdzi pan, że nie my pierwsi postawiliśmy stopę na tej górze?

- Dowody na to są oczywiste - odparł Pitt. - Farba zrzucona przez patrol lotniczy została usunięta. Ponadto Hunnewell i ja znaleźliśmy ślady stóp w prawie wszystkich kabinach na tym statku. Wyjaśniliśmy tajemnicę, lecz niestety poprzez makabryczne odkrycie. - Ma pan na myśli pożar?

- Tak.

- Niewątpliwie przypadek. Pożary wybuchają na statkach od czasów pierwszej dłubanki pływającej na Nilu parę tysięcy lat temu.

- Morderstwo ma jeszcze wcześniejszy rodowód.

- Morderstwo - bezwiednie powtórzył Koski. - Powiedział pan morderstwo?

- Przez duże M.

- Z wyjątkiem rozmiaru zniszczeń nie dostrzegłem niczego innego niż to, co służąc w Straży Wybrzeża już widziałem przynajmniej na ośmiu innych spalonych statkach, czyli zwłoki, smród, spaleniznę i zgliszcza. Co, według szacownej opinii oficera lotnictwa, jest tu innego?

Pitt zignorował uszczypliwą uwagę Koskiego.

- To wszystko jest zbyt doskonałe. Radiooperator w kabinie łączności, dwóch mechaników w maszynowni, kapitan z marynarzem na mostku, pasażerowie w swoich kabinach lub saloniku, nawet kuk w kambuzie, każdy znajdował się dokładnie na swoim

miejscu. Niech pan powie, kapitanie, pan przecież jest ekspertem. Jaki to pożar, do diabła, mógł przejść przez cały statek, by spalić wszystko na popiół, nie wyłączając ludzi, którzy w obronie swego życia nie kiwnęli nawet palcem?

Zamyślony Koski pocierał ucho.

- Na korytarzach nie ma rozciągniętych węży pożarowych. Najwyraźniej nikt nie próbował ratować statku.

- Najmniejsza odległość, jaka oddziela zwłoki od gaśnicy, wynosi sześć metrów. Członkowie załogi postąpili wbrew ludzkiej naturze, decydując się w ostatniej chwili na szybki powrót i śmierć na swoich stanowiskach. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie takiego kucharza okrętowego, który zamiast ratować życie, woli zginąć w kambuzie.

- To niczego nie dowodzi. W panice można...

- Co pana wreszcie przekona, kapitanie? Może uderzenie pałą w łeb? Niech pan wytłumaczy zachowanie radiooperatora. Zginął przy nadajniku, a przecież doskonale wiadomo, że żaden statek na północnym Atlantyku nie odebrał w tym czasie sygnału SOS. Wydaje się trochę dziwne, że nie był w stanie nadać trzech, czterech słów z prośbą o pomoc.

- Niech pan mówi dalej - powiedział Koski cicho. Jego błyszczące oczy patrzyły z zainteresowaniem.

Pitt zapalił papierosa i wypuścił w mroźne powietrze obłok błękitnego dymu. Wyglądało, jakby przez chwilę się zastanawiał.

- Porozmawiajmy o stanie wraka. Powiedział pan, kapitanie, że nigdy nie widział tak strasznie spalonego statku jak ten. Ale dlaczego jest tak bardzo wypalony? Nie przewoził przecież materiałów wybuchowych ani innego łatwo palnego ładunku. Możemy zbadać zbiorniki paliwa; zgoda, płonąca ropa mogła spowodować ogromne zniszczenia, ale nie na drugim końcu statku. Dlaczego każdy centymetr kwadratowy miałby palić się z taką samą intensywnością? Kadłub i poszycie są ze stali. Poza węzami pożarniczymi i gaśnicami Lax był wyposażony w system spryskiwaczy. - Przerwał, wskazując na dwa zniekształcone urządzenia na suficie. - Pożar na statku przeważnie zaczyna się w jednym miejscu, w maszynowni, ładowniach lub w magazynie. Dopiero później rozprzestrzenia się z pomieszczenia do pomieszczenia; mijają godziny, czasem nawet dni, zanim ogień strawi cały statek. Zakładam się o jakąkolwiek wymienioną przez pana sumę, że każdy dokonujący oględzin strażak popuka się w głowę i natychmiast skreśli pana orzeczenie stwierdzające, iż katastrofę spowodował gwałtowny pożar, który w kilka minut doszczętnie strawił cały statek. W raporcie napisze natomiast, że przyczyny wybuchu ognia nie są mu

znane, nieznani są również sprawcy.

- A według pana, co spowodowało ten pożar?

- Miotacz płomieni.

Na chwilę zapadła przeraźliwa cisza.

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan mówi?

- Jeszcze jak, do cholery - odpowiedział Pitt. - Doskonale zdaję sobie sprawę ze spalających wszystko na popiół gwałtownych płomieni, przerażającego świstu dysz rozpylaczy i okropnego dymu z ciał żywcem smażonych. Czy się to panu podoba, czy nie, jedyną logiczną przyczyną jest miotacz płomieni.

Wszyscy słuchali z zainteresowaniem i trwogą. Hunnewell wydał ~t gardła odgłos, tak jakby znów ogarnęły go mdłości.

- To nie mieści się w głowie, to barbarzyństwo - zamruczał Koski.

- Cała intryga nie mieści się w głowie - przyznał Pitt.

Hunnewell spoglądał na Pitta z beznamiętnym wyrazem twarzy. - Nie mogę uwierzyć, że wszyscy stali jak barany, potulnie zamieniając się w żywe pochodnie.

- Nie rozumie pan? - spytał Pitt. - Nasz diabelski przyjaciel jakimś sposobem znarkotyzował albo otrul pasażerów i załogę. Prawdopodobnie dodał do posiłku lub napojów olbrzymią dawkę wodnika chloralu.

- Wszyscy mogli zostać zastrzeleni - wtrącił Dover.

Pitt zaprzeczył ruchem głowy.

- Zbadałem szczątki kilku zwłok. Nie było śladów kul, kości nie były strzaskane.

- Jeżeli odczekał, aż trucizna zacznie działać - choć wolę myśleć, że umarli od razu - rozmieścił ich po całym statku, a potem z miotaczem ognia chodził od pomieszczenia do pomieszczenia...

Koski nie dokończył myśli.

- Ale co później? Dokąd morderca się stąd wyniósł?

- Zanim odpowie pan na to pytanie - powiedział zaszepiony Hunnewell - przede wszystkim niech mi ktoś łaskawie wyjaśni, jakim cudem morderca się tu dostał. Jasne, że nie był jednym z pasażerów ani nie należał do załogi. Lax płynął z piętnastoma ludźmi i z piętnastoma ludźmi spłonął. Logika wskazuje, że była to robota grupy abordażowej z innego statku.

- To by się nie udało - stwierdził Koski. - Podejście burta w burtę dwóch jednostek wymaga kontaktu radiowego. Nawet jeśli Lax przyjął fałszywych rozbitków, jego kapitan natychmiast by o tym zameldował.

Nagle Koski uśmiechnął się.

- O ile sobie przypominam, ostatnia wiadomość od Fyriego zawierała prośbę o rezerwację apartamentu na najwyższym piętrze hotelu Statler-Hilton w Nowym Jorku.

- Biedny skurczybyk - powiedział wolno Dover. - Jeżeli pieniądze i sukces prowadzą do takiego końca, to po co one komu? Jeszcze raz popatrzył na pokład i szybko odwrócił się. - Boże, co za maniak mógł za jednym zamachem zamordować piętnaście istot ludzkich? Metodycznie otruć piętnastu ludzi, a potem spokojnie ich spalić miotaczem płomieni?

- Ten sam maniak, który dla pieniędzy z odszkodowania wysadza pasażerski odrzutowiec - odparł Pitt. - Ten sam, który potrafi zabić człowieka z takim poczuciem winy, z jakim pan rozgniała karalucha. W tym wypadku oczywistym motywem była chęć zysku. Fyrie i jego ludzie dokonali niezwykle cennego odkrycia. Interesowały się nim Stany Zjednoczone, interesowała się nim Rosja, a ono tymczasem odleciało w siną dal.

- Czy warte było tego wszystkiego? - zapytał Hunnewell ze smutkiem w oczach.

- Było, dla szesnastego człowieka. - Pitt wpatrywał się w leżące na pokładzie, budzące grozę szczątki. - Dla nieznanego anioła śmierci.

## ROZDZIAŁ 5

Islandia - kraina mrozu i ognia, postrzępionych lodowców i dymiących wulkanów, rozkołysanej zieleni tundry i łagodnego błękitu jezior wylegujących się w pozłocie promieni nocnego słońca, samotna pryzma ukrytego w lawie bogactwa. Otoczona Oceanem Atlantyckim, oblewana na południu przez ciepłe wody Gólfströmu, a na północy przez lodowate morze polarne, Islandia leży w środkowym punkcie odcinka łączącego Nowy Jork z Moskwą. Dziwna wyspa o zmiennej jak w kalejdoskopie scenerii i znacznie cieplejsza, niż sugerowałaby nazwa Kraj Lodu; średnia temperatura zimnego stycznia rzadko kiedy różni się od tej, która występuje na wybrzeżach Nowej Anglii w Stanach Zjednoczonych. Komuś, kto widzi ją pierwszy raz, Islandia wydaje się niesamowicie piękna.

Pitt patrzył na spowite w śniegu, ostre szczyty rosnącej na horyzoncie wyspy i błyszczącą pod Ulyssesem wodę, której barwy zmieniały się od granatu otwartego oceanu do ciemnej zieleni przybrzeżnych fal. Przystawił stery; śmigłowiec poszedł ostro w dół skręcając o dziewięćdziesiąt stopni wszedł na kurs równoległy do obrysu wulkanicznych brzegów wysoko sterczących z morza. Przelecieli nad wtuloną w półokrągłą zatokę maleńką wsią rybacką z szachownicą dachów we wszystkich odcieniach czerwieni i pastelowej zieleni, osamotnionym przyczółkiem na skraju kręgu polarnego.

- Która godzina? - zapytał Hunnewell, przebudziwszy się ze snu.

- Dziesięć po czwartej - odparł Pitt.

- Boże, sądząc po słońcu można by pomyśleć, że jest szesnasta. Hunnewell głośno ziewnął i bezskutecznie próbował przeciągnąć się w ciasnej kabinie. - W tej chwili dałbym sobie uciąć prawą rękę za Ben w normalnym łóżku szeleszczącym świeżą, białą pościelą.

- Niech pan włoży zapalki pod powieki, to już nie potrwa długo.

- Jak daleko do Reykjavíku?

- Jeszcze pół godziny lotu. - Pitt na chwilę przerwał rozmowę, aby skontrolować przyrządy. - Mógłbym polecieć krótszą trasą na północ, ale chciałem popatrzeć na pięknie ukształtowane brzegi.

- Od startu z Catawaby minęło sześć godzin czterdzieści pięć minut. Niezły czas.

- Jeżeli nie bylibyśmy obciążeni dodatkowym zbiornikiem paliwa, to prawdopodobnie zrobiłbym to jeszcze szybciej.

- Gdyby nie ten zbiornik, prawdopodobnie bylibyśmy nieco z tyłu, mając do brzegu jakieś czterysta mil pływania wpraw.

Pitt roześmiał się.

- Zawsze przecież mogliśmy nadać mayday do Straży Wybrzeża. - Sądząc z nastroju,

w jakim znajdował się kapitan Koski, kiedy odlatywaliśmy, bardzo wątpię, czy ruszyliby nam na pomoc, nawet gdybyśmy tonęli w wannie, a on trzymał rękę na korku.

- Bez względu na to, co on o mnie myśli, zawsze głosowałbym na niego, za każdym razem, kiedy pretendowałby do stopnia admirała. Według mnie on jest cholernie dobry.

- W zabawny sposób wyraża pan swój podziw - powiedział cierpko Hunnewell. - Poza sprytnie wydedukowanym miotaczem płomieni, za co chylę przed panem czoło, nie powiedział mu pan absolutnie nic więcej.

- Powiedzieliśmy mu prawdę. Reszta to tylko zgadywanki, pewne zaledwie w pięćdziesięciu procentach. Jedyne fakty, który przed nim zatailiśmy, to nazwa tego, co odkrył Fyrie.

- Cyrkon. - Oczy Hunnewella patrzyły w dal. - Liczba atomowa: czterdzieści.

- Nie bardzo uważałem na zajęcia z geologii - powiedział z uśmiechem Pitt. - Dlaczego cyrkon? Czy jest wart aż ludobójstwa? - Czysty cyrkon jest niezbędny do budowy reaktorów nuklearnych, ponieważ pochłania wyjątkowo małą dawkę promieniowania lub wręcz wcale go nie absorbuje. Każdy kraj, dysponujący instalacjami atomowymi, dałby bardzo wiele za wagon cyrkonu. Admirał Sandecker jest pewien, że jeżeli Fyrie i jego naukowcy rzeczywiście trafili na bonanzę cyrkonu, to znajduje się ona wystarczająco blisko powierzchni morza, aby jej eksploatacja była ekonomicznie opłacalna.

Pitt odwrócił się i spojrzał przez przejrzystą bańkę kabiny na ultramarynowy, ciemny błękit, sięgający dalekiego południa. Łódź rybacka, otoczona płaskodennymi czółnami, wypłynęła na morze. Łupiny posuwały się delikatnie, tak jakby ślizgały się po opalizującym lustrze. Widział je nie widzącymi oczyma, oddając wyobraźnię we władanie egzotycznego żywiołu, który poniżej był już tylko zimnym oceanem.

- Cholernie trudne przedsięwzięcie - mruknął, jednakże wystarczająco głośno, aby być słyszonym przy jednostajnym warkocie silnika. - Wydobywanie rudy z dna morza stwarza masę problemów.

- Tak, ale można je przewyciężyć. Eksperci Fyrie Limited należą do ścisłej światowej czołówki w dziedzinie eksploatacji dna morskiego. W ten sposób Kristjan Fyrie zbudował swoje imperium. Wie pan, wydobywał diamenty u wybrzeży Afryki. - Hunnewell mówił z podziwem w głosie. - Miał zaledwie osiemnaście lat i był majtkiem na greckim frachtowcu, gdy zszedł ze statku w Beirze, malutkim porcie na wybrzeżu Mozambiku. Bardzo szybko opanowała go gorączka diamentowa. W tamtym czasie był na nie szalony popyt, jednak wielkie syndykaty wyeksploatowały już swoje najlepsze złoża. Wówczas okazało się, jak bardzo Fyrie przewyższał innych. Miał niesamowicie przenikliwy i twórczy

umysł. Doszedł do wniosku, że jeśli pokłady można znaleźć na lądzie, nie dalej niż trzy kilometry od brzegu morza, W daczego by ich nie poszukać pod wodą, na dnie szelfu kontynentalnego. Przez pięć miesięcy codziennie nurkował w ciepłych wodach oceanu Indyjskiego, aż znalazł odcinek dna, który wyglądał obiecująco.

Pojawił się jednak problem, skąd wykombinować sprzęt do wierceń podwodnych. Fyrie bowiem wylądował w Afryce w jednej koszuli na grzbiecie. Prosić o pieniądze miejscową białą finansjerę byłoby stratą czasu. Ci ludzie położyliby łapę na wszystkim, a jego puścili z torbami.

- Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu - wtrącił intencjonalnie Pitt.

- Nie dla Kristjana Fyrie. - Hunnewell bronił pupila. - On uznawał zasadę prawdziwego Islandczyka: dziel się zyskiem, lecz nigdy go nie rozdawaj. Zwrócił się do czarnych mieszkańców Mozambiku i namówił ich na zorganizowanie własnego syndykatu, którego prezesem i naczelnym dyrektorem byłby naturalnie Kristjan Fyrie. Zanim czarni Mozambijczycy zgromadzili fundusze na barcę i sprzęt wiertniczy, Fyrie pracował dwadzieścia godzin na dobę, aż wszystko zafunkcjonowało niczym komputery w koncernie IBM. Pięć miesięcy nurkowania opłaciło się; niemal natychmiast odwierty przyniosły efekty w postaci diamentów najwyższej próby. W ciągu dwóch lat Fyrie był wart czterdzieści milionów dolarów.

Pitt spostrzegł na niebie czarny punkcik, znajdujący się na wysokości o kilkaset metrów przewyższającej pułap Ulyssesa.

- Zdaje się, że dokładnie przestudiował pan życiorys Fyriego.

- Wiem, że to może się wydawać dziwne - opowiadał dalej Hunnewell - ale Fyrie rzadko zajmował się tym samym przedsięwzięciem dłużej niż dwa lata. Większość korzystałaby ze złoża aż do pełnego wyeksploatowania. Ale nie Kristjan. Po zrobieniu fortuny, przekraczającej jego najsmielsze marzenia, oddał cały interes w ręce ludzi, którzy go sfinansowali.

- Tak po prostu wszystko oddał?

- Wszyściuteńko. Wszystkie akcje, co do jednej, rozprowadził między tamtejszych udziałowców, stworzył czarną administrację, będącą w stanie efektywnie prowadzić przedsiębiorstwo bez niego, i wsiadł na pierwszy statek płynący do Islandii. Pośród niewielu białych, których Afrykanie obdarzyli szacunkiem i zaufaniem, osoba Kristjana Fyrie jest najważniejsza.

Pitt obserwował, jak ciemny punkt na północnej stronie nieba zmienił się w lśniący samolot odrzutowy. Pochylił się do przodu, mrużąc oczy przed jaskrawoniebieskim

blaskiem. Przybysz był jednym z nowych modeli odrzutowców budowanych przez Brytyjczyków dla elity biznesu; szybki, niezawodny, zdolny bez lądowania w kilka godzin przewieźć dwunastu pasażerów na drugi kontynent. Pitt nie miał czasu zauważyć, że nieznany, lecący z przeciwka samolot od ogona po dziób był hebanowoczarny, nagle bowiem przybysz zniknął z pola widzenia.

- Co Fyrie zrobił na bis? - zapytał.

- Wydobywał magnez w pobliżu wyspy Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej oraz ropę naftową ze złoża u brzegów Peru, żeby wymienić tylko dwa przedsięwzięcia. Z nikim nie wchodził w spółki, nie brał kredytów. Rozbudował na wielką skalę Fyrie Limited, specjalizując się wyłącznie w eksploatacji podwodnych pokładów geologicznych. - Miał rodzinę?

- Nie, jego rodzice zginęli w pożarze, gdy był bardzo mały. Miał jedynie bliźniaczą siostrę. Byli podobni jak dwie krople wody. Wiem o niej niewiele. Fyrie przepchnął ją przez szkoły w Szwajcarii, a potem, jak głosi plotka, została misjonarką gdzieś na Nowej Gwinei. Najwyraźniej fortuna jej brata nic dla niej nie...

Hunnewell nigdy nie dokończył zdania. Podskoczył w bok i odwrócił się do Pitta. Miał zamglone oczy. Ze zdziwienia otworzył usta, ale słowa nie padły. Pitt zdążył tylko spostrzec, że słynny naukowiec osunął się do przodu w momencie, gdy pleksiglasowa osłona kabiny roztrzaskała się na tysiąc kawałeczków. Hunnewell jednak już tego ani nie słyszał, ani nie widział. Zemdlał.

Przechylając się na bok i osłaniając ramieniem twarz przed nawalą zimnego powietrza, Pitt momentalnie stracił panowanie nad śmigłowcem. Wskutek gwałtownie zmienionych parametrów aerodynamicznych ulysses raptownie podniósł dziób, lecąc niemal pionowo. Pitt i nieprzytomny Hunnewell zostali błyskawicznie wtłoczeni w oparcia foteli. Dopiero wtedy major usłyszał odgłos pocisków z karabinu maszynowego, trafiających w kadłub za siedzeniami. Nagły, nie kontrolowany zwrot na chwilę ocalił im życie; zaskoczony strzelec z czarnego odrzutowca nie zdążył skorygować toru strzału, kierując ogień w pustą przestrzeń.

Znacznie przewyższając helikopter prędkością, tajemniczy odrzutowiec musiał krążyć; odleciał, by zakręcić o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie zaatakować. Skurwiele musiały zrobić ostry nawrót, żeby uderzyć w nas od tyłu - szybko myślał Pitt, jednocześnie starając się wyrównać lot śmigłowca, co przy wylupiającym oczy strumieniu powietrza o prędkości trzystu kilometrów na godzinę było zadaniem prawie niewykonalnym. Zmniejszył obroty silnika, usiłując zredukować siłę, jaka przygważdżała go do fotela.



Czarny odrzutowiec zdążył już zawrócić, lecz tym razem Pitt był gotowy na spotkanie. Raptownie zatrzymał ulyssesa; zgarniające powietrze łopaty wirnika zaczęły unosić helikopter pionowo w górę. Fortel się udał. Znajdujący się niżej odrzutowiec zaryczał silnikami, a pilot nie mógł naprowadzić karabinu maszynowego na cel. Major dwukrotnie wymanewrował napastnika, ale pozostawało tylko kwestią czasu to, by przeciwnik przyzwyczał się do jego gwałtownie wyczerpującego się repertuaru sztuczek.

Pitt nie ludził się. Nie miał szans na ucieczkę; to była walka z wiatrakami. Z błyskiem w oku obniżył pułap, schodząc na niecałe sześć metrów nad wodę. Na zwycięstwo nie ma nadziei - pomyślał lecz pozostaje cię szansa na remis. Obserwował manewry czarnego jak atrament odrzutowca, przyjmującego korzystną pozycję do rozstrzygającego podejścia. Czekał już tylko na wściekły klangor ubranych w stalowe koszulki pocisków, rozszarpujących cienką, aluminiową skórę ulyssesa. Pitt ustabilizował mały bezbronny helikopter, który zawisł w powietrzu w chwili, gdy odrzutowiec, niczym betonowy ptak, zanurkował prosto na niego.

Strzelec, który z otwartych drzwi bagażowych celował i prowadził ogień, tym razem rozgrywał całą rzecz na zimno. Wywalił długą serię w dół i czekał, aż ich zmieniająca się wraz z ruchem samolotu trajektoria pokryje się z pozycją śmigłowca. Od śmiertelnej ściany ognia zaporowego dzieliło helikopter już tylko trzydzieści metrów. Pitt przygotował się do zderzenia, szarpnął ulyssesa w górę, prosto na atakujący samolot, tnąc rozedrganymi płatami wirnika stabilizator poziomu odrzutowca. Odruchowo wyłączył zapłon turbiny, lecz rotor ciągle obracał się w szalonym tempie przy wtórze strasznego zgrzytu konającego metalu. Po chwili hałas ucichł i na niebie zapadła cisza. Jedyne wiatr szumiał w uszach Pitta.

Major zdołał jeszcze rzucić okiem na nieznanego samolot, zanim odrzutowiec, z ogonem zwisającym niczym złamane ramię, runął dziobem w wodę. Pitt i nieprzytomny Hunnewell nie byli w lepszej sytuacji. Oni również mogli tylko czekać, aż okaleczony śmigłowiec jak kamień wpadnie do zimnego Atlantyku z wysokości dwudziestu metrów. Upadek okazał się o wiele gorszy w skutkach, niż Pitt przypuszczał. Ulysses spadł na bok w wodę o głębokości około dwóch metrów. Od brzegu Islandii dzieliła go zaledwie długość boiska piłkarskiego. Przechylona na ramię głowa Pitta wystawała przez ramę drzwi, niknąc w ruchomym mroku. Na szczęście szok wywołany lodowatą wodą wstrząsnął majorem i przywrócił go do stanu ograniczonej świadomości. Targany dotkliwymi mdłościami wiedział, że jest o krok od powiedzenia: do diabła z tym wszystkim i udania się na spoczynek, tym razem wieczny.

Z wykrzywioną przez ból twarzą Pitt odpiął pasy, głęboko nabierając powietrza na sekundę przed nadejściem kolejnej fali pokrywającej śmigłowiec. Następnie uwolnił z uprzedzącego nieprzytomnego Hunnewella i wystawił jego głowę nad rozkołysaną wodę. Z nadejściem następnego grzywacza pośliznął się i tracąc równowagę, spadł z ulyssesa do morza. Zalewany przez fale, przesuwany przez wodę po ostrym dnie, powoli zbliżał się do brzegu, trzymając w żelaznym uścisku kołnierz kurtki bezwładnego Hunnewella.

Jeżeli Pitt kiedykolwiek zastanawiał się, co czuje tonący człowiek, to teraz miał o tym już całkiem niezłe pojęcie. Przejmująco zimna kąpiel podziałała na jego skórę jak użądlenia miliona os. Miał zatkane uszy, pękała mu głowa, w przepłukiwanych wodą nozdrzach kłuły go wszystkie noże świata, a płuca pracowały tak, jakby przed chwilą wyjęto je z kwasu azotowego. Po długim spacerze na kolanach objanych o kamienne dno w końcu wstał z ogromnym wysiłkiem. Ciężko dysząc, z błogością zachłystywał się kryształowym powietrzem Islandii. I natychmiast przysiągł sobie, że jeżeli kiedykolwiek zechce popełnić samobójstwo, nigdy nie będzie to śmierć przez utonięcie.

Wydostał się z wody na kamienną plażę, trochę niosąc, trochę ciągnąc Hunnewella. Wydawało się, że pijany wiódł pijanego. Złożył naukowca kilka kroków za linią przyływu, po czym natychmiast skontrolował tętno oraz oddech Hunnewella; były przyspieszone, lecz regularne. Następnie spojrzał na jego lewą rękę. Łokieć był straszliwie strzaskany przez pociski z karabinu maszynowego. Tak szybko, jak tylko pozwalały zeszywniałe ręce, Pitt zdjął koszulę, oderwał rękawy i mocno owinął nimi ranę, by zatamować upływ krwi. Choć ciało było poszarpane, tętnica nie została uszkodzona. Zrezygnował więc z opaski uciskowej na rzecz ścisłego bandażowania. Potem posadził Hunnewella, opierając go o dużą skałę, i naprędce zrobił temblak, aby łatwiej opanować krwawienie ręki.

Nic więcej dla przyjaciela uczynić nie mógł. Położył się zatem na skalistym dywanie, chcąc choć trochę zmniejszyć ból udręczonego ciała i uciszyć nawałnicę przeraźliwych mdłości. Starał się odprężyć na tyle, na ile pozwalały dolegliwości; zamknął oczy, pozbawiając się wspaniałego widoku arktycznego nieba ozdobionego kropkami chmur.

Przynajmniej przez kilka godzin Pitt powinien był znajdować się w stanie głębokiego zamroczenia, lecz w zakamarkach jego mózgu zabrzmiał cichy sygnał alarmowy. Odruchowo reagując na bodziec, otworzył powieki zaledwie dwadzieścia minut po ich zamknięciu. Przed oczami miał już inny widok; wprawdzie chmury wciąż były na niebie, lecz jego błękit przysłaśniało coś jeszcze. Minęło kilka sekund, nim major zdołał rozróżnić pięcioro stojących wokół niego dzieci. Przyglądały im się z zaciekawionymi buziami, na których nie było ani śladu strachu.

Pitt podparł się na łokciach i, co nie było łatwe, zmusił się do uśmiechu.

- Dzień dobry, dzieci. Bardzo rano wstałyście, prawda? Młodsze dzieciaki zaczęły po kolei spoglądać na najstarszego chłopca. Ten zastanawiał się chwilę, jak gdyby w myślach układał zdania.

- Moi bracia, moje siostry i ja pilnowaliśmy stado krów ojca na łące nad urwiskiem, przy brzegu. My widzieliśmy... - urwał bezradnie.

- Helikopter? - podpowiedział Pitt.

- Tak, właśnie to. He-li-kop-ter. - Twarz chłopca pojaśniała. Widzieliśmy, jak helikopter wpadł do morza. - Na jego typowo skandynawskim obliczu pojawił się leciutki rumieniec. - Wstyd mi, że mój angielski jest niezbyt dobry.

- Wcale nie - odparł Pitt łagodnie. - To ja powinienem się wstydzić. Ty mówisz po angielsku jak profesor z Oxfordu, podczas gdy ja nie umiem nawet dwóch słów po islandzku.

Promieniejący od pochwały chłopiec pomógł wstać zboląlemu Pittowi.

- Pan jest ranny. Krew panu leci z głowy.

- Przeżyję to. Mój przyjaciel jest poważnie ranny. Musimy go szybko zabrać do lekarza.

- Kiedy was znaleźliśmy, wysłałem moją młodszą siostrę po ojca. On niedługo przyjedzie tu samochodem.

W tej samej chwili z ust Hunnewella wydobył się zdławiony jęk. Pitt pochylił się nad nim i delikatnie podtrzymał łysą głowę. Starszy pan odzyskał przytomność. Przeniósł wzrok z majora na dzieci. Oddychał z trudem, usiłował mówić, lecz słowa więzły mu w gardle. Gdy uchwycił dłoń Pitta, w jego oczach pojawił się pogodny spokój.

- Niech strzegą cię niebios - wymamrotał z wysiłkiem. Potem drgnął i cicho westchnął.

Doktor Hunnewell umarł.

## ROZDZIAŁ 6

Farmer z najstarszym synem zanieśli ciało naukowca do landrovera. Pitt jechał z tyłu, podtrzymując głowę oceanografa. Zamknął szklane, niewidzące oczy i przyglądał kilka długich kosmyków siwych włosów. Obecność śmierci przeraziłaby większość dzieci, lecz chłopcy i dziewczynki, otaczający Pitta na platformie samochodu, siedzieli cicho i spokojnie. Na ich buziach malowało się całkowite zrozumienie tego, co nieuchronnie czeka każdego.

Farmer, wysoki mężczyzna o twarzy ogorzalej od częstego kontaktu ze świeżym powietrzem, powoli jechał wąską dróżką, która prowadziła na górę wysokiego brzegu, a potem wiodła przez łąki. Za samochodem unosił się mały obłok pyłu wulkanicznego. Mężczyzna w ciągu kilku minut dojechał do bramy niewielkiego domu na skraju wsi z białymi zabudowaniami. Jej krajobraz był zdominowany przez tradycyjny cmentarz islandzki.

Z domku wyszedł smutny człowieczek o jasnozielonych oczach, powiększonych okularami w drucianej oprawce. Przedstawił się jako doktor Jonsson i po zbadaniu ciała Hunnewella zaprowadził Pitta do wnętrza domostwa. Zaszył mu sześciocentymetrowe rozcięcie na głowie i zaopatrzył w zmianę suchej odzieży. Później, gdy Pitt pił mocną, czarną jak smoła kawę i sznapsa, zaordynowane mu przez lekarza, w drzwiach pojawił się znajomy chłopiec z ojcem.

Chłopiec skinął głową Pittowi.

- Mój ojciec poczytywałby sobie za wielki honor, gdyby pan pozwolił mu odwiedzić się wraz z pana przyjacielem do Reykjavíku, jeżeli życzy pan sobie tam pojechać.

Pitt stał, patrząc przez chwilę w ciepłe, szare oczy mężczyzny.

- Powiedz ojcu, że jestem mu głęboko wdzięczny i że to dla mnie zaszczyt. - Pitt wyciągnął rękę, a Islandczyk mocno ją uściskał.

Chłopiec przetłumaczył wypowiedź majora. Ojciec jedynie kiwnął głową, po czym odwrócili się i bez słowa wyszli z pokoju.

Pitt zapalił papierosa i figlarnie spojrzął na doktora Jonssona.

- Należy pan do dziwnej społeczności, doktorze. Macie pełne ciepła wnętrza, natomiast na zewnątrz wydajecie się pozbawieni jakichkolwiek emocji.

- Zobaczy pan, że mieszkańcy Reykjavíku są bardziej otwarci. Tu jest taki kraj - przychodzimy na świat na zupełnym pustkowiu, ale za to otoczeni przepięknym krajobrazem. Islandczycy, którzy nie mieszkają w mieście, nie wiedzą, co to plotka. My potrafimy zrozumieć swoje myśli, zanim zaczniemy rozmawiać. Życie i miłość to rzeczy

codzienne, śmierć zaś to po prostu wypadek, z którym trzeba się pogodzić.

- Zastanawiam się, dlaczego dzieci zupełnie nie poruszała bliska obecność zwłok.

- Śmierć jest dla nas po prostu rozłąką, i to wyłącznie w sensie fizycznym. No, bo niech pan spojrzy - lekarz wskazał na cmentarz pełen nagrobnych płyt widocznych przez duże okno - ci, którzy odeszli przed nami, wciąż są tutaj.

Przez chwilę Pitt patrzył na nagrobki wystające z miękkiej zielonej murawy pod przeróżnymi kątami. Później jego uwagę zwrócił farmer, niosący do land rovera ręcznie zrobioną sosnową trumnę. Obserwował, jak wielki, małowówny mężczyzna przenosił ciało Hunnewella do drewnianego tradycyjnego pudła; robił to z ostrożnością i troską świeżo upieczonego ojca, który pierwszy raz wziął na ręce swoje dziecko.

- Jak się nazywa ten człowiek? - spytał Pitt.

- Mundsson, Thorsteinn Mundsson. Jego syn ma na imię Bjarni. Pitt patrzył przez okno do chwili, gdy trumna została delikatnie wsunięta na platformę samochodu. Potem odwrócił się.

- Wciąż się zastanawiam, czy doktor Hunnewell żyłby dzisiaj, gdybym postąpił inaczej.

- Kto to wie? Pamiętaj, przyjacielu, że gdybyś urodził się dziesięć minut wcześniej lub później, wasze drogi mogłyby się nigdy nie zejść. Pitt uśmiechnął się.

- Wiem, co pan ma na myśli. - Faktem jest jednak to, że jego życie było w moich rękach, a ja nawaliłem; i stracił je. - Zawahał się, wracając w myślach do tragicznego zdarzenia. - Po opatrzeniu go na pół godziny zasłabłem. Gdybym nie stracił przytomności, może by się nie wykrwawił na śmierć.

- Niech pan nie robi sobie wyrzutów. Doktor Hunnewell nie zmarł z upływu krwi. Umarł wskutek szoku pourazowego, powypadkowego, termicznego wreszcie. Jestem pewien, że sekcja zwłok wykaże, iż jego niemłode serce dało za wygraną o wiele wcześniej, niż nastąpiło wykrwawienie. To był już starszy człowiek i jak zdążyłem się zorientować, jego kondycja fizyczna była raczej nienadzwyczajna.

- Był uczonym, światowej sławy oceanografem. - Zazdroszczę mu.

Pitt ze zdziwieniem spojrział na wiejskiego medyka.

- A to dlaczego?

- Był człowiekiem morza i zginął w morzu, które ukochał. Nie dziwiłbym się, gdyby jego ostatnie myśli były równie czyste jak morska woda.

- Wypowiedział imię Boga - mruknął Pitt.

- Miał to szczęście. Chciałbym mieć podobne, by, gdy nadejdzie mój czas, móc

spocząć na tym cmentarzu ledwie o sto kroków od miejsca, w którym przyszedłem na świat, oraz wśród ludzi, których kochałem i szanowałem.

- Chciałbym być przywiązany do jednego miejsca tak jak pan, doktorze, ale w dalekiej przeszłości trafił mi się cygański przodek. Odziedziczyłem po nim tęsknotę do włości. Trzy lata mieszkania w tym samym mieście to mój dotychczasowy życiowy rekord.

- Nasuwa się interesujące pytanie: który z nas jest wobec tego większym szczęściarzem?

Pitt wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Obaj gramy. w różnych drużynach.

- Na Islandii mówi się, że łowimy na różne przynęty.

- Pan się minął z powołaniem, doktorze. Powinien pan zostać poetą.

- Ależ, ja jestem poetą. - Jonsson roześmiał się. - W każdej wiosce jest nas przynajmniej czterech lub pięciu. Ze świecą szukać bardziej literackiego kraju niż Islandia. Dwieście tysięcy ludzi, stanowiących całą populację naszej wyspy, kupuje rocznie ponad pół miliona książek...

Przerwał, gdyż otwarły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn. Wyglądali na bardzo opanowanych, kompetentnych i oficjalnych policjantów w mundurach. Na powitanie jeden z nich skinął lekarzowi głową. Potem ten sam zaszczyt spotkał Pitta.

- Nie musiał pan taić przede mną tego, że wezwał pan policję, doktorze. Nie mam nic do ukrycia.

- Proszę się nie gniewać, ale ręka doktora Hunnewella została bez wątpienia zmiądzona przez kule. Zbyt wiele razy opatrywałem myśliwych, żeby nie postawić prawidłowego rozpoznania. W tym względzie prawo jest jednoznaczne; jestem pewien, że w pana kraju również. Muszę meldować o każdej ranie postrzałowej.

Pittowi nie podobało się to, ale nie miał wyboru. Stojący przed nim dwaj dobrze zbudowani policjanci raczej nie kupiliby historyjki o czarnym samolocie widmie, który zaatakował, podziurawił ulyssesa, a potem rozpłynął się w powietrzu. Związek między wrakiem w górze lodowej i odrzutowcem nie był ani przypadkowy, ani odległy. Teraz Pitt był pewien, że zwykle poszukiwania zaginionego statku, nieoczekiwanie i bez jego zgody, wciągnęły go w spisek doskonale zorganizowany, zakrojony na szeroką skalę. Miał tego dość, dość kłamstw i całego cholernego zamieszania. Jedna myśl nie dawała mu wszakże spokoju; Hunnewell nie żyje i ktoś musi za to zapłacić.

- Czy pan jest pilotem tego helikoptera, który się rozbił? zapytał jeden z policjantów.

Mówił z brytyjskim akcentem, bardzo uprzejmym tonem, lecz wypowiedziane z naciskiem słowo „pan” zabrzmiało nieco groźnie.

- Tak - elokwentnie odparł Pitt.

Przez chwilę policjant wydawał się zniechęcony błyskotliwą odpowiedzią majora. Był blondynem, miał brudne paznokcie i nosił mundur po młodszym bracie.

- Pana nazwisko oraz nazwisko zmarłego?

- Pitt, major Dirk Pitt z Powietrznych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Człowiek w trumnie nazywa się William Hunnewell, doktor z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. - Pitt pomyślał, że to raczej dziwne, iż żaden z policjantów niczego nie spisuje.

- Cel podróży? Niewątpliwie baza lotnicza w Keflaviku? - Nie, lądowisko helikopterowe w Reykjaviku.

W oczach policjanta na moment pojawił się błysk zdziwienia. Był prawie niedostrzegalny, lecz Pitt go zauważył. Pytający odwrócił się do swego kolegi, śniadego osiłka w okularach, i powiedział coś po islandzku. Gniewnie kiwnął głową w kierunku stojącego na zewnątrz land rovera i ponownie zwrócił się do Pitta.

- Czy mógłby pan podać miejsce startu?

- Grenlandia, nie podam panu nazwy miasta. Składa się ona z dwudziestu liter i dla nas, Amerykanów, jest nie do wymówienia. Doktor Hunnewell i ja lecieliśmy z misją rządową, mieliśmy przygotować raport kartograficzny o ruchach gór lodowych w prądzie południowogrenlandzkim. Zamierzaliśmy dwukrotnie przelecieć nad Cieśniną Duńską. Planowaliśmy dotrzeć do Islandii i po uzupełnieniu paliwa w Reykjaviku wrócić na Grenlandię równoległym kursem, przesuniętym o sto kilometrów na północ. Niestety pomyliliśmy się w obliczeniach, zabrakło nam paliwa i rozbiliśmy się tuż przy brzegu. To mniej więcej wszystko - kłamał Pitt i zupełnie nie wiedział dlaczego. Boże - pomyślał - stałem się chyba notorycznym łgarzem.

- Gdzie dokładnie nastąpiła katastrofa?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? - odparł niegrzecznie major. - Za pastwiskiem niech pan minie trzy przecznice i skręci w lewo na Broadway. Śmigłowiec jest zaparkowany między trzecią a czwartą falą. Jest pomalowany na żółto, nie przegapi go pan.

- Proszę, niech pan będzie poważny. - Pitt z zadowoleniem zauważył solidny rumieniec na twarzy policjanta. - Musimy znać wszystkie szczegóły, żeby złożyć meldunek naszemu przełożonemu.

- To dlaczego nie przestaniecie kręcić i od razu nie spytacie o rany postrzałowe

doktora Hunnewella?

Oficjalny wyraz twarzy śniadego policjanta zakłóciło tłumione ziewnięcie.

Pitt popatrzył na doktora Jonssona.

- Zdaje się, to pan uznał, że istnieją powody, dla których oni powinni się tu zjawić.

- Współpraca z policją należy do moich obowiązków. - Jonsson nie był chętny do rozmowy.

- No, to niech pan powie; skąd się wzięła rana po kuli u pana kolegi? - zapytały brudne paznokcie.

- Mieliśmy strzelbę na niedźwiedzie polarne - powiedział wolno Pitt. - Podczas wypadku przypadkowo wypaliła i kula trafiła doktora Hunnewella w łokieć.

Pitt się zorientował, że jego sarkazm zupełnie nie trafiał do dwóch islandzkich policjantów. Stali cicho, obserwując go z rosnącą niepewnością. Pomyślał, że zastanawiają się, jak go podejść, aby nie odmówił spełnienia ich oczywistego żądania. Decyzja zapadła bardzo szybko.

- Przykro mi, ale jesteśmy zmuszeni zabrać pana na posterunek. Musi pan złożyć dokładne wyjaśnienia.

- Jedynym miejscem, dokąd możecie mnie zabrać, jest amerykański konsul w Reykjavíku. Nie popełniłem żadnej zbrodni na Islandczykach, nie naruszyłem też waszego prawa.

- Dobrze znam nasze prawo, majorze Pitt. Bez potrzeby nie palimy się do wstawiania bladym świtem i prowadzenia śledztwa o tej porze. Nasze pytania były niezbędne. Niestety nie udzielił pan wystarczających odpowiedzi, dlatego musimy zabrać pana na posterunek, aby ustalić, co się naprawdę wydarzyło. Potem będzie pan mógł zadzwonić do konsulatu.

- Wszystko po kolei, panie posterunkowy. Najpierw proszę się łaskawie wylegitymować.

- Nie rozumiem. - Policjant zimno spojrział na Pitta. - Dlaczego mamy się legitymować? To oczywiste, kim jesteśmy. Doktor Jonsson może to potwierdzić. - Nie przedstawił żadnych papierów, nie pokazał nawet zwykłej, policyjnej karty identyfikacyjnej, okazał natomiast zdenerwowanie.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jesteście funkcjonariuszami na służbie - głos Jonssona brzmiał niemal przeprasząco. Jednakże nasz rejon patroluje zazwyczaj sierżant Arnarson. Nie przypominam sobie, abym kiedyś widział panów w naszej wsi.

- Arnarson miał pilne wezwanie do Grindavíku. Prosił nas, byśmy przed jego powrotem zajęli się sprawą, o której pan powiadomił. - Zostaliście przeniesieni do naszego



rejonu?

- Nie, jesteśmy tu przejazdem. Jedziemy na północ po więźnia. Wstąpiliśmy, żeby się przywitać i napić kawy z sierżantem Arnarsonem. Zanim jednak zagotowała się woda, prawie jednocześnie odebrał dwa telefony; jeden od pana, a drugi z Grindaviku.

- Czy zatem nie byłoby rozsądne, aby major Pitt pozostał tu do powrotu sierżanta?

- Nie sędzę. Tu niczego się nie dowiemy. - Zwrócił się do Pitta. - Bardzo przepraszam, panie majorze. Niech się pan nie gniewa, ale musimy, jak to się u was mówi, doprowadzić pana. Odwrócił się do Jonssona. - Najlepiej, żeby i pan z nami pojechał na wypadek, gdyby pojawiły się komplikacje wynikłe z obrażeń odniesionych przez majora Pitta. Przecież to tylko formalność.

Dziwna formalność - pomyślał Pitt, zastanawiając się nad zaistniałą sytuacją. Nie pozostało mu nic innego, niż dostosować się do życzenia policjantów.

- Co będzie z doktorem Hunnewellem?

- Powiemy sierżantowi Arnarsonowi, żeby przysłał po niego ciężarówkę.

Jonsson uśmiechnął się obojętnie.

- Przepraszam panów, ale nie skończyłem opatrywać rany na głowie majora Pitta. Zanim będzie gotowy do drogi, muszę mu założyć jeszcze dwa szwy. Chodźmy, majorze. - Ruchem ręki zaprosił Pitta do gabinetu, po czym zamknął drzwi.

- Myślałem, że już nie będzie mnie pan torturował - rzekł Pitt zbolalym tonem.

- Ci ludzie są podstawieni - szepnął Jonsson.

Pitt nie odpowiedział. Na jego twarzy nie było śladu zdziwienia. Cicho podszedł do drzwi, przystawił do nich ucho i nadśluchiwał. Zadowolony, że słyszy głosy, wrócił do Jonssona.

- Jest pan pewien?

- Tak, Grindavik nie podlega sierżantowi Arnarsonowi. Ponadto on nigdy nie pije kawy, ma na nią alergię, nawet nie pozwala trzymać jej w kuchni.

- Czy wasz sierżant nie ma przypadkiem metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i nie waży siedemdziesiąt pięć kilogramów?

- Wzrost zgadza się co do centymetra, jedynie waga różni się o dwa kilo. To mój stary przyjaciel. Nieraz go badałem. Skąd pan wie, jak wygląda, jeżeli nigdy go pan nie widział? - spytał zdumiony Jonsson.

- Facet, który zadawał pytania, nosi mundur Arnarsona. Jeśli pan się dobrze przyjrzy, dostrzeże pan na rękawie ciemniejsze miejsce po naszywkach sierżanta.

- Nie rozumiem - powiedział szeptem Jonsson. Miał bardzo bladą twarz. - O co tu

chodzi?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale zginęło szesnastu, może nawet osiemnastu ludzi i obawiam się, że to nie koniec morderstw. Uważam, że ostatnią ofiarą jest sierżant Arnarson. Pan i ja będziemy następnymi.

Jonsson był zdruzgotany, bezwiednie to zaciskał, to rozwierał dłonie w geście niewiary i rozpacz.

- Mówi pan, że muszę umrzeć, bo widziałem dwóch morderców: oraz rozmawiałem z nimi?

- Obawiam się, doktorze, że stał się pan przypadkowym świadkiem, który musi zostać wyeliminowany tylko dlatego, że może ich rozpoznać.

- A pan, majorze? Dlaczego ułożyli taki przebiegły plan, by pana zabić?

- Doktor Hunnewell i ja widzieliśmy coś, czego nie powinniśmy widzieć.

Jonsson przypatrywał się twarzy zamyślnego Pitta.

- Niemożliwe byłoby zamordowanie nas obu bez wywołania poruszenia we wsi. Islandia to mały kraj. Przesztyca daleko tu nie ucieknie ani nie ma się gdzie ukryć.

- Ci mężczyźni są niewątpliwie zawodowymi mordercami. Ktoś im płaci i to bardzo dobrze. W godzinę po naszej śmierci prawdopodobnie siedzieliby z drinkiem w ręku w wielkim odrzutowcu, lecącym do Kopenhagi, Londynu lub Montrealu.

- Jak na płatnych zabójców wyglądają dość jełopowato.

- Mogli sobie na to pozwolić. Dokąd niby mamy uciekać? Przed domem stoi ich samochód oraz terenówka Mundssona. Bez kłopotu odcieliby nam drogę, zanim doszlibyśmy do drzwi. - Pitt pokazał ręką na okno. - Islandia to kraj otwartej przestrzeni. Na obszarze stu kilometrów nie ma nawet dziesięciu drzew. Sam pan powiedział, że człowiek nie ma tu dokąd uciec ani gdzie się schować.

Jonsson kiwnął głową w niemej akceptacji i uśmiechnął się blado. - Jedynym wyjściem dla nas jest więc walka. Po trzydziestu latach ratowania życia trudno mi będzie je odbierać.

- Ma pan jakąś broń?

- Nie - ciężko westchnął Jonsson. - Moim hobby jest wędkarstwo, a nie myślistwo. Jedynymi przedmiotami, które można uznać za broń, są moje narzędzia chirurgiczne.

Pitt podszedł do białej, metalowej szafy ze szklanymi drzwiami, w której znajdował się pedantycznie ułożony drobny sprzęt medyczny oraz zestaw lekarstw.

- Mamy nad nimi małą przewagę - rzekł zamyślony. - Nie wiedzą, że znamy ich sprytny planik. I dlatego zabawimy się z nimi w ciuciubabkę.

Nie minęły dwie minuty, gdy Jonsson otworzył drzwi gabinetu, odsłaniając leżącego na stole opatrunkowym Pitta, który przytrzymał bandaż na rannej głowie. Lekarz kiwnął na blondyna znajdującego angielski.

- Czy mógłby pan przyjść na chwilę? Przydałyby się jeszcze jedne ręce do pomocy.

Mężczyzna podniósł ze zdziwieniem brwi, po czym szturchnął siedzącego z półprzymkniętymi oczyma kolegę. W jego zbrodniczej głowie rodziła się niepewność.

Jonsson nie chcąc wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń celowo uchylił drzwi. Jednak nie na tyle szeroko, by pokazać coś więcej niż fragment gabinetu.

- Gdyby zechciał pan obiema rękami potrzymać lekko pochyloną głowę pana Pitta, mógłbym bez dalszych trudności dokończyć opatrunek. Major kręci się, uniemożliwiając mi założenie szwów. - Jonsson mrugnął okiem i przeszedł na islandzki. - Pod wpływem bólu ci Amerykanie zachowują się jak dzieci.

Falszywy policjant parsknął śmiechem, porozumiewawczo stukając lekarza łokciem. Następnie okrążył stół, podszedł z przodu do Pitta, nachylił się i ujął przy skroniach jego głowę.

- Spokojnie, panie majorze. Dwa szwy to nic takiego. A gdyby tak doktor musiał panu amputować...

W niecałe cztery sekundy było po wszystkim, bez najmniejszego hałasu. Beznamiętnie, a nawet z pewną nonszalancją, Pitt chwycił blondyna za przeguby. Przez moment na twarzy nieznanego pojawiło się zdziwienie, które błyskawicznie przerodziło się w absolutne zaskoczenie, gdy Jonsson mocno przycisnął mu do ust wielki tampon z gazy i jednocześnie wbił w szyję igłę strzykawki. Zaskoczenie ustąpiło miejsca przerażeniu; bandyta jęczał, lecz stłumiony głos nie dotarł do właściwych uszu, gdyż zagłuszał go Pitt, głośno przeklinający bolesny zabieg, którego nie było. Patrzące znad gazy oczy zaczęła pokrywać mgła. Mężczyzna desperackim wysiłkiem próbował jeszcze odskoczyć do tyłu, lecz nie zdołał wyzwolić rąk z żelaznego uścisku Pitta. Zaraz potem jego oczy zajrzały w głąb głowy, a ciało miękko osunęło się w ramiona lekarza.

Pitt szybko przyklęknął, wyjął rewolwer z kabury nieprzytomnego przestępcy i cicho podszedł do drzwi. Z bronią gotową do strzału, bezszelestnie otworzył je na całą szerokość.

- Nie ruszaj się! - rozkazał.

Polecenie zostało zlekceważone i w małej poczekalni rozbrzmiał huk wystrzału. Sporo ludzi uważa, że ręka bywa szybsza od oka, lecz niewielu pokusiłoby się o stwierdzenie, że ręka bywa szybsza od lecącego pocisku. Rewolwer wypadł z dłoni podstawionego policjanta razem z kciukiem, który odstrzeliła kula Pitta, trafiając w

rękojeść broni. Płatny morderca przyglądał się krwawemu kikutowi, będącemu przed sekundą całkiem zdrowym palcem. Major nigdy dotąd nie widział twarzy podobnie wykrzywionej przez ból i całkowite niezrozumienie. Ponownie podniósł opuszczoną rękę i wymierzył rewolwer w twarz przeciwnika, który z zaciśniętymi w wąską linię ustami słał zza okularów ponure, pełne nienawiści spojrzenia.

- Niech pan strzela cicho i szybko, tutaj! - Walił w pierś ranną dłonią.

- A więc znasz angielski. Moje gratulacje, ani przez moment nie dałeś poznać po sobie, że cokolwiek rozumiesz z naszej rozmowy.

- Niech pan mnie zastrzeli! - Wydawało się, że echo tych czterech słów bez końca brzmi w maleńkiej poczekalni i uszach Pitta.

- Nie ma pośpiechu. Wszystko wskazuje na to, że i tak cię powieszają za zamordowanie sierżanta Arnarsona. - Major przestawił kurek rewolweru na ogień pojedynczy. - Nie pomyliłem się mówiąc, że ty go zabiłeś?

- Tak, zabiłem. A teraz proszę, żeby pan zrobił to samo ze mną - zimne oczy przyznawały się do winy.

- Widzę, że coś bardzo ci się pali na cmentarz.

Jonsson patrzył i nic nie mówił. Jego świat legł w gruzach, teraz próbował odnaleźć się w nowej sytuacji, zmuszony do gwałtownej rewizji swego dotychczasowego systemu wartości. W lekarskiej głowie nie mieściło się, żeby ze spokojem obserwować rannego, który potrzebuje natychmiastowej pomocy.

- Proszę mi pozwolić zająć się jego ręką.

- Niech pan stoi za mną i nie rusza się - powiedział Pitt. - Każdy, kto chce własnej śmierci, jest groźniejszy od zagonionego do wściekłego psa.

- Na Boga, człowieku, nie możesz tak stać i rozkoszować się jego cierpieniem - zaoponował Jonsson.

Pitt zlekceważył protest lekarza.

- Dobra, w cztery oczy zrobię z tobą układ. Następną kulę wpakuję ci prosto w serce, jeżeli powiesz, kto wam za to płaci.

Morderca nie spuszczał z Pitta wzroku bestii. Nic nie mówiąc, pokiwał tylko przecząco głową.

- Nie jesteśmy na wojnie, kolego. Nie zdradzasz ani Boga, ani swego kraju. Lojalność wobec pracodawcy nie jest warta twego życia.

- Pan mnie zabije, majorze. Doprowadzę do tego, że mnie pan zabije. - Ruszył w kierunku Pitta.

- Wierzę ci - rzekł Pitt. - Jesteś upartym skurwielem. - Pociągnął za spust i rewolwer znów zagrzemiał. Pocisk kaliber trzydzieści osiem rozerwał bandzirowi nogę nieco powyżej kolana.

Pitt wyjątkowo rzadko widywał tak bardzo zdziwione ludzkie oblicza. Płatny zabójca osunął się na podłogę. Lewą dłoń zacisnął na rannym udzie, próbując zatamować upływ krwi; prawa leżała bezwładnie na terakotowej podłodze, otoczona coraz większą czerwoną kałużą.

- Zdaje się, że nasz przyjaciel nie ma nic do powiedzenia - stwierdził Pitt. Odciągnął kurek, by strzelić jeszcze raz.

- Proszę, niech pan go nie zabija - lamentował Jonsson. - Jego życie nie jest warte pyłka na pana mundurze. Majorze, błagam pana, niech pan mi odda rewolwer. On już nie jest w stanie nikomu zaszkodzić.

Pitt wahał się przez chwilę; w jego duszy zemsta walczyła ze współczuciem. Potem wolno wręczył Jonssonowi broń, potakująco kiwając głową. Lekarz wziął rewolwer i w geście niemej aprobaty położył rękę na ramieniu majora.

- Jestem wstrząśnięty tym, że moi rodacy mogli przysporzyć cierpień i zgrzyoty tyłu ludziom - rzekł ze smutkiem. - Zajmę się tymi dwoma i niezwłocznie zawiadomię władze. Niech pan jedzie z Mundssonem do Reykjavíku i odpocznie. Rana a pańskiej głowie wygląda okropnie, ale nic panu nie będzie, jeżeli jej pan nie zaniedba, niech pan poleży w łóżku przynajmniej dwa dni. To jest zalecenie lekarza

- Chyba nie będę mógł się mu podporządkować. - Pitt z przekornym uśmiechem pokazał na otwarte drzwi frontowe. - Miał pan stuprocentową rację, że we wsi powstanie rwetes. - Wskazał na drogę na której spokojnie stało przynajmniej dwudziestu mężczyzn zbrojonych w najróżniejszą broń palną, od sztucerów z celownikami optycznymi po małe dubeltówki. Wszystkie lufy patrzyły prosto w drzwi domku Jonssona. Z nogą solidnie opartą na drugim schodku, Mundsson bez wysiłku trzymał swoją strzelbę w jednej ręce. Tuż obok stał jego syn Bjarni ze starym mauzerem.

Pitt pokazał ręce, aby wszyscy mogli je wyraźnie zobaczyć.

- Najwyższy czas, doktorze, żeby dobrze mnie pan zarekomendował

Ci poczciwi włościanie nie mają pewności, kto tu odgrywa rolę czarnego, a kto białego charakteru.

Jonsson wysunął się przed Pitta i przez kilka minut przemawiał po islandzku. Gdy skończył, lufy zaczęły opadać jedna po drugiej. Kilku farmerów udało się z powrotem do domów, reszta zaś zgromadzenia oczekiwała przy drodze na rozwój wypadków. Jonsson

wyciągnął dłoń, a Pitt ją uścisnął. - Mam wielką nadzieję, że uda się panu znaleźć człowieka, który odpowiada za te wszystkie straszne i niepotrzebne zabójstwa. Pan nie jest mordercą. Gdyby pan nim był, ci dwaj ludzie w moim domu już by nie żyli. Obawiam się, że pańska troska o ludzkie życie może się źle dla pana skończyć. Błagam pana, przyjacielu, jeśli nadejdzie właściwy moment, proszę się nie wahać ani chwili. Niech Bóg pana prowadzi.

Na pożegnanie Pitt zsalutował doktorowi Jonssonowi, odwrócił się i zszedł po schodkach na drogę. Bjarni trzymał otwarte drzwi do land rovera. Fotel był twardy, lecz Pitta zupełnie to nie obchodziło; on też był sztywny i obolały. Siedział, przyglądając się nie widzącymi oczami, jak Mundsson uruchamia silnik, a później zmienia biegi, prowadząc samochód po wąskim, gładkim gościńcu wiodącym do Reykjavíku. Bez trudu mógłby zasnąć głęboko, lecz na granicy jego świadomości błąkała się myśl, która jednak nie mogła jej przekroczyć. Coś, co zobaczył, coś, co zostało powiedziane, malutkie nierozpoznawalne coś nie dawało spokoju jego umysłowi, nie pozwalało odpocząć. Ono było jak powracająca melodyjka, której tytuł ma się na końcu języka. W końcu poddał się i zasnął.

## ROZDZIAŁ 7

Pitt znów z trudem podnosił się z dna wzburzonego morza i słaniając się na nogach, wyciągał na plażę Hunnewella. I znowu bandażował rękę oceanografa, by za chwilę pograć się w ciemnościach. Nie wiedział, ile razy ponawiał zmagania. Desperacko próbował zatrzymać uciekający jak na filmie obraz, chciał wrócić do przeszłości i zmienić bieg wypadków, których tragicznych następstw niepodobna odwrócić. To tylko zły sen, myślał próbując wyzwolić się z koszmaru krwawej plaży. Zebrał wszystkie siły, pragnął otworzyć wreszcie oczy i spojrzeć na pustą sypialnię. Ujrzał ją, lecz wcale nie była pusta.

- Dzień dobry, Dirk - usłyszał miły głos. - Powoli zaczęłam tracić nadzieję na twoje przebudzenie.

Pitt podniósł na nią wzrok, patrząc w uśmiechnięte, brązowe oczy smukłej dziewczyny, siedzącej na krześle przy łóżku obok jego nóg. - Żadna sikorka, która ostatnio jadła mi z ręki, nie była tak ładna jak ty.

Roześmiała się tak jak jej oczy. Odgarnęła za uszy długie, błyszczące włosy w kolorze jasnożółtego brązu. Następnie wstała; idąc do wezglowia łóżka, przypominała żywe srebro. Była ubrana w czerwoną, obcisłą sukienkę z wełny, doskonale podkreślającą jej wyjątkowo zgrabną figurę. Para wspaniałych, odsłoniętych do kolan nóg stanowiła bardzo przekonujący element modelowej sylwetki. Nie była oszałamiającą piękną ani uosobieniem seksu, lecz miała niesamowicie dużo wdzięku, któremu nie potrafił się oprzeć żaden mężczyzna.

Dotknęła bandaża na skroni Pitta i uśmiech ustąpił miejsca trosce, z jaką kobiety o duszy Florence Nightingale odnosiły się do swoich podopiecznych.

- Sporo przeszedłeś. Bardzo boli?

- Tylko gdy staję na głowie.

Pitt doskonale wiedział, co było przyczyną rzeczywistego niepokoju, znał bowiem tę dziewczynę. Nazywała się Tidi Royal, a jej uroczą powierzchowność była wyjątkowo zwodnicza. Bez zmrużenia oka potrafiła przez osiem godzin pisać na maszynie z szybkością dwudziestu słów na minutę, stenografować zaś jeszcze szybciej. To były główne powody, które sprawiły, że admirał Sandecker zatrudnił ją w charakterze osobistej sekretarki, przynajmniej tak z satysfakcją twierdził.

Pitt usiadł i szybko zajrzał pod kołdrę, chcąc zorientować się, czy ma coś na sobie. Miał, choć niewiele - spodenki gimnastyczne.

- Skoro ty jesteś tutaj, admirał też musi być gdzieś w pobliżu. - Piętnaście minut po odebraniu wiadomości nadanej przez ciebie z konsulatu siedzieliśmy już w odrzutowcu

leącym do Islandii. Śmierć doktora Hunnewella bardzo nim wstrząsnęła. Admirał Sandecker siebie wini za nią.

- Jest drugi w kolejce - rzekł Pitt. - Ja jestem pierwszy.

- Powiedział, że właśnie tak będziesz się czuł. - Tidi bez powodzenia próbowała mówić lekkim tonem. - Wyrzuty sumienia prawdopodobnie wpłynęły na twój obiektywizm w ocenie zdarzenia.

- Błyskotliwa inteligencja nie daje admirałowi chwili wytchnienia. - Ależ nie - zaprotestowała. - Podobna uwaga nigdy nie padła z jego ust.

Pitt pytająco uniósł brwi.

- Pewien lekarz o nazwisku Jonsson zadzwonił do konsulatu ze wsi na dalekiej północy i przekazał dokładne wskazówki dotyczące twojej rekonwalescencji.

- Rekonwalescencja, brednie! - obruszył się Pitt. - Ale w tym miejscu nasuwa się pytanie. Co ty, do diabła, robisz w mojej sypialni? Wydawała się urażona.

- Czuwam przy tobie. Sama się zgłosiłam. - Sama się zgłosiłaś?

- Aby siedzieć przy tobie podczas snu - dodała. - Doktor Jonsson na to nalegał. Gdy tylko zamknęłaś oczy, to znaczy od wczorajszego wieczoru, przez cały czas ktoś z personelu konsulatu był w tym pokoju. - Która godzina?

- Dziesięć po dziesiątej. Rano.

- Boże, zmarnowałem prawie czternaście godzin. Co się stało z moim ubraniem?

- Domyślam się, że zostało wyrzucone do śmietnika. Nie nadawało się nawet na szmaty. Będziesz musiał pożyczyć parę ciuchów od kogoś z konsulatu.

- W takim razie proszę się grzecznie odwrócić, bo muszę wziąć prysznic i ogolić się. - Warknął na nią jak pies, który odradza zabranie mu kości. - Dobra, kochanie, buzia do ściany.

Tidi w dalszym ciągu patrzyła na łóżko.

- Zawsze się zastanawiałam, jak by to było zobaczyć cię wstającego rano z łóżka.

Wzruszył ramionami i zrzucił z siebie kołdrę. Już miał wstać, gdy wydarzyły się trzy rzeczy: nagle zobaczył trzy Tidi, pokój rozciągnął się, jak gdyby był z gumy, i poczuł ból, rozsadzający mu głowę.

Tidi szybko podeszła i chwyciła go za ramię, obdarzając troskliwym spojrzeniem Florence Nightingale.

- Proszę cię, Dirk. Twoja głowa jeszcze nie może dogadać się z nogami.

- Nic mi nie jest. Po prostu zbyt gwałtownie podniosłem się. Wstał i od razu wpadł jej w ramiona. - Jesteś kiepską pielęgniarką, Tidi. Za bardzo przejmujesz się pacjentami.



Przez kilka chwil opierał się na niej, zanim znów zaczął widzieć pojedynczo, w tym także sypialnię, skurczoną już do normalnych wymiarów. Tylko przeraźliwy ból jakoś nie chciał wynieść się z jego głowy.

- Dirk, jesteś jedynym pacjentem, którym chciałabym się przejmować. - Mocno go obejmowała, nie robiąc nic, aby uwolnić się z jego ramion. - Ale ty nigdy mnie nie zauważasz. Moglibyśmy sami jechać windą, a ty nawet byś mnie nie poznał. Czasami zastanawiam się, czy ty w ogóle wiesz o moim istnieniu.

- Bardzo dobrze wiem, że istniejesz. - Odepchnął ją delikatnie i udał się w długą drogę do łazienki. Chcąc uniknąć w trakcie wolnego marszu ponownego spotkania twarzą w twarz, kontynuował rozpoczęty monolog. - Twoje dane statystyczne mówią o stu siedemdziesięciu jeden centymetrach wzrostu, pięćdziesięciu pięciu kilogramach wagi, osiemdziesięciu pięciu centymetrach w biodrach, niewiarygodnych pięćdziesięciu centymetrach w talii i kolejnych osiemdziesięciu pięciu centymetrach w biuście, stanik prawdopodobnie rozmiaru trzy. Wszystko razem odpowiada sylwetce z rozkładówki „Playboya”. Ponadto jasnobrązowe włosy otaczające śmiałą, bystrą twarz, którą zdobią błyszczące, brązowe oczy, zuchwały nosek i doskonale uformowane usta z dołeczkami po bokach, pokazującymi się wtedy, gdy się uśmiechasz. Aha, byłbym zapomniiał o dwóch pieprzykach za lewym uchem. I w tym momencie twoje serce bije w tempie około stu pięciu uderzeń na minutę.

Tidi stała nieruchoma niczym laureatka quizu telewizyjnego po wygraniu miliona dolarów; momentalnie odebrało jej mowę. Podniosła rękę, dotykając dwóch znamion.

- Uff! Nie mogę uwierzyć, że to wszystko wyszło z twoich ust. To nieprawdopodobne. Lubisz mnie, tobie naprawdę zależy na mnie.

- Nie daj ponosić się uczuciom. - Pitt z wahaniem odwrócił się do niej, stojąc we drzwiach łazienki. - Bardzo mi się podobasz, tak jak piękna dziewczyna każdemu mężczyźnie, ale nie jestem w tobie zakochany.

- Ty... ty nic po sobie nie dałeś znać. Nigdy nawet nie umówiłeś się ze mną.

- Wybacz, Tidi. Jesteś osobistą sekretarką admirała. Z zasady nie załatwiam swoich prywatnych spraw tak blisko niego. - Oparł się o futrynę. - Bardzo szanuję tego starszego faceta, on dla mnie jest kimś więcej niż tylko dobrym znajomym lub szefem. Nie chcę przysparzać mu kłopotów za plecami.

- Rozumiem - powiedziała skromnie. - Ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w roli bohatera poświęcającego się dla szczęśliwego związku wybranki swego serca z maszyną do pisania.

- Odrzucona dziewczica, dokonująca żywota w klasztorze, to także nie twój styl.

- Czy musimy się sprzeczać?

- Nie - rzekł Pitt zgodnie. - Bądź więc grzeczną dziewczynką i załatw mi jakieś ubranie. Zobaczymy, czy znasz moje wymiary równie dobrze, jak ja twoje.

Tidi nic nie odpowiedziała. Stała niepocieszona i ciekawa. Wreszcie kiwnęła głową w geście kobiecej irytacji i wyszła.

Dokładnie dwie godziny później Pitt, ubrany w pasujące jak ulał luźne spodnie i sportową koszulę, siedział przed biurkiem admirała Sandeckera. Admirał wyglądał na zmęczonego, starego człowieka, znacznie starszego, niż był w istocie. Jego rude, nie uczesane włosy przypominały zmierzwioną grzywę, a widoczny zarost świadczył o tym, iż nie golił się przynajmniej od dwóch dni. Przez chwilę studiował cylindryczny kształt potężnego cygara, wciśniętego między palce prawej ręki, po czym bez zapalania odłożył je do popielniczki. Bąknął, że jest rad widzieć Pitta żywego i w miarę zdrowego. A następnie zaczął mu się badawczo przyglądać mocno zaczerwienionymi, smutnymi oczami.

- To tyle tytułem wstępu. Teraz kolej na ciebie, Dirk. Opowiadaj. Pitt nie zaczął opowiadać.

- Ponad godzinę spędziłem na pisaniu dokładnego raportu powiedział. - Przedstawiłem w nim dokładny przebieg wydarzeń od momentu startu śmigłowca ze stanowiska NUMA na lotnisku Dulles International aż do przyjazdu z farmerem i jego synem do konsulatu. Uwzględniłem w nim również moje spostrzeżenia i uwagi. Znając pana, admirałe, ośmielę się stwierdzić, że przeczytał pan go przynajmniej dwa razy. Nie mam nic do dodania. Teraz mogę tylko odpowiedzieć na pana pytania.

Gdyby twarz Sandeckera mogła w tej chwili wyrazić cokolwiek innego niż zmęczenie, pojawiłoby się na niej zainteresowanie lub wręcz niepohamowana ciekawość powodów jawnej niesubordynacji Pitta. Wstał, ukazując swoje sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu oraz granatowy garnitur gwałtownie domagający się prasowania. Była to jego ulubiona poza, zapowiadająca nieuchronną orację.

- Wystarczyło mi raz przeczytać, majorze. - Tym razem nie było zwykłego: Dirk. - Kiedy mam ochotę na dowcip wysokiego lotu, sięgam po książki Dona Ricklesa lub Morta Sahla. Doskonale zdaję sobie sprawę, że podczas siedemdziesięciu dwóch godzin, przed którymi ściągnąłem pana z ciepłej plaży w Kalifornii, spotkał się pan z wieloma przeciwnościami ze strony Straży Wybrzeża, Rosjan, że odmroził pan tyłek, oglądając na górze lodowej skutki nieopisanego bestialstwa, że nie wspomnę o śmierci doktora Hunnewella, który zmarł na pana rękach. To wszystko jednak w najmniejszym stopniu nie

upoważnia pana do wkurzania swojego przełożonego.

- Proszę mi wybaczyć ten mimowolny brak szacunku, panie admirale - powiedział Pitt dalekim od przeproszającego tonem. - Jeśli moje słowa zabrzmiały zbyt arogancko, wynikało to wyłącznie z tego, że czuję się manipulowany. Odnoszę wrażenie, iż posłał mnie pan na bardzo grząski teren bez informowania o konieczności założenia kaloszy.

- A więc? - Ognistorude brwi uniosły się o pół centymetra.

- Zaczniemy od tego, że Hunnewell i ja znaleźliśmy się w dość dwuznacznej sytuacji; oszukiwaliśmy Straż Wybrzeża w celu wykorzystania ich najnowocześniejszego kutra jako stacji benzynowej, przynajmniej tak wówczas sądziłem. Ale nie Hunnewell. On od początku wiedział o całej mistyfikacji. Gdy kapitan Koski powiadomił Komendanta Straży Wybrzeża w Waszyngtonie o naszej obecności na statku, pomyślałem, że od razu wyładujemy w więzieniu. Obserwowałem jednak Hunnewella, który jak gdyby nic się nie działo, zajmował się twoimi wykresami. Nawet powieka mu nie drgnęła, na czole nie pojawiła się najmniejsza kropla potu. Absolutnie nie przejmował się całym zajściem, bo jeszcze przed wyjazdem z Dulles wiedział, że pan nad wszystkim będzie sprawował kontrolę.

Niezupełnie. - Sandecker sięgnął po cygaro i przypalił je, obdarzając Pitta przenikliwym spojrzeniem. - Komendant akurat wtedy wizytował na Florydzie jakieś cholerne, przeciwhuraganowe instalacje ostrzegawcze. Zanim zdołałem go złapać, byliście już nad Nową Szkocją. - Wypuścił w górę kłęb dymu. - Proszę mówić dalej. Pitt wyprostował się na oparciu krzesła.

- W górze lodowej pojawia się leciutki, prawie niewidoczny zarys statku. Straż Wybrzeża nie ma zielonego pojęcia, kto jest jego armatorem. Upływają cztery dni, a śledztwo nie zostaje wdrożone. Mimo że od góry lodowej dzielą kuter zaledwie godziny, nie zostaje on powiadomiony o jej spostrzeżeniu. Dlaczego? Dlatego, że ktoś w stolicy, ktoś bardzo ważny, rozkazał trzymać się z daleka od tej sprawy.

Sandecker bawił się cygarem.

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, co mówi, majorze?

- Nie, do diabła, panie admirale - odrzekł Pitt. - Nie dysponując faktami, jedynie zgaduję. Ale pan z Hunnewellem nie musieliście zgadywać. Nie mieliście najmniejszych wątpliwości, że wrakiem jest Lax, statek, którego zaginięcie zgłoszono ponad rok temu. Miał pan na to odpowiednie dowody. Nie wiem, skąd i jak pan je zdobył, ale dysponował pan nimi. - Pitt intensywnie wpatrywał się w oczy Sandeckera. - W tym miejscu moja kryształowa kula pokrywa się mgłą. Byłem zdziwiony reakcją Hunnewella, lecz on

naprawdę osłupiał, gdy przekonał się, że Lax jest doszczętnie spalony. Tej ewentualności nie przewidzieliście, prawda, admirale? Okazało się, że wszystko, łącznie z pana doskonałym planem, spaliło na panewce. Ktoś, kogo nie wziął pan pod uwagę, zaczął grać przeciwko panu. Ktoś, kto dysponuje ogromnymi możliwościami, których nie uwzględnił ani pan, ani reprezentowana przez pana tajemnicza agenda rządowa. Przestał pan panować nad sytuacją. Nawet Rosjanie zostali wyprowadzeni w pole. Ma pan do czynienia z bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, admirale. Jest jasne jak słońce, że ten facet nie grywa w pokera na zapałki. On zabija ludzi z systematycznością szczurołapa. We wspomnianej grze stawką ma być cyrkon, lecz ja w to nie wierzę. Dla fortuny można zabić jednego, dwóch ludzi, ale pieniądze nie są wystarczającym powodem do dokonania masowego mordu. Hunnewell był pana długoletnim przyjacielem, moim zaledwie przez kilka dni, po których go straciłem. Znajdował się pod moją opieką, a ja go zawiodłem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, abym był w stanie dać społeczeństwu tyle, ile on. Byłoby znacznie lepiej, gdybym to ja zamiast niego umarł tam na plaży.

Sandecker nie zareagował na żadne ze stwierdzeń Pitta. Nie spuszczał z niego nieruchomego wzroku, przez cały czas siedział za biurkiem, w zamyśleniu stukając palcami prawej dłoni w brzeg szklanki. Następnie wstał, obszedł biurko i położył ręce na ramionach Pitta.

- Gówno prawda! - rzekł cicho, lecz stanowczo. - To cud, że w ogóle dotarliście do brzegu. Chyba tylko Spielberg mógłby wymyślić, iż nie uzbrojony mały helikopter rzuca się pod ogień karabinu maszynowego z odrzutowca i taranuje napastnika. Ja ponoszę całą winę. Wiedziałem, że grać się będzie znaczonymi kartami, a mimo to wszedłem do puli. Wciągnąłem pana do gry nie dlatego, że ta akcja była niezbędna. Po prostu jest pan najlepszym człowiekiem, któremu mogę bez wahania powierzyć najbardziej skomplikowaną misję. Po dostarczeniu Hunnewella do Reykjaviku mam zamiar natychmiast odesłać pana do Kalifornii. - Przerwał, by spojrzeć na zegarek. - Za godzinę i sześć minut odrzutowiec zwiadowczy odlatuje do Tyler Field w New Jersey. Na miejscu złapie pan połączenie z Wybrzeżem Zachodnim.

- Nie, dziękuję, admirale. - Pitt wstał z krzesła, podszedł do okna i zaczął przyglądać się zalanym słońcem dachom Reykjaviku. Słyszałem, że piękne Islandki zawsze zachowują zimną krew. Chciałbym sam się o tym przekonać.

- Mógłbym po prostu wydać rozkaz wyjazdu.

- Nic z tego. Wiem, jakie są pana intencje i jestem za nie wdzięczny. Pierwszy zamach na życie Hunnewella i moje powiódł się tylko w połowie. Drugi, dotyczący

wyłącznie mnie, był już bardziej wyrafinowany. Trzeci powinien być majstersztykiem. Mam zamiar być w pobliżu, aby zobaczyć, jak go zainscenizują.

- Nie ma mowy, Dirk: - Sandecker znów był przyjacielski. Nie mam ochoty lekkomyślnie narażać cię na śmierć. Zamiast iść na twój pogrzeb, wolę cię zamknąć i postawić przed sądem wojennym za celowe zniszczenie majątku państwowego.

Pitt uśmiechnął się.

- Porozmawiajmy o łączących nas stosunkach służbowych, admirale. - Przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu biurka. - Wciągu ubiegłego półtora roku bez zmużenia oka wykonywałem wszystkie pana polecenia. Żadnego nie zakwestionowałem. Najwyższa jednak pora, abyśmy sobie wyjaśnili parę spraw. Po pierwsze: gdyby pan mógł - choć nie ma takiej możliwości - postawić mnie przed sądem wojskowym, to bardzo wątpię, czy lotnictwo bez słowa wyjaśnienia zgodziłoby się, aby ich oficer był sądzony przez trybunał marynarki. Po drugie i najważniejsze: NUMA nie jest moją macierzystą jednostką.

W związku z tym pan nie jest moim dowódcą. Jest pan po prostu moim szefem, nikim więcej, nikim mniej. Jeżeli moja niesubordynacja będzie w ewidentnej niezgodzie z pana rozumieniem tradycyjnego prawa marynarskiego, nie pozostanie panu nic innego, niż mnie zwolnić. Oto jak się mają sprawy, admirale, i pan o tym doskonale wie.

Przez kilka sekund Sandecker nie powiedział ani słowa. W jego oczach malowało się dziwne rozbawienie. Wreszcie wybuchnął gromkim śmiechem, który po brzegi wypełnił pokój.

- Jezu! Jeżeli jest coś gorszego od wkurzonego Dirka Pitta, niech to zeżre syfilis, a potem piekło pochłonie. - Wrócił za biurko i usiadł w fotelu, zakładając ręce za głowę. - W porządku, Dirk. Włączę cię do akcji. Na pierwszą linię. Ale żadnych numerów na własną rękę. Żądam, aby wszystko było zgodnie z planem. Zgoda?

- Pan tu rządzi.

Sandecker wyraźnie odprężył się.

- Dobra, a teraz, przez szacunek dla... przełożonego, może opowiesz mi całą historię od początku. Znam pisemną relację, więc kolej na ustną. Zawsze lepiej jest mieć wiadomości z pierwszej ręki, prawda? - Spojrzał na Pitta wzrokiem nie znoszącym sprzeciwu. Możemy zaczynać?

- Niech strzegą cię niebiosy - powtórzył Sandecker, gdy Pitt skończył. - Tak powiedział?

- I to wszystko, co powiedział. Zaraz potem umarł. Miałem nadzieję, że doktor Hunnewell poda mi jakieś szczegóły, dotyczące pozycji Laxa od momentu zaginięcia do

czasu uwięzienia w górze lodowej. Jednakże nie zdecydował się na to, wygłosił natomiast pogadankę o historii Kristjana Fyrie oraz wykład na temat cyrkonu. - Zrobił, co mu kazano. Nie chciałem cię w to mieszać.

- Tak było dwa dni temu. Teraz siedzę w tym po uszy. Pochylił się nad biurkiem do admirała. - Niech pan wreszcie wydusi z siebie, o co chodzi, stary lisie. W co, do diabła, tu się gra?

- Przez wzgląd na twoje dobro - admirał uśmiechnął się traktując ten epitet jako komplement. - Wysunął dolną szufladę biurka, aby oprzeć nogi.

- Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

- Nie mam zielonego pojęcia, lecz mimo wszystko niech pan mi powie.

- W porządku. - Sandecker rozparł się wygodnie w obrotowym fotelu i kilka razy dmuchnął dymem z cygara. - Oto przebieg kolejnych wydarzeń, do przedstawienia pełnego obrazu sytuacji brakuje jednak przynajmniej połowy faktów. Jakies półtora roku temu naukowcom Fyriego udało się zaprojektować i skonstruować nuklearną sondę podwodną zdolną do wykrywania na dnie mórz i oceanów piętnastu, a nawet dwudziestu różnych minerałów. Funkcjonowanie sondy polegało na poddaniu substancji metalicznych krótkotrwałemu działaniu elektronów, których źródłem był wytwarzany laboratoryjnie pierwiastek o nazwie celt-279. Pod wpływem neutronów uwalniane były z kongrecji promienie gamma, które następnie analizował miniaturowy czujnik sondy. Podczas prób u wybrzeży Grenlandii dzięki sondzie wykryto i określono rozmiary złóż magnezu, złota, niklu, tytanu oraz cyrkonu. Jeśli chodzi o cyrkon, znaleziono go w nie spotykanej dotąd ilości.

- Chyba rozumiem. Bez sondy ponowne odnalezienie złóż cyrkonu stałoby się niemożliwe - rzekł zamyślony Pitt. - Stawką więc nie są rzadkie minerały, lecz sonda.

- Tak, dzięki niej otwierają się ogromne, wręcz nieograniczone możliwości rozwoju podwodnego przemysłu wydobywczego. Posiadacz sondy oczywiście nie zapanuje nad światem, ale może zagrozić prywatnym imperiom finansowym. Może również zrobić potężny zastrzyk wspomagający gospodarkę jakiegokolwiek kraju z szelfem kontynentalnym, na którego dnie znajdują się bogate złoża rozmaitych minerałów.

Pitt milczał przez moment.

- Boże, czy sonda jest warta tych wszystkich zabójstw?

- To zależy od tego, jak bardzo ktoś pragnie ją mieć - odparł Sandecker po chwili wahania. - Są ludzie, którzy nie zabiją za żadne pieniądze, lecz są i tacy, którzy dla paru dolarów bez wahania poderzną ci gardło.

- W Waszyngtonie powiedział mi pan, że Fyrie i jego naukowcy byli w drodze do Stanów Zjednoczonych na rozmowy z przedstawicielami naszego przemysłu zbrojeniowego. To było małe kłamstwo, prawda?

Sandecker uśmiechnął się.

- Raczej niedomówienie. Fyrie miał spotkać się z prezydentem, aby zaprezentować mu sondę. - Przez chwilę przyglądał się Pittowi. - Mnie pierwszego - rzekł stanowczo - Fyrie poinformował o zakończonych sukcesem testach sondy. Nie wiem, co ci o nim powiedział Hunnewell, ale Kristjan Fyrie był wizjonerem, nadzwyczaj szlachetnym człowiekiem, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Wiedział, jakim dobrodziejstwem może być sonda dla ludzkości.

Wiedział także, co mogłoby się stać, gdyby wpadła w czyjeś niepowołane, brudne ręce. Zdecydował się więc na przekazanie jej narodowi, który gwarantował pewność wykorzystania jej ogromnych możliwości dla dobra ogółu. Więcej szlachetnego bajdurzenia nie będzie. Musisz jednak zaufać ludziom, którzy rzeczywiście troszczą się o dobro społeczne. Oni naprawdę czynią wszystko, aby uchronić nas przed panowaniem zbrodniczego motłochu. Cholernie mi go szkoda - rzekł ze zboląłą twarzą. - Kristjan Fyrie żyłby do dzisiaj, gdyby był samolubny i zepsuty.

Pitt uśmiechnął się ze zrozumieniem. Było powszechnie wiadomo, że pod maską obcesowej powierzchowności admirała kryło się gorące serce człowieka, który nader rzadko ujawniał doskonale skrywaną nienawiść do owładniętych żądzą zysku reprezentantów wielkiego przemysłu. Dzięki temu na oficjalnych przyjęciach Sandecker był gościem niezbyt chętnie widzianym, ale wypadało go zapraszać.

- Czy amerykańscy uczeni nie byli w stanie skonstruować podobnej sondy? - zapytał Pitt.

- Prawdę mówiąc, mamy taką sondę. Jednakże efektywność jej działania tak się ma do urządzenia Fyriego, jak rower do sportowego samochodu. Jego ludzie dokonali technicznego przełomu, wyprzedzając co najmniej o dziesięć lat dotychczasowe osiągnięcia w tej dziedzinie.

Rosjanie też pracują nad podobną konstrukcją.

- Ma pan jakieś podejrzenia na temat sprawcy kradzieży sondy?

- Żadnych - pokiwał głową Sandecker. - To oczywiste, że kryje się za tym doskonale opłacana organizacja. Reszta jest tylko zabawą w ciuciubabkę.

- Obcy kraj dysponowałby odpowiednimi środkami...

- Ten trop możesz sobie darować - przerwał mu admirał. - Sandecker przytknął do

cygara kolejną zapalną.

- Gwoli ścisłości, wczoraj minął miesiąc.

Pitt mu się przyglądał.

- Dlaczego utrzymano to w tajemnicy? Ani w gazetach, ani w telewizji nie było żadnej informacji o ich wypadku. Jako dyrektor do zadań specjalnych w pana firmie, pierwszy powinienem być o tym poinformowany.

- Oprócz mnie o ich śmierci wiedział tylko jeden człowiek, radiooperator, który odebrał ostatni meldunek. Nie opublikowałem żadnego komunikatu, ponieważ chciałem wydobyć ich z wodnego grobu.

- Coś tu nie gra. Od ponad roku w ich ręku znajduje się sonda, z której nie mają żadnego pożytku.

- Nie martw się, wykorzystali ją odpowiednio, badając każdy centymetr kwadratowy atlantyckiego szelfu kontynentalnego obu Ameryk. Ponadto użyli do tego Laxa.

Pitt z zainteresowaniem wpatrywał się w admirała.

- Laxa? Nie rozumiem.

Sandecker strząsnął popiół do kosza na śmieci.

- Pamiętasz doktora Lena Matajica i jego asystenta Jacka Q'Rileya?

Pitt potwierdził skinieniem głowy.

- Trzy miesiące temu zrzuciłem im z powietrza zaopatrzenie.

Założyli wtedy obóz na krze lodowej w Zatoce Baffina. Doktor Matajic badał prąd występujący na głębokości trzech kilometrów, próbując udowodnić swoją ulubioną teorię, że olbrzymi ciepły strumień jest w stanie stopić lodową pokrywą bieguna północnego, gdyby choć jeden procent z jego wodnych zasobów skierować w górę.

- Kiedy ostatni raz słyszałeś o nich?

Pitt wzruszył ramionami.

- Wróciłem do laboratorium morskiego w Kalifornii, gdy tylko się zagospodarowali. Dlaczego mnie pan pyta? Przecież sam pan zaplanował i koordynował tę wyprawę.

- Tak, ja zaplanowałem tę ekspedycję - powiedział wolno Sandecker. Przetarł palcami oczy, po czym złożył ręce jak do modlitwy. - Matajic i O'Riley nie żyją. Samolot wiozący ich z kry do domu wpadł do morza i rozbił się. Nie odnaleziono żadnych śladów.

- Dziwne, że nic o tym nie słyszałem. To musiało zdarzyć się bardzo niedawno.

Narodowa Agencja Wywiadowcza jest absolutnie pewna, że żadne państwo nie jest w to zamieszane. Nawet Chińczycy pomyśleliby dwa razy, zanim zdecydowaliby się na zamordowanie prawie dwudziestu ludzi w celu zdobycia niewinnego urzędnika



pomiarowego, którego przeznaczenie nie ma nic wspólnego z techniką wojskową. Nie, tu musi chodzić o prywatne interesy. Nic innego niż chęć zysku - bezradnie wzruszył ramionami - ale i tego nie wiemy na pewno.

- No, dobrze. Tajemnicza organizacja ma sondę i jest w stanie odkryć bonanzę na dnie morza. Jak jednak dobierze się do niej?

- Nie jest w stanie - odparł Sandecker. - Bez skomplikowanego sprzętu jest to niemożliwe.

- Przepraszam, admirale - rzekł Pitt - ale zgubiłem się.

- No, dobrze. Wyjaśnię ci - zdecydował admirał. - Pięć tygodni temu odebrałem od Matajica meldunek. O'Riley zajmował się właśnie badaniami, gdy spostrzegł, że do północnego skraju ich kry przybił trawler rybacki. Ponieważ był osobą towarzyską, wrócił do bazy i powiadomił Matajica. Następnie obaj udali się z powrotem na miejsce badań, aby grzecznie zapytać rybaków, czy przypadkiem nie potrzebują pomocy. Matajic mówił, że to jakaś dziwna cywilbanda. Statek miał islandzką banderę, ale załoga składała się w większości z Arabów. Resztę stanowili reprezentanci przynajmniej sześciu narodowości, nie wyłączając amerykańskiej. Zdaje się, że spaliło się im łożysko w silniku. Zamiast dryfować, na czas naprawy woleli przycumować do kry, aby ludzie mogli rozprostować kości.

- Nie widzę w tym nic podejrzanego - stwierdził Pitt.

- Kapitan wraz z załogą zaprosił Matajica i O'Rileya na obiad. Wówczas ten przejaw kurtuazji wydawał się zupełnie niewinny. Dopiero później okazało się, że był spowodowany chęcią niewzbudzenia podejrzeń. Dzięki zwykłemu zbiegowi okoliczności stało się odwrotnie.

- I nasi dwaj naukowcy trafili na listę tych, którzy zobaczyli coś, czego widzieć nie powinni.

- Zgadłeś. Kilka lat wcześniej Kristjan Fyrie gościł doktorów Hunnewella i Matajica na pokładzie swego jachtu. Zewnętrzny wygląd trawlera został oczywiście zmieniony, ale gdy tylko Matajic przekroczył próg salonu, natychmiast rozpoznał Laxa. Gdyby o tym nie wspomniał, żyłby do dzisiaj, podobnie jak O'Riley. Niestety zadał niewinne pytanie: dlaczego dumny komfortowy Lax, jakiego pamiętał, przeistoczył się w zwykły trawler rybacki? I niewinne pytanie spowodowało tragiczne następstwa.

- Przecież już wtedy można było ich zamordować, obciążyć ciała i wyrzucić za burtę. Nikt by się o niczym nie dowiedział.

- Co innego, gdy znika na morzu statek, nawet z całą załogą gazety po tygodniu

przestają o tym pisać - a co innego, gdy ginie dwóch ludzi, wykonujących zadanie dla rządu. Prasa przez lata próbowała by rozwiązać zagadkę nagłego porzucenia polarnej stacji badawczej. Jeśli Matajic i O'Riley mieli być wyeliminowani, musiało to nastąpić w mniej podejrzanych okolicznościach.

- W takich jak na przykład katastrofa samolotu, który zostaje zestrzelony.

- To pomału staje się regułą - zauważył Sandecker. - Dopiero po powrocie do bazy Matajic zaczął nabierać wątpliwości. Kapitan zbył jego pytanie odpowiedzią, że jego statek i Lax były bliźniaczymi jednostkami. Matajic uznał, że jest to możliwe. Ale jeżeli ten statek zarabiał jako trawler rybacki, gdzie były ryby? A on nie poczuł nawet najmniejszego ich zapachu. Usiadł więc przy nadajniku i skontaktował się ze mną w NUMA. Opowiedział całą historię, włącznie ze swoimi podejrzeniami, i zasugerował, żeby Straż Wybrzeża przeprowadziła rutynową kontrolę trawlera. Poleciałem, aby się z tym wstrzymali do czasu powrotu do Waszyngtonu, a tymczasem wysłałem po nich samolot transportowy. - Sandecker znów strząsnął do kosza popiół z cygara. - Było jednak za późno. Kapitan trawlera musiał przechwycić meldunek Matajica. Wprawdzie pilot doleciał na krę i odebrał ich, lecz później po całej trójce ślad zaginął.

Admirał sięgnął do wewnętrznej kieszeni po złożoną, nieco zmiętą kartkę.

- To jest zapis ostatniego meldunku od Matajica.

Pitt wziął papier i rozłożył go na biurku. Wiadomość brzmiała: Mayday! Mayday! Skurwiel atakuje. Jest czarny. Pierwsza cyfra silnika to... Słowa nagle się urywały.

- I znów pojawia się czarny odrzutowiec.

- Dokładnie. Mając z głowy jedyne go świadka, kapitanowi pozostawał jeszcze problem Straży Wybrzeża. Był pewien, że pojawi się lada chwila.

Pitt z zaciekawieniem przyglądał się Sandeckerowi.

- Ale Straż Wybrzeża nie pojawiła się. Bo nikt jej o to nie poprosił. Należy ci się jeszcze wyjaśnienie, z jakiego powodu niczego nie ujawniłem, mimo iż wiedziałem, że z zimną krwią zamordowano trzech reprezentantów NUMA. Powiem ci więc, że wtedy sam nie wiedziałem dlaczego. - Opieszałość nigdy nie cechowała Sandeckera. Zazwyczaj podejmował decyzje i uderzał z prędkością pioruna. Chyba nie chciałem, aby odpowiedzialne za to skurwiele dowiedziały się, jak bardzo powiódł się ich plan. Myślałem, że najlepiej będzie potrzymać ich w niepewności. Przyznaję, to było błędzenie we mgle; ale istniała minimalna możliwość, że jeśli nie włożę do grobu Matajica i O'Rileya, wykonają jakiś nagły ruch, który da nam cień szansy na zidentyfikowanie ich.

- Jak więc pan doprowadził do wszczęcia poszukiwań?

- Powiadomiłem wszystkie jednostki poszukiwawcze i ratunkowe północnego okręgu o zgubieniu przez badawczy statek NUMA ważnego urządzenia, które oczywiście poszło na dno. Podąłem im, rzecz jasna, przypuszczalny kurs samolotu i czekałem na meldunki o znalezieniu zguby. Żaden jednak nie nadszedł. - Sandecker machnął cygarem, jak gdyby wyrażając swoją bezradność. - Czekałem też na wiadomość o zauważeniu trawlera, którego kadłub przypominałby profil Laxa. Ale interesujący mnie statek również wyparował jak kamfora.

- To dlatego był pan absolutnie pewien, że wewnątrz góry lodowej znajduje się właśnie Lax.

- Powiedzmy, że byłem pewny w dziewięćdziesięciu procentach powiedział admirał. - Szukałem go bowiem także we wszystkich portach od Buenos Aires do Goose Bay na Labradorze. W dwunastu portach odnotowano wejście i wyjście islandzkiego trawlera rybackiego, którego sylwetka odpowiadała przebudowanemu poszyciu Laxa. Co więcej, statek pływał pod nazwą Surtsey. Dodam, że surtsey to po islandzku łódź podwodna.

- Rozumiem. - Pitt sięgnął po papierosa, lecz zaraz przypomniał sobie, że jest w cudzym ubraniu. - Rybak z północy raczej nie zapuszcza się na południowe wody. Jedynym rozsądnym tego wytłumaczeniem jest prowadzenie badań dna morskiego za pomocą sondy.

- To jest bajka o ciemnych pokojach - ryknął śmiechem Sandecker. - Otwieramy jeden po drugim nie wiedząc, ile jeszcze zostało do końca.

- Jest pan w kontakcie z kapitanem Koskim?

- Tak. Catawaba stoi obok wraka, który przeczesuje ekipa techniczna. Prawdę mówiąc, tuż przed twoim dramatycznym przebudzeniem otrzymałem od nich meldunek. Rozpoznano trzech członków załogi Fyriego. Reszta była zbyt spalona, aby dokonać identyfikacji.

- Zupełnie jak w opowiadaniu o duchach Edgara Allana Poe. Fyrie, jego ludzie i Lax znikają na morzu. Prawie rok później Lax już z inną załogą ukazuje się w pobliżu naszej stacji badawczej. Wkrótce potem ten sam statek zmienia się w doszczętnie spalony wrak, na którym znajdują się szczątki Fyriego i jego pierwotnej ekipy. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mocniej mnie korci, by złapać odrzutowiec do Tyler Field.

- Ostrzegłem cię.

Pitt leciutko dotknął ręką obandażowanej głowy w miejscu, gdzie była rana, i natychmiast wykrzywił kwaśno twarz.

- Czuję, że już niedługo się okaże, iż zgłosiłem się na ochotnika o jeden raz za dużo.

- Jesteś chyba najbardziej cholernym szczęściarzem na świecie rzekł Sandecker - skoro udało ci się przeżyć dwa zamachy na twoje życie w ciągu jednego poranka.

- Jeśli o tym mowa, jak się mają moi zaprzyjaźnieni policjanci? - Są przesłuchiwani. Nie dysponując gestapowskimi środkami nacisku, mam poważne wątpliwości, czy uda nam się z nich wydusić choćby imię, nazwisko i adres. Uparcie twierdzą, że i tak zginą, więc po co mają udzielać nam informacji.

- Kto prowadzi przesłuchania?

- Agenci NAW w naszej bazie lotniczej w Keflaviku. Blisko współpracujemy też z władzami Islandii; w końcu Fyrie był ich narodowym idolem. Islandczycy są tak samo zainteresowani losami sondy i Laxa jak my. - Sandecker przerwał, aby usunąć z języka drobinę tytoniu. - Jeśli jesteś ciekaw, dlaczego NUMA jest w to wmieszana, zamiast pozostać na uboczu i gapić się na ganiających z wywieszonymi językami superagentów NAW, odpowiem jednym słowem: Hunnewell. Od miesięcy korespondował z naukowcami Fyriego, wspomagając ich swoją wiedzą, aby mogli osiągnąć ostateczny sukces w budowie sondy. To Hunnewell otrzymał w laboratorium celt-279. Tylko on miał pojęcie, y jak wygląda sonda, i tylko on potrafił ją zdemontować.

- Dlatego naturalnie musiał być pierwszy na pokładzie wraka. - Tak. Oczyszczony celt jest bardzo niestabilny. W szczególnych warunkach może eksplodować z siłą pięćdziesięcotonowej bomby fosforowej, jednakże charakterystyka jego wybuchu jest zasadniczo różna. Celt eksploduje stopniowo, spalając na popiół wszystko dookoła. W przeciwieństwie do innych materiałów wybuchowych, powstający przy jego eksplozji podmuch jest całkiem mały. Ma mniej więcej siłę wiatru o prędkości niespełna stu kilometrów na godzinę. Celt może stopić szybę okienną, lecz nie jest w stanie jej rozbić.

- A więc moja hipoteza użycia miotacza płomieni okazała się nic niewarta. To wybuch sondy zmienił Laxa w płonący stos.

- Ciepło, coraz cieplej - uśmiechnął się Sandecker. - Ale to oznacza, że sonda została zniszczona.

Admirał przytaknął, z jego twarzy nagle zniknął uśmiech.

- Wszystko obróciło się wniwecz, sonda, mordercy, wyniki ich poszukiwań podwodnego skarbu, wszystko na nic. Niepowetowana strata.

- Możliwe, że stojąca za tym organizacja ma plany sondy.

- To jest więcej niż pewne. - Umilkł na moment. Nagle stał się jakby nieobecny duchem. - Dużo im z tego przyjdzie. Hunnewell był jedynym człowiekiem na Ziemi, który potrafił otrzymać celt-279. Często mawiał, iż jest to tak proste, że wszystko ma w głowie.

- Głupcy - mruknął Pitt. - Mordując Hunnewella, pozbyli się klucza do zbudowania nowej sondy. Ale dlaczego? Przecież nie stanowił dla nich żadnego zagrożenia. Chyba że znalazł na wraku coś, co mogło naprowadzić na trop organizacji i jej supermózgu.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Sandecker bezradnie wzruszył ramionami. - Podobnie jak nie wiem, kto usunął czerwoną farbę z góry lodowej.

- Ja natomiast chciałbym wiedzieć, co, do diabła, mam teraz robić - powiedział Pitt.

- Ten drobny problem rozwiązałem za ciebie. Major spojrzał na niego sceptycznie.

- Mam nadzieję, że nie jest to jedna z pana słynnych przysług. - Sam mówiłeś, że chciałbyś poznać zimną krew pięknych Islandek.

- Zmienia pan temat. - Pitt przypatrywał się admirałowi. - Już wiem. Zamierza pan przedstawić mnie jakiejś krzepkiej, szarookiej przedstawicielce rządu islandzkiego, która przez pół nocy będzie mnie zameczała konwersacją, jaką odbyłem już sto tysięcy razy. Przykro mi, admirale, ale wypisuję się z tego.

Sandecker westchnął i zmrużył oczy.

- Jak chcesz. Jeśli chodzi o ścisłość, dziewczyna, którą miałem na myśli, nie jest krzepką urzędniczką państwową o szarych oczach. Ta młoda dama przypadkowo jest najpiękniejszą kobietą na północ od sześćdziesiątego drugiego równoleżnika i mógłbym dodać, że najbogatszą.

- Naprawdę? - Pitt nagle ożywił się. - Jak ma na imię?

- Kirsti - rzekł Sandecker z przebiegłym uśmiechem. - Kirsti Fyrie, bliźniacza siostra Kristjana Fyrie.

## ROZDZIAŁ 8

Gdyby restaurację Snorri's w całości przenieść z Reykjavíku do któregośkolwiek z renomowanych, wielkomiejskich centrów światowego epikureizmu, natychmiast spotkałoby się to z powszechnym uznaniem. W wielkiej sali, stylizowanej na wnętrze wikingów, ziejąca ogniem palenisk kuchnia sąsiadowała z częścią jadalną nie dalej niż o dwa metry. Wyłożone drewnem ściany, bogato rzeźbione drzwi i belkowanie stwarzały nader sprzyjającą atmosferę do zjedzenia eleganckiej kolacji bez uczucia skrępowania. Starannie dobrany zestaw dań oraz długi na całą ścianę stół z ponad dwustoma zimnymi zakąskami tradycyjnej kuchni islandzkiej usatysfakcjonowałyby podniebienie najwybredniejszego smakosza.

Pitt zlustrował zatłoczoną salę jadalną. Stoliki były zajęte przez śmiejących się, rozgadanych Islandczyków oraz ich smukłe, śliczne kobiety. Major stał, przyglądając się widokowi eleganckiego lokalu, jego nozdrza drażniły zapachy doskonałych potraw. Błyskawicznie pojawił się maitre d'hôtel, mówiąc coś po islandzku. Pitt przecząco pokręcił głową i skierował dłoń na admirała Sandeckera oraz Tidi Royal, siedzących wygodnie przy zacisznym stoliku niedaleko baru. Ruszył w ich kierunku.

Sandecker jednym skinieniem ręki wskazał Pittowi fotel naprzeciwko Tidi i zatrzymał przechodzącego kelnera.

- Spóźniłeś się dziesięć minut.

- Przepraszam - rzekł Pitt. - Poszedłem na spacer do ogrodów Tjarnargardar i trochę zwiedzałem.

- Zdaje się, że znalazłeś sklep dla rasowych światowców zauważyła Tidi. Z aprobatą przyjrzała się garderobie Pitta, składającej się z wełnianego golfa, sztruksowej marynarki z paskiem i grubych spodni w kratę.

- Miałem dość chodzenia w pożyczonych lachach - odrzekł z uśmiechem.

Sandecker spojrzał na kelnera.

- Jeszcze dwa razy to samo. Co dla ciebie, Dirk? - A co tu się pije?

- Holenderski dzin, sznapsa, jeśli wolisz. Doskonale pasuje do islandzkiej kuchni.

- Nie, dziękuję - wydał wargi Pitt. - Ja zostanę przy tym, co najbardziej lubię: cutty sark z lodem.

Kelner kiwnął głową i odszedł.

- Gdzie jest ta niezwykła istota, o której tak wiele słyszałem? spytał Pitt.

- Panna Fyrie powinna tu być lada chwila - odparł Sandecker. - Tuż przed napaścią Hunnewell powiedział, że siostra Fyriego jest misjonarką na Nowej Gwinei.

- Tak, nic więcej o niej nie wiadomo. Prawdę mówiąc, do momentu otwarcia testamentu, w którym Fyrie czynił ją jedyną spadkobierczynią, bardzo niewielu ludzi w ogóle wiedziało o jej istnieniu. Pewnego dnia pojawiła się w Fyrie Limited i przejęła rządy tak gładko, jak gdyby sama zbudowała to imperium. Niech ci nic głupiego nie przychodzi do tej lubieżnej głowy. Ona jest równie bystra jak jej brat.

- Po co te instrukcje? Mówi pan, żebym trzymał się od niej z daleka, a jednocześnie mam odgrywać rolę uroczego bon vivanta. Bądź miły, ale nie za bardzo. Wybrał pan niewłaściwego kandydata. Uważam, że daleko mi do klasy Paula Newmana czy Dona Johnsona, lecz jeśli chodzi o kobiety, jestem bardzo wybredny. Nie rzucam się na każdą dziewczynę w polu widzenia, a zwłaszcza na taką, która jest wiernym odbiciem swego brata, spędziła pół życia jako misjonarka i za pomocą kija prowadzi wielką korporację. Przykro mi, admirale, lecz panna Fyrie raczej nie jest w moim typie.

- To jest obrzydliwe - powiedziała Tidi, unosząc wysoko brwi nad wielkimi brązowymi oczami. - NUMA ma zajmować się badaniami oceanów, a wasza dyskusja bynajmniej nie ma charakteru naukowego.

Sandecker, który w mistrzowski sposób opanował mimikę twarzy, posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Sekretarek nie powinno być ani słycać, ani widać. Pojawienie się kelnera z drinkami uchroniło Tidi przed dalszym ciągiem reprimendy. Kelner z zawodową perfekcją rozstawił szklaneczki na stoliku i odszedł.

Admirał odprowadził go wzrokiem na bezpieczną odległość, po czym zwrócił się ponownie do Pitta.

- Niemal czterdzieści procent przedsięwzięć podejmowanych przez NUMA dotyczy eksploatacji dna morskiego. Rosjanie wyprzedzają nas w działaniach nawodnych. Ich wiedza na temat metod połowów rybackich jest znacznie większa od naszej. Ale w badaniach podwodnych są cholernie opóźnieni, zwłaszcza w dziedzinie sprzętu do eksploracji dna. To jest nasz silny punkt i chcemy zachować tę przewagę. Nasz kraj ma zasoby, lecz środki do ich eksploatacji ma Fyrie Limited. Z Kristjanem Fyrie łączyła nas bliska i dobra współpraca. Teraz jednak, gdy Kristjan jest już tylko wspomnieniem, nie ja chcę, by nasze wysiłki poszły na marne, a realizacja projektów wisiała na włosku wyłącznie z powodu bzdurnych nieporozumień finansowych. Rozmawiałem z panną Fyrie. Nagle nabrała dużej rezerwy. Mówi, że musi jeszcze raz przeanalizować wszystkie wspólne przedsięwzięcia jej firmy z naszym krajem.

- Wspomniał pan, że jest bystra - rzekł Pitt. - Może czeka na kogoś, kto zaoferuje

lepsze pieniądze. Nigdzie nie jest napisane, że musi być równie wspaniałomyślna jak jej brat.

- A niech to szlag - powiedział poirytowany Sandecker. Wszystko jest możliwe. Może ona nienawidzi Amerykanów?

- Nie ona jedna.

- Jeśli tak, to powinna mieć jakiś powód, a my musimy go poznać. - Dirk Pitt proszony na scenę. Wyjście z lewej kulisy.

- Tak jest. Nie licz jednak na owacje. Zwalniam cię z obowiązków w laboratorium morskim w Kalifornii i przydzielam zadanie tutaj. Tylko nie baw się w tajnego agenta, gdy będziesz je wykonywał. Spisek i trupy zostaw Narodowej Agencji Wywiadowczej. Masz występować wyłącznie jako dyrektor do zadań specjalnych NUMA i nic więcej. Jeżeli natrafisz na jakąkolwiek informację, która może doprowadzić do zabójców Fyriego, Hunnewella i Matajica, masz ją natychmiast przekazać.

- Przekazać? Komu? Sandecker wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Przed moim wyjazdem z Waszyngtonu NAW nie uznała za stosowne poinformować mnie o tym.

- Świetnie. Wobec tego dam w tutejszej gazecie ogłoszenie na całą stronę - rzekł z przekąsem Pitt.

- Nie radzę - odparł admirał. Pociągnął ze szklaneczki solidny łyk i wykrzywił twarz.

- Boże, co oni widzą w tym świństwie. Wypił jeszcze jeden łyk, tym razem wody. - Pojutrze muszę być w Waszyngtonie. Mam więc wystarczająco dużo czasu, aby otworzyć przed tobą parę drzwi.

- Do sypialni panny Fyrie?

- Do Fyrie Limited. Zorganizowałem małą wymianę naukową. Zabieram do Stanów ich głównego inżyniera, aby zapoznał się z naszymi technologiami, natomiast ty będziesz tutaj zaznajamiał się z ich osiągnięciami technicznymi. Twoim głównym zadaniem będzie przywrócenie dobrych stosunków, jakie kiedyś łączyły nas z kierownictwem Fyrie Limited.

- Skoro ich zarząd chłodno potraktował pana oraz NUMA, dlaczego panna Fyrie nie odmówiła spotkania się z nami dziś wieczorem?

- Z czystej grzeczności. Doktor Hunnewell i jej brat byli przyjaciółmi. Śmierć Hunnewella oraz twoja bohaterska, niestety nieudana, próba uratowania mu życia podziałały na jej kobiecą wrażliwość. Krótko mówiąc, nalegała na spotkanie z tobą.

- Zdaje się, że ona jest skrzyżowaniem Katarzyny Wielkiej z matką Teresą z Kalkuty - stwierdziła złośliwie Tidi.



- Nie mogę się doczekać, aby stanąć przed obliczem nowego szefa - powiedział Pitt. Sandecker przytaknął.

- Staniesz dokładnie za pięć sekund. Właśnie weszła.

Pitt odwrócił się, podobnie jak wszyscy mężczyźni obecni na sali. W hallu pojawiła się niesamowicie piękna, bardzo wysoka i bardzo jasna blondynka, ucieleśnienie kobiecej doskonałości. Stała w pozie modelki ze zdjęć w najlepszych magazynach mody. Jej posągową figurę okrywała fioletowa aksamitna sukienka ozdobiona na brzegach i rękawach ludowym haftem. Widząc skinienie ręki Sandeckera, ruszyła do ich stolika płynnym krokiem, w którym wdzięk baleriny łączył się z energią wyczynowej zawodniczki. Kobiety siedzące w restauracji przez cały czas przyglądały się jej z instynktowną zazdrością.

Pitt odsunął krzesło i wstał, wpatrując się w jej twarz do chwili, gdy się zbliżyła. Zaintrygował go odcień jej skóry. Delikatna opalenizna, mimo że bardzo wyraźna, jakoś nie pasowała do stereotypowego wyobrażenia Islandki, która dużą część życia spędziła w głuszy na Nowej Gwinei. Efekt jednak był porażający. Blond włosy układające się w zwykłą, lecz bardzo starannie dopracowaną fryzurę oraz ciemnofioletowe oczy z doskonale dobranym do nich kolorem sukienki należały, mówiąc oględnie, do zupełnie innej kobiety niż wyobrażał sobie Pitt.

- Droga panno Fyrie, jestem zaszczycony, że zechciała pani zjeść z nami kolację. - Admirał Sandecker ucałował jej dłoń. Następnie odwrócił się do Tidi, ukrywającej twarz pod maską uprzejmości. Pozwoli pani, że przedstawię moją sekretarkę, pannę Tidi Royal.

Obie kobiety wymieniły grzeczności z typowym dla własnej płci chłodem w tego rodzaju sytuacjach.

Admirał Sandecker zwrócił się w stronę Pitta.

- A to jest major Dirk Pitt, prawdziwa siła napędowa przedsięwzięć mojej agencji.

- Więc to jest ten dzielny człowiek, o którym tak wiele mi pan opowiadał. - Miała niski, bardzo zmysłowy głos. - Jest mi ogromnie przykro z powodu śmierci doktora Hunnewella. Mój brat go wyjątkowo cenił.

- Nam również jest przykro - powiedział Pitt.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której przyglądali się sobie. Kirsti Fyrie patrzyła z namysłem, wzrokiem, który zdawał się wyrażać nieco więcej niż tylko spowodowane grzecznością zainteresowanie. Pitt spoglądał z analitycznym, męskim uznaniem.

On też przerwał ciszę.

- Tak się pani przyglądam, ponieważ admirał Sandecker nie ostrzegł mnie, że

właścicielka Fyrie Limited ma mistyczne oczy.

- Słyszałam już komplementy z ust mężczyzn, majorze Pitt. Jednak pan pierwszy określił moje oczy jako mistyczne.

- To jest czysto akademickie stwierdzenie. Oczy są kluczem do tajemnic, które człowiek pragnie ukryć przed otoczeniem.

- Jakież to mroczne cienie widzi pan w głębi mojej duszy?

- Gentleman nigdy nie ujawnia kobiecych sekretów - rzekł ze śmiechem. Zaproponował jej papierosa, lecz odmówiła przeczeniem głowy. - Mówiąc poważnie, nasze oczy mają coś wspólnego.

- Oczy panny Fyrie są fiołkowe - powiedziała Tidi - a twoje zielone. Co więc mają wspólnego?

- Oczy panny Fyrie, podobnie jak moje, mają kreseczki idące od tęczy do źrenicy. Niektórzy nazywają je iskierkami. - Przerwał, by zapalić papierosa. - Wiem z najbardziej kompetentnego źródła, że iskierki są oznaką siły psychicznej.

- Czy jest pan jasnowidzem? - zapytała Kirsti.

- Z przykrością przyznaję, że na tym polu ponoszę porażki odparł Pitt. - Zawsze przegrywam w pokera, bo nie mogę się zdecydować, czy zaglądać do głowy partnera, czy do jego kart. A pani potrafi przepowiadać przyszłość, panno Fyrie?

Spostrzegł, że w jej oczach na ułamek sekundy pojawił się cień.

- Znam swoje przeznaczenie, lecz mimo to nie jestem w stanie go zmienić.

Ciemna, roześmiana twarz Pitta ani na chwilę nie zmieniła wyrazu, gdy jej właściciel usiłował zajrzeć do środka duszy, by odkryć tajemnicę jej wiecznej wędrówki. Pochylił się nad stołem, ich oczy dzieliły ledwie centymetry, zieleń wpatrywała się w fiolet.

- Rozumiem, że zazwyczaj dostaje pani to, co chce? - Tak! - odpowiedziała bez chwili wahania.

- A gdybym powiedział, że nigdy nie poszedłbym z panią do łóżka? - Domyślam się, jakiej odpowiedzi spodziewa się pan teraz ode mnie, majorze - odrzekła z prowokującym wyrazem twarzy. Gdybym rzeczywiście pragnęła pana i pańskiego zainteresowania, kierowałabym się wyłącznie chęcią odniesienia korzyści. Nie, nader rzadko zwracam sobie głowę czymś, na co nie mam ochoty. Dlatego całkowicie ignoruję pana pustą deklarację.

Pitt zachowywał się tak, jakby atmosfera spotkania była pozbawiona jakiegokolwiek napięcia.

- Dlaczego nie uważam pani za świetny towar? - Świetny towar? - zapytała nie rozumiejąc.

- Tak żargonowo określa się atrakcyjną dziewczynę - głos Tidi Royal był słodki jak czekolada z chrzanem.

Admirał Sandecker poczuł nagle niepohamowaną potrzebę chrząknięcia. Zastanawiał się, co się stanie, jeżeli konwersacja dalej potoczy się tym samym torem.

- Uważam, że starszy pan, taki jak ja, nie musi powstrzymywać głodu, przysłuchując się waszej swobodnej wymianie zdań. Zwłaszcza że trzy metry dalej czeka niecierpliwie olbrzymi stół zastawiony pysznym jedzeniem.

- Pozwólcie, państwo, że was zaproszę do spróbowania zimnych dań kuchni islandzkiej - powiedziała Kirsti. - Mam nadzieję, że upodobania kulinarne majora Pitta są bardziej tradycyjne niż jego preferencje erotyczne.

- Poddaję się! - roześmiał się Pitt. Wstał i odsunął krzesło Kirsti. - Od tej pory moje zachowanie zawsze już będzie wstrzemięźliwe.

Rozmaitości dań rybnych nie było końca. Pitt naliczył ponad dwadzieścia różnych potraw z łososia i prawie piętnaście z dorsza, a były to zaledwie dwa gatunki morskiej fauny. Wrócili do stolika z górą zakąsek na talerzach.

- Widzę, majorze, że bardzo smakuje panu nasz suszony rekin. Oczy Kirsti uśmiechały się.

- Wiele słyszałem o waszych sposobach przyrządzania ryby rzekł Pitt. - Teraz mam okazję przekonać się o tym.

Gdy zjadł kilka kawałków mięsa rekina, śliczne oczy przestały się uśmiechać, wyrażały już tylko zdziwienie.

- Czy na pewno zna pan przepis? - zapytała Kirsti.

- Oczywiście - odparł Pitt. - Zimnowodne gatunki rekina nie nadają się do natychmiastowego spożycia. Tniecie więc rybę na paski, na dwadzieścia sześć dni zakopujecie w piasku na plaży, a następnie suszycie na wietrze.

- Pan je surowe mięso, wie pan? - upierała się Kirsti.

- A można jeść inne? - zapytał Pitt, nadziejąc na widelec następny kawałek.

- Panno Fyrie, niech pani nie próbuje go zaszokować.

Sandecker z obrzydzeniem spojrział na mięso rekina. - Szkoda czasu. Hobby Dirka to przyrządzanie wykwintnych potraw. Jego specjalnością są frutti di mare. Jest ekspertem, jeśli chodzi o przepisy na dania rybne z całego świata.

- Bardzo mi smakuje - powiedział Pitt w krótkiej przerwie przed kolejnym atakiem na talerz. - Uważam jednak, że rekin po malajsku ma lepszy aromat. Malajowie bowiem do suszenia owijają mięso rośliną morską o nazwie kolczatka. Dzięki temu staje się nieco

słodsze niż przysmak islandzki.

- Amerykanie przeważnie jedzą befsztyk lub kurczaka - stwierdziła Kirsti. - Pan jest pierwszym ze znanych mi pana rodaków, którzy wolą ryby.

- Niezupełnie - rzekł Pitt. - Jak większość moich rodaków, nad wszystko przedkładam dobrego, podwójnego hamburgera z frytkami i koktajlem czekoladowym.

Kirsti z uśmiechem spojrzała na Pitta.

- Powoli zaczynam utwierdzać się w przekonaniu, że jest pan szczęśliwcem, mającym żelazny żołądek.

Pitt wzruszył ramionami.

- Mam wujka, który uchodzi za czołowego bon vivanta San Francisco. Stosownie do moich skromnych możliwości staram się iść w jego ślady.

Pozostała część kolacji upłynęła niemal w milczeniu, wszyscy byli odprężeni miłą atmosferą i doskonałym jedzeniem. Dwie godziny później w czasie spożywania deseru - lodów w polewie truskawkowej przyrządzonych przez uczynnego szefa kuchni według przepisu Pitta Kirsti zaczęła przepraszać, iż musi wyjść o tak wczesnej porze.

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe, admirale, ale niestety już wkrótce będę musiała państwa pożegnać. Mój narzeczony uparł się zabrać mnie na wieczór poezji. Jestem tylko słabą kobietą i byłoby mi trudno odmówić jego życzeniu. - Posłała Tidi porozumiewawcze spojrzenie. - Panna Royal z pewnością doskonale rozumie moją sytuację.

Tidi natychmiast podchwyciła romantyczny wątek.

- Zazdroszczę pani, panno Fyrie. Narzeczony, który kocha poezję, to rzadka zdobycz. Admirał Sandecker uśmiechnął się szeroko i przystąpił do składania gratulacji.

- Najlepsze życzenia, panno Fyrie. Nie miałem pojęcia, że jest pani zaręczona. Kto jest szczęśliwym wybranym?

Admirał fantastycznie panuje nad sobą, pomyślał Pitt. Doskonale wiedział, że starszy pan osłupiał jak żona Lota, tyle że w przeciwieństwie do niej we właściwym momencie zachował zimną krew. Nowa sytuacja nieuchronnie prowadziła do następstw, których nikt nie potrafił przewidzieć. Pitt znów zaczął się poważnie zastanawiać, w co tu się gra.

- Rondheim, Oscar Rondheim - oświadczyła Kirsti. - Mój brat zapoznał nas listownie. Oscar i ja wymieniliśmy fotografie. Przez dwa lata korespondowaliśmy, zanim w końcu spotkaliśmy się.

Sandecker popatrzył na nią badawczo.

- Zaraz, zaraz - powiedział wolno. - Wydaje mi się, że go znam. Czy to nie on jest właścicielem międzynarodowej sieci wytwórni konserw? Rondheim Industries? A także floty rybackiej równej wielkością hiszpańskiej armadzie? Czy też myślę o innym Rondheimie?

- Nie, to ten sam - odparła Kirsti. - Siedziba jego firmy mieści się tu, w Reykjavíku.

- Niebieskie statki rybackie pod banderą z czerwonym albatrosem? - zapytał Pitt.

Kirsti przytaknęła.

- Albatros jest szczęśliwym znakiem Oscara. Zna pan jego kutry?

- Miałem okazję latać nad nimi.

Oczywiście, że Pitt znał te jednostki i ich banderę. Podobnie jak wszyscy rybacy z krajów na północ od czterdziestego równoleżnika. Rybacka flota Rondheima słynęła z rabunkowej eksploatacji łowisk. Wyłapywała wszystko, do ostatniej ryby, rabowała sieci innych rybaków, natomiast swoje, charakterystycznie farbowane na czerwono, zastawiała na wodach terytorialnych innych państw. Albatros Rondheima cieszył się podobnym szacunkiem jak nazistowska swastyka.

- Fuzja Fyrie Limited i Rondheim Industries oznacza powstanie nowego, nadzwyczaj potężnego imperium - powiedział wolno Sandecker, jak gdyby zastanawiając się nad wynikającymi z tego konsekwencjami.

Myśli Pitta biegły tym samym torem. Nagle musiały zatrzymać się pod sygnałem, który machnięciem ręki dała Kirsti.

- Przyszedł. Tam jest!

Odwrócili się w kierunku wskazanym przez jej wzrok, dostrzegając wysokiego, siwego i bardzo dystyngowanego mężczyznę, zmierzającego do nich energicznym krokiem. Był raczej młody - późna trzydziestka - miał surową twarz, którą przez lata smagały słone wiatry i morskie zawieruchy, niebieskoszare oczy oraz wąski, mocny nos. Jego usta miały łagodny kontur, który jednak, w mniemaniu Pitta, w godzinach pracy błyskawicznie stawał się ostry i agresywny. Major instynktownie uznał go za przebiegłego, trudnego przeciwnika. Postanowił nigdy nie odwracać się do niego plecami.

Rondheim stanął przy stoliku, pokazując w serdecznym uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Kirsti, kochanie, cudownie dziś wyglądasz. - Objął ją z wyraźną afektacją.

Pitt czekał, na kogo teraz skierują się niebieskoszare oczy; na niego czy admirała.

Nie zgadł. Rondheim zwrócił uwagę na Tidi. - A kim jest ta śliczna, młoda dama?

- To sekretarka admirała Sandeckera, panna Tidi Royal powiedziała Kirsti. -

Pozwolą państwo, że przedstawię Oscara Rondheima.

- Panno Royal - skłonił się lekko Rondheim - jestem oczarowany pani niezwykle interesującymi oczyma.

Pitt musiał zasłonić usta serwetką, żeby nie parsknąć śmiechem. - Zdaje się, że to jest moja domena.

Tidi zaczęła chichotać. Sandecker zawtórował jej śmiechem, który natychmiast zwrócił uwagę towarzystwa przy sąsiednich stolikach. Pitt nie odrywał wzroku od Kirsti. Zaintrygował go niemal paniczny strach, jaki przemknął przez jej twarz, zanim zdołała zmusić się do niewyraźnego uśmiechu i uległa ogólnemu rozbawieniu.

Rondheim jednak nie poddał się wesołości. Stał ze ściśniętymi ze złości wargami, spoglądając zakłopotanym, nerwowym wzrokiem na admirała i jego współpracowników. Niepotrzebne były zdolności telepatyczne, aby zauważyć, iż Oscar Rondheim nie był przyzwyczajony, by śmiano się z jego powodu.

- Czy powiedziałem coś zabawnego? - zapytał.

- Zdaje się, że jest to wieczór komplementów pod adresem kobiecych oczu - rzekł Pitt.

Kirsti wytłumaczyła Rondheimowi, o co chodzi, i pośpiesznie przedstawiła admirała Sandeckera.

- To naprawdę wielka przyjemność poznać pana, admirale. Oczy Rondheima znów były chłodne i spokojne. - Jako żeglarz i oceanograf cieszy się pan powszechnym uznaniem wśród morskiej braci.

- Pana sława w tych kręgach jest także bardzo duża, panie Rondheim. - Admirał podał mu rękę, po czym wskazał na Pitta. To jest major Dirk Pitt, mój dyrektor do zadań specjalnych.

Rondheim przez chwilę przyglądał się Pittowi, dokonując zimnej, zawodowej oceny stojącego przed nim mężczyzny. Następnie wyciągnął dłoń.

- Witam pana.

- Bardzo mi miło. - Pitt skrzywił się, gdy Rondheim jak kleszczami ścisnął mu rękę. Miał ochotę zrobić to samo, zdecydował jednak, że jego dłoń okaże siłę co najwyżej śniętej ryby. - Wielkie nieba, pan jest niezwykle silnym mężczyzną.

- Przepraszam, majorze - rzekł zaskoczony i wyraźnie zde gustowany Rondheim, cofając rękę, jakby poraził go prąd. - Ludzie, którzy dla mnie pracują, są twardzi i tak też trzeba ich traktować. Gdy schodzę ze statku rybackiego, bardzo często zapominam się, grzesząc niewyszukanymi manierami.

- Na litość boską, wcale nie musi się pan usprawiedliwiać. Podziwiam silnych mężczyzn. - Pitt, przebierając palcami, potrząsał uniesioną dłonią. - Nic się nie stało, skoro nadal będę w stanie trzymać pędzel.

- Pan maluje, majorze? - spytała Kirsti.

- Tak, głównie pejzaże. Lubię także układać kompozycje kwiatowe. Kwiaty inspirują duszę, nie sądzi pani?

Kirsti patrzyła na niego z ciekawością.

- Z przyjemnością obejrzę kiedyś pana prace.

- Niestety wszystkie moje obrazy zostały w Waszyngtonie. Będąc tutaj, z radością zaprezentuję pani moje malarskie impresje na temat Islandii. - Kobięcym gestem przytknął palec do ust. - Akwarele, tak, to jest to. Namaluję serię akwarel. Być może zechce je pani powiesić w gabinecie.

- Jest pan bardzo miły, lecz nie mogłabym przyjąć...

- Bzdury - wpadł jej w słowo Pitt. - Islandia ma przepiękną linię brzegów. Po prostu umieram z chęci sprawdzenia, czy jestem w stanie uchwycić w eksplozji naturalnego światła i barw przeciwstawne żywioły morza i lądu, zestawione w jednym miejscu skały i wodę.

Kirsti uśmiechnęła się uprzejmie.

- Jeśli pan nalega, ale musi pan jednak zgodzić się na rewanż z mojej strony.

- Proszę tylko o jedno, o łódź. Aby oddać piękno islandzkich brzegów, muszę je malować od strony morza. Nie musi być specjalnie luksusowa, wystarczy mały jacht motorowy.

- Proszę zgłosić się do mojego przystaniowego, majorze. Jacht będzie czekał na pana. - Zawahała się na moment, gdy Rondheim niespokojnie wstał. Jedną rękę położył na ramieniu narzeczonej, a drugą ujął ją za szyję. - Nasze łodzie są przycumowane na przystani Pier Twelve - dokończyła.

- Chodź, kochanie - łagodnie powiedział Rondheim, znów błyskając bielą zębów. - Dziś wieczorem Max odczyta fragmenty swojego nowego tomiku poezji. Nie możemy się spóźnić. - Zacisnął rękę na jej szyi. Kirsti zamknęła oczy. - Mam nadzieję, że mili państwo nam wybaczą.

- Naturalnie - rzekł Sandecker. - To były urocze dwie godziny, panno Fyrie. Dziękuję, że zechciała pani spotkać się z nami.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Rondheim wpakował rękę pod ramię Kirsti i wyprowadził ją z sali restauracyjnej. Gdy tylko zniknęli za drzwiami, Sandecker

rzucił serwetkę na stół.

- Dobra, Dirk, może wytłumaczysz mi swoje dziwne zachowanie. - Jakie dziwne zachowanie?

- Podziwiam silnych mężczyzn - admirał ze złością naśladował głos Pitta. - Co to za pedalska gadanina, do cholery? Brakowało tylko cienkiego głosiku.

Pitt pochylił się, opierając łokcie na stoliku. Miał śmiertelnie poważną twarz.

- Bywają sytuacje, w których znacznie korzystniej jest być niedocenionym. To była taka sytuacja.

- Rondheim?

- Dokładnie. On jest przyczyną nagłej odmowy współpracy Fyrie Limited ze Stanami Zjednoczonymi i NUMA. Ten człowiek nie jest głupcem. Gdy ożeni się z Kirsti Fyrie, kontrola dwóch największych na świecie prywatnych korporacji znajdzie się w jednych rękach. Konsekwencje tego mogą być niewyobrażalne. Islandia z jej rządem jest zbyt słabym partnerem, jest zbyt uzależniona ekonomicznie od przyszelego kartelu Fyrie-Rondheim, żeby choć werbalnie przeciwstawić się oddaniu kontroli nad państwem tej finansowej potędze. Następnie, przy właściwej strategii, nastąpi przejęcie Wysp Owczych i Grenlandii, tym samym Rondheim obejmie panowanie nad północnym Atlantykiem. A później Bóg tylko raczy wiedzieć, w jakim kierunku pójda jego ambicje.

- Twoje wnioski są zbyt daleko posunięte - pokręcił głową Sandecker. - Kirsti Fyrie nigdy nie dopuści do międzynarodowej konfrontacji.

- Nie będzie miała nic do powiedzenia - rzekł Pitt. - W małżeństwie decyduje silniejsza osobowość.

- Miłość zaślepia zakochaną kobietę. To masz na myśli?

- Nie - odparł Pitt. - Uważam, że miłość nie jest fundamentem tego związku.

- Widzę, że jesteś również ekspertem w sprawach sercowych powiedział z przekąsem Sandecker.

- Skądże znowu - Pitt uśmiechnął się. - Mamy jednak szczęście, ponieważ jest z nami znawca tych spraw, wyposażony na dodatek w naturalną intuicję - rzekł, zwracając się do Tidi. - Czy mogłabyś przedstawić nam swój kobiecy punkt widzenia, słoneczko?

Tidi skinęła głową.

- Kirsti Fyrie była przerażona. Sandecker spojrział na nią badawczo. - Co to znaczy?

- Dokładnie to, co powiedziałam - odparła stanowczo. - Panna Fyrie śmiertelnie bała się pana Rondheima. Nie widział pan, jak ścisnął ją za szyję? Jestem przekonana, że przez najbliższy tydzień będzie nosiła golfy, dopóki nie znikną siniaki.



- Jesteś pewna, że nie przesadzasz? Może jednak troszkę fantazjujesz?

Pokręciła przecząco głową.

- Zamknęła oczy, żeby nie krzyknąć.

Wzrok Sandeckera zapłonął nagłym gniewem.

- Kawał skurwysyna! - Uważnie spojrział na Pitta. - Zauważyłeś to?

- Tak.

- Dlaczego więc pozwoliłeś na to, do diabła? - zapytał z rosnącą złością.

- Musiałem - odrzekł Pitt. - W przeciwnym razie wypadłbym z roli. Rondheim ma niezaprzeczalne powody, aby uważać mnie za homoseksualistę. Nie chcę wyprowadzać go z błędu.

- Wolałbym być pewien, że masz chociaż blade pojęcie o tym, co robisz - powiedział admirał posepnie. - Uważam, że zapędziłeś się w ślepią uliczkę, idiotycznie podając się za artystę. Doskonale wiem, że nie umiesz narysować nawet kawałka prostej linii. Eksplozja naturalnego światła, mój Boże!

- Nie muszę umieć. Tidi wykona za mnie czarną robotę. Widziałem próbki jej talentu. Są całkiem dobre.

- Ja zajmuję się abstrakcją - oświadczyła z bolesnym wyrazem swej ładnej twarzy. - Nigdy nie próbowałam malować pejzażu z natury.

- Oszukaj trochę - powiedział Pitt, opanowany nagłym pomysłem. - Namaluj pejzaż abstrakcyjny. Przecież nie musimy olśnić kustosa Luwru.

- Nie mam czym. Poza tym pojutrze lecę z admirałem do Waszyngtonu. - Twój lot został właśnie odwołany. Prawda, admirał? Sandecker złożył dłonie i przez dłuższy czas medytował.

- W świetle faktów, z którymi zapoznaliśmy się w ciągu ostatnich pięciu minut, uznałem, że będzie najlepiej, jeśli pokręcę się tu przez kilka dni.

- Zmiana klimatu dobrze panu robi - powiedział Pitt. - Może pan nawet popłynąć na ryby.

Sandecker przyglądał się twarzy Pitta.

- Zabawy w ciotę, lekcje rysunków, wyprawy na ryby. Czy zechciałbyś poprawić starcowi samopoczucie i powiedzieć, co ci chodzi po tej twojej zmyślnej głowie?

Pitt podniósł szklanekę z wodą i ze smakiem wypił szlachetny płyn. - Czarny samolot - rzekł cicho. - Czarny odrzutowiec spoczywający w śmiertelnych objęciach wodnej czeluści.

## ROZDZIAŁ 9

Około jedenastej znaleźli Pier Twelve. Wysoki, śniady strażnik Fyrie Limited otworzył im szlaban wejściowy. Sandecker ubrany w stare, wymięte łachy i sflaczały, poplamiony kapelusz niósł skrzynkę ze sprzętem oraz wędzisko. Tidi miała na sobie luźne spodnie, bluzkę z grubej wełny i męski płaszcz przeciwsturmowy. Pod pachami trzymała szkicownik oraz teczkę, ręce wcisnęła głęboko do kieszeni sztormiaka. Wartownik wybałuszył oczy na zamykającego pochod Pitta, który szedł po nabrzeżu krótkim krokiem kobiety w wąskiej spódnicy. Jeśli Sandecker i Tidi mogli uchodzić za parę wędkarzy, to major wyglądał niczym królowa wiosny. Był ubrany w czerwone zamszowe botki, przeraźliwie wąskie, drelichowe spodnie w kolorowe prążki i purpurowy, elastyczny sweter. Całość uzupełniały równie gustowne dodatki: szeroki na pięć centymetrów pasek z grubej, ozdobnej tkaniny, żółta apaszka na szyi oraz wełniana czapeczka z dyndającym pomponem. Wdzięcznie mrugające oczy chroniły okulary, jakie zwykł nosić prezydent Benjamin Franklin. Z wrażenia strażnikowi opadła szczęka.

- Cześć, malutki - rzekł Pitt z przebiegłym uśmiechem. - Czy nasza łódź jest gotowa?

Strażnik wciąż miał otwarte ze zdziwienia usta. Tego, co widziały jego oczy, w żaden sposób nie potrafił przyswoić mózgi, który, cokolwiek by mówić, też należał do niego.

- No, co jest? - ponaglił Pitt. - Panna Fyrie była uprzejma pożyczyć nam jedną ze swoich łódek. Która to z nich? - Pitt z zainteresowaniem wpatrywał się w kroczki wartownika.

Strażnik drgnął, jakby go ktoś kopnął, i oprzytomniał. Reminiscencją jego poprzedniego stanu była już tylko twarz, na której malowało się bezmierne obrzydzenie. Nie odzywając się ani słowem, poprowadził ich w głąb przystani. Stanął trzydzieści metrów dalej i wskazał błyszczący, dziesięciometrowy jacht motorowy marki Chris Craft.

Pitt wskoczył na łódź i natychmiast zniknął pod pokładem. Po minucie był z powrotem na pomoście.

- Nie, nie, ta łódka mi zupełnie nie odpowiada. Jest zbyt ostentacyjnie luksusowa. Prawdziwa sztuka może powstawać tylko w twórczej atmosferze - rozejrzył się po przystani. - Może tamta łajba będzie się nadawała?

Zanim strażnik zdołał coś powiedzieć, Pitt w kilku susach pokonał szerokość pomostu i wszedł na pokład dwunastometrowej łodzi rybackiej. Obejrzał ją pobieżnie, po czym wystawił głowę przez właz.

- O to mi chodziło. Ma charakter, jest surowa i inspirująca. Bierzymy ją.

Strażnik wahał się przez chwilę. W końcu wykonał dziwny ruch, który miał oznaczać wzruszenie ramion, skinął przyzwalająco i poszedł do szlabanu. Co chwila odwracał się jednak, aby popatrzeć na Pitta, za każdym razem kręcąc przy tym głową.

- Dlaczego wybrałeś tę starą, brudną balię - zapytała Tidi, gdy wartownik oddalił się na bezpieczną odległość - a nie tamten śliczny jacht?

- Dirk wie, co robi. - Sandecker umieścił skrzynkę i spinning na deskach sfatygowanego pokładu. - Łódź ma echosondę?

- Fleming sześćdziesiąt jeden, najdroższy model. Ultraczyła, do wykrywania ryb na różnych głębokościach. Mieliliśmy szczęście, że trafiliśmy na tę krypę. - Wskazał na wąskie zejście pod pokład. Niech pan zajrzy do maszynowni, admirale.

- Zrezygnowaliśmy z pięknego chris crafta tylko dlatego, że nie miał echosondy? - zapytała rozczarowana Tidi. . - Tak jest - odparł Pitt. - Jedynie echosonda daje nam pewną szansę na odnalezienie czarnego samolotu.

Pitt odwrócił się i poprowadził Sandeckera na dół do maszynowni. Stęchłe powietrze, wilgoć panująca na dnie łodzi i zapach smarów utrudniały oddychanie, drastycznie kontrastując z krystaliczną atmosferą na zewnątrz. Wyczuwalna była jeszcze inna woń. Sandecker pytająco spojrzał na Pitta.

- Spaliny benzynowe? Pitt potaknął.

- Niech pan rzuci okiem na silniki.

Motor Diesla jest najlepszym źródłem napędu dla niedużej łodzi, zwłaszcza rybackiej. Ten ciężki, niskoobrotowy, wolny, tani w eksploatacji i niezawodny silnik montuje się na niemal wszystkich zarobkowo pływających jednostkach, z wyjątkiem żaglowców oraz tej łodzi. Ustawione obok siebie, z pogrążonymi w wodzie śrubami, dwa lśniące w półmroku maszynowni czterystudwudziestokonne benzynowe silniki marki Sterling niczym para śpiących olbrzymów czekały na przebudzenie, aby w akcji pokazać swą przerażającą moc.

- Po co tej płaskodence tak potężne silniki? - cicho spytał zdziwiony Sandecker.

- Na dwoje babka wróżyła - mruknął Pitt - ale zdaje się, że ten strażnik to cymbał.

- Dlaczego?

- Na półce w kabynie głównej znalazłem proporczyk z albatrosem. Pitt przeciągnął dłoń po jednym z zasilających przewodów paliwowych; był wystarczająco czysty, by sprostać wymogom każdej inspekcji wojskowej.

- Ta łódź należy do Rondheima, a nie do Kirsti.

- Panna Fyrie - rzekł Sandecker po chwili namysłu - odesłała nas do swojego

przystaniowego. On jednak z nieznanego powodu był nieobecny i za przystań odpowiadał ten gbur z brązowymi od tytoniu wąsami. Interesuje mnie tylko jedno: czy przypadkiem nie zostajemy wpuszczeni w kanał?

- Nie sądzę - odparł Pitt. - Rondheim niewątpliwie będzie miał nas na oku, ale jak dotąd nie daliśmy mu najmniejszego powodu do podejrzeń. Wartownik autentycznie pomylił się. Nie miał szczegółowych instrukcji, więc prawdopodobnie myślał, że otrzymaliśmy zgodę na zabranie z przystani którejkolwiek łodzi. Zatem, na początek, z oczywistych powodów pokazał nam najlepszą. Scenariusz nie przewidywał, że wybierzemy akurat to cacko.

- Co ona tu robi? Rondheim ma chyba wystarczająco dużo miejsca w swojej przystani?

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział Pitt z szerokim uśmiechem. - Skoro kluczyki są w stacyjce, proponuję wynieść się stąd, zanim strażnik zmieni zdanie.

Admirałowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Aby osiągnąć słuszny - w jego mniemaniu - cel, potrafił uciec się do najbardziej przemyślnych krętaństw, w których wymyślaniu był arcymistrzem. Poprawił zdezelowany kapelusz i nie tracąc więcej czasu, wydał pierwszą komendę na nowo przejętej pod swoje dowództwo jednostce.

- Cumy rzuć, majorze. Jestem bardzo ciekaw, do czego są zdolne te sterlingi.

Dokładnie po upływie minuty do pomostu biegł strażnik, machając rękami jak oszalały. Było jednak za późno. Stojący na pokładzie Pitt, jak gdyby kierowany grzecznością, odwzajemnił gest, choć ze znacznie mniejszą częstotliwością ruchów ręki. Tymczasem Sandecker uruchomił silniki i szczęśliwy jak dziecko, które dostało nową zabawkę, wyprowadzał z portu niepozorną łajbę, szybkością dorównującą barakudzie.

Łódź nosiła nazwę Grimsi. Miała malutką kwadratową sterówkę usytuowaną zaledwie półtora metra od końca rufy. Dzięki temu wydawało się, że Grimsi płynie w odwrotnym kierunku, niż planował kładący stępkę stoczniowiec. Była bardzo starą łodzią, rówieśniczką antycznego kompasu, który kiedyś zamontowano obok koła sterowego. Pachnące morzem mahoniowe deski pokładu były wyraźnie zużyte, lecz wciąż jeszcze dawały nogom mocne oparcie. Szeroki kadłub, przypominający kształtem drewniany kołek, nadawał Grimsi wygląd starej wanny. Tak mogło wydawać się z brzegu, lecz na pełnym morzu zmieniała się w zupełnie inną łódź. Gdy potężne sterlingi ryczały na wysokich obrotach, jej dziób unosił się nad powierzchnię wody niczym lecąca pod wiatr mewa. Gdyby mogła choć trochę czuć, byłaby zachwycona, że tak swobodnie i łatwo przemierza morską przestrzeń.

Sandecker przymknął przepustnice, by zredukować prędkość, i rozpoczął wycieczkowy rejs po stołecznym porcie. Sądząc po uśmiechniętej twarzy, mogło się wydawać, że admirał stoi na mostku ogromnego krążownika. Znow był w swoim żywiole i cieszył się każdą chwilą za sterem. Dla obserwatora z zewnątrz pasażerowie Grimsi mogli uchodzić za zwykłych turystów, którzy wynajęli łódź, aby popłynąć na morski spacer. Tidi wystawiała twarz do słońca oraz fotografowała wszystko, co wpadło jej w obiektyw, Pitt zaś z zapalem rysował coś w szkicowniku. Przed opuszczeniem portu podpłynęli do kutra z przynętami i kupili dwa wiadra śledzi. Po krótkiej rozmowie na migi z rybakami odbili i skierowali się na pełne morze.

Gdy skręcili za skalisty cypel, tracąc z oczu port, Sandecker zwiększył obroty silników i rozwinął prędkość trzydziestu węzłów. Był to rzeczywiście dziwny widok; pękaty kadłub skakał na wodzie jak ślizgacz, startujący w regatach o Złoty Puchar. Wraz z rosnącą szybkością Grimsi rozbijała fale, zostawiając na nich spieniony ślad. Pitt znalazł mapę wybrzeża i rozłożył ją na małej półce, obok Sandeckera.

- Musi być gdzieś tutaj. - Ołówkiem zrobił na mapie kropkę. Dwadzieścia mil na południowy wschód od Keflaviku.

Admirał skinął głową.

- Przy tej szybkości będziemy tam najwyżej za półtorej godziny. Zobacz, mam jeszcze ze dwa centymetry do pełnego otwarcia przepustnic.

- Pogoda jest wymarzona. Mam nadzieję, że się utrzyma.

- Niebo czyste jak łąka. O tej porze roku na południu Islandii jest zazwyczaj spokojnie. Najgorsza sprawa to mgła. Przeważnie pojawia się późnym popołudniem.

Pitt usiadł i wystawiając nogi przez drzwi, oglądał skaliste brzegi. - Przynajmniej nie musimy się martwić o paliwo.

- Co pokazują wskaźniki?

- Zbiorniki są w dwóch trzecich pełne.

Szare komórki admirała przesuwają się jak korale liczydła.

- Wystarczy aż nadto. Nie musimy więc oszczędzać benzyny, tym bardziej że Rondheim płaci rachunek - powiedział Sandecker i, z satysfakcją na twarzy, otworzył do końca przepustnice.

Grimsi usiadła na rufie i pomknęła przed siebie, wzbijając dziobem dwie gigantyczne strugi wodnego pyłu. Podany przez admirała czas rejsu najzupełniej wystarczał, by móc pomyśleć również o bardziej przyziemnych sprawach. Tidi ostrożnie wspinała się po drabince z kambuza, balansując tacą z trzema filiżankami kawy, w chwili

gdy Sandecker zwiększył obroty sterlingów. Nagłe przyspieszenie zastało ją w momencie całkowitej dekoncentracji; taca poleciała w powietrze, ona zaś zniknęła w kambuzie, jak gdyby pchnięta niewidzialną ręką. Ani Sandecker, ani Pitt nie zauważyli tragikomicznego upadku.

Trzydzieści sekund później ponownie ukazała się w sterówce. Miała odchyloną do tyłu ze złości głowę, mokre włosy ułożone w gustowne strąki i poplamioną od kawy bluzkę.

- Panie admirale Sandecker! - wrzasnęła, przekrzykując ryk sterlingów. - Kiedy tylko wrócimy do hotelu, natychmiast zwróci mi pan pieniądze za bluzkę oraz zapłaci za wizytę u fryzjera.

Całkowicie zaskoczeni, Sandecker i Pitt popatrzyli na Tidi, a potem na siebie.

- Mogłam wylądować w szpitalu! - krzyczała. - Jeśli podczas tego rejsu mam być waszą stewardesą, domagam się nieco lepszego traktowania - oświadczyła i jeszcze raz zniknęła w kambuzie.

- O co jej chodzi, do diabła? - admirał zmarszczył brwi. Pitt wzruszył ramionami.

- Kobiety bardzo rzadko decydują się na wyjaśnienia.

- Jest za młoda na klimakterium - bąknął admirał. - Pewnie ma okres.

- Tak czy inaczej, będzie to pana kosztowało bluzkę i fryzjera stwierdził Pitt, aprobując w myślach finansową zapobiegliwość Tidi.

Zaparzenie nowej kawy zabrało Tidi dziesięć minut. Zważywszy, że kil Grimsi, rozbijając z pluskiem grzbiety fal, stale podnosił się i opadał, wdrapanie się do sterówki bez uronienia kropli z trzech kurczowo trzymanyh filiżanek było aktem bohaterkiej determinacji oraz świadectwem nadzwyczajnej sprawności zawodowej. Pijąc kawę, Pitt z uśmiechem zadowolenia obserwował, jak woda koloru indygo szybko przesuwiała się wzdłuż burt starej łodzi. Później pomyślał o Hunnewellu, Fyriem, Matajicu, O'Rileyu i przestał się uśmiechać.

Wciąż miał poważną twarz, gdy przyglądał się pisakowi echosondy, rysującemu na papierze wykres dna. Grunt był na czterdziestu metrach. Ta informacja nie przywróciła mu uśmiechu, wiedział bowiem, że gdzieś w głębinach spoczywał samolot z martwą załogą, a on musi go odnaleźć. Jeśli los okaże się choć trochę przychylny, echosonda powinna zarejestrować nieregularne wzniesienie.

Ustalił pozycję według przybrzeżnych skał i czekał z nadzieją.

- Jesteś pewien, że szukamy we właściwym miejscu? - zapytał Sandecker.

- Mam dwadzieścia procent pewności, a w osiemdziesięciu procentach zgaduję - odparł Pitt. - Gdybym mógł wykorzystać ulyssesa jako punkt orientacyjny, margines błędu

byłby mniejszy.

- Przepraszam, ale wczoraj jeszcze nie wiedziałem, o co chodzi. Wystąpiłem z oficjalną prośbą o podjęcie akcji ratunkowej zaledwie kilka godzin po waszej katastrofie. Lotnicza grupa ratownictwa morskiego z naszej bazy w Keflaviku podjęła twoją maszynę z wody za pomocą jednego z ich największych śmigłowców. Musisz im oddać sprawiedliwość, bo wykazali się wielką sprawnością.

- Która może nas sporo kosztować - dodał Pitt. Sandecker zamilkł na chwilę, aby zmienić kurs.

- Sprawdziłeś sprzęt do nurkowania?

- Tak, jest wszystko. Po powrocie proszę mi przypomnieć o postawieniu drinka ludziom z wydziału spraw zagranicznych w naszym konsulacie. Zorganizowanie w tak krótkim czasie przebieranki w rybaków handlujących przynętą wędkarską musiało kosztować trochę zachodu. To wyglądało na niewinne spotkanie dla każdego, kto obserwował nas nawet przez wojskową lornetkę. W czasie gdy kupowaliście śledzie, podrzucili nam sprzęt do nurkowania tak niepostrzeżenie, że prawie tego nie zauważyłem z odległości zaledwie trzech metrów.

- Nie podoba mi się ten pomysł. Samotne nurkowanie to igranie z poważnym niebezpieczeństwem, a nawet śmiercią. Chcę, żebyś wiedział, iż nie mam zwyczaju postępować wbrew swoim rozkazom, pozwalając, aby jeden z moich ludzi nurkował w nieznanymi wodach bez odpowiedniego zabezpieczenia. - Sandecker przestąpił z nogi na nogę. Miał jednak zmienić owo szlachetne przyzwyczajenie, a wywołane tym poczucie winy wyraźnie rysowało się na jego twarzy. - Co chcesz znaleźć tam na dnie oprócz rozbitego samolotu i rozdętych zwłok? Skąd wiesz, że ktoś już nas nie uprzedził?

- Istnieje zaledwie minimalna szansa, że przy ciałach będą jakieś dowody tożsamości, które mogą doprowadzić nas do człowieka, stojącego za tą, jak na razie, nieprzeniknioną tajemnicą. Ale już choćby z tego powodu warto pokusić się o znalezienie szczątków. Ważniejszy jest jednak samolot. Wszystkie numery identyfikacyjne i znaki rozpoznawcze zostały zamalowane czarną farbą, która nie zdołała ukryć tylko jego sylwetki. Ten odrzutowiec, admirał, jest jedynym konkretnym śladem, prowadzącym do mordercy Hunnewella i Matajica. Jedno, czego nie sposób pokryć czarną farbą, to numer silnika, przynajmniej na turbinie pod obudową. Jeśli odnajdziemy samolot i uda mi się odnaleźć symbole, pozostanie już tylko banalnie prosta kwestia skontaktowania się z producentem; zidentyfikowany silnik zaprowadzi nas do samolotu, a ten do właściciela.

Pitt umilkł na moment, aby sprawdzić wskazania echosondy.

- Jeżeli chodzi o drugie pytanie, odpowiedź brzmi: Nie ma takiej możliwości.

- Jesteś cholernie pewny siebie - rzekł prędko Sandecker. Moja nienawiść do tego kurewskiego zbrodniarza jest równa podziwowi dla jego umysłu. On już szuka swego zaginionego samolotu wiedząc, że wrak go może załatwić.

- To prawda. Mógł szukać na wodzie, ale teraz po raz pierwszy mamy nad nim przewagę. Nikt nie widział naszej walki w powietrzu. Dzieci, które znalazły Hunnewella i mnie na plaży, mówiły, że wyruszyły na poszukiwania dopiero, gdy zauważyły upadek ulyssesa, a nie wcześniej. Fakt, iż nasi znajomi mordercy nie zabili nas, gdy mieli do tego idealną okazję, lecz próbowali to zrobić w domu lekarza dużo później, dowodzi, że na ziemi nie było żadnych świadków. Konkludując, jestem jedyną ocalałą osobą, która wie, gdzie szukać...

Pitt nie dokończył zdania, skupiając wzrok na pisaku i wykresie. Lekko falista, czarna linia zaczęła znaczyć zarys jakby pochyłego zbocza, sygnalizując zmianę głębokości o dwa i pół, trzy metry oraz nagle wzniesienie na równym, piaszczystym dnie morza.

- Chyba mamy go - powiedział miękko Pitt. - Niech pan da lewo na burt i przetnie nasz kilwater po kursie jeden-osiem-pięć.

Sandecker popracował nad kołem sterowym i wykonał zwrot na południe o dwieście siedemdziesiąt stopni, powodując lekkie kołysanie Grimsi, gdy przecinała swoje rufowe fale. Tym razem pisak dłużej kreślił wysokość trzech metrów, następnie opadł do pozycji wyjściowej. - Jaka głębokość? - zapytał Sandecker.

- Czterdzieści trzy metry - odpowiedział Pitt. - Sądząc z odczytu, przeszliśmy nad nim wzdłuż skrzydeł od końca do końca. Kilka minut później Grimsi zakotwiczyła zgodnie ze wskazaniami echosondy. Łąd był w odległości niecałej mili. W promieniach północnego słońca pionowe, szare skały wysokiego brzegu były wyraźne jak nigdy. Nagle zerwała się lekka bryza i zaczęła marszczyć powierzchnię falującego morza. Było to delikatne ostrzeżenie, sygnał zapowiadający załamanie pogody. Wraz z nadejściem wiatru Pitt poczuł rosnącą obawę, powoli przeradzającą się w strach. Po raz pierwszy zaczął się poważnie zastanawiać, co znajdzie na dnie zimnego Atlantyku.



## ROZDZIAŁ 10

Słońce mocno świeciło na bezchmurnym, jasnoniebieskim niebie. Pitt, ubrany w ciasno przylegający do ciała, czarny i mokry kombinezon piankowy, czuł się jak w saunie, sprawdzając przy pojedynczym przewodzie powietrza stary regulator typu US Divers Deepstar. Wolałby jakiś nowszy model, lecz darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby. I tak uważał się za szczęściarza na myśl o tym, że jeden z młodych pracowników konsulatu okazał się zapalonym pletwonurkiem, dzięki czemu nie było kłopotu ze znalezieniem potrzebnego sprzętu. Umocował regulator do zaworu butli tlenowej. Dwa zbiorniki to było wszystko, co zdołał zdobyć. Jeden wystarczał zaledwie na piętnaście minut nurkowania, od których należało jeszcze odjąć czas niezbędny na dwukrotne pokonanie czterdziestu dwóch metrów. Pitta pocieszał jedynie fakt, że będzie na dole dostatecznie krótko, aby uniknąć kłopotów z dekompresją.

Zanim zakryła go niebieskozielona woda, jeszcze raz spojrzął przez szybkę maski na pokład Grimsi. Admirał Sandecker siedział znudzony z wędziskiem w rękach, Tidi zaś przebrana w krzykliwą garderobę Pitta i z włosami ukrytymi w czapeczce z dyndającym pomponem, pracowicie szkicowała brzegi Islandii. Osłonięty przez sterówkę przed ewentualnym obserwatorem z ładu; Pitt zsunął się za burtę, jednocząc się z podwodnym bezmiarem. Był bardzo spięty. Bez ubezpieczającego towarzysza nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Niewiele brakowało, żeby stracił przytomność wskutek szoku termicznego, jaki przeżył, zanurzając spocone ciało w lodowatej wodzie. Lina kotwicy służyła mu jako drogowskaz; schodził w dół wzdłuż jej niewyraźnego zarysu, ciągnąc za sobą pióropusz wolno wypływających na powierzchnię baniek powietrza. Wraz ze wzrostem głębokości było coraz mniej światła i pogarszała się widoczność. Skontrolował wskaźniki przeżycia. Głębokościomierz wskazywał trzydzieści metrów, pomarańczowa zaś tarcza specjalistycznej doxy informowała, że od momentu zanurzenia upłynęły dwie minuty.

Stopniowo w polu widzenia zaczęło pojawiać się dno. Odruchowo pomógł uszom trzeci raz dostosować się do ciśnienia wody, by w sekundę potem ulec zaskoczeniu kolorem czarnego jak smoła piasku. W przeciwieństwie do większości akwenów świata, których piaszczyste dno ma jasną barwę, wody wokół Islandii przykrywały dywan utworzony z gładkich ciemnych ziarenek, będący efektem aktywności wulkanicznej. Pitt zwolnił zauroczony odmiennością podwodnego kolorytu. Biorąc pod uwagę głębokość, zasięg widzialności był całkiem dobry, wynosił bowiem dwanaście metrów.

Instynktownie obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, lecz niczego nie zauważył.

Spojrzał w górę i dostrzegł przemykający nad nim niewyraźny cień. Było to niewielkie stado dorszy buszujących przy dnie w poszukiwaniu ulubionego pokarmu - krewetek i krabów. Gdy przez chwilę jego głowa znalazła się w środku maleńkiej ławicy, obserwował wolno przepływające ryby. Miały lekko spłaszczony kształt i ciemnooliwkowe ubarwienie, którego ozdobę stanowiły setki brązowych kropeczek. Szkoda, że admirał tego nie widzi, pomyślał. Najmniejsza z ryb ważyła nie mniej niż siedem kilogramów.

Pitt zaczął opływać linę kotwiczną, zataczał coraz większe kręgi, znacząc płetwą ślad na dnie. Pod wodą często widywał miraż. Głębia zakłócała jego zmysły - wzmacniając poczucie zagrożenia, nie pozwalała na trzeźwe myślenie. Po pięciu okrążeniach za niebieską kurtyną wodną spostrzegł ciemny kształt. Ruszył w jego kierunku, mocno pracując płetwami. Trzydzieści sekund później jego nadzieje rozwiały się. Ciemna forma okazała się dużą skałą, sterczącą z dna niczym ruina zapomnianej placówki pośrodku pustyni. Bez trudu prześliznął się wokół wygładzonej przez prądy skały, walcząc jednak z burzą myśli w głowie. Ten kamienny występ nie mógł dać takiego wskazania echosondy, pomyślał. W porównaniu z kadłubem samolotu miał zbyt ostry wierzchołek.

Wkrótce zobaczył, że zaledwie półtora metra dalej coś leży na piasku. Czarna farba na powyginanych drzwiach zlewała się z barwą dna, uniemożliwiając łatwe spostrzeżenie rozbitego elementu. Popłynął do przodu i odwrócił drzwi. Zaskoczony cofnął się prawie natychmiast, gdy duży homar w popłochu opuszczał swój nowy dom. Na wewnętrznym obiciu drzwi nie było żadnych oznaczeń. Teraz Pitt musiał się śpieszyć. Samolot na pewno był już bardzo blisko, ale kończyło się także powietrze. Za chwilę otworzy zawór rezerwy, która wystarczy zaledwie na kilka minut oddychania, na wydostanie się na powierzchnię.

Odnalezienie samolotu zabrało mu już niewiele czasu. Odrzutowiec leżał na brzuchu. Wskutek upadku był przełamany na dwie części. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze; wyraźny sygnał, żeby przejść na rezerwę. Otworzył zawór i skierował się ku górze. Gdy unosił się razem z wypuszczanymi bąbelkami, wodne sklepienie powoli stawało się coraz jaśniejsze. Na dziesięciu metrach zatrzymał się, pragnąc zlokalizować dno Grimsi. Było niezwykle ważne, aby wynurzył się za burtą niewidoczną od strony ładu. Łódź kołysała się na wodzie jak tłusta kaczka, która zamiast podwiniętych nóg miała potężne śruby. Pitt spojrzał do góry na słońce i określił kierunek. Fale odwróciły stojącą na jednej kotwicy Grimsi o sto osiemdziesiąt stopni i brzeg miała teraz z prawej burty.

Pozbył się butli, zanim od strony morza wsunął się na pokład. Następnie podczołgał się do sterówki. Sandecker nie zrobił żadnego zbędnego ruchu. Bez pośpiechu oparł wędkę o burłę, spacerowym krokiem doszedł do budki sterowej, zatrzymując się przy jej

drzwiach. - Mam nadzieję, że miałaś więcej szczęścia niż ja.

- Samolot leży czterdzieści pięć metrów za prawą burtą powiedział Pitt. - Nie miałem czasu na sprawdzenie wnętrza, skończyło mi się powietrze.

- Lepiej zdejmij tę gumę i napij się kawy. Masz tak siną twarz, jakbyś całe życie pił denaturat.

- Nie dajcie kawie ostygnąć. Odpocznę, jak tylko znajdę to, po co tu przypląnałem. - Major ruszył w stronę drzwi.

- Przez najbliższe pół godziny nigdzie nie pójdziesz - rzekł Sandecker stanowczo. - Mamy jeszcze dużo czasu. Do końca dnia bardzo daleko. Nie ma najmniejszej potrzeby nadwerężać organizmu. Dobrze znasz rozkład jazdy nurka. Dwukrotne zejście na czterdzieści metrów w ciągu trzydziestu minut może cię ostro połamać. - Przerwał myśl, lecz zaraz ją dokończył. - Widziałeś nurków, którzy z bólu wypluwali płuca. Znasz takich, którzy to przeżyli, ale i takich, którzy zostali sparaliżowani na całe życie. Nawet gdybym z tej łajby wycisnął wszystko, nie dowiozłbym cię w dwie godziny do Reykjavíku. Dodaj do tego jeszcze pięć godzin w odrzutowcu do Londynu, gdzie jest najbliższa komora dekompresyjna. Nie ma mowy, przyjacielu. Schodzisz pod pokład i odpoczywasz. Powiem ci, kiedy będziesz mógł znowu nurkować.

- Nie będziemy się spierać, admirale. Wygrał pan. - Pitt rozpiął suwak pianki. - Uważam jednak, że byłoby mądrzej, gdybyśmy we trójkę pokręcili się po pokładzie i byli na widoku.

- Kto ma nas oglądać? Brzeg jest pusty. Na wodzie też nie widzieliśmy żadnej łodzi od chwili wypłynięcia z zatoki.

- Brzeg nie jest pusty. Tam siedzi obserwator. Sandecker odwrócił się i popatrzył na nadmorskie skały.

- Może się starzeję, ale jeszcze nie potrzebuję okularów. Nie widzę nic podejrzanego, do cholery.

- Bardziej na prawo, zaraz za skałą wystającą z wody.

- Z tej odległości nic nie zobaczę. - Lustrował wzrokiem opisane przez Pitta miejsce.

- Nie mogę wziąć lornetki, bo wyglądałoby to jak patrzenie przez dziurkę od klucza z obu stron naraz. Skąd jesteś pewien, że tam ktoś jest?

- Widziałem błysk. Odbity od czegoś promień słońca. Prawdopodobnie od szkieł lornetki.

- Niech się gapią. Jeśli ktoś zapyta, dlaczego tylko my dwaj byliśmy na pokładzie, powiemy, że Tidi cierpiała na chorobę morską i leżała na dole w koi.

- Wymówka jak wymówka - rzekł Pitt z uśmiechem. - Może być dobra, jeżeli nie zauważą, że to nie ja, lecz Tidi jest ubrana w moją wyrafinowaną garderobę.

Sandecker roześmiał się.

- Przez lornetkę z odległości mili nawet twoja rodzona matka nie dopatryłaby się różnicy między wami.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć.

Sandecker odwrócił się i popatrzył majorowi w oczy, a na rozbawionej twarzy pojawił się przebiegły uśmiech.

- Nic nie kombinuj. „Podnieś dupę i na dół. Czas na drzemkę. . Tidi przyniesie ci gorącej kawy. Tylko żadnego hara-bara. Wiem, że po ciężkim nurkowaniu lubisz sobie pofiglować.

Przez właz wpadało rozproszone, żółtoszare światło; Sandecker delikatnie potrząsał Pittem, aby go obudzić. Major bardzo powoli odzyskiwał przytomność umysłu. Po drzemce miał bardziej ociążałą głowę niż po ośmiogodzinnym śnie. Nie czuł kołysania fali, Grimsi stała prawie nieruchomo. Wiatr ucichł zupełnie. Powietrze było wilgotne i ciężkie.

- Zmiana pogody, admirale? - Od południa nadchodzi mgła. - Kiedy tu będzie?

- Za piętnaście, może dwadzieścia minut. - Mamy niewiele czasu.

- Wystarczy... na szybkie zejście na dno wystarczy.

Parę minut później Pitt wyskoczył za burtę w pełnym rynsztunku płetwonurka. Znow był na dole, w bezgłośnym świecie, w którym nieznany był ani wiatr, ani powietrze. Odblokował uszy i zaczął mocno pracować płetwami, bolały go zziębnięte mięśnie, a umysł jeszcze nie wyszedł z cienia snu.

Płynął cicho i bez wysiłku, poruszając się w wodzie z łatwością, z jaką szybuje w powietrzu latający człowiek, umocowany stalową liną do kopuły cyrkowej. Zanurzał się w coraz ciemniejszym otoczeniu, które początkowo niebieskozielone, pomалу stawało się jasnoszare. Płynął bez dokładnego określenia kierunku, polegając na instynkcie i topografii dna. Niebawem był na miejscu.

Gdy zbliżał się do samolotu, serce waliło mu jak młotem. Z doświadczenia bowiem wiedział, że w rozbitym wnętrzu każdy ruch będzie groził niebezpieczeństwem.

Opłynął wrak, chcąc dotrzeć do pęknięcia kadłuba dwa i pół metra za skrzydłami. Powitała go różowa rybka długości około piętnastu centymetrów. Jej pomarańczowoczerwona łuska żywo kontrastowała z ciemnym tłem, skrząc się jak świecidełko na choince. Przez moment przyglądała się Pittowi jednym brązowym okiem, mocno osadzonym w kolczastej głowie, a gdy wsunął się do środka samolotu, postraszyła

go jeszcze, skacząc przed maską jak sprężynka.

Pitt przyzwyczał wzrok do ciemności, by po chwili ujrzeć bezładne kłębowisko wyrwanych z podłogi siedzeń i drewnianych pudeł, pływających pod sufitem. Podholował dwa z nich do pęknięcia w poszyciu i wypchnął na zewnątrz, upewniając się, że bez przeszkód dotrą na powierzchnię. Następnie obejrzał rękawiczkę, w której wciąż tkwiła ludzka dłoń. Zielonkawe ramię łączyło ją z ciałem wkliniowanym między fotele w dolnym rogu kabiny pasażerskiej. Pitt wyciągnął trupa i przeszukał jego ubranie. Doszedł do wniosku, że musiały to być zwłoki strzelca, prowadzącego ogień z karabinu maszynowego przez drzwi bagażowe. Głowa zamachowca przedstawiała straszny widok; była zgnieciona na półpłynną miazgę, szare komórki oraz fragmenty czaszki utworzyły czerwone wąsy, które wystawały z mózgowia i falowały poruszane prądem wody jak czułki ukwiała. W kieszeniach podartego, czarnego kombinezonu okrywającego ludzkie szczątki nie było nic poza śrubokrętem.

Pitt wsunął wkrętak za pasek i trochę płynąc, trochę odpychając się, dotarł do kabiny pilotów. Z wyjątkiem rozbitej szyby po stronie drugiego pilota, najważniejsze pomieszczenie samolotu wydawało się puste i nie zniszczone. Pitt jednak spojrzał nad głowę, podążając wzrokiem za bąbelkami powietrza, które wiły się jak srebrny wąż, poszukując wyjścia między górnymi wskaźnikami. W rezultacie zaczęły się gromadzić w jednym miejscu, otaczając kolejne zwłoki, uniesione pod sufit przez gazy powstające przy rozkładzie ciała.

Martwy pilot również miał na sobie czarny kombinezon. Szybka rewizja nie przyniosła efektów, kieszenie były puste. Różowa rybka przemknęła obok Pitta i zaczęła skubać wybałuszone oko pilota. Major pchnął ciało na dawne miejsce, chcąc mieć wolną drogę. Jednocześnie poczuł nagłą potrzebę wymiotowania w ustnik aparatu tlenowego, odczekał więc chwilę, aby odzyskać kontrolę nad oddychaniem.

Spojrzał na doxę. Był na dole zaledwie dziewięć minut, a nie dziewięćdziesiąt, jak upierała się wyobrażnia. Zostało już niewiele czasu. Szybko zaglądał, gdzie popadło, szukał dziennika pokładowego, książki napraw, listy procedur, jakiegokolwiek słowa pisanego. Kabina pilota dobrze strzegła swoich tajemnic. Nie było żadnego śladu, nawet stickera z literami wywoławczymi samolotu, nalepionego na płytę czołową radionadajnika.

Gdy wysunął się z wnętrza wraka, poczuł się tak, jakby drugi raz opuszczał łono matki i ponownie przyszedł na świat. Woda teraz była ciemniejsza niż wtedy, gdy wchodził do środka. Po sprawdzeniu ogona przemieścił się do prawego silnika. Znów żadnej nadziei, silnik był prawie całkowicie zagrzebany w mule. Miał więcej szczęścia z lewym motorem,

który nie dość, że był łatwo dostępny, to na dodatek miał rozbitą obudowę i odsłoniętą, gotową do inspekcji turbinę. Los go jednak nie rozpieszczał. Zlokalizował wprawdzie miejsce, gdzie powinni znajdować się tabliczka znamionowa, jednakże tabliczki nie było. Na swoich miejscach były natomiast cztery mosiężne śruby mocujące.

Zniechęcony Pitt uderzył pięścią w silnik. Dalsze poszukiwania były bezcelowe. Wiedział już, że numery identyfikacyjne na przyrządach, elementach elektrycznych czy mechanicznych częściach samolotu zostały usunięte. W myślach przeklinał dokładność tego, który to zrobił. Wydawało się niepodobieństwem, żeby jeden człowiek przewidział wszystkie możliwe warianty i zaplanował środki zaradcze. Pomimo lodowatej wody pod maską Pitt był zlany potem. Jego umysł pracował bez ustanku, lecz nie był w stanie rozwiązać żadnego problemu ani odpowiedzieć na jakiegokolwiek z postawionych sobie pytań. Bezmyślnie zaczął przyglądać się igraszkom różowej rybki. Śledził ją wzrokiem, gdy pojawiła się przy szybie kabiny pilotów, a następnie popłynęła kilkadziesiąt centymetrów pod dziób samolotu, aby zatańczyć dookoła srebrnego cylindra. Pitt przez trzydzieści sekund obserwował rybkę, nie zdając sobie sprawy z niczego poza własnym oddechem, wreszcie jednak zareagował na widok długiej srebrnej rury. Był to hydrauliczny amortyzator przedniego koła.

Błyskawicznie znalazł się przy nim i zaczął go dokładnie oglądać. Upadek nie tylko wyrwał amortyzator z zamocowania, ale także spowodował, że z kadłuba zostało wyrzucone całe przednie podwozie. I znów było to samo. Numer fabryczny usunięto z aluminiowej osłony. Gdy Pitt miał ruszać na powierzchnię, rzucił ostatnie, szybkie spojrzenie w dół. Na fragmencie podwozia, w miejscu, w którym obudowa instalacji hydraulicznej odpadła z zawieszenia, spostrzegł niewielkie znaki, dwie litery byle jak wydrapane na metalu: SC. Wyjął zza paska śrubokręt i obok nich wyrył swoje inicjały. Głębokość rytu DP i SC była taka sama.

W porządku, nie ma sensu dłużej marudzić, zdecydował. Coraz trudniej oddychał, był to sygnał, że powietrze w butli kończy się nieubłaganie. Otworzył zawór rezerwy i skierował się ku górze. Różowa rybka towarzyszyła mu aż do chwili, gdy odwrócił się i pomachał jej ręką przed nosem, odpędzając przyjazne stworzonko morskie za bezpieczną skałę. Pitt z uśmiechem skinął jej głową na pożegnanie. Jego skory do zabaw kompan będzie teraz musiał znaleźć sobie nowego kolegę.

Na piętnastu metrach głębokości Pitt przekręcił się na plecy spoglądając w górę, gdzie spodziewał się dojrzeć powierzchnię morza. Pragnął dostosować tor wynurzenia do pozycji Grimsi. Jednakże światło było dookoła takie samo; tylko ulatujące w górę bańki

wskazywały kierunek naturalnego środowiska Pitta. Powoli zaczynało przejaśniać się, lecz wciąż było ciemniej niż wtedy, gdy wyskakiwał za burzę. Spragniona powietrza głowa wynurzyła się z wody, by natychmiast utonąć w gęstej mgle. Boże - pomyślał - w tej zupie nigdy nie znajdę łodzi. Natomiast szanse na ukończenie zawodów pływackich z metą na brzegu miały się jak jeden do czterech.

Pitt pozbył się uprząży z butlą, do której przymocował wcześniej odpięty pas, i pozwolił temu ciężarowi pójść spokojnie na dno. Dzięki wyporności kombinezonu mógł teraz bez kłopotu utrzymywać się na powierzchni. Leżał cicho, delikatnie oddychał, czekając na jakikolwiek dźwięk, który byłby w stanie przedrzeć się przez grubą, szarą zasłonę. Początkowo słyszał jedynie wodę pluszczącą w zetknięciu z jego ciałem. Potem jednak dobiegł go cichy, skrzeczący głos... głos, który wyjątkowo fałszywie śpiewał *My Bonnie Lies Over The Ocean*.

Pitt przyłożył dłonie do uszu, by lepiej odebrać sygnał i jednocześnie zlokalizować jego źródło. Bez niepotrzebnej utraty energii przepłynął na jednym oddechu piętnaście metrów i znów zatrzymał się. Zawodzący śpiew był teraz głośniejszy. Pięć minut później Pitt dotknął nadzartego przez morską wodę kadłuba, a następnie wsunął się po burcie na pokład. - Przyjemnie się pływało? - zapytał gotowy do rozmowy Sandecker.

- Ani przyjemnie, ani specjalnie pożytecznie. - Pitt rozsunął suwak, ukazując kłębowisko czarnych włosów na piersiach. Uśmiechnął się szeroko do admirała. - To zabawne, ale przysiągłbym, że słyszałem syrenę mgłową.

- To nie była żadna syrena, lecz eks-baryton uczelnianego towarzystwa śpiewaczego z Annapolis, rocznik 1939.

- Chyba nigdy nie był pan w lepszej formie wokalne, admirale, - Pitt spojrzał Sandeckerowi w oczy. - Dziękuję.

- Nie mnie dziękuj, lecz Tidi - admirał odpowiedział z uśmiechem. - To ona musiała dziesięć razy słuchać refrenu.

Tidi wyłoniła się ze mgły i objęła go.

- Dzięki Bogu, już jesteś bezpieczny - przywarła do niego mocno. Miała zlepione od wilgoci włosy. Po jej twarzy spływały krople wody, a może i łez.

- Miło słyszeć, że mnie tutaj brakowało. Cofnęła się o krok.

- Brakowało? Dość oględnie powiedziane. Admirał Sandecker i ja pomалу zaczęliśmy odchodzić od zmysłów.

- Proszę mówić za siebie, panno Royal - rzekł oschle admirał. - Ani przez chwilę nie dałam się panu nabrać, admirale. Pan się martwił!

- Niepokoił, to bardziej odpowiedni zwrot - poprawił Sandecker. - Gdy ginie mój człowiek, uważam to za osobiste uchybienie. Zwrócił się do Pitta. - Znalazłeś coś interesującego?

- Dwa ciała i niewiele więcej. Ktoś zadał sobie bardzo dużo pracy, żeby pozbawić samolot znaków identyfikacyjnych. Przed katastrofą zostały usunięte numery fabryczne na wszystkich elementach. Jedynymi znakami, które znalazłem, były dwie litery wydrapane na cylindrze osłaniającym hydraulikę przedniego koła. - Z wdzięcznością wziął od Tidi ręcznik. - Wyeksponowałem na powierzchni dwa pudła. Wyłowiliście je?

- Łatwo nie było - powiedział Sandecker. - Wynurzyły się ze dwanaście metrów za burtą. Od lat nie rzucałem spinningiem, ale po jakichś trzydziestu rzutach udało mi się je przyholować.

- Otworzył je pan? - indagował Pitt.

- Są w nich miniaturowe modele budynków... jakby domki dla lalek.

Pitt przeciągnął się.

- Domki dla lalek? Ma pan na myśli trójwymiarowe eksponaty architektoniczne?

- Nazywaj je, jak chcesz - Sandecker przerwał, aby wypstryknąć za burtę niedopałek cygara. - Cholernie precyzyjna ręczna robota. Dopracowane do najdrobniejszych szczegółów. Zdejmuje się nawet piętra, żeby można obejrzeć wnętrza.

- No, to popatrzmy.

- Zanieśliśmy je do kambuza - rzekł Sandecker. - Możesz tam też z powodzeniem przebrać się i łyknąć gorącej kawy.

W tym czasie Tidi zdążyła przebrać się w swoją bluzkę i spodnie. Gdy Pitt zdejmował mokrą piankę i zakładał papuzią garderobę ekscentryka, dziewczyna odwróciła się z demonstracyjną skromnością. Z uśmiechem obserwował, jak krzątała się przy kuchni.

- Specjalnie dla mnie je ogrzałaś? - zapytał.

- Te pedalskie szmaty? - Odwróciła się i spojrzała na niego z uwagą, jej twarz ozdobił lekko dostrzegalny rumieniec. - Chyba żartujesz? Jesteś ode mnie wyższy przynajmniej piętnaście centymetrów i ważysz ze trzydzieści kilogramów więcej. Mało się w nich nie utopiłam. Czulałam się tak, jakbym założyła na siebie namiot. W nogawkach i rękawach miałam huragan, bałam się, że mnie wywieje z tego ubranka.

- Mam jednak nadzieję, że nie przeziębiałaś sobie nic istotnego. - Jeśli masz na myśli moje życie erotyczne, to obawiam się najgorszego.

- Bardzo współczuję, panno Royal. - Głos Sandeckera nie był zbyt przekonywający. Postawił pudła na stole i wysunął przykrywki. Dobra, oto i one, włącznie z umeblowaniem i



firankami.

Pitt zajął do pierwszego pudła.

- Woda niczego nie zdołała zniszczyć.

- Pudła są szczelne, nie przepuszczają wody - zauważył admirał. - Zostały tak dokładnie zapakowane, że wyszły z upadku prawie nie naruszone.

Stwierdzenie, że modele są zwykłymi artystycznymi miniaturami, było wielkim nieporozumieniem. Admirał miał rację. Detale zachwyciły - każda cegła, każda framuga okienna, wyczelowane i we właściwej skali, były precyzyjnie umieszczone na właściwym miejscu. Pitt podniósł dach. Widział w muzeach wiele eksponatów architektonicznych, lecz nigdy równie perfekcyjnie wykonanych. Nic nie zostało pominięte. Ściany były pomalowane zgodnie z projektem. Obicia mebli miały małe desenie nadrukowane na materiał. Stożące na biurkach telefony były podłączone do gniazdek w ścianach, słuchawki zaś czekały na podniesienie. Jakby tego było mało, w łazienkach wisiły rolki papieru toaletowego, który dawał się rozwijać. Pierwszy model przedstawiał budynek o pięciu kondygnacjach, łącznie z piwnicami. Pitt zdejmował jedną po drugiej, uważnie przyglądając się wnętrzu. Następnie obejrzał drugi model.

- Znam ten budynek - powiedział cicho. Sandecker podniósł wzrok.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. Jest różowy. Raczej nie zapomina się gmachu zbudowanego z różowego marmuru. Jakies sześć lat temu byłem w środku tego budynku. Mój ojciec na zlecenie prezydenta odbywał informacyjną misję gospodarczą i konferował z ministrami finansów państw Ameryki Środkowej. Otrzymałem wtedy miesięczne zwolnienie wojska, aby na czas podróży pełnić rolę adiutanta i pilota ojca. Tak, pamiętam to bardzo dobrze, zwłaszcza jedną czarnooką sekretarkę egzotycznej urodzie...

- Nie interesują nas twoje podboje erotyczne - powiedział :niecierpliwiony Sandecker. - Gdzie stoi ten budynek?

- W Salwadorze. To jest doskonała, miniaturowa replika parlamentu Dominikany. - Wskazał na pierwszą miniaturę. - Sądząc po wyposażeniu i wystroju, drugi model również przedstawia siedzibę Władz ustawodawczych jakiegoś kraju środkowo- lub południowoamerykańskiego.

- Wspaniale - rzekł Sandecker bez entuzjazmu. - Dowiedzieliśmy się, że facet zbiera modele parlamentów.

- Czyli wciąż wiemy diabelnie mało. - Tidi wręczyła Pittowi filiżankę kawy. Pograżony w myślach major zaczął sączyć czarny płyn. - Wiemy jednak, że czarny

odrzutowiec wypełniał podwójne zadanie.

Sandecker spojrział w oczy Pitta.

- Uważasz więc, że miał gdzieś dostarczyć te modele i już w powietrzu otrzymał rozkaz zmiany kursu, aby zestrzelić ciebie Hunnewella?

- Dokładnie. Prawdopodobnie jeden z rybackich kutrów Rondheima spostrzegł, jak nasz śmigłowiec leci w kierunku Islandii, i przez radio zawrócił odrzutowiec, każąc mu czekać, aż zbliżymy się do wybrzeża.

- Dlaczego Rondheim? Nie widzę wyraźnego powodu, aby łączyć go z tym wszystkim.

- Każdy powód jest dobry. - Pitt wzruszył ramionami. - Ale przyznaję, że uderzam na ślepo. Nie dałbym sobie ręki uciąć, że to Rondheim. On jest jak kamerdyner ze starego filmu kryminalnego. Wszystkie okoliczności i poszlaki wskazują na niego, czyniąc go głównym podejrzanym. Ale na końcu kamerdyner okazuje się przebrany policjantem, przestępcą zaś jest osoba poza wszelkimi podejrzeniami.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Rondheima w roli tajniaka. Sandecker przeszedł na drugi koniec kambuza po dolewkę kawy. Według mnie jest to kawał skurwysyna i życzylibym sobie gorąco, aby w tej czy innej formie był odpowiedzialny za śmierć Fyriego i Hunnewella. Moglibyśmy wtedy dobrać mu się do dupy i załatwić na amen.

- To nie byłoby takie łatwe. On ma bardzo mocną pozycję.

- Gdybyście mnie zapytali o zdanie - wtrąciła się Tidi powiedziałabym, że naskakujecie na Rondheima, ponieważ obaj zazdrościcie mu panny Fyrie.

Pitt roześmiał się.

- Żeby być zazdrosnym, najpierw trzeba się zakochać. Sandecker także pokazał zęby w uśmiechu.

- Nareszcie nasza panna pokazała swój cięty języczek. - Nie jestem złośliwa bez powodu. Lubię Kirsti Fyrie.

- Wydaje mi się, że lubisz także Oscara Rondheima - rzekł Pitt. - Nie polubiłabym go nawet, gdyby był samym ojcem świętym odparła. - Ale musicie przyznać, że drań wie, o co chodzi, skoro udało mu się zdobyć za jednym zamachem Kirsti i Fyrie Limited.

- Ale w jaki sposób? Wyjaśnij to! - powiedział zaintrygowany Pitt. - Jak Kirsti może go kochać, skoro on ją przeraża?

Tidi pokręciła głową.

- Nie wiem. Wciąż widzę ból w jej oczach, gdy ścisnął ją za szyję. - Może Kirsti jest masochistką, a Rondheim sadystą - rzekł Sandecker.

- Jeśli Rondheim zaplanował te straszliwe morderstwa, musi pan o wszystkim powiadomić właściwe władze - powiedziała Tidi z prośbą w głosie. - Gdy będzie pan obstawał przy swoim, sprawy zajdą za daleko i obaj możecie zostać zabici.

Pitt udał smutnego.

- To jest nadzwyczaj przykre, admirale. Pana osobista sekretarka zupełnie nie docenia swoich dwóch ulubieńców. Jak możesz? Odwrócił się i z wyrzutem spojrzał na Tidi.

- W dzisiejszych czasach ogromnie trudno jest o lojalnego pracownika - westchnął Sandecker.

- Ja mam być nielojalna?! - Tidi popatrzyła na nich jak na wariatów: - Która dziewczyna tłukłaby się przez pół świata w niewygodnym, wojskowym samolocie transportowym, marzła. na śmierzdzącej, starej łajbie pośrodku północnego Atlantyku i narażała się na nieustanne męskie grubiaństwo za tak nędzną pensję, jaką pan mi płaci, admirale. Jeśli to nie jest lojalność, chciałabym dowiedzieć się od bezsprzecznie stuprocentowych mężczyzn takich jak wy, co to jest?

- Bzdury! Po prostu pleciesz bzdury - powiedział Sandecker. Położył dłonie na jej ramionach i ciepło spojrzał w oczy. - Wierz mi, Tidi, że bardzo wysoko cenię twoją przyjaźń i troskę o moje dobro. Jestem pewien, że Dirk ma na twój temat identyczne zdanie. Musisz jednak zrozumieć, że zamordowano mi przyjaciela i trzech pracowników oraz usiłowano zabić Dirka. Na Boga, nie jestem facetem, który chowa się pod łóżko i stamtąd dzwoni po policję. Ten cholerny bałagan zrobili nieznani sprawcy i zostawili go nam. Gdy dowiemy się, kim oni są - dopiero i tylko wtedy - staniemy z boku i pozwolimy prawu zająć się nimi. Czy to jest dla ciebie jasne?

Zdziwienie wywołane nagłym wybuchem uczuć Sandeckera jeszcze przez chwilę gościło na twarzy Tidi. Gdy w końcu zniknęło, z jej oczu zaczęły kapać wielkie łzy. Oparła głowę na ramieniu admirała.

- Jestem okropnie głupia - mruzczała. - Mam niewyparzony język. Następnym razem proszę mnie od razu zakneblować.

- Masz to załatwione - powiedział admirał miękkim tonem, jakiego Pitt nigdy przedtem u niego nie słyszał. Sandecker jeszcze przez dobrą minutę tulił Tidi, by wreszcie wypuścić ją z objęć. Dobra; podnosimy kotwicę i bierzemy powrotny kurs na Reykjavik, do cholery. - Stary wilk morski odzyskał zwykły humor. - Chętnie gruchnąłbym odrobinę gorącego grogu.

Nagle Pitt znieruchomiał, podniósł rękę w niemej prośbie o ciszę, podszedł do drzwi

sterówki i uważnie słuchał. Ten odgłos tam był, choć jeszcze bardzo słaby; przez gęste tumany mgły przebijał się jednostajny warkot silnika pracującego na bardzo wysokich obrotach.

## ROZDZIAŁ 11

- Słyszysz pan, admirale?

- Słyszę. - Głowa Sandeckera dosięgała ramienia Pitta. - Około trzech mil stąd. Szybko się zbliża. - Nasłuchiwał przez kilka sekund. - Idzie całą mocą.

Pitt przytaknął.

- Prosto na nas. - Wpatrywał się we mgłę, lecz nic nie widział. Dziwnie pracuje, podobnie jak silnik samolotu. Muszą mieć radar. Żaden sternik, nawet półgłówek, przy tej pogodzie nie rozwijałby pełnej szybkości.

- Muszą wiedzieć, że tu jesteśmy - szepnęła Tidi, jakby za burtą ktoś podsłuchiwał.

- Tak, wiedzą - zgodził się Pitt. - Może się mylę, ale chyba płyną po to, żeby nas przepytąć. Przypadkowa łódź trzymałaby się od nas jak najdalej, gdy tylko pojawiliśmy się na jej radarze. A oni wyraźnie szukają guza. Myślę, że powinniśmy trochę się z nimi pobawić.

- Chyba w kota i myszkę - powiedział Sandecker. - Mają przewagę liczebną dziesięć do jednego i... niewątpliwie są uzbrojeni po zęby - dodał spokojnie. - Naszym jedynym atutem są sterlingi. Ale gdy się rozpędzimy, będą mieli takie szanse na złapanie nas, jak żółw ścigający geparda.

- Niech pan nie będzie zbyt pewien, admirale. Skoro wiedzą, że tu jesteśmy, znają także naszą łódź i jej prędkość. Jeśli myślą o wejściu na nasz pokład, ich jednostka musi być znacznie szybsza od Grimsi. Idę o zakład, że tak właśnie jest.

- Mają wodolot, prawda? - spytał Sandecker, cedząc słowa. - Dokładnie - odparł Pitt. - A to oznacza, że ich prędkość maksymalna może wynosić od czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu węzłów.

- Niedobrze - powiedział cicho Sandecker.

- Ale i nie najgorzej - stwierdził Pitt. - Przynajmniej w dwóch punktach mamy nad nimi przewagę. - Szybko przedstawił swój plan. Siedząca na ławce w sterówce Tidi zeszywniała, była pewna, że pod warstwą makijażu jej twarz jest biała jak ściana. Słuchając Pitta, nie wierzyła własnym uszom. Zaczęła drżeć, nawet głos miała wyjątkowo niespokojny.

- Na pewno... nie wierzysz w to... co mówisz.

- Gdybym nie wierzył, mielibyśmy większe kłopoty niż Titanic. Przerwał i spojrzał na jej bladą, oszołomioną twarz oraz na dłonie nerwowo skubiące bluzkę.

- Ale to jest morderstwo z premedytacją. - Próbowała jeszcze coś dodać, lecz upłynęła chwila, nim zdołała zebrać myśli. - Nie możesz zabijać ludzi bez ostrzeżenia.

Niewinnych ludzi, których nawet nie znasz!

- Dosyć tego - ostro włączył się Sandecker. - Nie mamy czasu na tłumaczenie oczywistych rzeczy przestraszonej panience - rzekł rozkazującym tonem, choć w jego oczach widać było zrozumienie dla Tidi. - Proszę, zejź na dół i schowaj się gdzieś, gdzie nie dosięgną cię kule. A ty - zwrócił się do Pitta - weź siekiere i odetnij kotwicę. Daj mi znak, gdy będziesz chciał, żebyśmy ruszyli całą naprzód.

Pitt zszedł z Tidi do kambuza.

- Nigdy nie kłóć się z kapitanem statku - strofował ją na dole. - I nie przejmuj się. Jeżeli tubylcy okażą się przyjacielscy, to nie masz się o co martwić.

Właśnie unosił siekiere, gdy ożyły sterlingi.

- Dobrze, że nie dawaliśmy niczego w zastaw na konto ewentualnych szkód - bąknął do siebie niewyraźnie, przecinając dwunastocentymetrową plecioną linę. Gdy ostrze siekiery wbiło się w drewnianą burtę, kotwica zleciała w dół, aby na zawsze spocząć na czarnym piaszczystym dnie.

Niewidoczna łódź była już bardzo blisko. Z przymkniętymi przepustnicami jej silniki cicho mruczały; sternik szykował się do podejścia burta w burtę. Pitt leżał na dziobie, zaciskając dłonie na stylisku siekiery. Słyszał coraz głośniejsze uderzenia fal o kadłub wodolotu, który wskutek stale zmniejszającej się prędkości stopniowo zanurzał się w wodzie. Pitt ostrożnie wstał i mrużąc oczy, bezskutecznie próbował dostrzec w gęstej mgłę jakikolwiek ruch. Wokół dzioba panowała niemal całkowita ciemność. Widoczność nie przekraczała dziesięciu metrów.

Wkrótce wyłonił się z mroku niewyraźny zarys dziobowej sterburty. Pitt z trudnością mógł wypatrzeć kilka ciemnych postaci, stojących na przednim pokładzie. Domyślał się, że jaśniejąca za nimi poświata wydobywała się ze sterówki. Przez chwilę wydało mu się, że widzi statek widmo z załogą duchów. Wielki szary kształt, górujący nad małą Grimsi, wreszcie ukazał się w całości. Pitt uznał, że nie znana im jednostka ma przynajmniej trzydzieści metrów długości. Teraz widział wyraźnie również innych mężczyzn, którzy w milczeniu przykucnęli na bocznych podestach, jak gdyby czekając na rozkaz abordażu. Automatyczna broń w ich rękach powiedziała Pittowi wszystko, co pragnął wiedzieć.

Nie więcej niż dwa metry od luf, Pitt precyzyjnie i z zimną krwią wykonał trzy ruchy tak błyskawicznie, że wydawały się równoczesne. Wziął zamach siekiere, podczas którego uderzył obuchem w żelazny kabestan, dając sygnał Sandeckerowi, a następnie wyrzucił topór przed siebie w górę. Patrzył, jak ostrze wbiło się w pierś mężczyzny, który usiłował

zeskoczyć na pokład Grimsi. Mężczyzna był w powietrzu, gdy dosięgła go siekiera; z przerażającym okrzykiem runął na burtę. Zawisł na relingu, trzymając się kurczowo jedną ręką drewnianej listwy, aż krew odpłynęła mu z palców i po chwili wpadł do szarej wody. Jeszcze zanim morze zamknęło się nad piratem, Pitt szybko padł na wytarte deski. Grimsi jak impala skoczyła do przodu, uciekając przed gradem kul spadających na pokład i sterówkę. Stara łódź bardzo prędko zniknęła we mgle.

Pitt znalazł się poniżej ostrzału. Poczłgał się do tyłu i wpełznął przez próg do sterówki. Podłoga była pokryta rozbitym szkłem i drzazgami.

- Trafili cię? - zapytał troskliwie Sandecker. Jego głos z trudnością przebijał się przez ryk potężnych silników.

- U siebie nie zauważyłem żadnych dziur. A co z panem?

- Te skurwiele uparły się strzelać mi nad głową. Jeśli jeszcze wyobrazisz sobie, że miałem wtedy metr wzrostu, uzyskasz pełny obraz sytuacji. - Admirał odwrócił się. Wyglądał na zafrasowanego. Zanim rozpętało się to piekło, zdawało mi się, że słyszałem krzyk.

Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie będę kłamał. Załatwiłem go siekierą. Sandecker pokiwał głową.

- Po trzydziestu latach w marynarce pierwszy raz członek mojej załogi musiał bronić granic.

- Teraz trzeba rozwiązać problem, jak uniknąć powtórki.

- To nie będzie łatwe. Płyniemy na ślepo. Ten ich cholerny radar pokaże każdy nasz ruch. Najbardziej musimy się obawiać zderzenia. Mając przewagę dziesięciu, dwudziestu węzłów, bardzo szybko pozbawią nas złudzeń. Przed przeznaczeniem uciec się nie da. Jeżeli ich sternik ma choć trochę oleju w głowie, wyprzedzi nas, potem zakręci o dziewięćdziesiąt stopni i zablokuje Grimsi śródkręciem.

Pitt zastanawiał się przez moment.

- Miejmy nadzieję, że jest praworęczny. Zaskoczony Sandecker zmarszczył brwi. - Mów jaśniej.

- Mańkuci należą do mniejszości. Według statystyki powinien być raczej praworęczny. W tej chwili ich dziób jest prawdopodobnie jakieś czterysta metrów za naszymi plecami; gdy wodolot zacznie się znowu zbliżać, sternik odruchowo będzie kładł ster na prawą burtę, zanim przetnie nam drogę i doprowadzi do zderzenia. W ten sposób będziemy mieli szansę wykorzystać jedną z naszych dwóch przewag. Sandecker spojrzał na Pitta.

- Nie widzę ani jednej, a ty mówisz o dwóch.

- Masa wodolotu jest niwelowana przez dużą szybkość. Jego płaty nośne spełniają w wodzie takie zadanie jak skrzydła samolotu w powietrzu. Największą zaletą wodolotu jest prędkość, a z kolei największą wadą jest ograniczona manewrowość: Mówiąc najprościej, wodolot za cholerę nie zrobi szybkiego zwrotu.

- Ale my możemy. O to ci chodzi? - indagował Pitta admirał. - Grimsi jest w stanie zrobić dwa koła wewnątrz ich jednego. Sandecker zdjął dłonie z koła sterowego i strzelił palcami.

- Na razie brzmi to bardzo pięknie, tylko jak się dowiemy, kiedy zaczną skręcać?

Pitt westchnął.

- Będziemy nasłuchiwać.

Admirał posłał mu pytające spojrzenie. - Z wyłączonymi silnikami?

Pitt przytaknął.

Gdy Sandecker ponownie ujął ster, palce jego dłoni zrobiły się białe. Z podobną siłą zacisnął usta, zmieniając je w wąską kreskę.. - Proponujesz piekielnie ryzykowną grę. Wystarczy, że tylko jeden sterling nie zareaguje na rozrusznik i jesteśmy ugotowani. Pomyślałeś o niej? - Wskazał głową na kambuz.

- Myślę o nas wszystkich. Czy płyniemy, czy stoimy, szanse są jednakowo małe. Mamy jednak ostatniego dolara, którego możemy postawić. Choć minimalna, istnieje przecież możliwość wygranej.

Sandecker popatrzył badawczo na wysokiego, stojącego w drzwiach mężczyznę. Zobaczył zdecydowany wzrok i zaciśnięte z determinacją szczęki.

- Wspomniałeś o dwóch przewagach.

- Zaskoczenie - rzekł cicho Pitt. - My wiemy, co oni zrobią. Mogą sobie mieć radar, ale nie są w stanie przejrzeć naszych myśli. I to jest nasza druga i najważniejsza przewaga - niespodziewany ruch.

Pitt spojrział na doxę. Trzynasta trzydzieści, wciąż było wczesne popołudnie. Sandecker wyłączył silniki. Pitt zmuszał się do zachowania koncentracji, co wcale nie było łatwe, nagła cisza bowiem oraz uspokajająca mgła pomału zaczęły pracować nad uspieniem jego czujności. Słońce w górze przypominało białą tarczę, która jaśniała, to znów stawała się ciemniejsza za stale zmieniającą się zasłoną mgły. Aby uchronić płuca przed atakiem zimna oraz wilgoci, Pitt oddychał wolno i regularnie. Drżał pomimo ubrania. Duże, błyszczące krople pokryły cały materiał, powodując bolesne sztywnienie całego ciała. Siedział na pokrywie przedniego luku. Czekał, aż umilknie ryk sterlingów, pragnął bowiem



słyszeć zupełnie inny dźwięk - odgłos silników wodolotu. Nie potrzebował długo czekać. Wkrótce do jego uszu doszedł jednostajny warkot, który szybko stawał się coraz głośniejszy.

Wszystko musiało pójść gładko za pierwszym razem. Drugiego bowiem mogło nie być. Operator radaru prawdopodobnie już spostrzegł, że wędrujący dotychczas po ekranie punkt nagle znieruchomiał. Zanim jednak złożył meldunek kapitanowi i została podjęta decyzja, na zmianę kursu było za późno. Duża prędkość mogła spowodować, że dziób wodolotu znalazłby się nad Grimsi.

Pitt dziesiąty raz sprawdzał stojące obok niego w równym rzędzie zbiorniki. Pomyślał z niechęcią, że to jest najgorszy arsenał, jaki kiedykolwiek udało się zgromadzić. Jednym z pojemników był pięciolitrowy, szklany gąsior, który Tidi wyszukała w kambuzie. Pozostałe trzy Pitt znalazł w szafce za maszynownią. Były to różnej wielkości, pogięte i zardzewiałe kanistry na benzynę. Poza zawartością, szmacianymi lontami wystającymi z otworów wlewowych oraz dziurami zrobionymi w górnych ściankach baniek, cztery naczynia miały ze sobą niewiele wspólnego.

Wodolot był już blisko, bardzo blisko. Pitt odwrócił się w stronę sterówki i krzyknął:  
- Teraz!

Następnie zapalniczką podpałił lont w szklanym słoju i przygotował się do szarpnięcia wywołanego nagłym przyspieszeniem, o którego nadejście gorąco się modlił.

Sandecker nacisnął przycisk rozrusznika. Czterystudwudziestokonne sterlingi zakasłały raz, drugi i z rykiem weszły na obroty. Stary wyga morski ostro zakręcił kołem sterowym prawo na burt i otworzył do końca przepustnice. Grimsi skoczyła do przodu niczym koń wyścigowy z drzazgą w zadzie. Admirał miał posępną twarz i mocno trzymał ster. Był prawie pewien, że za chwilę dziób wodolotu wyląduje na pokładzie jego łodzi. Nagle odpadła szprycha koła sterowego i uderzyła w kompas; Sandecker zdał sobie sprawę, że sterówka znów znalazła się pod ostrzałem. Wciąż nic nie widział, lecz wiedział, że załoga wodolotu strzela na oślep we mgłę, kierowana jedynie wskazówkami operatora radaru.

Napięcie stawało się nie do zniesienia. Pitt nerwowo spoglądał to na ścianę mgły przed dziobem, to na trzymany w ręku gąsior. Płomień lontu niebezpiecznie zbliżał się do wąskiej szyjki naczynia i kołyszącej się w szkle benzyny. Nie dłużej niż za pięć sekund będzie musiał wyrzucić gąsior za burtę. Zaczął liczyć. Doliczył do pięciu, a czas biegł dalej. Sześć, siedem. Podniósł rękę. Osiem. Z mgły wyłonił się idący przeciwnym kursem wodolot. Mijał burtę Grimsi w odległości nie większej niż trzy metry. Pitt rzucił szklane naczynie.

Następna chwila miała zostawić w pamięci Pitta ślady na całe życie. To był przerażający widok; wysoki blondyn w skórzanym ocieplaczu, oparty na mostku o reling, jak zahipnotyzowany obserwował śmiertelny obiekt, lecący ku niemu w wilgotnym powietrzu. Potem gąsior rozbił się na pokładzie za plecami mężczyzny, który zniknął w ogromnym, oślepiającym płomieniu. Pitt niczego więcej nie widział. Łodzie przemknęły obok siebie i wodolot rozpląnął się we mgle. Major nie miał czasu na refleksje. Szybko podpalił lont przy jednym z kanistrów. Tymczasem Sandecker położył ster maksymalnie lewo na burt, by po wykonaniu zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni popłynąć za kilwaterem wodolotu. Ślad na wodzie zmienił się. Wodolot zwolnił; pomimo mgły pulsujące żółtoczerwone światło było doskonale widoczne. Admirał sterował na środek poświaty, stał wyprostowany jak żołnierz na warcie. Było oczywiste, że ludzie, którzy jeszcze pół minuty temu strzelali do Grimsi, nie będą z płótnymi nadziejami - czekali w płomieniach, aż uda im się podziurawić kulami starego sępa.

. Niemożliwe było również, aby do czasu ugaszenia ognia wodolot mógł cokolwiek staranować.

- Walnij ich jeszcze raz! - krzyknął do Pitta przez wybite przednie okno sterówki. - Potraktuj skurwieli ich własną bronią.

Pitt nie odpowiedział. Ledwo miał czas rzucić płonąca bańkę, gdyż Sandecker szybko kręcąc sterem, zawrócił przed dziobem wodolotu, aby zaatakować po raz trzeci. Jeszcze dwukrotnie wyłaniali się z mgły i Pitt dwa razy przerzucał pogięte kanistry wypełnione płynem zagłady, aż wyczerpał przygotowany naprędce arsenał.

Nagły wybuch wstrząsnął Grimsi; potworny podmuch powalił Pitta na pokład i wyrwał resztkę szyb z okien wokół Sandeckera. Wodolot eksplodował niczym wulkan. Płomienie, które natychmiast ogarnęły kadłub od dzioba do rufy, zmieniły cały statek w piekło.

Echo potężnego huku odbitego od przybrzeżnych skał wciąż brzmiało, gdy Pitt jak pijany podniósł się na nogi i oniemiały patrzył na wodolot. To, co kiedyś było wspaniale zaprojektowaną dużą łodzią, teraz stanowiło już tylko ruinę, buchającą płomieniami aż do linii wodnej. Sandecker zredukował prędkość Grimsi i dryfował wzdłuż gorejącego wraka, a Pitt powłókł się do sterówki. W uszach dzwoniły mu wszystkie dzwony świata, chwilowo zakłócając poczucie równowagi.

- Widziałeś jakichś rozbitków? - zapytał admirał. Miał lekko skaleczony, krwawiący policzek.

Pitt pokręcił głową.

- Mają to, co chcieli - powiedział twardo. - Nawet jeśli któryś z nich zdążył skoczyć do wody, zginie z zimna, nim zdążymy odnaleźć go we mgle.

Do sterówki weszła Tidi. Jedną ręką trzymała się za czoło, na którym czerwienił się siniak w początkowym stadium rozwoju. Jej twarz była jednym wielkim oszołomieniem.

- Co... co się stało? - Niczego więcej nie zdołała z siebie wydusić. - To nie zbiorniki paliwa - rzekł Sandecker. - Jestem tego całkowicie pewien.

- Zgadzam się - odparł Pitt posępnie. - Na pokładzie musiały leżeć materiały wybuchowe, w które zaplątała się moja bombka zapalająca domowej roboty.

- Trochę nierozsądnie z ich strony - głos Sandeckera był niemal pogodny. - Niespodziewany ruch, tak powiedziałeś i miałeś rację. Tym durnym skurwielom nie przyszło do łbów, że zagoniona do kąta mysz może się bronić jak lew.

- Przynajmniej wzięliśmy niewielki odwet. - Pitt powinien czuć się źle, ale sumienie zupełnie go nie niepokoiło. Wraz z Sandeckerem działał w obronie własnej... a także z chęci zemsty. Odplacili nieco za śmierć Hunnewella i innych, ale do pełnego wyrównania rachunków było jeszcze daleko. To dziwne - pomyślał - jak łatwo jest zabić ludzi, których się nie zna, o których życiu nic się nie wie. Doktor Jonsson powiedział: Obawiam się, że pańska troska o ludzkie życie może się źle dla pana skończyć. Błagam pana, przyjacielu, jeśli nadejdzie właściwy moment, proszę się nie wahać ani chwili. Pitt poczuł gorzką satysfakcję. Oto nadszedł właściwy moment, a on nie zawahał się. Nawet nie miał czasu pomyśleć o tym, że zadaje ból i śmierć. Teraz zastanawiał się, czy podświadoma akceptacja zabicia nieznanego człowieka nie jest przypadkiem czynnikiem umożliwiającym prowadzenie wojen.

Cichy głos Tidi wdarł się w jego myśli.

- Oni nie żyją. Oni wszyscy nie żyją. - Zaczęła szlochać z rękami przyciśniętymi do twarzy, kołysząc się na boki. - Zamordowałeś ich, z zimną krwią spaliłeś na śmierć.

- Tego już za wiele, moja droga - rzekł zimno Pitt. - Otwórz oczy! Rozejrzyj się dookoła: Tych dziur w deskach nie zrobiły dzięcioły. Albo oni, albo my, że posłużę się tym najbardziej wyświechtanym stwierdzeniem. Innej możliwości nie było. Coś ci się pomieszało w głowie. My jesteśmy dobrymi facetami. Zamordować nas z zimną krwią to był ich pomysł.

Spojrzała w górę na pociągłą, zdeterminowaną twarz, w zielone, pełne wyrozumienia oczy i nagle poczuła wstyd.

- Ostrzegałam was. Mówiłam, żebyście mnie zakneblowali, gdy znowu zacznę gadać głupstwa.

Pitt uchwycił jej spojrzenie.

- Admirałowi i mnie na razie udaje się to znieść. Jeśli w dalszym ciągu będziesz nam robiła kawę, to nie pójdziemy do nikogo na skargę. Wstała i z mokrą od łez twarzą delikatnie pocałowała Pitta.

- Dwie kawy, już się robi. - Przetarła dłońmi oczy.

- I wytrzyj twarz - rzekł z uśmiechem. - Tusz spłynął ci z oczu prawie na brodę.

Odwróciła się posłusznie i zeszła do kambuza. Pitt mrugnął okiem do Sandeckera. Admirał ze zrozumieniem skinął głową, a następnie zaczął przyglądać się płonącemu statkowi.

Wodolot szybko tonął rufą do dołu. Morze wdarło się na pokład, płomienie zniknęły w obłokach syczącej pary i było po wszystkim. Jeszcze przez chwilę miejsce wiecznego spoczynku wodolotu znaczyły niemożliwe do zidentyfikowania szczątki, wir spowodowany przez wylaniające się z wody tłuste bąble i gęsta zawiesina. Teraz wodolot zdawał się już tylko niejasną reminiscencją sennego koszmaru, jaki kończył się z ustąpieniem nocy.

Resztkami woli Pitt zmusił się do myślenia o sprawach bardziej doczesnych.

- Nie ma sensu kręcić się tutaj. Proponuję, żebyśmy ruszyli do Reykjavíku z możliwie największą prędkością, jaką da się rozwinąć w tej mgle. Będzie ze wszech miar lepiej, jeśli jak najdalej uciekniemy poza ten rejon, zanim poprawi się pogoda.

Sandecker spojrział na zegarek. Była trzynasta czterdzieści pięć. Cała akcja trwała zaledwie piętnaście minut.

- Mam coraz większą ochotę na gorący grog - powiedział. Stań przy echosondzie. Kiedy dno podniesie się do trzydziestu metrów, to przynajmniej będziemy wiedzieli, że płyniemy zbyt blisko brzegu.

Trzy godziny później wyszli ze mgły, opłynąwszy cypel keflavicki dwadzieścia mil na południowy zachód od Reykjavíku. Powitało ich oślepiające słońce, które nad Islandią najwyraźniej nigdy nie zachodziło. Startujący z międzynarodowego portu lotniczego w Keflavíku odrzutowiec PanAmu z rykiem przeleciał nad nimi, by zatoczyć łagodny łuk i odbijając od aluminiowego poszycia jaskrawe promienie, wejść na wschodni kurs w drodze do Londynu. Pitt patrzył na samolot tęsknym wzrokiem. Pomyślał z westchnieniem, że zamiast stać na pokładzie chybotliwej, starej łajby, wolałby ścigać chmury, siedząc za sterami srebrnego olbrzyma. Sandecker jednak bardzo prędko wyrwał go z przyjemnej zadumy.

- Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że będę musiał oddać Rondheimowi łódź w tak okropnym stanie. - Twarz admirała wykrzywił przebiegły, złośliwy uśmiech.

- Pana troska jest doprawdy wzruszająca - odparł Pitt z nie mniejszym sarkazmem.

- Zresztą Rondheima stać na to, do cholery - zdjął rękę z koła i pokazał na podziurawione ściany sterówki. - Kilka desek, trochę farby, nowe szyby i łódka będzie jak nowa.

- Rondheim pewnie uśmieje się ze zniszczeń na Grimsi, ale na pewno przestanie się śmiać, gdy dowie się, jaki los spotkał wodolot i jego załogę.

Sandecker popatrzył na Pitta.

- Dlaczego uważasz, że Rondheim ma związek z wodolotem? - Tym związkiem jest łódź, którą płyniemy.

- Będziesz musiał poszukać czegoś bardziej przekonującego rzekł zniecierpliwiony Sandecker.

Pitt usiadł na ławce przy szafce ze sprzętem ratunkowym i zapalił papierosa.

- To była doskonała pułapka na myszy. Rondheim wszystko świetnie zaplanował, nie wziął jednak pod uwagę możliwości, której prawdopodobieństwo nastąpienia jest jak jeden do tysiąca, a mianowicie tego, że porwiemy mu łódź. Zastanawialiśmy się, dlaczego Grimsi była przycumowana do przystani Fyrie... Stała tam, aby nas śledzić. Gdy tylko rzucilibyśmy cumy, udając się w rejs po zatoce luksusowym jachtem, zaraz na pomoście pojawiliby się ludzie Rondheima i popłynęli naszym śladem nie rzucającą się w oczy łodzią rybacką. Nawet jeśli zaczęlibyśmy coś podejrzewać, to na morzu i tak nie byłoby sposobu pozbycia się ich. Maksymalna prędkość tego eleganckiego jachtu prawdopodobnie wynosi jakieś dwadzieścia węzłów. Teraz wiemy, że Grimsi jest dwa razy szybsza.

- Parę osób musiało się nieźle zdziwić - rzekł z uśmiechem Sandecker.

- Myślę, że nawet ogarnęła ich panika - odparł Pitt - dopóki Rondheim nie wymyślił alternatywnego rozwiązania. Muszę przyznać, że to bardzo cwany skurwiel. Podejrzewał nas bardziej, niż przypuszczaliśmy. Mimo to nie bardzo wiedział, o co nam chodzi. Wyjaśnienie przyszło wtedy, gdy przypadkowo pożyczylimy niewłaściwą łódź. Po chwilowym szoku założył - zresztą źle - że przejrzeliliśmy jego plany i celowo zabraliśmy Grimsi. Wiedział już jednak, dokąd popłynęliśmy.

- Do czarnego odrzutowca - uzupełnił Sandecker. - Po wskazaniu dokładnej pozycji chciał nas rzucić rybom na żer. Na tym polegał jego pomysł?

Pitt pokręcił głową.

- Sądzę, że na początku nie miał zamiaru eliminować nas. Oszukaliśmy go jednak ze sprzętem do nurkowania. Przypuszczał, że najpierw będziemy poszukiwać z powierzchni, a dopiero później wrócimy na podwodny rekonesans.

- Co sprawiło, że zmienił zamiar?

- Obserwacja z brzegu.

- Ale skąd się wziął obserwator?

- Z Reykjavíku, przyjechał samochodem. - Pitt zaciągnął się papierosem i przez chwilę trzymał dym w płucach. - Nie byłoby żadnego kłopotu ze śledzeniem nas z powietrza, ale zrezygnował z tego; prawdopodobnie nie chciał, żebyśmy się zgubili w słynnej islandzkiej mgie przybrzeżnej. Kazał zatem jednemu ze swoich ludzi po prostu wsiąść do samochodu, pojechać za półwysep keflavicki i czekać, aż się pokażemy. Gdy wyświadczyliśmy mu tę przysługę, obserwator podążał za nami do miejsca, gdzie rzuciliśmy kotwicę. Przez lornetkę wszystko wyglądało niewinnie, ale podobnie jak Rondheim, byliśmy za pewni siebie i przeoczyliśmy jeden drobiazg.

- Niemożliwe - zaprotestował Sandecker. - Podjęliśmy wszelkie środki ostrożności. Ktoś, kto nas obserwował, potrzebowałby teleskopu z obserwatorium w Mount Palomar, żeby zauważyć, iż Tidi jest przebrana w twoje ciuchy.

- To prawda. Ale każdą japońską lornetką siedem na pięćdziesiąt bez trudu mógł zobaczyć bańki wydobywające się spod wody, zwłaszcza jeśli oświetlało je słońce.

- Niech to szlag! - parsknął Sandecker. - Z bliska widać je bardzo kiepsko, ale z daleka w ostrym świetle i na spokojnej powierzchni... - Zawahał się.

- Wtedy obserwator skontaktował się z Rondheimem, prawdopodobnie przez radiotelefon zainstalowany w samochodzie, i powiadomił go, że nurkujemy do wraka. Rondheim znów znalazł się pod ścianą. Musiał nas powstrzymać, zanim moglibyśmy odkryć coś znaczącego w tej grze. Potrzebna mu była łódź przewyższająca prędkością Grimsi. Pojawił się więc wodolot.

- A to coś znaczącego w tej grze? - indagował Sandecker.

- Teraz już wiemy, że nie chodziło ani o samolot, ani o załogę. Wszystkie ślady zostały bowiem usunięte. Pozostawał więc ładunek. - Modele?

- Modele - powtórzył Pitt. - Tu chodzi o coś innego niż tylko o hobby. One mają konkretne przeznaczenie.

- Jak, do diabła, chcesz się dowiedzieć, do czego służą?

- To proste. - Pitt pokazał zęby w szerokim uśmiechu. Rondheim nam powie. Podrzucimy je na łódź chłopakom od przynęt, a potem, jak gdyby nigdy nic, wrócimy do przystani Fyrie Limited. Rondheim z pewnością koniecznie będzie chciał się dowiedzieć, czy coś znaleźliśmy. Liczę, że wykona jakiś nieprzemyślany ruch. Wtedy uderzymy go tam, gdzie najbardziej boli.

## ROZDZIAŁ 12

Kiedy cumowali na przystani Fyrie Limited, dochodziła godzina czwarta po południu. Pomost był pusty. Przystaniowy oraz strażnik najwyraźniej zostali odesłani. Pitt i Sandecker nie dali się jednak zwieść pozornemu spokojowi. Wiedzieli, że każdy ich ruch jest pilnie obserwowany od momentu, gdy Grimsi minęła portowy falochron.

Przed opuszczeniem mocno sponiewieranej łodzi Pitt zostawił kartkę na kole sterowym.

Przepraszam za bałagan. Zostaliśmy zaatakowani przez bandę tutejszych opryszków. Proszę obciążyć mnie kosztami naprawy.

I podpisał: admirał James Sandecker.

Dwadzieścia pięć minut później we trójkę dotarli do konsulatu. Młodzi pracownicy, którzy tak doskonale odegrali role rybaków handlujących przynętami, byli szybsi o pięć minut i zdążyli już zamknąć modele w podziemiach budynku. Sandecker podziękował im gorąco i obiecał zastąpić utopiony przez Pitta sprzęt do nurkowania najlepszym, jaki produkuje US Divers.

Pitt szybko wziął prysznic, zmienił ubranie i pojechał taksówką na lotnisko w Keflaviku.

Malownicze miasto bez dymów szybko zostało za tylnym zderzakiem czarnego volvo, mknącego wąską, asfaltową wstążką przybrzeżnej drogi do Keflaviku. Na prawo rozciągał się Atlantyk, który w tym momencie był równie błękitny, jak wody Morza Egejskiego wokół greckich wysepek. Wiał wiatr od oceanu i major przyglądał się niewielkiej flotyli łodzi rybackich pchanych do portu przez potężne fale. Po lewej stronie auta przesuwiał się nierówny, pofałdowany krajobraz, którego doskonałą zieleń rozweselał kropkowany wzór utworzony przez pasące się bydło i słynne islandzkie kuce o długich grzywach.

Jadąc w pięknej scenerii, Pitt zaczął myśleć o wikingach - brudnych, ostro pijących i skorych do awantur mężczyznach, którzy obracali w perzynę każdą nadmorską cywilizację, a ich romantyczny wizerunek został wyidealizowany ponad wszelką miarę w przekazywanych od wieków legendach. Wikingowie wylądowali na Islandii, wzrosli w siłę, a następnie zniknęli. Lecz pamięć o nich nie zaginęła na wyspie, gdzie twardzi, zaprawieni w pracy na morzu mężczyźni codziennie, bez względu na sztorm i mgłę, wypływali po ryby, które stanowiły podstawę wyżywienia narodu i ekonomiki kraju.

Kiedy wjechali na tereny lotniska, taksówkarz prędko sprowadził Pitta na ziemię.

- Chce pan, żebym podjechał pod budynek głównego terminalu? - Nie, pod hangary

remontowe.

Kierowca zastanawiał się przez moment.

- Niestety, proszę pana. Hangary są na skraju pasów startowych już za terminalem pasażerskim. Wpuszczane tam są tylko samochody z przepustkami.

Pitta zaintrygował angielski taksówkarz. Niebawem uświadomił sobie dlaczego. Kierowca mówił z czystym amerykańskim akcentem mieszkańca Środkowego Zachodu.

- Spróbujmy jednak, dobrze?

Taksówkarz wzruszył ramionami i podjechał do bramy wjazdowej na płytę lotniska. Stał przed ubranym w granatowy mundur wysokim, chudym blondynem, który wyszedł z prostej, pomalowanej na biało budki wartownika, takiej samej, jakie stały przy pozostałych bramach. Strażnik podniósł dłoń do czapki i przyjaźnie zsalutował. Pitt opuścił szybę i pokazał mu legitymację wojskową.

- Major Dirk Pitt - przedstawił się suchym, oficjalnym tonem. Wykonuję bardzo pilne zadanie dla rządu Stanów Zjednoczonych i w związku z tym muszę się dostać do hangaru, w którym przeprowadzane są przeglądy oraz naprawy samolotów nierejsowych i prywatnych.

Wartownik patrzył na niego bezmyślnie do czasu, aż Pitt skończył krótkie przemówienie, po czym z głupawym uśmiechem na twarzy wzruszył ramionami.

Taksówkarz wyszedł zza kierownicy.

- On nie mówi po angielsku, majorze. Pozwoli pan, że posłużę jako tłumacz.

Nie czekając na zgodę Pitta, kierowca objął ramieniem strażnika, łagodnie poprowadził go w kierunku bramy i gestykulując wdzięcznie, zalewał potokiem islandzkich słów. Po raz pierwszy Pitt miał okazję dobrze przyjrzeć się pomocnikowi.

Taksówkarz był średniego wzrostu, miał nieco mniej niż metr osiemdziesiąt, jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, złote włosy i towarzyszącą im zazwyczaj jasną cerę. Gdyby Pitt przypadkowo zobaczył go na ulicy, uznałby, że młody przechodzień trzy lata temu skończył studia, a obecnie jest zastępcą kierownika działu, pragnącym zrobić karierę w banku swego teścia.

W końcu obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem i pokiwali głowami. Następnie taksówkarz wrócił za kierownicę i mrugnął porozumiewawczo do Pitta, podczas gdy wciąż roześmiany wartownik otwierał bramę oraz ruchem ręki zachęcał do wjazdu.

- Zdaje się, że ma pan sposoby na strażników - powiedział Pitt. - Zawodowa konieczność. Niewiele wart jest taksówkarz, który nie potrafi przejechać przez strzeżoną bramę albo policyjną roгатkę. - Widzę, że doskonale opanował pan ten numer.



- Trochę się nad tym pracowało... O który hangar panu chodzi? Tu ich jest dużo, każda większa linia ma swój.

- Główny hangar remontowy, ten, w którym przeprowadza się przeglądy przylatujących na Islandię samolotów nierejsowych.

Ostre światło słońca odbite od białego, betonowego podjazdu dla taksówek zmusiło Pitta do przymrużenia oczu. Wyjął z kieszeni na piersiach okulary słoneczne i założył je. W równym szeregu stało kilka wielkich odrzutowców pasażerskich, prezentując kolorowe emblematy linii TWA, Pan American, SAS, Islandic i BOAC, gdy tymczasem ubrani na biało członkowie obsługi naziemnej znikali w osłonach silników lub pełzali po skrzydłach z węzami paliwowymi. Na drugim końcu płyty lotniska Pitt dostrzegł amerykański samolot wojskowy, który poddawany był podobnemu rytuałowi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił taksówkarz. - Może mógłbym się jeszcze przydać jako tłumacz?

- Pana pomoc nie będzie mi już potrzebna. Proszę nie wyłączać taksometru. Nie będzie mnie tylko kilka minut.

Pitt wysiadł z samochodu i przez boczne drzwi wszedł do hangaru - gigantycznego, sterylnego budynku o powierzchni niemal hektara. Pięć małych, prywatnych samolotów rozstawionych na podłodze wyglądało jak garstka widzów na pustej widowni. Ale dopiero szósty przykuł wzrok Pitta. Był to stary trzysilnikowy ford, znany jako Blaszana Gęś. Falista blacha aluminiowa niczym skóra pokrywała szkielet samolotu i trzy motory, z których jeden lekko zadarty sterczał spod kabiny pilotów, a dwa pozostałe wisiały w powietrzu, podtrzymywane przez sieć splątanych przewodów i elementów mocujących. Widok ów dla oczu laika był dostatecznie odstraszący, by wzbudzić poważne wątpliwości, nie tylko czy to coś daje się pilotować, lecz czy w ogóle potrafi oderwać się od ziemi. Pionierzy awiacji przysięgliby jednak, że jest to całkowicie możliwe. Według nich Blaszana Gęś latała jak cholera. Pitt pogłaskał antyczną tarkę poszycia, życząc sobie, by kiedyś móc sprawdzić, jak się tym lata, po czym ruszył ku biurom na końcu hangaru.

Otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia, które wydawało się połączeniem szatni z pokojem socjalnym. Jego powonienie doznało natychmiastowego szoku, wywołanego kombinacją zapachów: potu, papierosów i kawy. Jeśli nie liczyć aromatu kawy, panował tam taki smród, jaki gromadzi się tylko w salach gimnastycznych szkół ponadpodstawowych po lekcjach wychowania fizycznego. Pitt stał przez chwilę, przyglądając się grupce pięciu mężczyzn zgromadzonych wokół dużego, ceramicznego dzbanka z kawą, i głośno śmiejących się z opowiedzianego właśnie dowcipu. Wszyscy byli

ubrani w białe kombinezony, jedne nieskazitelnie czyste, inne mocno pobrudzone czarnym smarem. Pitt z uśmiechem na twarzy podszedł do nich nieśpiesznym krokiem.

- Przepraszam, panowie, czy któryś z was mówi po angielsku? - Ja mówię po amerykańsku. Pasuje? - powiedział mechanik o długich, kręconych włosach, siedzący najbliżej dzbanka z kawą.

- Pasuje jak trzeba - roześmiał się Pitt. - Szukam człowieka mającego inicjały SC, prawdopodobnie specjalisty od hydrauliki. Mechanik spojrzał lekko zmieszany wzrokiem.

- A kto pyta?

- Pitt, major Dirk Pitt.

Przez pięć sekund mechanik siedział bez ruchu z obojętnym wyrazem twarzy; jedynie szeroko otwarte oczy wskazywały na niemałe zaskoczenie. Nagle bezradnie wyrzucił ręce do góry i natychmiast pozwolił im bezwładnie opaść na boki.

- No, tak, wreszcie się pan pojawił, majorze. Wiedziałem, że coś za długo idzie mi dobrze. - Ten głos niewątpliwie pochodził z głębokiej Oklahomy.

- Niby co? - Teraz przyszła kolej na Pitta, aby okazać obojętność.

- No, wie pan, moje fuchy - cedził słowa z posępną miną. W czasie wolnym od służby robiło się przy cywilnych samolotach. Wzrokiem skazańca wpatrywał się w dno filizanki. - Wiem, że to jest wbrew regulaminowi Powietrznych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, ale dobrze płacili i trudno było się oprzeć. Znaczący, że teraz mogę się pożegnać z wojskiem, tak?

Pitt popatrzył na niego uważnie.

- Pierwsze słyszę, żeby zawodowy żołnierz, nawet oficer, nie mógł poza służbą zarobić paru dodatkowych dolarów. W naszych przepisach nie ma o tym ani słowa.

- W regulaminie ogólnym nie ma, panie majorze. Ale politykę bazy lotniczej w Keflaviku ustala jej dowódca, pułkownik Nagel. On uważa, że w czasie wolnym od służby powinniśmy siedzieć po naszej stronie lotniska i pracować przy maszynach dywizjonu, zamiast pomagać tym handlarzom pierza. Chyba chce zasłużyć sobie w Pentagonie na generalskie szlify. Przecież gdyby pan o tym nie wiedział, nie byłoby pana tutaj, no nie?

- Wystarczy - rzekł ostro Pitt. Przeniósł wzrok na pozostałą czwórkę, uważnie przyjrzał się mężczyznom i ponownie spojrzał na wojskowego mechanika. Nagle w jego oczach pojawił się chłód. Wstań, żołnierzu, gdy mówisz do oficera.

- Nie muszę od razu całować pana w dupę, majorze. Nawet nie jest pan w mundurze...

To wszystko zajęło dwie sekundy. Pitt z całkowitą nonszalancją schylił się, chwycił za przednie nogi krzesła mechanika i przewróciwszy je na plecy razem z nim, niemal jednocześnie postawił stopę na szyi chłopaka z Oklahomy. Pozostali członkowie obsługi naziemnej przez kilka sekund stali w osłupieniu. Lecz gdy szok minął, zaczęli otaczać Pitta groźnym kręgiem.

- Odwołaj swoich koleśków albo złamię ci kark - powiedział uprzejmie Pitt, patrząc w rozszerzone ze strachu oczy mechanika. Uciskający tchawicę obcas Pitta całkowicie pozbawił żołnierza możliwości swobodnej wypowiedzi, nie był jednak na tyle uciążliwy, by powstrzymać szalone ruchy rąk. Mężczyźni stanęli, a następnie cofnęli się o krok. Zrobili to nie ze względu na niemą, choć nader wymowną prośbę kolegi, lecz głównie dzięki lodowatemu uśmiechowi, jaki ozdobił oblicze Pitta.

- Jesteście grzeczne chłopaki - rzekł major. Spojrzał w dół na bezbronnego mechanika i lekko uniósł stopę, aby przywrócić więźniowi zdolność mówienia. - No, dobra. Imię, nazwisko, stopień i numer wojskowy. Ale już!

- Sam... Sam Cashman - wykrztusił. - Sierżant, numer wojskowy 19385628.

- I co? Nic strasznego ci się nie stało, prawda, Sam? - Pitt schylił się, pomagając Cashmanowi wstać.

- Przepraszam, panie majorze. Wykombinowałem, że skoro i tak ma pan postawić mnie przed sądem wojskowym...

- Kiepsko kombinujesz - wpadł mu w słowo Pitt. - Następnym razem trzymaj język za zębami. Przyznałeś się do winy, mimo że nikt ci niczego nie zarzucał.

- Teraz mnie pan zakapuje?

- Zacznę od tego, że gównu mnie obchodzi, czy masz fuchy, czy nie. Nie stacjonuję w bazie w Keflaviku i mam gdzieś kretyńskie zarządzenia pułkownika Nagela. Co więcej, na pewno nie ja będę tym facetem, który cię wyda. Chcę wyłącznie, abyś odpowiedział na kilka prostych pytań. - Pitt patrzył w oczy Cashmana i miło uśmiechał się. - No, więc jak? Pomożesz mi?

Na twarzy mechanika malował się strach.

- Jezu Chryste, wszystko bym dał, żeby pan był moim dowódcą. - Wyciągnął dłoń. - Niech pan pyta.

Pitt uściśnął rękę Cashmana.

- Pierwsze pytanie: czy zwykle wydrapujesz swoje inicjały na naprawianych przez siebie elementach?

- Tak. Wie pan, to taki znak firmowy. Robię dobrą robotę i jestem z tego dumny. Ma

to też swój cel. Gdy pracuję nad układem hydraulicznym jakiegoś samolotu, który później wraca z usterkami, wiem, że mam ich szukać tam, gdzie nie ma mojego znaku. W ten sposób oszczędzam kupę czasu.

- Czy kiedykolwiek naprawiałeś układ przedniego koła dwunastomiejscowego odrzutowca brytyjskiego?

Cashman zastanawiał się przez chwilę.

- Tak, jakiś miesiąc temu. Najnowszej generacji lorelei z dwoma silnikami turboodrzutowymi. Supermaszyna.

- Czy była pomalowana na czarno?

- Nie zauważyłem koloru. Było ciemno. Zadzwonili po mnie o wpół do drugiej w nocy. Ale samolot nie był czarny. - Pokiwał głową. - Jestem tego pewien.

- Czy przypominasz sobie jakieś szczegóły, a może coś niezwykłego związanego z tą naprawą?

Cashman roześmiał się.

- Pamiętam jeden szczegół. Dwóch dziwnych typów, którzy lecieli tą maszyną. - Podniósł filiżankę, by w ten sposób zaproponować Pittowi kawę, lecz major przecząco pokręcił głową. Wie pan, ci faceci śpieszyli się jak diabli. Stali nade mną i poganiali. Parę razy nieźle mnie opieprzyli. Musieli gdzieś twardo wylądować, bo rozwalili obudowę amortyzatora. Mieli cholerne szczęście, że znalazłem zapasową w hangarach BOAC.

- Zaglądałeś do środka samolotu?

- A skąd! Tak pilnowali drzwi bagażowych, jakby na pokładzie był szef jakiegoś wielkiego koncernu.

- Domyślasz się, skąd przylecieli lub dokąd zmierzali?

- Ani trochę. Te skurwiele nic nie powiedziały. Gadali tylko o naprawie. Ale to musiał być miejscowy lot, bo nie uzupełniali paliwa. Na lorelei bez pełnych zbiorników daleko by nie dolecieli, przynajmniej z Islandii.

- Pilot musiał podpisać odbiór naprawy.

- Nie. Odmówił. Powiedział, że jest bardzo spóźniony i złapie mnie następnym razem. Mimo to zapłacił. Dwa razy tyle, ile była warta robota. - Cashman umilkł na chwilę. Próbował wyczytać coś z twarzy mężczyzny stojącego przed nim, ale oblicze Pitta było nieprzeniknione jak granit. - Co się kryje za tymi wszystkimi pytaniami, majorze? Może mi pan zdradzić ten sekret?

- To żaden sekret - powiedział wolno Pitt. - Samolot marki Lorelei rozbił się parę dni temu i poza szczątkami dzioba nic innego nie zostało do identyfikacji. Próbuję ustalić

jakieś dane na jego temat, to wszystko.

- Nie zgłoszono jego zaginięcia?

- Gdyby zgłoszono, nie byłoby mnie tutaj.

- Po tych facetach wiedziałem, że to może być śmierzcząca sprawa. Dlatego na wszelki wypadek wypisałem papiery naprawy. Pitt pochylił się w stronę Cashmana i zajrzał mu głęboko w oczy. - Co warte są te papiery, jeśli nie byłeś w stanie zidentyfikować samolotu?

Na twarzy mechanika pojawił się przebiegły uśmiech.

- Może i jestem chłopakiem ze wsi, ale moja mamuśka nie powiła mnie wczoraj. - Wstał i skinął głową w kierunku bocznych drzwi. Majorze, dziś będzie pamiętał swój dzień.

Zaprowadził Pitta do pokoju biurowego o rozmiarach dziupli; całe umeblowanie składało się z rozlatującego się biurka przypalonego papierosami w co najmniej pięćdziesięciu miejscach, dwóch równie solidnych krzeseł oraz metalowej szafy na dokumenty. Cashman od razu podszedł do niej, wyciągnął szufladę, pogrzebał chwilę w papierach i znalazłszy to, czego szukał, wręczył Pittowi zatłuszczoną, kartonową teczkę.

- Nie kłamałem, gdy mówiłem, że było zbyt ciemno, aby rozróżnić kolory. Ale jestem prawie pewien, że ten samolot nigdy nie był malowany ani pędzlem, ani pistoletem. Aluminiowy kadłub błyszczał tak, jakby dopiero wyszedł z fabryki.

Pitt otworzył teczkę i szybko przejrzał kartę naprawy. Charakter pisma Cashmana pozostawiał wiele do życzenia, ale był dostatecznie wyraźny, by w rubryce typ i numer samolotu odczytać: Lorelei Mark V III-B 1608.

- Skąd to wziąłeś?

- To zasługa Angola, kontrolera jakości w zakładach Lorelei odparł Cashman, siedząc na rogu biurka. - Po zdjęciu osłony przedniego zawieszenia wziąłem latarkę, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jakiegoś uszkodzenia albo przecieku. No i znalazłem numerek pięknie wybity na prawym wsporniku, zieloną sygnaturę, mówiącą, że układ przedniego koła został sprawdzony i dopuszczony do eksploatacji przez Głównego Inspektora Lorelei Aircraft Limited, Clarence'a Devonshire'a. Oczywiście był na niej numer seryjny samolotu.

Pitt odłożył teczkę na biurko.

- Sierzancie Cashman! - rzekł rozkazującym tonem.

- Tak jest! - zaskoczony mechanik stanął na baczność.

- Numer waszego dywizjonu!

- Osiemdziesiąty Siódmy Dywizjon Transportowy, panie majorze.

- Doskonale. - Na beznamytnym obliczu Pitta pomału zaczął rozkwitać szeroki

uśmiech. Major poklepał Cashmana po ramieniu. Miałeś rację, Sam. Dzięki tobie mam swój dzień.

- Ja też chciałbym mieć - powiedział sierżant z westchnieniem ulgi. - W ciągu ostatnich dziesięciu minut dwa razy wystraszył mnie pan jak diabli. Po co panu numer mojego dywizjonu?

- Żeby wiedzieć, gdzie przysłać skrzynkę Jacka Danielsa. Mam nadzieję, że lubisz dobrą whisky?

Cashman doznał nagłego olśnienia.

- Jezu, pan jest fajny gość. Wie pan, majorze?

- Staram się. - Pitt już kombinował, jak wytłumaczyć się z tak wysokich kosztów reprezentacyjnych. Pieprzę Sandeckera - pomyślał - zielona sygnatura jest tego warta. Nagle przypomniał sobie o czymś. Sięgnął do kieszeni.

- Czy przypadkiem kiedyś tego nie widziałeś? - podał Cashmanowi wkrętak, który znalazł w czarnym odrzutowcu.

- Ale numer! Majorze, może pan wierzyć albo nie, ale to jest mój śrubokręcik. Zamówiłem go z katalogu specjalistycznego sklepu z narzędziami w Chicago. Na tej wyspie nie ma drugiego takiego samego wkrętaka. Gdzie pan go znalazł?

- We wraku.

- A więc tak to się odbyło - rzekł ze złością Cashman. - Te śmierzdiele ukradły go. Powinienem się domyślić, że faceci są zamieszani w jakieś trefne kombinacje. Niech mi pan tylko da znać o ich procesie, a będę szczęśliwszy od psa, który się zerwał z łańcucha, jeśli przyjdzie mi zeznawać przeciwko nim.

- Lepiej wykorzystaj wolny czas na bardziej atrakcyjne rozrywki. Twoi znajomi nie pokażą się w sądzie. Uderzyli w kalendarz.

- Zginęli w samolocie? - rzekł tonem, który raczej wskazywał na twierdzenie niż pytanie.

Pitt przytaknął.

- Pewnie mógłbym powiedzieć, że zbrodnia nie popłaca, i tak dalej, ale nie będę się fatygował. Spotkało ich to, co im było pisane. I to by było na tyle.

- Jako filozof jesteś wyjątkowo świetnym specjalistą od lotniczej hydrauliki, Sam. - Pitt jeszcze raz uściskał dłoń Cashmana. Serdeczne dzięki za pomoc i do widzenia.

- Cieszę się, że mogłem być na coś przydatny, majorze. Proszę, niech pan zatrzyma ten śrubokręt na pamiątkę. Zamówiłem nowy, ten nie będzie mi już potrzebny.

- Jeszcze raz dziękuję. - Pitt schował wkrętak do kieszeni, odwrócił się i wyszedł z

pokoju.

Pitt rozsiadł się wygodnie w taksówce, włożył do ust papierosa, lecz nie zapalił go. Uzyskanie numeru seryjnego samolotu było strzałem w ciemność, który przypadkowo trafił w dziesiątkę. Sądził bowiem, że niczego się nie dowie. Patrząc nie widzącymi oczyma na umykające za szybą zielone pastwiska, zastanawiał się, czy jest już w stanie znaleźć bezpośredni związek samolotu z Rondheimem, Wciąż nad tym rozmyślał, lecz jednocześnie pomału zaczął sobie zdawać sprawę z dziwnej zmiany krajobrazu. Na polach nie było bydła ani koników, falisty teren zmienił się w ogromną równinę tundry. Spojrzał przez drugie okno; nie zauważył morza tam, gdzie być powinno; ponieważ widać je było daleko za tylną szybą, jak powoli znikало na końcu długiej, lekko wznoszącej się drogi. Wychylił się na przednie siedzenie.

- Ma pan randkę z jakąś wiejską dziewczyną, czy obwozi mnie pan po pięknej okolicy, aby nabić licznik?

Taksówkarz nacisnął na hamulec i łagodnie zwalniając, zatrzymał samochód na poboczu.

- Słowo „dyskrecja” byłoby bardziej odpowiednie, majorze. Trochę zboczyłem z trasy, abyśmy mogli spokojnie pogawędzić... Głos kierowcy nagle zamarł. I nie bez powodu. Pitt bowiem wepchnął mu do ucha dwa centymetry śrubokręta.

- Kładź ręce na kierownicy i zawracaj tego grata do Reykjavíku - powiedział cicho - albo przykręcę ci prawe ucho do lewego.

Pitt uważnie obserwował twarz taksówkarza we wstecznym lusterku. Przyglądał się niebieskim oczom wiedząc, że dostrzeże w nich nawet najmniejszą oznakę ewentualnego oporu. Żaden cień nie przemknął jednak przez chłopięce oblicze, nie pojawiła się na nim choćby odrobina strachu. Za to bardzo wolno twarz w lusterku zaczęła uśmiechać się, by wkrótce parsknąć śmiechem.

- Majorze Pitt, jest pan bardzo podejrzliwym człowiekiem.

- Gdyby w ciągu ostatnich trzech dni trzy razy próbowano pana zabić i pan stałby się podejrzliwy.

Śmiech nagle ustąpił miejsca zdziwieniu.

- Trzy razy? Wiem tylko o dwóch...

Pitt uciszył go, wpychając śrubokręt centymetr głębiej.

- Masz szczęście, kolego. Mógłbym spróbować naciągnąć cię na zwierzenia o twoim szefie i prowadzonej przez niego operacji, ale metody przesłuchania stosowane przez rosyjskie KGB nie bardzo odpowiadają mojej delikatnej naturze. Zamiast więc do

Reykjavíku, zawieziesz mnie grzecznie z powrotem do Keflavíku, lecz tym razem pojedziesz na drugą stronę lotniska, do amerykańskiej bazy wojskowej, gdzie razem ze swoimi kumplami będziesz mógł porozwijać zagadki, które dadzą wam ludzie z Narodowej Agencji Wywiadowczej. Polubisz tych facetów; oni potrafią nauczyć tańczyć każdego, kto dotychczas podpierał ściany.

- Może dojdzie do krępującej sytuacji. - To już twój problem.

W lusterku znów pojawił się uśmiech.

- Niezupełnie, majorze. Pana mina na pewno warta będzie zapamiętania, gdy dowie się pan, że właśnie przesłuchuje agenta NAW. Pitt nie zmienił siły, z jaką wpychał śrubokręt.

- Bardzo naiwne tłumaczenie - powiedział. - Lepszy wykręt wymyśliłby uczeń przyłapany w srazu na paleniu.

- Admirał Sandecker uprzedzał, że nie będzie się łatwo z panem rozmawiało.

Drzwi samochodu były już otwarte, Pitt miał teraz okazję je zatrzasnąć.

- Kiedy rozmawiałeś z admirałem?

- Żeby być dokładnym, powiem, że rozmawiałem z nim w siedzibie NUMA dziesięć minut po telefonie kapitana Koskiego, który przez radio zameldował o szczęśliwym lądowaniu pana i Hunnewella na pokładzie Catawaby.

Drzwi wciąż były nie zamknięte. Odpowiedź taksówkarza zgadzała się z tym, co Pitt wiedział; NAW nie kontaktowała się z Sandeckerem od czasu jego wyjazdu na Islandię. Major rozejrzał się dookoła auta. Nie było żywej duszy ani śladu pułapki zastawionej przez ewentualnych pomagierów kierowcy. Pitt złapał się na tym, że zaczyna się odprężyć, ścisnął więc śrubokręt, aż zaboląły go palce.

- Dobra, dam ci szansę - powiedział uprzejmie. - Ale gorąco nalegam, żebyś poza mruganiem nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów.

- Bez obawy, majorze. Niech pan się wyluzuje i zdejmie mi czapkę.

- Mam ci zdjąć czapkę? - zapytał bezwiednie. Na chwilę zawahał się, a następnie nie zajęta lewą ręką sięgnął po nakrycie głowy.

- W środku czapki, przyklejony taśmą. - Ton kierowcy był łagodny, ale i rozkazujący.

- Jest tam colt derringer kaliber dwadzieścia pięć. Niech pan go weźmie i wyjmie wreszcie mi z ucha ten cholerny śrubokręt.

W dalszym ciągu posługując się jedną ręką Pitt otworzył magazynek, dotknął kciukiem spłonek dwóch maleńkich pocisków, aby upewnić się, że komory są załadowane, po czym zatrzasnął pistolet i odwiódł kurek.



- Na razie wszystko w porządku. Teraz powoli wyjdź z samochodu i trzymaj ręce tak, bym mógł je widzieć. - Zwalniając uchwyt na rękojeści, wyjął wkrętak z ucha kierowcy.

Ten wysunął się zza kierownicy, podszedł do przodu auta i leniwie oparł się o maskę. Podniósł prawą rękę, aby pomasażować sobie ucho, krzywiąc przy tym z bólu twarz.

- Sprytnie pan to zrobił, majorze. O takiej sztuczce nie czytałem w żadnej książce.

- Powinieneś więcej czytać - rzekł Pitt. - Wbicie sopla lodu przez bębenek w mózg niczego nie spodziewającej się ofiary to znana metoda, którą posługiwali się płatni mordercy podczas wojen gangów na długo przed twoim i moim narodzeniem.

- Tej raczej bolesnej lekcji na pewno nie zapomnę.

Pitt wysiadł z samochodu i otwórzony na całą szerokość przednie drzwi, stanął za nimi jak za tarczą z pistoletem wycelowanym w serce kierowcy.

- Powiedziałeś, że rozmawiałeś z admirałem Sandeckerem w Waszyngtonie. Opisz go. Wzrost, wagę, włosy, sposób zachowania, wygląd jego gabinetu - wszystko.

Kierowca nie potrzebował dalszej zachęty. Mówił przez parę minut, na zakończenie podał kilka ulubionych, żargonowych zwrotów Sandeckera.

- Masz dobrą pamięć, niemal doskonałą.

- Mam fotograficzną pamięć, majorze. Mój opis admirała Sandeckera mógłby znaleźć się w jego aktach. Weźmy na przykład pana: Major Dirk Eric Pitt. Urodzony dokładnie trzydzieści dwa lata i dwanaście dni temu w szpitalu Hoag w kalifornijskim Newport Beach. Imię matki - Barbara; ojciec - George Pitt jest senatorem Stanów Zjednoczonych z waszego rodzinnego stanu. - Kierowca mówił monotonnym głosem, klepiąc zapamiętane informacje jak automat, za który w tej dziedzinie bez wątpienia mógł uchodzić. Nie ma sensu wspominać trzech rzędów baretek po odznaczeniach bojowych, których zresztą nigdy pan nie nosi, ani o pana reputacji znanego kobieciarza. Jeśli pan chce, mogę przedstawić szczegółowe, z godziny na godzinę, informacje o pana działaniach po wyjeździe z Waszyngtonu.

- Wystarczy. - Pitt machnął pistoletem. - Jestem zachwycony, panie...

- Lillie. Jerome P. Lillie Czwarty. Jestem pana łącznikiem.

- Jerome P... - Pitt bardzo się starał, lecz nie był w stanie powstrzymać wybuchu szalonego śmiechu.

- Pan chyba żartuje. Lillie bezradnie rozłożył ręce.

- Niech się pan śmieje do woli, majorze, ale nazwisko Lillie od prawie stu lat cieszy się w Saint Louis wielkim szacunkiem.

Pitt zastanawiał się przez moment. Potem nagle zrozumiał.

- Piwo marki Lillie. No, jasne, to jest to. Piwo Lillie. Jakie to było hasło? Piwo dla smakosza.

- Kolejny dowód, że reklama się opłaca - rzekł Lillie. Rozumiem, że należy pan do klientów zadowolonych z naszego produktu?

- Nie bardzo. Wolę budweisera.

- Widzę, że nie będzie się łatwo z panem pracowało - jęknął Lillie.

- Wprost przeciwnie. - Pitt zwolnił kurek derringera i oddał pistolecik Lilliemu. - Bardzo dziękuję. Pan nie może być złym facetem, skoro wyskakuje pan z tak niesamowitą historią.

Lillie machnął bronią.

- Gwarantuję, że się pan na mnie nie zawiedzie, majorze. Powiedziałem panu prawdę.

- To, co pan teraz robi, ma raczej niewiele wspólnego z browarem, a może jest to zupełnie inna historia?

- Bardzo nudna i okropnie długa. Opowiem ją innym razem, być może przy szklaneczce piwa mego tatusia. - Spokojnie przykleił taśmą pistolet wewnątrz czapki, jakby to była codzienna czynność. Wspomniał pan o trzecim zamachu na pańskie życie.

- Skoro proponował pan szczegółową, niemal godzinową informację na temat moich działań po wyjeździe z Waszyngtonu, lepiej niech pan o tym opowie.

- Nikt nie jest doskonały, majorze. Dzisiaj zginął mi pan na dwie godziny.

Pitt w myślach dokonał szybkiego obliczenia. - Gdzie pan był około południa?

- Na południowym wybrzeżu wyspy.

- Co pan tam robił?

Lillie odwrócił się i z beznamiętnym wyrazem twarzy spojrział na pustą okolicę.

- Dzisiaj; dokładnie o dwunastej dziesięć wbijałem nóż w gardło jednego faceta.

- Czyli obaj obserwowaliście Grimsi?

- Grimst? Ach, oczywiście, to nazwa waszej łodzi. Tak, na tego drugiego faceta natknąłem się zupełnie przypadkowo. Gdy pan, admirał Sandecker i panna Royal odpłynęliście na południowy wschód, przyszło mi do głowy, że możecie rzucić kotwicę w rejonie katastrofy śmigłowca. Przeciąłem półwysep, ale przyjechałem za późno. Ten cholerny stary sęp przyplłynął wcześniej, niż myślałem. Pan już zajmował się malarstwem marynistycznym, a admirał Sandecker odgrywał rolę Izaaka Waltona. Widok dwóch zadowolonych z życia facetów kompletnie mnie zmylił.

- Ale nie pańskiego konkurenta. Jego lornetka była silniejsza. Lillie przecząco

pokręcił głową.

- To był teleskop. Nie mniejszy niż sto na siedemdziesiąt pięć, umocowany na trójnogu.

- A więc na łodzi zauważyłem odbicie z lustra teleskopu.

- Jeśli promienie słońca padły pod odpowiednim kątem, wywołały taki właśnie efekt.

Pitt umilkł na chwilę, aby zapalić papierosa. Na otaczającym ich pustkowiu trzask zapalniczki wydał się dziwnie głośny. Major zaciągnął się i spojrzał na Lilliego.

- Powiedział pan, że zabił tamtego nożem?

- Tak. To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Nie miałem innego wyboru. - Lillie pochylił się nad maską volvo, pocierając czoło wierzchem dłoni, najwyraźniej nie mógł dogadać się z własnym sumieniem. - Czołgałem się po kamieniach i po prostu wpadłem na niego, a on - nawet nie wiem, kto to był, nie miał żadnych papierów - był wtedy nachylony nad teleskopem i rozmawiał przez radiotelefon. Obaj byliśmy wpatrzeni w waszą łódź. Ani on się mnie nie spodziewał, ani ja jego. Na swoje nieszczęście zareagował pierwszy i na dodatek bezmyślnie. Wyciągnął z rękawa nóż sprężynowy - co za staroświeckie przyzwyczajenia - i skoczył na mnie. - Lillie wzruszył bezradnie ramionami. - Biedaczysko chciał mnie zadźgać zamiast spróbować cięcia; oczywisty przykład roboty amatora. Powinienem wziąć go żywcem, można by go było przesłuchać, ale w wirze walki wykręciłem mu rękę i nadział się na własny nóż.

- Szkoda, że nie natknął się pan na niego pięć minut wcześniej powiedział Pitt.

- Dlaczego?

- Zdążył podać naszą pozycję przez radio, aby jego kołesie mogli się pojawić i zabić nas.

Lillie wpatrywał się w Pitta pytającym wzrokiem.

- Ale z jakiego powodu? Żeby ukraść parę szkiców albo kubeł ryb?

- Z dużo ważniejszego. Z powodu czarnego odrzutowca.

- Wiem, ten pana tajemniczy czarny odrzutowiec. Gdy zastanawiałem się, dokąd płyniecie, przyszło mi do głowy, że może udaliście się na poszukiwania samolotu, ale pana raport nie podawał dokładnej...

Pitt przerwał mu tonem zwodniczo przyjacielskim.

- Wiem na pewno, że od wyjazdu z Waszyngtonu admirał Sandecker nie kontaktował się z panem ani pańską agencją. On i ja byliśmy jedynymi osobami, które znały treść raportu... - Zawiesił głos, myśląc intensywnie.

- Jeśli nie liczyć...

- Jeśli nie liczyć sekretarki w konsulacie, która go przepisywała na maszynie - dokończył z uśmiechem Lillie. - Moje gratulacje, bardzo interesująco napisany tekst. - Lillie nie zechciał wyjaśnić, w jaki sposób zdobył kopię od sekretarki konsulatu, Pitt z kolei nie zechciał go o to zapytać.

- Niech pan mi powie, majorze, jak zamierzaliście wydobyć zatopiony samolot, nie dysponując niczym poza szkicownikiem i wędką?

- Papa ofiara znalazła odpowiedź na to pytanie. Nieboszczyk bowiem dojrzał przez teleskop moje bańki.

Oczy Lilliego zwięziły się.

- Miał pan sprzęt do nurkowania? - zapytał bez przekonania. Ale skąd? Obserwowałem, jak wychodzą z portu, lecz niczego nie zauważyłem. Przyglądałem się z brzegu panu oraz admirałowi i żaden z was nie opuścił pokładu na dłużej niż trzy minuty. Później, po nadejściu mgły, oczywiście straciłem was z pola widzenia.

- NAW nie ma monopolu na kiwanie przeciwnika i skuteczne utajnianie prowadzonych operacji - rzekł Pitt, zapalając na twarzy Lilliego czerwone płomienie. - Wejźmy do auta, tam będzie wygodniej, a przy okazji opowiem panu jeszcze jedną bajkę z tysiąca i jednej nocy Dirka Pitta.

Pitt rozsiadł się na tylnym siedzeniu, opierając stopy na przednim zagłówku i przedstawił Lilliemu kolejne zdarzenia od momentu wyjścia Grimsi z przystani Fyrie Limited aż do jej szczęśliwego powrotu. Powiedział mu to, co wiedział na pewno, oraz to, czego tylko się domyślał. Podzielił się z nim wszystkim, z wyjątkiem myśli bardzo niewyraźnej, lecz dokuczliwej jak kamyk w bucie. Ta myśl dotyczyła Kirsti Fyrie.

## ROZDZIAŁ 13

- Uznał więc pan, że czarnym charakterem jest Oscar Rondheim - mruknął Lillie. - Jednak na poparcie tego twierdzenia nie przedstawił pan żadnego solidnego dowodu.

- Zgadzam się, że wszystko jest bardzo przypadkowe - odparł Pitt. - Rondheim ma najwięcej do zyskania. W związku z tym ma motyw. Przedtem mordował, żeby dostać w swoje ręce podwodną sondę, a teraz zabija, żeby zatrzeć ślady.

- Musi pan mieć coś bardziej przekonującego. Pitt popatrzył na Lilliego.

- Dobra, sam niech pan wymyśli coś lepszego.

- Jako agent o niezłych notowaniach w NAW z zażenowaniem muszę przyznać, że czuję się zakłopotany.

- Pan jest zakłopotany. - Pitt pokręcił głową, udając smutek. To, że bezpieczeństwo naszego państwa spoczywa w pana rękach, niestety muszę uznać za mało pocieszający fakt.

Lillie uśmiechnął się blado.

- Pan spowodował zamieszanie, majorze. Pan zerwał łańcuch. - Jaki łańcuch? - spytał Pitt. - Może jeszcze mam zgadnąć? Lillie zawahał się przez moment, zanim odpowiedział. W końcu spojrzał Pittowi prosto w twarz.

- Wciągu ostatnich osiemnastu miesięcy ogniwo po ogniwie wydłużał się łańcuch dziwnych wydarzeń w kolejnych krajach od najbardziej wysuniętego na południe skrawka Chile po północną granicę Gwatemali. Po cichu, za pomocą szeregu tajemniczych posunięć, wielkie kompanie górnicze Ameryki Południowej pomału przekształciły się w jeden ogromny syndykat. Z zewnątrz wygląda to na zwykły biznes, lecz za zamkniętymi drzwiami gabinetów owych szacownych przedsiębiorców wiadomo, że zarządzenia dotyczące podejmowanych przez nich działań pochodzą od jednej, nieznaney osoby. Pitt pokręcił głową.

- To niemożliwe. Mogę wymienić co najmniej pięć krajów, które upaństwowiły prywatne kartele górnicze. Nie ma możliwości, aby znacjonalizowane firmy były powiązane z prywatnym przedsiębiorstwem za granicą.

- A jednak jest to fakt. Tam, gdzie doszło do upaństwowienia kopalni, ich zarząd pozostał pod kontrolą z zewnątrz. Parnagus Janios - brazylijskie kopalnie najwyższej jakości rudy żelaza; Domingo - dominikańskie kopalnie boksytów; państwowe kopalnie srebra w Hondurasie, wszystkie realizują zarządzenia tej samej osoby lub tych samych osób.

- W jaki sposób zdobył pan te informacje?

- Mamy swoje źródła - rzekł Lillie. - Niektóre znajdują się wewnątrz kopalni.

Niestety nasze kontakty nie sięgają najwyższych szczebli rządów.

Pitt zgasił papierosa w popielniczce, a niedopalek wyrzucił za okno samochodu.

- Nie ma w tym nic dziwnego, że ktoś próbuje uzyskać monopol. Jeśli uda im się zrealizować zamierzenia, będą mogli dyktować warunki. - Powstanie monopolu jest już wystarczającym złem - powiedział Lillie. - Ale to jeszcze nie wszystko. Nazwiska, które udało się nam ustalić, należą do postaci ze świecznika, należą do dwunastu najbogatszych ludzi Zachodu, z których wszyscy są potentatami przemysłu wydobywczego. Swoimi długimi mackami oplatają ponad dwieście korporacji przemysłowych. - Lillie przerwał, przyglądając się Pittowi. - Kiedy zdobędą monopol, wywindują cenę miedzi, aluminium, cynku i jeszcze paru innych rud pod samo niebo. Wynikła z tego inflacja doprowadzi do ruiny gospodarki co najmniej trzydziestu krajów. Naturalnie Stany Zjednoczone jako jedne z pierwszych padną na kolana.

- Wcale nie musi do tego dojść - stwierdził Pitt. - Jeżeli jednak tak się stanie, oni też wraz ze swymi imperiami finansowymi pójdą na dno.

Linie z uśmiechem przytaknął.

- I to jest cały problem. Ci wszyscy ludzie - F. James Kelly z USA, sir Eric Marks z Wielkiej Brytanii, Roger Dupuy z Francji, Hans von Hummel z Niemiec, Iban Mahani z Iranu oraz pozostali, z których każdy jest wyceniany w liczbach dziewięciocyfrowych - są lojalnymi obywatelami swych szacownych krajów.

- Gdzie więc motyw zysku? - Nie wiemy.

- A co z tym wszystkim łączy Rondheima?

- Nic, jeśli nie liczyć jego związku z Kirsti Fyrie i jej interesami w dziedzinie eksploatacji dna morskiego.

Zapadła długa cisza; przerwał ją Pitt, mówiąc powoli:

- Teraz nasuwa się palące pytanie o pana rolę w tym wszystkim. Co przejęcie południowoamerykańskich kompanii górniczych ma wspólnego z Islandią? NAW nie przysłała pana tutaj wyłącznie po to, aby w przebraniu taksówkarza zaznajomił się pan z systemem dróg lokalnych. Podczas gdy pańscy koledzy z macierzystej agencji podglądają zza firanek Kelly'ego, Marksa, Dupuya i innych, pana zadaniem jest mieć na oku jeszcze jednego członka grupy nadzianych chłopców. Mam wymienić jego nazwisko, czy też woli pan, żebym odpowiedź napisał na kartce, włożył do koperty i wysłał pocztą?

Lillie przez moment uważnie obserwował Pitta i zastanawiał się. - Strzela pan na oślep.

- Naprawdę? - Major postanowił wrócić na pewniejszy grunt. Dobrze, dajmy spokój

spekulacjom i pozwólmy sobie na dygresję. Admirał Sandecker powiedział, że sprawdził każdy port między Buenos Aires a Goose Bay i że w dwunastu z nich odnotowano wejście i wyjście islandzkiego trawlera rybackiego, który przypominał przebudowanego Laxa. Admirał powinien powiedzieć, że kazał sprawdzić. Albowiem tę robotę faktycznie wykonał za niego ktoś inny, a tym kimś była NAW.

- Nie ma w tym nic dziwnego - rzekł apatycznie Lillie. Czasami mamy łatwiejszy dostęp do dokumentów niż agencja państwowa zajmująca się podwodnym światem.

- Tyle że mieliście te informacje, jeszcze zanim Sandecker poprosił o nie.

Lillie nic nie odpowiedział. Nie musiał. Posępny wyraz jego twarzy był wystarczającą zachętą dla Pitta do kontynuowania wypowiedzi.

- Któregoś wieczoru parę miesięcy temu wpadłem w barze na pewnego oficera łączności wojsk lądowych. Obaj byliśmy zmęczeni i nie mieliśmy ochoty na zabawę ani na dziewczyny, usiedliśmy więc sobie, popijając do zamknięcia lokalu. On właśnie wrócił z inspekcji radiostacji Smytheford nad Zatoką Hudsona w Kanadzie. Na obszarze pięciuset hektarów znajduje się tam kompleks dwustu anten radiowych z ogromnymi talerzami. Nie podam panu ani nazwiska, ani rangi tego oficera, żeby nie mógł go pan oskarżyć o ujawnienie tajemnicy wojskowej. Poza tym zapomniałem jedno i drugie. - Przerwał monolog, aby wygodniej ułożyć nogi. Po chwili podjął rozpoczęty wywód. - Był bardzo dumny z tych instalacji, ponieważ należał do grona inżynierów, którzy je zaprojektowali i zbudowali. Powiedział, że za pomocą tego wyrafinowanego sprzętu można automatycznie przechwycić każdą transmisję radiową na północ od Nowego Jorku, Londynu i Moskwy. Po zakończeniu montażu instalacji oficer wraz z jego wojskową ekipą otrzymał uprzejme polecenie przeniesienia się do innej jednostki. To było oczywiście tylko jego przypuszczenie, ale powiedział mi, że instalacje znajdują się obecnie pod kontrolą Narodowej Agencji Wywiadowczej, która wyspecjalizowała się w prowadzeniu podsłuchu dla potrzeb Departamentu Obrony oraz Centralnej Agencji Wywiadowczej. Dość interesujący wniosek, zważywszy, że Smytheford oficjalnie funkcjonuje jako stacja śledzenia satelitów. Linie pochylił się do przodu.

- O co tu właściwie chodzi?

- O dwóch ludzi, których nazwiska brzmią: Matajic i O'Riley. Obaj nie żyją.

- Myśli pan, że ich znałem? - zapytał Lillie z zainteresowaniem. - Tylko ich nazwiska.

Nie widzę potrzeby wyjaśniania panu, kim byli. Pan to wie. Pańscy koledzy ze Smytheford przejęli wiadomość Matajica dla Sandeckera, informującą o zidentyfikowaniu dawno zagubionego Laxa. Wtedy wasi analitycy niewiele z niej zrozumieli, ale z pewnością ich

elektroniczne uszy zeszywniały, kiedy usłyszeli ostatni meldunek pilota parę sekund przed zestrzeleniem całej trójki przez czarny odrzutowiec. W tym miejscu sprawa gmatwa się jeszcze bardziej. Admirał Sandecker, nie chcąc niczego ujawniać, przedstawił Straży Wybrzeża lipną historię o zaginięciu sprzętu, prosząc o wszczęcie poszukiwań z wody i powietrza w rejonie zaginięcia samolotu NUMA. Niczego nie znaleziono... czy raczej nie było na ten temat meldunku. Straż Wybrzeża ruszyła do akcji, a NAW nie. Wasi chłopcy bowiem od początku mieli na widelcu Laxa i jego dziwną załogę. Za każdym razem, gdy statek łączył się przez radio z macierzystą bazą w Islandii, plottery ze Smytheford rysowały jego kurs i oznaczały pozycję. Dopiero teraz eksperci w waszej waszyngtońskiej siedzibie zaczęli węszyć związek między zaginięciem sondy podwodnej i przejmowaniem przedsiębiorstw górniczych w Ameryce Południowej, cofnęli się więc po śladach i przeszledzili wszystkie ruchy Laxa na Atlantyku wzdłuż wybrzeży obu Ameryk. Gdy Sandecker poprosił o te informacje, odczekali dyskretnie kilka dni, a następnie wręczyli mu dawno przygotowany wydruk, starając się przy okazji nie dać po sobie niczego poznać.

- Pan rzeczywiście spodziewa się, że cokolwiek z tego potwierdzą?

- Mam gdzieś, czy pan coś potwierdzi, czy nie - odparł ze znużeniem Pitt. - Po prostu przedstawiłem kilka faktów z życia wziętych. Niech pan je poskłada do kupy, a ułożą się w nazwisko mężczyzny, który tu w Islandii znajduje się pod pańską obserwacją. - Skąd pan wie, że to nie jest kobieta? - badał Lillie.

- Ponieważ doszedł pan do tego samego wniosku co ja; Kirsti Fyrie może mieć kontrolę nad Fyrie Limited, ale nad nią kontrolę sprawuje Oscar Rondheim.

- Znow wróciliśmy do Rondheima.

- A czy choć na chwilę rozstaliśmy się z nim?

- Bardzo sprytnie wydedukowane, majorze Pitt - mruknął Lillie. - Czy teraz zechce pan wypełnić kilka luk w mojej wiedzy?

- Do czasu kiedy nie otrzymam odpowiedniego rozkazu, nie mogę zaznajomić osoby z zewnątrz ze szczegółami prowadzonych przez nas operacji. - Lillie chciał to powiedzieć oficjalnym tonem, ale nie bardzo mu wyszło. - Mogę jednak zapoznać pana z faktami. Ma pan rację we wszystkim, co pan powiedział. Tak, NAW odebrała meldunek Matajica. Tak, śledziliśmy Laxa. Tak, uważamy, że Rondheim jest w jakiś sposób związany z syndykatem górniczym. Oprócz tego oficjalnie nic więcej nie mogę powiedzieć, lecz zostało już niewiele informacji i wszystkie pan już dobrze zna.

- Skoro zostaliśmy przyjaciółmi - rzekł Pitt, szczerząc zęby w uśmiechu - mówmy sobie po imieniu. Jestem Dirk.



- Niech będzie - rzekł łaskawie Lillie. - Ale nie waż się mówić do mnie Jerome, jestem Jerry - wyciągnął rękę. - Dobra, partnerze. Ale nie wydaj mnie, że ci zdradziłem kilka sekretów firmy.

Pitt odwzajemnił uścisk.

- Nie ma obawy. Będziemy mieli na głowie większe zmartwienia. - Tego się właśnie obawiam - westchnął Lillie. Przez chwilę rozglądał się po pustej okolicy, jak gdyby zastanawiając się nad dalszym rozwojem wypadków. W końcu oderwał się od swoich myśli i spojrział na zegarek. - Wracajmy lepiej do Reykjavíku. Mam przed sobą pracowitą noc i to dzięki tobie.

- Co masz w planie?

- Po pierwsze, chcę jak najszybciej skontaktować się z naszą kwaterą, aby podać numer fabryczny czarnego odrzutowca. Przy odrobinie szczęścia powinni ustalić i podać nam rano nazwisko właściciela. Ze względu na ciebie i wszystko, co przeszedłeś, mam nadzieję, że będzie to znaczący ślad. Po drugie, mam zamiar trochę powęszyć i dowiedzieć się, gdzie cumował wodolot. Ktoś powinien coś o tym wiedzieć. Na tak małej wyspie nie da się ukryć jednostki tej wielkości. I po trzecie, muszę zająć się modelami parlamentów południowoamerykańskich. Obawiam się, że wyławiając je z głębin, dałeś nam paskudną robotę. Może są bardzo ważne dla kogoś, kto je zbudował, a może nie. Na wszelki wypadek poproszę Waszyngton, żeby przysłali tu samolot z ekspertem od miniatur, a ten niech zbada modele dokładnie, centymetr po centymetrze.

- Pracowicie, sprawnie i zawodowo. Tak trzymaj, a pomału zacznę cię podziwiać.

- Będę się starał ze wszystkich sił - odparł żartobliwym tonem Lillie.

- Może przydałaby ci się jakaś pomoc? - zapytał Pitt. - Jestem wolny dziś wieczorem.

Linie uśmiechnął się w sposób, który wprowadził Pitta w zakłopotanie. - Obawiam się, że twój wieczór jest już zaplanowany, Dirk. Chętnie bym się zamienił z tobą, ale obowiązki wzywają.

- Aż boję się zapytać, co chodzi po tej twojej wrednej głowie - rzekł oschle Pitt.

- Przyjęcie, ty parszywy szczęściarzu. Idziesz na wieczór poezji. - Chyba żartujesz.

- Mówię poważnie. Otrzymałeś specjalne zaproszenie od Oscara Rondheima. Przypuszczam jednak, że to był pomysł panny Fyrie. Nad przenikliwymi, zielonymi oczyma doszło do zderzenia brwi. - Skąd dowiedziałeś się o tym? Jak dowiedziałeś się o tym?

Zanim zabrałeś mnie z konsulatu, nie było żadnego zaproszenia.

- Tajemnica zawodowa. Również i nam udaje się czasem wyciągnąć królika z cylindra.

- Dobra, punkt dla ciebie, a za dzisiejszy dzień należy ci się ode mnie medal. - Na dworze zrobiło się zimno, zaczęło mżyć. Pitt podniósł szybę w oknie. - Wieczór poezji - rzekł zdeglustowany. Kiedy ranne wstają zorze...

## ROZDZIAŁ 14

Islandczycy spierają się o to, czy bardziej elegancki jest ogromny dom wzniesiony na szczycie najwyższego wzgórza Reykjavíku, czy pałac prezydenta w Bessastadir. Spór zapewne będzie trwał do czasu, aż obie budowle runą w gruzy, ponieważ z architektonicznego punktu widzenia nie było powodów do czynienia porównań. Rezydencja prezydencka jest wzorem klasycznej prostoty, podczas gdy nowoczesna willa Rondheima wyglądała tak, jakby zaprojektował ją nieokiełznany wizjoner Frank Lloyd Wright.

Przed ciągiem oprawionych w metal szklanych drzwi, ozdobionych kutymi, pionowymi prętami, stał sznur limuzyn reprezentujących producentów najdroższych samochodów z różnych krajów. Były rolls-royce'y, lincolny, mercedesy, cadillaki, a na kolistym podjeździe zatrzymał się na chwilę nawet rosyjski zis, z którego wychodzili wieczorowo ubrani pasażerowie.

Za drzwiami goście, może osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt osób, konwersując w wielu językach, odbywali nie kończącą się pielgrzymkę z olbrzymiego salonu na taras i z powrotem. Mimo że była dziewiąta wieczór, za oknami słońce wciąż jasno świeciło i tylko od czasu do czasu przysłała ją przemykająca po niebie chmura. Po przeciwległej stronie salonu, pod potężną tarczą z godłem czerwonego albatrosa, Kirsti Fyrie i Oscar Rondheim witali się z każdym ze stojących w długiej kolejce gości.

Ubrana w suknię z białego jedwabiu obszytą złotą lamówką, z jasnymi włosami ułożonymi w stylową, grecką fryzurę, Kirsti była oszałamiająco piękna. Wysoki, o sokolej twarzy Rondheim górował nad nią, stojąc z tyłu i wykrzywiając cienkie wargi w uśmiechu tylko wtedy, gdy wymagała tego grzeczność. Właśnie witał rosyjskich gości, umiejętnie kierując ich do długiego stołu zastawionego kawiozem i łososiem oraz ozdobionego wielką, srebrną wazą z ponczem, gdy na jego twarzy zamarł wymuszony uśmiech, a oczy stały się odrobinę szersze. Kirsti nagle zeszywniała, a pomruk gawędzącego towarzystwa dziwnie ucichł.

Pitt pojawił się w wejściu do salonu niczym rockowy gwiazdor, tak jakby spektakularne entrees były jego specjalnością. Przystanął na krawędzi schodów, ujął rączkę lorgnon zawieszoną na złotym łańcuszku, który miał na szyi, a następnie, przystawiwszy pojedynczą soczewkę do prawego oka, lustrował zaskoczone audytorium. Goście Rondheima, nie bacząc na towarzyski konwenans, rewanzowali mu się podobnymi spojrzeniami.

Nikt nie mógł winić ich za to, nawet apostoł bon tonu. Garderoba Pitta

przypominała bowiem połączenie stroju dworzanina Ludwika XI z Bóg wie czym jeszcze. Czerwony kubrak odsłaniał żabot i koronkowe mankiety. Żółte brokatowe pantalony, zwężone na dole, chowały się w długich botkach z czerwonego zamszu. Nadto Pitt opasany był brązową, jedwabną szarfą, której ozdobiony frędzlami koniec zwisał ledwie kilka centymetrów ponad kolanami. Gdyby w tym momencie przystąpiono do wyboru najbardziej ekstrawaganckiego kostiumu wieczoru, niewątpliwie wszystkie laury zdobyłby Pitt. Scena osiągnęła kulminację i major lekko zszedł po schodach, kierując się w stronę Kirsti oraz Rondheima.

- Dobry wieczór, panno Fyrie... panie Rondheim. Jakże się cieszę, że mnie pani zaprosiła. Wprost przepadam za wieczorami poetyckimi. Nie darowałbym sobie, gdyby mnie tu zabrakło.

Rozchyliwszy usta, patrzyła na Pitta zafascynowana.

- Oscar i ja jesteśmy szczęśliwi, że zechciał pan przyjść - powiedziała ochryplym głosem.

- Tak, miło znów pana widzieć, majorze... - Słowa uwięzły mu w gardle, gdy zapomniawszy o doświadczeniach z restauracji, uściśnął dłoń Pitta i poczuł, że trzyma w ręku śniętą rybę.

Kirsti czując, że za chwilę sytuacja może stać się nader kłopotliwa, zapytała szybko:

- Pan nie w mundurze, majorze?

Pitt niedbale przesuwiał na łańcuszku lorgnon.

- Dobry Boże, nie. Mundury są pozbawione wyrazu, nie sądzi pani? Uznałem, że będzie zabawniej, jeśli na dzisiejszy wieczór ubiorę się po cywilnemu, aby nikt nie mógł mnie rozpoznać. - Roześmiał się głośno z własnego wątpliwej jakości dowcipu, ściągając przy okazji uwagę wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu jego głosu.

Z najwyższym zadowoleniem spostrzegł, że Rondheim zmusił się do kurtuazyjnego uśmiechu.

- Mieliśmy nadzieję, że przybędą również admirał Sandecker i panna Royal.

- Panna Royal wkrótce tu będzie - odparł Pitt, rozglądając się przez lorgnon po pokoju. - Obawiam się jednak, że admirał nie czuje się najlepiej. Postanowił udać się na wcześniejszy spoczynek. Biedny staruszek, po tym, co przeżył dziś po południu, nie mogę mu mieć tego za złe.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - rzekł armator tonem nie zdradzającym najmniejszego zainteresowania stanem zdrowia Sandeckera, co było równie oczywiste jak jego nagłe zaciekawienie powodem niedyspozycji admirała.

- Na szczęście, nie. Admirał odniósł niewielkie obrażenia, kilka siniaków i zadrapań.

- Wypadek? - spytała Kirsti.

- Okropny, bardzo okropny - rzekł Pitt dramatycznie. - Po tym jak uprzejmie zaproponowała nam pani pożyczanie łodzi, popłynęliśmy na południe wyspy, gdzie robiłem szkice brzegów, natomiast admirał łowił ryby. Około pierwszej otoczyła nas fatalna mgła. Właśnie zbieraliśmy się do powrotu do Reykjavíku, gdy gdzieś w pobliżu nastąpił niesamowity wybuch. Wywołany przez eksplozję podmuch wybił w sterówce wszystkie szyby, których odłamki spowodowały kilka niewielkich zadrapań na głowie admirała.

- Eksplozja? - głos Rondheima był niski i ochrypły. - Czy wie pan, jaka była przyczyna wybuchu?

- Nie mam pojęcia. Nie byłem w stanie czegokolwiek zobaczyć. Rzecz jasna, próbowaliśmy zbadać, co się stało, ale przy widzialności nie przekraczającej sześciu metrów niczego nie znaleźliśmy.

Twarz Rondheima była beznamiętna.

- To bardzo dziwne. Jest pan pewien, że niczego nie widzieliście? - Absolutnie. Prawdopodobnie pana osąd będzie zbieżny z poglądem admirała Sandeckera. Jakiś statek mógł trafić na starą minę z drugiej wojny światowej albo wybuchł na nim pożar, który dotarł do zbiorników z paliwem. Naturalnie powiadomiliśmy miejscową placówkę ratownictwa morskiego. Oni jednak nie mogą teraz zrobić nic innego, jak tylko czekać na zgłoszenie zaginięcia statku. Cokolwiek by powiedzieć, było to wstrząsające przeżycie... - zawiesił głos, widząc zbliżającą się Tidi. - Tidi, złotko, jesteś wreszcie.

Rondheim znów przylepił sobie uśmiech.

- Panno Royal. - Skłonił się, by pocałować jej dłoń. - Major Pitt opowiadał właśnie o niemiłym wypadku, który przeżyliście dziś po południu.

Skurwiel - pomyślał Pitt. Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie przycisnąć. W długiej, niebieskiej sukni Tidi wyglądała świeżo i sympatycznie. Długie, płowe włosy naturalnie spadały jej na plecy. Pitt jedną ręką objął ją wpół i dyskretnie manewrując dłonią uszczypnął w miękki pośladek. Z uśmiechem spojrzał w brązowe oczy, pełne mądrości i zrozumienia.

- Szkoda, że nie słyszałam jej w całości. - Sięgnęła za plecy i konfidencjonalnie chwytając dłoń Pitta, wykręciła mu mały palec, aż niepostrzeżenie cofnął rękę. - Wybuch rzucił mnie na szafkę w kambuzie. - Dotknęła niewielkiego wzgórka, małego siniaka starannie ukrytego pod warstwą pudru. - Przez następne pół godziny byłam nieprzytomna. Biedny Dirk drżał i wymiotował przez całą drogę do Reykjavíku.

Pitt chętnie by ją ucałował. Tidi bez zmrużenia oka dopasowała się do sytuacji i niczym wytrawna aktorka dalej odgrywała swą rolę.

- Najwyższy czas, abyśmy dołączyli do gości - rzekł, biorąc ją pod rękę i ciągnąc ku wazie z ponczem.

Podał jej filiżankę ponczu, po czym zajęli się przystawkami. Pitt walczył z ziewaniem, wędrując z Tidi od jednej grupki do drugiej. Jako stały bywalec przyjęć, Pitt zazwyczaj nie miał trudności w nawiązywaniu kontaktu z gośćmi, tym razem jednak nie potrafił zbliżyć się do nich. W panującej tu atmosferze było bowiem coś dziwnego. Pitt nie umiał powiedzieć dlaczego, lecz był zupełnie pewien, że coś jest nie w porządku. Zachował się zwykły w takich okazjach podział na znudzonych, pijaków, snobów oraz pochlebców. Wszyscy znający angielski, z którymi rozmawiali, byli całkiem uprzejmi. Nie ujawniły się też sentymenty antyamerykańskie, inspirujące tematy większości rozmów prowadzonych przez międzynarodowe towarzystwo. Dla obserwatora z zewnątrz wszystko wyglądało na konwencjonalne spotkanie eleganckiej socjety. Nagle Pitt odkrył powód ich wyobcowania. Schylił się i szepnął do ucha Tidi:

- Nie odnosisz wrażenia, że jesteśmy osobami niepożądanymi? Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Nie, wszyscy wydają się przyjaźnie nastawieni do nas.

- Jasne, że są uprzejmi i mili, ale to wszystko jest wymuszone. - Dlaczego tak uważasz?

- Dlatego że wiem, jak wygląda sympatyczny uśmiech. Nas nikt nim nie obdarzył. Czuję się jak zwierzę w klatce. Karmią mnie, zagadują, ale trzymają się z daleka.

- To niemądre. Nie możesz mieć do nich pretensji, że czują się skrepowani, rozmawiając z kimś tak ubranym jak ty.

- I to mnie najbardziej dziwi. Ekscentryk zawsze znajduje się w centrum zainteresowania. To jest sprawdzony numer. Gdybym nie był tego stuprocentowo pewien, nie zawracałbym sobie głowy tą maskaradą. Tidi popatrzyła na Pitta z przekornym uśmiechem.

- Złóścisz się, bo grasz w niższej lidze.

- Czy zechciałabyś mówić jaśniej? - spytał, odwzajemniając uśmiech.

- Widzisz tamtych dwóch facetów? - Skinęła głową w prawo. Tych, którzy stoją przy fortepianie?

Pitt spokojnie przeniósł wzrok na wskazanych przez Tidi mężczyzn. Pękaty, pełen wigoru, łysy człowieczek, gestykulując zawzięcie, obsypywał gradem słów potężną, siwą

brodę odsuniętą od jego nosa nie dalej niż o kilka centymetrów. Broda należała do chudego, dystyngowanego mężczyzny o siwych, spadających na ramiona włosach, które nadawały mu wygląd profesora Harvardu. Pitt odwrócił się do Tidi i wzruszył ramionami.

- No więc?

- Nie poznajesz ich? - A powinienem?

- Widzę, że nie czytasz kroniki towarzyskiej w „New York Timesie”.

- Jedynym tytułem prasowym, który mnie obchodzi, jest „Playboy”.

Obdarzyła go spojrzeniem, jakim kobiety wyrażają zdegustowanie typowo męskimi zainteresowaniami, po czym stwierdziła:

- To żenujące, iż syn senatora Stanów Zjednoczonych nie może rozpoznać dwóch najbogatszych ludzi świata.

Pitt niezbyt dokładnie słuchał Tidi. Potrzebował kilku sekund, aby jej słowa dotarły do niego. Gdy wreszcie zrozumiał ich znaczenie, odkręcił głowę i zaczął ostentacyjnie wpatrywać się w dwóch wciąż zajętych rozmową mężczyzn. Po chwili ścisnął ramię Tidi, aż skrzywiła się z bólu.

- Jak się nazywają?

Ze zdziwienia oczy niemal wyszły jej z orbit.

- Ten łysy grubas to Hans von Hummel. A sztywny starszy pan to F. James Kelly.

- Jesteś pewna?

- Prawie... nie, jestem absolutnie pewna. Widziałam Kelly'ego na prezydenckim balu inauguracyjnym.

- Rozejrzyj się dokoła. Rozpoznajesz jeszcze kogoś?

Tidi, rozejrzawszy się w poszukiwaniu znajomych twarzy, szybko wykonała polecenie. Zatrzymywała wzrok trzykrotnie.

- Starszy człowiek w zabawnych okularach, siedzący na sofie. To sir Eric Marks. A atrakcyjna brunetka obok niego nazywa się Dorothy Howard i jest angielską aktorką...

- Daj sobie z nią spokój. Skoncentruj się na facetach.

- Pozostał tylko jeden, którego twarz wydaje mi się znajoma. Właśnie przyszedł i rozmawia z Kirsti Fyrie. Jestem prawie pewna, że to Jack Boyle, australijski potentat węglowy.

- Od kiedy stałaś się fachowcem od miliarderów? Tidi wdzięcznie wzruszyła ramionami.

- Jest to ulubione zajęcie bardzo wielu niezamężnych kobiet. Zawsze istnieje szansa spotkania jednego z nich, należy więc przygotować się na taką ewentualność, choćby miała

pojawić się tylko w marzeniach.

- Przynajmniej raz twoje marzenia na coś się przydały. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Ja też, z wyjątkiem tego, że dzisiejsze spotkanie zaczyna mi wyglądać na zgromadzenie klanu.

Pitt wyciągnął Tidi na taras i aby wyrwać się z tłumu, wolno zaprowadził do rogu. Przyglądał się grupkom kręcących się gości. Wyłapywał kierowane w ich stronę spojrzenia osób, które podchodziły do otwartych dwuskrzydłowych drzwi, żeby zaraz odwrócić się i odejść, bynajmniej nie ze względu na krępującą sytuację. Ludzie ci wyglądali jak naukowcy obserwujący doświadczenie i dyskutujący nad ewentualnościami jego dalszego przebiegu. Pitt powoli nabierał niemiłego przekonania, że wizyta w jaskini lwa była pomyłką. Gdy intensywnie zastanawiał się nad pretekstem do wyjścia, wyszpiegowała ich Kirsti Fyrie.

- Czy zechcieliby państwo przejść do gabinetu? Jesteśmy prawie gotowi.

- Kto będzie recytował? - spytała Tidi. Twarz Kirsti pojaśniała.

- Jak to kto? Oscar, oczywiście.

- Dobry Boże - mruknął do siebie Pitt.

Prowadzony przez Kirsti do gabinetu czuł się tak, jak owca idąca na rzeź. Z tyłu dreptała Tidi.

Zanim dotarli na miejsce, pokój niemal pękał w szwach. Z trudem znaleźli wolne pluszowe fotele ustawione wokół małego podium. Niewielkie pocieszenie stanowił fakt, że usiedli w ostatnim rzędzie, niedaleko drzwi, które zachęcały do dyskretnej ewakuacji przy pierwszej nadarzającej się okazji. Niestety nadzieje Pitta bardzo szybko rozwiały się; służący zamknął drzwi i zasunął zasuwę.

Parę chwil później ten sam fagas dobrał się do przełączników światel. W pokoju zapanowała zupełna ciemność. Kirsti weszła na podium i natychmiast oświetliły ją dwa reflektory punktowe, rzucające snopy miękkiego, różowego światła, w którym wyglądała niczym posąg greckiej bogini jaśniejący na postumencie w Luwrze. Pitt rozebrał ją w myślach, próbując wyobrazić sobie jej przerażenie, gdyby teraz doszło do podobnej sytuacji. Rzucił okiem na Tidi. Zachwycone spojrzenie dziewczyny kazało mu zastanowić się, czy przypadkiem Tidi nie myśli o tym samym. Po omacku odszukał jej dłoń i mocno ucisnął. Tidi była tak pochłonięta widokiem na podium, że ani tego nie spostrzegła, ani tym bardziej nie zareagowała na dotyk Pitta.

Nieruchoma, skupiająca na sobie spojrzenia widowni niewidocznej w blasku reflektorów, Kirsti Fyrie uśmiechała się z uroczą pewnością siebie, jaką może mieć kobieta



absolutnie przekonana o swoim nieodpartym wdzięku.

Skłoniwszy głowę przed milczącą w ciemności publicznością, powiedziała:

- Panie i panowie, szanowni goście. Dziś wieczorem nasz gospodarz pan Oscar Rondheim będzie miał zaszczyt przedstawić państwu swoje najnowsze utwory. Zaprezentuje je po islandzku, a więc w języku naszego narodu. Jako że większość z państwa zna angielski, pan Rondheim odczyta następnie wybrane strofy cudownego, współczesnego poety irlandzkiego Seana Magee.

Pitt nachylił się do Tidi i wyszeptał:

- Powinienem był wzmocnić się jeszcze przynajmniej dziesięcioma filiżankami ponczu.

Nie widział twarzy dziewczyny. Nie musiał, poczuł bowiem mocne uderzenie łokciem w żebra. Znowu skierował wzrok na Kirsti, lecz zniknęła już z podium, a jej miejsce zajął Rondheim.

Mogło wydawać się, że przez następne półtorej godziny Pitt będzie cierpiał męki Tantara. Tak się jednak nie stało. Pięć minut po rozpoczęciu przez Rondheima monotonnej narracji islandzkiej sagi, Pitt zapadł w sen, zadowolony, że w ciemności nikt nie zauważył jego braku szacunku dla poezji.

Już pierwsza fala snu przeniosła Pitta na plażę, na której po raz setny troskliwie podtrzymywał głowę Hunnewella. I znowu widział wpatrzony w siebie oczy naukowca, próbującego coś powiedzieć i desperacko walczącego z niemocą, która mówić nie pozwalała. Kiedy w końcu udało mu się wyszeptać cztery wydające się bez znaczenia słowa, na zmęczonej, starej twarzy pojawił się cień, by oznajmić śmierć naukowca. To był dziwny sen nie dlatego, że stale wracał, lecz z powodu swej zmienności; te same zdarzenia nigdy nie były takie same. Śmierci Hunnewella zawsze towarzyszyły odmienne zdarzenia. W jednym śnie, tak jak w rzeczywistości, na plaży były dzieci. W następnym nigdzie ich nie widział. W jeszcze innym krążył nad nimi czarny odrzutowiec i machając skrzydłami nieoczekiwanie oddawał honory. Raz nawet pojawił się Sandecker, który przyglądał się im, kiwając ze smutkiem głową. Pogoda, wygląd plaży, kolor morza, wszystko w każdym śnie wyglądało inaczej. Tylko jeden szczegół pozostawał niezmienny - ostatnie słowa Hunnewella.

Aplauz widowni obudził Pitta. Gapił się przed siebie i nieco ogłupiały w pośpiechu porządkował myśli. Zapaliły się światła, więc przez kilka następnych chwil zajął się mruganiem, by przyzwyczać wzrok do oślepiającego blasku. Zadowolony z siebie Rondheim przyjmował na podium uznanie nie szczędzącego braw zgromadzenia, po czym

uniósł ręce w prośbie o ciszę.

- Jak większość z państwa wie, moim ulubionym zajęciem jest uczenie się wierszy na pamięć. Nieskromnie muszę przyznać, iż mam w tej dziedzinie bardzo duże osiągnięcia. Pragnę dziś poddać się publicznej weryfikacji, prosząc kogoś ze słuchaczy o cytaty z jakiegokolwiek wiersza, który przyjdzie mu na myśl. Jeśli nie będę w stanie dopowiedzieć następnej zwrotki lub dokończyć poematu w sposób satysfakcjonujący pytającego, jestem gotów wpłacić sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów na wskazany cel charytatywny. - Odczekał, aż ustanie szmer podekscytowanych głosów i znów zapadnie cisza. - Czy możemy zaczynać? Kto pierwszy podda sprawdzeniu moją pamięć? Pierwszy podniósł się sir Eric Marks.

- A gdy matka, druh czy stróż... Oto moja propozycja na początek, Oscarze.

Rondheim skinął głową.

- Nad upadkiem lament wzniosą,

Wzgardź żałami zacnych dusz.

Śmierć i tak cię zetnie kosą

- Przerwał dla większego efektu. „Dwudziesty pierwszy” Samuela Johnsona.

Marks skłonił się w podzięcie. - Wszystko się zgadza. Następny wstał F. James Kelly.

- Dokończ ten wiersz i podaj nazwisko autora:

Dnie całe marzę w zachwyceniu,

Co noc czarowne roję sny...

Rondheim podtrzymał rytm utworu.

- By tonąć w oczu twych spojrzeniu,

By wzlecieć, kędy ślad twój lśni

Tam, kędy eter w roztańczeniu,

Gdzie nurt Wieczności drży.

Tytuł wiersza brzmi: „Do jednej w raju”, napisał go Edgar Allan Poe.

- Moje gratulacje, Oscarze - Kelly był zachwycony. - Zaslugujesz na szóstkę z plusem.

Rondheim rozejrzał się po pokoju. Kiedy dostrzegł wstającą z tyłu znajomą postać, na jego posągowej twarzy pomału zaczął rozkwitać uśmiech.

- Pan również pragnie spróbować szczęścia, majorze Pitt? Pitt posepnie spojrzał na Rondheima.

- Mogę zaoferować panu tylko cztery słowa.

- Przyjmuję wyzwanie - rzekł pewny swego Rondheim. - Proszę je wypowiedzieć.

- Niech strzegą cię niebios... - rzekł Pitt bardzo powoli, jak gdyby nie wierząc w istnienie dalszego ciągu zdania.

Rondheim wybuchnął śmiechem.

- To jest zadanie dla licealisty, majorze. Sprawił mi pan wielką radość, umożliwiając recytację fragmentu mojego ulubionego poematu - z głosu Rondheima emanowała pogarda i wszyscy ją wyczuli.

Skąd taki wzrok, żeglarzu, mów!

Niech strzegą cię niebios!

Ukarz mnie Bóg

Do ręki łuk -

Zabiłem albatrosa!

Po prawej teraz słońca wschód,

Co z morza wzwyż wybiegło;

Przez cały dzień ukryte w mgłę,

Po lewej w morze legło.

A wiatr wciąż cudnie wiał z południa,

Lecz miły ptak ni mknął,

Ni spada w lot, po żer, dla psot,

Na majtków Hejże, ho!

Piekielną popełniłem rzecz

I stąd im źle się dzieje:

Ptaka uśmiercił, każdy twierdził,

Co sprawiał, że wiatr wieje.

Ot, masz łajdaka.

- zabić ptaka,

Co sprawiał, że wiatr wieje

Nagle Rondheim przestał recytować.

- Chyba mogę na tym skończyć, wszyscy bowiem doskonale wiedzą, że poprosił mnie pan o zacytowanie „Pieśni o starym żeglarzu” Samuela Taylora Coleridge'a.

Pitt poczuł się znacznie lepiej. Światelko na końcu tunelu nagle stało się jaśniejsze. Teraz już wiedział to, co przedtem spowijał mrok. Do końca jeszcze było daleko, lecz sprawy zaczęły przybierać właściwy obrót. Bardzo dobrze, że zagrał w ciemno. Ryzyko opłaciło się, przynosząc nieoczekiwane odpowiedzi na zasadnicze pytania. Koszmar ze śmiercią Hunnewella już więcej mu się nie przyśni.

Na twarzy Pitta pojawił się pełen zadowolenia uśmiech. - Dziękuję, panie Rondheim. Ma pan wyborną pamięć.

W tonie Pitta było coś, co sprawiło, że Rondheim poczuł się niewyraźnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, majorze. - Rondheimowi nie podobał się uśmiech Pitta; zupełnie mu się nie podobał.

## ROZDZIAŁ 15

Pitt cierpiał przez następne pół godziny, kiedy Rondheim terroryzował audytorium szerokim repertuarem poetyckim. W końcu jednak przedstawienie dobiegło końca. Otwarły się drzwi, tłum opuszczał gabinet, przenosząc się do salonu. Odprowadziwszy kobiety na taras, by mogły pogawędzić, popijając roznoszone przez służbę słodkie koktajle lekko wzmocnione alkoholem, mężczyźni udali się do gabinetu myśliwskiego na cygaro i stuletnią brandy Rouche.

Cygara wniesiono do pokoju w kasecie z czystego srebra, którą podawano każdemu, aby umożliwić wybór. Jedyne Pitt został pominięty. Był ignorowany ku ogólnemu zadowoleniu. Po rytuale zapalania, podczas którego każdy mężczyzna ogrzewał nad świecą cygaro do odpowiedniej temperatury, służący podali brandy - ciężki, żółtawobrazowy płyn nalany do koniakówek o wyrafinowanym kształcie. Pitta ponownie zostawiono z pustymi rękami.

Poza sobą i Oscarem Rondheimem Pitt doliczył się trzydziestu dwu mężczyzn zgromadzonych przy strzelającym płomieniami, ogromnym kominku usytuowanym w końcu pokoju myśliwskiego. Jeśli sądzić po wyrazie twarzy zebranych, reakcja na obecność Pitta była nadzwyczaj interesująca. Nikt go nawet nie zauważył. Przez ułamek sekundy wyobraził sobie, że jest pozbawionym zewnętrznej powłoki duchem, który właśnie przeszedł przez ścianę i oczekiwał na rozpoczęcie seansu spirytystycznego, by móc wreszcie ukazać się zgromadzeniu. Był w stanie wyobrazić sobie jeszcze wiele dziwnych scen, lecz nie to, że nagle na plecach poczuje ucisk twardej, okrągłej lufy.

Nie zadał sobie trudu, aby sprawdzić, czyja dłoń trzyma broń. To było bez znaczenia. Wszelkie wątpliwości i tak rozwiązał Rondheim.

- Kirsti! - Rondheim patrzył za Pitta. - Jesteś przed czasem. Spodziewałem się ciebie nie wcześniej niż za dwadzieścia minut.

Von Hummel wyjął płócienną chusteczkę z monogramem, wytarł spocone czoło i zapytał:

- Czy dziewczyna, z którą przyszedł, została zneutralizowana?

- Panna Royal znajduje się w wygodnym miejscu - odparła Kirsti, patrząc zza Pitta w prawo. W jej głosie było coś, co sprawiło, że major poczuł niepewność.

Rondheim podszedł i niczym zaniepokojony ojciec wyjął jej z dłoni pistolet.

- Broń i uroda nie pasują do siebie - rzekł z wymówką. Pozwól, że mężczyzna zajmie się pilnowaniem pana majora.

- Nawet mi się to podobało - powiedziała gardłowym głosem. - Tak dawno nie

miałam broni w rękach.

- Nie ma powodu, by dłużej zwlekać - odezwał się Jack Boyle. - Porządek obrad jest napięty. Musimy jak najprędzej zaczynać.

- Mamy czas - stwierdził zwięźle Rondheim.

Do Rondheima podszedł lekko kulejący Rosjanin; niski, przysadzisty mężczyzna o rzadziejących włosach i brązowych oczach.

- Chyba należy się nam jakieś wyjaśnienie, panie Rondheim. Dlaczego ten człowiek - skinął w stronę Pitta - jest traktowany jak przestępca? Powiedział mi pan, oraz wszystkim tu zebrany, że ten mężczyzna jest dziennikarzem i nie warto rozmawiać z nim zbyt otwarcie. Mimo to piąty lub szósty raz nazywa go pan majorem.

Rondheim przyjrzał się stojącemu przed nim Rosjaninowi, następnie odstawił kieliszek i nacisnął klawisz telefonu. Nie wypowiedział jednego słowa do aparatu, nawet, nie podniósł słuchawki, sięgnął tylko po kieliszek i wysączył resztkę brandy.

- Zanim otrzyma pan odpowiedź na swoje pytania, towarzyszu Tamarecow, radzę spojrzeć za siebie.

Rosjanin nazwany Tamarecowem odwrócił się. Wszyscy obejrzeni się. Z wyjątkiem Pitta, on nie musiał. Wpatrując się prosto przed siebie w lustro, widział odbicia kilku groźnie wyglądających, ubranych w czarne kombinezony mężczyzn o pozbawionych wyrazu twarzach, którzy jak spod ziemi wyrosli w końcu pokoju, trzymając gotowe do strzału automatyczne karabiny AR-17.

Ciężki osobnik w wieku siedemdziesięciu paru lat, obdarzony przez naturę okrągłymi ramionami oraz niebieskimi, ostrymi jak noże oczami osadzonymi w pomarszczonej twarzy, chwycił za ramię F. Jamesa Kelly'ego.

- Ty mnie zaprosiłeś na dzisiejszy wieczór, James. Mam nadzieję, że wiesz, co tu się dzieje.

- Tak, wiem. - Powiedział to z wyraźnie widocznym, pełnym bólu spojrzeniem, po czym odszedł.

Powoli, bardzo powoli, prawie niezauważenie, Kelly, Rondheim, von Hummel, Marks oraz jeszcze ośmiu mężczyzn zgrupowało się po jednej stronie kominka, zostawiając Pitta i pozostałych całkowicie zdumionych gości z drugiej strony ognia. Pitt widząc, że wszystkie lufy są skierowane na nich, poczuł rosnącą obawę.

- Czekam, James - powiedział rozkazującym tonem niebieskooki starzec.

Kelly nie odpowiedział, spojrzawszy smutnym wzrokiem na von Hummela i Marksa. Oczekiwał na pozwolenie. W końcu skinęli głowami na znak zgody.

- Czy któryś z panów słyszał coś o Hermit Limited?

W pokoju zapanowała grobowa cisza. Nikt nie odezwał się ani słowem, nie padła żadna odpowiedź. Pitt rozważał możliwość ucieczki. Stwierdziwszy, że szanse powodzenia mają się jak jeden do pięćdziesięciu, dał temu spokój.

- Hermit Limited - kontynuował Kelly - jest międzynarodową firmą, której nazwy nie znajdziecie na żadnej giełdzie, albowiem jest ona zarządzana w sposób całkowicie odmienny od tego, do czego jesteście przyzwyczajeni. Nie mam czasu na wchodzenie w szczegóły tego przedsięwzięcia, pozwolę więc sobie powiedzieć jedynie, że głównym celem korporacji Hermit Ltd jest przejęcie całkowitej kontroli nad Ameryką Południową i Środkową.

- To niemożliwe! - wykrzyknął wysoki mężczyzna o kruczoczarnych włosach i wyraźnym francuskim akcencie. - To jest absolutnie nie do pomyślenia.

- Robienie rzeczy niemożliwych to najlepszy biznes.

- To, o czym pan powiedział, nie jest biznesem, lecz groźnym, politycznym szaleństwem.

Kelly pokiwał głową.

- To być może jest szaleństwo, ale na pewno nie zagrożenie polityczne, wynikające z egoistycznych, niehumanitarnych pobudek. Przyjrzał się twarzom po drugiej stronie kominka. Wszystkie były porażone strachem.

- Nazywam się F. James Kelly - powiedział łagodnie. - W ciągu całego życia zgromadziłem majątek rzędu ponad dwóch miliardów dolarów.

Nikt z obecnych nie zaprzeczył. Kiedykolwiek „The Wall Street Journal” publikował listę stu najbogatszych ludzi świata, nazwisko Kelly'ego zawsze znajdowało się na pierwszym miejscu.

- Bogactwo wiąże się z olbrzymią odpowiedzialnością. Ode mnie zależy byt dwustu tysięcy ludzi. Gdybym jutro zbankrutował, spowodowałoby to recesję w całych Stanach Zjednoczonych od Atlantyku po Pacyfik, że nie wspomnę wielu innych krajów świata, których gospodarki w znacznej mierze zależą od wpływów dostarczanych przez moje przedsiębiorstwa. Niestety, bogactwo nie jest w stanie zapewnić nieśmiertelności, co mogą potwierdzić otaczający mnie panowie. Bardzo niewielu bogatych ludzi trafiło na karty podręczników historii.

Gdy przerwał, wyglądał niczym człowiek trapiący chorobą. Nikt w pokoju nie odezwał się, nikt nie wykonał najmniejszego ruchu.

- Dwa lata temu zacząłem się zastanawiać nad tym, co po mnie zostanie, kiedy

odejdę z tego świata. Finansowe imperium, o które bić się będzie stado pasożytów - współpracowników i krewnych liczących dni do mojego pogrzebu, aby jak najprędzej dostać się do miodu. Wierzcie mi, panowie, że nie była to przyjemna myśl. Zacząłem więc rozważać możliwość przeznaczenia majątku na cele, które byłyby pożyteczne dla ludzkości. Ale jakie? Andrew Carnegie budował biblioteki, John D. Rockefeller zakładał fundacje naukowo-oświatowe. Co mogłoby przynieść najwięcej dobra ludziom - niezależnie od białego, czarnego, żółtego czy brązowego koloru ich skóry, bez względu na narodowość? Gdybym poszedł za głosem serca, decyzja nie sprawiłaby mi żadnego kłopotu, przeznaczyłbym bowiem moje pieniądze na walkę z rakiem albo oddałbym je Czerwonemu Krzyżowi, Armii Zbawienia czy jednemu z tysięcy rozsianych po całym kraju centrów medycznych lub uniwersyteckich. Ale czy to byłby wystarczająco doniosły cel? Każdy z tych wariantów wydawał mi się zbyt błahy. Postanowiłem zatem pójść w innym kierunku, aby zrealizować zadanie, którego trwałe skutki mogłyby odczuć miliony ludzi przez następne stulecia.

- Zdecydował więc pan przeznaczyć swoje zasoby na to, by stać się samozwańczym mesjaszem pogrążonych w nędzy narodów Ameryki Łacińskiej - powiedział Pitt.

Kelly obdarzył go protekcyjnym uśmiechem. - Nie, myli się pan, majorze... - zawiesił głos.

- Pitt - odpowiedział Rondheim. - Major Dirk Pitt. Kelly spojrział na Pitta z zastanowieniem.

- Czy przypadkiem nie jest pan krewnym senatora George'a Pitta? - Jestem jego synem marnotrawnym.

Przez chwilę Kelly stał niczym figura woskowa. Spojrział na Rondheima, lecz kamienna twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Pana ojciec jest moim przyjacielem.

- Był - odparł Pitt lodowatym tonem.

Kelly próbował zachować zimną krew. Wyraźnie było widać, że targają nim wyrzuty sumienia. Odstawił kieliszek, przez moment zbierał myśli, nim znów się odezwał.

- Nigdy nie miałem zamiaru odgrywać Boga. Droga, jaką wybrałem, została wyznaczona w sposób bardziej wykalkulowany i mniej emocjonalny, niż pozwalałby na to ludzki umysł.

- Komputery! - padło z ust wiekowego towarzysza Kelly'ego. Hermit Limited był projektem, który prawie dwa lata temu zlecono do rozwiązania naszemu departamentowi przetwarzania danych. Dobrze to pamiętam, James. Zamknąłeś ten wydział na trzy



miesiące. Wszyscy dostali płatne urlopy. Ani przedtem, ani potem nie przydarzył ci się podobny przejaw hojności. Powiedziałeś, że wynajmujemy sprzęt rządowi do realizacji ściśle tajnego projektu.

- Bałem się wtedy, że przejrzyś moje zamiary, Sam. - Po raz pierwszy Kelly zwrócił się do niego po imieniu. - Niestety, tylko analiza komputerowa mogła przynieść rozwiązanie mojego dylematu. Pomysł nie był, rzecz jasna, odkrywczy. Każdy rząd ma swoje bazy danych. Oprogramowanie stworzone dla naszych rakiet lub na potrzeby wypraw na Księżyc było później wykorzystywane we wszystkich dziedzinach życia od kryminalistyki po medycynę. Zaprogramowanie komputera, aby wybrał kraj lub obszar geograficzny gotowy ulec utopijnej dotychczas idei i zaakceptować metody jej realizacji, jest znacznie łatwiejsze, niż mogłoby się panom wydawać.

- To jest czyste science fiction.

- Wszyscy żyjemy dziś w czasach science fiction, czyż nie tak? odparł Kelly. - Zastanówcie się nad tym, co powiem, panowie. Spośród wszystkich narodów świata, narody Ameryki Łacińskiej najbardziej ochoczo godzą się na współpracę z obcymi, ponieważ od ponad stu lat nie uległy zbrojnej interwencji z zewnątrz. Chroniła je bowiem ściana, ściana zbudowana przez Stany Zjednoczone, a znana pod nazwą Doktryny Monroego.

- Rząd Stanów Zjednoczonych weźmie pod lupę wasze epokowe przedsięwzięcie - powiedział wysoki mężczyzna o siwych włosach i takiego samego koloru brwiach nad uczciwymi oczami.

- Zanim agenci rządowi zdołają zinfiltrować organizację, ukrywającą się pod nazwą Hermit Limited, potwierdzimy nasze szlachetne intencje szeregiem znaczących dokonań. Nie będą nas niepokoić.

Prawdę mówiąc spodziewam się, że dadzą nam zielone światło i zapewnią wszelką pomoc, która nie pociągałaby za sobą międzynarodowych reperkusji.

- Rozumiem, że nie zamierza pan działać sam - badał Pitt.

- Nie - odparł Kelly zdecydowanie. - Kiedy z zadowoleniem uznałem, że program jest gotowy i ma wszelkie szanse powodzenia, dotarłem do Marksa, von Hummla, Boyle'a oraz pozostałych dżentelmenów, których pan tu widzi i którzy dysponowali odpowiednimi środkami finansowymi niezbędnymi do wcielenia w życie mojej idei. Oni myślą tak samo jak ja. Pieniądze mają być spożytkowane dla dobra ogółu. Nie warto umierać, nie zostawiając po sobie nic poza dużym kontem w banku lub kilkoma korporacjami, które bardzo szybko zapomną o tym, kto dał im życie i doprowadził do finansowej dojrzałości.

Zebraliśmy się więc i założyliśmy Hermit Limited. Każdy z nas ma równe udziały i taki sam głos w radzie dyrektorów.

- Skąd pan wie, że nagle jeden z was lub kilku wspólników pańskiego przestępczego procederu nie staną się zachłanni? - Na twarzy Pitta pojawił się nikły uśmiech. - Mogą kiwnąć pana i przejąć pod swoją kontrolę jedno czy dwa państwa.

- Komputery dokonały właściwego wyboru - stwierdził Kelly bez cienia wątpliwości. - Proszę na nas spojrzeć. Żaden z nas nie ma mniej niż sześćdziesiąt pięć lat. Ile życia nam zostało? Rok, dwa, a przy dużym szczęściu może dziesięć lat. Wszyscy jesteśmy bezdzietni. Nie mamy następców. Co mógłby zyskać którykolwiek z nas, gdyby opanowała go niepohamowana chciwość? Odpowiedź jest prosta. Nic. Rosjanin kręcił głową z niedowierzaniem.

- Wasze przedsięwzięcie to absurd. Nawet mój rząd nie zdecydowałby się na podjęcie równie drastycznych jak nieodpowiedzialnych działań.

- Żaden rząd by się na to nie zdecydował - cierpliwie wyjaśniał Kelly. - Na tym polega cała różnica. Pan myśli wyłącznie w kategoriach politycznych. Historia ludzkości mówi, że państwa oraz cywilizacje upadały tylko wskutek wewnętrznych rewolucji lub zbrojnego najazdu z zewnątrz. Zamierzam napisać nowy rozdział, osiągając metodami ściśle biznesowymi to, co dotąd było niemożliwe.

- Nigdy nie słyszałem o tym, żeby morderstwo było jednym z przedmiotów wykładanych w szkołach administracji i biznesu rzekł Pitt, spokojnie zapalając papierosa.

- To najbardziej przykra, lecz konieczna część planu - odparł Kelly. - Metodyczna asasynacja jest bardziej odpowiednim terminem. - Zwrócił się do Rosjanina. - Agenci waszego KGB powinni czytać izmailitów, towarzyszu Tamarecow. Ich teksty szczegółowo przedstawiają metody, jakimi posługiwała się owa sekta perskich fanatyków, siejąca terror w świecie islamu około 1090 roku. Słowo asasyn jest mroczną pamiątką, jaka po nich pozostała. W wielu językach, nie tylko angielskim, oznacza ono zamachowca i mordercę.

- Jest pan równie szalony jak izmailici - powiedział Francuz tonem pełnym powagi.

- Jeśli pan tak uważa - odparł wolno Kelly - to jest pan bardzo naiwny.

Francuz wyglądał na zaskoczonego. - Nie rozumiem. Jak pan może...

- W jaki sposób moi partnerzy i ja możemy przejąć kontrolę nad całym kontynentem? - dokończył Kelly. - Prawdę mówiąc jest to dziecinnie łatwe, proste zagranie ekonomiczne. Zaczynamy w biednym kraju, zdobywamy kontrolę nad jego finansami, dyskretnie eliminujemy kluczowych przywódców i wykupujemy całe państwo.

- To są liryczne bzdury, James - powiedział stary człowiek. Musisz wymyślić coś

lepszego.

- Najbardziej genialne rozwiązania to rozwiązania najprostsze, Sam. Weź na przykład Boliwię. Kraj, w którym ludzie żyją na granicy głodu... roczny dochód znakomitej większości rodzin rzadko przekracza dwadzieścia dolarów. Gospodarka całej Boliwii opiera się na kopalniach miedzi Peroza. Przejęcie kontroli nad kopalniami oznacza przejęcie kontroli nad państwem.

- Sądzę, że armia boliwijska będzie miała coś do powiedzenia w kwestii przejęcia rządów przez ludzi spoza własnych granic stwierdził Pitt, nalewając sobie pełen kieliszek brandy.

- Słusznie, majorze Pitt - odrzekł z uśmiechem Kelly. - Armie jednak muszą być opłacane, a zwłaszcza generałowie. Jeśli nie dadzą się kupić, zostaną stopniowo wyeliminowani. Tu ponownie w grę wchodzi reguły biznesu. Chcąc zbudować bardziej efektywną organizację, należy zastąpić skostniałe struktury nową, sprawną i oddaną kadrą. - Przerwał na moment, bezwiednie skubiąc brodę. - Po przejęciu przez Hermit Limited administracji państwowej wojsko będzie stopniowo rozwiązywane. Dlaczego by nie? Wszak stanowi ono ogromne obciążenie budżetu. Armie można porównać do deficytowego przedsiębiorstwa. W takim wypadku najrozsądniej jest spisać je na straty.

- Ludzi nie bierzesz pod uwagę, James? - znów odezwał się Sam. - Naprawdę uważasz, że będą obojętnie patrzeć, jak przewracasz do góry nogami ich kraj?

- Tak jak każdy dobrze funkcjonujący koncern, również i my mamy wydział marketingu i reklamy. Zaplanowaliśmy zakrojoną na szeroką skalę kampanię reklamową, taką jaką podejmuje się wprowadzając na rynek nowy produkt. Ludzie znają tylko to, co zobaczą lub usłyszą w środkach masowego przekazu, do których, rzecz jasna, mamy dostęp. Jednym z naszych pierwszych posunięć było wykupienie wszystkich dostępnych dzienników, stacji radiowych i telewizyjnych, naturalnie przez podstawionego krajowca.

- Domyślam się, że w waszym Shangri-La raczej nie będzie miejsca dla wolnej prasy - powiedział Pitt.

- Wolna prasa jest po prostu formą tolerancji - odparł zniecierpliwiony Kelly. - No i widzi pan, co zrobiła ze Stanami Zjednoczonymi. Drukuje się wszystko, co jest brudne, skandaliczne, sensacyjne - wszystko, co pozwoli zwiększyć nakład i uzyskać więcej płatnych ogłoszeń. Tak zwana wolna prasa rozłożyła na czynniki pierwsze obyczaje i moralność wielkiego ongiś narodu, robiąc śmietnik z ludzkich umysłów.

- Zgoda, amerykańska wolna prasa jest daleka od ideału przyznał Pitt. - Ale przynajmniej czyni wysiłki, by ujawniać prawdę i przedstawiać czytelnikom takich

autokratów jak pan.

Pitt szybko umilkł, dziwiąc się swojej przemowie. Nieomal wypadł z roli. Zdał sobie sprawę, że jeżeli istnieje cień nadziei na ucieczkę, to wyłącznie w tym, iż w dalszym ciągu będzie występował w charakterze homoseksualisty.

- O Jezus, po co ja się tak denerwuję?

Zbity z tropu i z rumieńcem na twarzy Kelly znów przeniósł wzrok na Rondheima. Pogardliwe wzruszenie ramion dało odpowiedź na nieme pytanie.

Ciszę przerwał starzec o imieniu Sam.

- Kiedy już wykupisz cały kraj, James, w jaki sposób zamierzasz przejąć inne? Ani ty, ani żaden z twoich, jak ich nazywasz, partnerów nie dysponujecie odpowiednim kapitałem, aby jednym uderzeniem zdobyć kontrolę finansową nad całym kontynentem.

- To prawda, Sam, nie zdołalibyśmy dokonać tego nawet połączywszy nasze zasoby. Ale na przykład Boliwię możemy przekształcić w doskonale zorganizowany i kwitnący kraj. Spróbuj to sobie wyobrazić; nie skorumpowana administracja państwowa, siły zbrojne ograniczone, mające jedynie charakter reprezentacyjny, rolnictwo i przemysł nastawione na produkcję dla ludności, czyli klientów. Kelly mówił coraz bardziej afektowanym głosem.

- Znów powracamy do reguł biznesu: każdego centa zainwestować w rozwój firmy. Nic do kieszeni. A kiedy Boliwia stanie się prototypem państwa idealnego, wzbudzając zazdrość pozostałych narodów kontynentu, wtedy zaanektujemy sąsiednie kraje jeden po drugim.

- Biedni i głodni nie mogą się doczekać, by trafić do raju - rzekł pogardliwie Francuz. - O to chodzi?

- Pan myśli, że przesadza - odparł beznamiętnym tonem Kelly. - Lecz jest pan znacznie bliżej prawdy, niż mu się zdaje. Tak, biedny i głodny chwyci się każdej możliwości, żeby poprawić warunki życia.

- Teoria domina inspirowana przez szlachetne pobudki - dodał Pitt.

Kelly potwierdził ruchem głowy.

- Zgadza się, kierują mną szlachetne pobudki. Bo niby co innego? Zachodnia cywilizacja stale odradza się za sprawą szlachetnych pobudek. My, ludzie biznesu, prawdopodobnie najpotężniejsza i najbardziej wpływowa siła na przestrzeni ostatnich dwustu lat, mamy szansę dokonania cudownego wyboru: czy doprowadzić do kolejnego odroczenia, czy też zostawić leżący w rynsztoku zachodni świat na swoim miejscu, by tam dokonał żywota. W tym momencie muszę przyznać, że znalazłem się w kropce. Opieram się na kilku teoriach, które zostały wyśmiane przez najpoważniejsze autorytety naukowe. Mimo to uparcie trzymam się myśli, że organizacja jest lepsza niż chaos. Twierdzą, iż zysk

jest lepszy od straty, a do osiągnięcia celów radykalne metody są skuteczniejsze od środków łagodnej perswazji. Jestem absolutnie przekonany, że twarde reguły gry rynkowej są znacznie ważniejsze i bardziej przydatne niż polityczne ideologie.

- Pana wspaniały projekt ma jedną wadę - powiedział Pitt, dolewając sobie brandy - odstępstwo, przez które bardzo łatwo możecie znaleźć się na drzewie.

Kelly posłał Pittowi badawcze spojrzenie.

- Jest pan przeciwny wykorzystaniu najnowocześniejszej techniki komputerowej? Panie majorze, niech pan nie będzie śmieszny. Wiele miesięcy poświęciliśmy na zaprogramowanie wszelkich wariantów, każdej możliwości zboczenia z głównego toru. Pan chyba sobie żartuje.

- Doprawdy? - Pitt szybko opróżnił kieliszek, jakby zamiast brandy była w nim woda. - Jak wobec tego wytłumaczy pan udział w waszym przedsięwzięciu Rondheima oraz panny Fyrie? Oni nie bardzo odpowiadają wiekowym wymogom dla rady dyrektorów Hermit Limited. Rondheimowi brakuje jakichś dwudziestu lat. Panna Fyrie zaś... jest jeszcze młodsza.

- Brat panny Fyrie, Kristjan, był takim samym idealistą jak ja, człowiekiem, który szukał sposobu wyprowadzenia społeczeństwa ze stanu ubóstwa i beznadziei. Przejawy jego hojności w Afryce i innych częściach świata, gdzie prowadził interesy, skłoniły nas do zrobienia wyjątku. W przeciwieństwie do tych biznesmenów, którzy są zapatrzeni w czubek własnego nosa, Kristjan Fyrie wykorzystywał swój majątek na niesienie ludziom pomocy. Kiedy tragicznie zakończył życie, my, rada dyrektorów Hermit Limited - skłonił się siedzącym wokół mężczyznom - postanowiliśmy, aby jego miejsce zajęła panna Fyrie. - A Rondheim?

- To był szczęśliwy zbieg okoliczności. Mieliśmy wprawdzie nadzieję, że pan Rondheim zechce się do nas przyłączyć, lecz nie mogliśmy liczyć, że na pewno do tego dojdzie. Choć jego wielkie przedsiębiorstwo rybackie jawi się łakomym kąskiem z punktu widzenia rozwoju tej dziedziny przemysłu w Ameryce Południowej, to o przydatności pana Rondheima dla nas zadecydowały przede wszystkim jego ukryte talenty oraz pożyteczne powiązania.

- Został naczelnikiem wydziału likwidacji? - zapytał Pitt ponuro. - Przywódcą waszej prywatnej sekty izmailitów?

Mężczyźni otaczający Kelly'ego spojrzeli po sobie, by następnie skierować wzrok na Pitta. Przyglądali mu się w milczeniu i z ciekawością wypisaną na twarzach. Von Hummel po raz dziesiąty wycierał pot z czoła. Natomiast sir Eric Marks, pocierając dłonią wargi,

skinął głową Kelly'emu. Ów niewielki ruch nie uszedł uwagi Pitta. Z komicznie dyndającą szarfą major podszedł do stolika, by nalać sobie kolejny kieliszek starej rouche, ostatniego drinka na drogę, wiedział bowiem, że Kelly nie miał zamiaru pozwolić mu na opuszczenie domu frontowymi drzwiami.

- A więc odgadł pan to? - rzekł Kelly matowym głosem.

- Niekoniecznie - odparł Pitt. - Po trzech próbach odebrania mi życia takie rzeczy po prostu się wie.

- Wodolot! - warknął ze złością Rondheim. - Wie pan, co się z nim stało?

Pitt usiadł i zaczął sączyć alkohol. Jeżeli musiał umrzeć, chciał przynajmniej mieć satysfakcję, że do końca nie opuścił sceny.

- Popełniłeś fatalną pomyłkę, Oscarze, choć właściwie powinienem to powiedzieć o świętej pamięci kapitanie wspomnianej przez ciebie jednostki. Szkoda, że nie widziałeś wyrazu jego twarzy, zanim trafiłem go koktajlem Mołotowa.

- Ty pieprzona cioto! - rzekł Rondheim tonem kipiącym furiją. - Ty kłamliwy pedrylu!

- Niepotrzebnie dajesz się ponosić nerwom, Oscarze - stwierdził Pitt lekceważąco. - Myśl sobie, co chcesz. Jedno jednak jest pewne. Przez swoją lekkomyślność już nigdy nie zobaczysz ani wodolotu, ani jego załogi.

- Nie widzicie, co on próbuje zrobić? - Rondheim postąpił krok w kierunku Pitta. - Usiłuje nas skłócić.

- Dosyć tego! - Kelly miał stanowczy głos i władcze spojrzenie. - Proszę mówić, majorze.

- Bardzo pan uprzejmy. - Pitt wypił brandy i uzupełnił kieliszek. A niech tam, pomyślał, gorzalka przynajmniej zmniejszy ból. - Biedaczek Oscar spartaczył również drugą próbę zabójstwa. Nie będę zajmował się przykrymi szczegółami, ale mam nadzieję, że zdają sobie panowie sprawę, iż w tej chwili pracownicy pana Rondheima, dwa tępe bandziory, zwierają się agentom Narodowej Agencji Wywiadowczej.

- Szlag by to trafił! - wypalił Kelly, odwracając się do Rondheima. - Czy to prawda?

- Moi ludzie zawsze trzymają język za zębami. - Rondheim spojrzał na Pitta z błyskiem w oku. - Doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się stanie z ich rodzinami, jeśli powiedzą choć słowo. Poza tym oni nic nie wiedzą.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - rzekł Kelly surowo. Zrobił kilka kroków i stanął nad Pittem, przyglądając mu się dziwnie obojętnym wzrokiem, po stokroć bardziej deprymującym niż jakikolwiek inny przejaw skrajnej niechęci. - Ta zabawa zaszła za

daleko, majorze.

- Wielka szkoda. Właśnie zacząłem się rozgrzewać, by wziąć udział w finałowej rozgrywce.

- To będzie zbyteczne.

- Zbyteczne było również zamordowanie doktora Hunnewella rzekł Pitt. Jego głos był nienaturalnie spokojny. - Ogromny, straszliwy błąd, przykra pomyłka w obliczeniach. Tym większa, że dobroduszny doktor był kluczową postacią Hercrit Limited.

## ROZDZIAŁ 16

Pitt, rozparty nonszalancko w fotelu, z kieliszkiem w jednej ręce, a papierosem w drugiej, i sprawiający wrażenie ogarniętego relaksującą nudą, dał niebywale zaskoczonym słuchaczom pięć długich sekund na przyjęcie do wiadomości tego, co powiedział. Rondheim oraz pozostali członkowie Hermit Limited mieli tak oszołomione oblicza, jakby po powrocie do domu każdy z nich przyłapał swoją żonę z kochankiem w łóżku: Kelly ze zdziwienia szeroko otworzył oczy i prawie nie oddychał. Pomahx jednak zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą, jak przystało na zaprawionego w biznesowych bojach fachowca, i spokojnie, w milczeniu czekał, aż jego umysł przygotuje się do słownego kontrataku.

- W waszych komputerach musiały się spalić bezpieczniki kontynuował Pitt. - Admirał Sandecker i ja od początku mieliśmy oko na doktora Hunnewella. - Major kłamał wiedząc, że ani Kelly, ani Rondheim nie są w stanie dowieść mu nieprawdy. - Jak i po co to robiliśmy, z pewnością panów nie zainteresuje.

- Myli się pan, majorze - odrzekł Kelly niecierpliwie. - Bardzo nas to interesuje.

Pitt wciągnął głęboko powietrze i poprawił się w fotelu.

- Na dobrą sprawę pierwszy cynk dostaliśmy po uratowaniu doktora Lena Matajica...

- Nie! To niemożliwe - syknął Rondheim.

Pitt w myślach dziękował Sandeckerowi za szalony pomysł wskrzeszenia Matajica i O'Rileya. Oto nadarzała się wspaniała okazja wykorzystania go, więc nie widział żadnych przeszkód, by, dla zabicia czasu, tego nie zrobić.

- Proszę podnieść słuchawkę i poprosić międzynarodową o połączenie z pokojem czterysta dziewięć w Centralnym Szpitalu imienia Waltera Reeda w Waszyngtonie. Niech pan zamówi błyskawiczną będzie szybciej.

- To zbyteczne - rzekł Kelly. - Nie mam powodu, żeby panu nie wierzyć.

- Jak pan chce - odparł Pitt lekceważącym tonem, starając się zachować nieporuszoną twarz, by blef okazał się skuteczny. - Jak już wspomniałem, po swym szczęśliwym ocaleniu doktor Matajic nader szczegółowo opisał Laxa i jego załogę. Przebudowane poszycie nie zwiodło go ani przez chwilę. Ale, rzecz jasna, panowie o tym doskonale wiedzą. Wasi ludzie przejęli jego meldunek dla admirała Sandeckera. - Co potem?

- Nie rozumie pan? Reszta była kwestią prostej dedukcji. Dzięki opisowi Matajica prześledzenie ruchów statku od momentu jego zaginięcia z Kristjanem Fyrie na pokładzie do chwili pojawienia się go przy górze lodowej, na której Matajic założył stację badawczą,



nie przedstawiało żadnych trudności. Tak więc za sprawą obserwacyjnych zdolności Matajica - Pitt uśmiechnął się - który natychmiast zauważył opalenizną załogi, którą z trudnością dałoby się wytłumaczyć rybackim rejssem po wodach północnego Atlantyku, admirał Sandecker dowiedział się o aktywności Laxa u wybrzeży Ameryki Południowej. Wtedy właśnie zaczął podejrzewać doktora Hunnewella. Gdy teraz o tym myślę, uważam, że sprytnie to sobie wykombinował.

- Niech pan mówi dalej - nalegał Kelty.

- Jest rzeczą oczywistą, że Lax wykorzystywał podwodną sondę do zlokalizowania nowych złóż minerałów. Równie oczywiste było to, że w wypadku śmierci Fyriego i jego naukowców jedyną osobą potrafiącą obsługiwać sondę był doktor Hunnewell, jej współwynałazca.

- Jest pan nadzwyczaj dobrze poinformowany - powiedział Kelty z kwaśnym wyrazem twarzy. - Ale informacja to jeszcze nie dowód. Pitt poczuł, że wkroczył na grząski teren. Dotąd udawało mu się ominąć temat zaangażowania Narodowej Agencji Wywiadowczej w inwigilację Hermit Limited. Trzeba jednak było podsunąć Kelly'emu dodatkową przynętę w postaci nowych informacji. Z zadowoleniem uznał, że najwyższy czas powiedzieć mu prawdę.

- Nie dowód? W porządku, a czy uzna pan za dowód słowa umierającego człowieka? Wiadomość z najlepszego źródła. Mam na myśli samego doktora Hunnewella.

- Nie wierzę.

- Ostatnie słowa, jakie wypowiedział, zanim umarł na moich rękach, brzmiały: Niech strzegą cię niebios.

- O czym pan mówi?! - wykrzyknął Rondheim. - Do czego pan zmierza?

- Chciałem podziękować ci za to, Oscarze - powiedział zimno Pitt. - Hunnewell znał nazwisko swojego zabójcy, człowieka, który wydał rozkaz zabicia go. Przytoczył cytat z „Pieśni o starym żeglarzu”. W nim wszystko było zawarte, czyż nie tak? Sam pan recytował: Ukarz mnie Bóg! Do ręki łuk - zabiłem albatrosa! Twój znak rozpoznawczy, Oscarze, czerwony albatros. To miał na myśli Hunnewell. Ot, masz łajdaka: zabić ptaka, co sprawiał, że wiatr wieje. Zabiłeś człowieka, który pomagał ci sondować dno morza. - Pitt był teraz skory do zaczepki, po alkoholu odczuwał w całym ciele przyjemne ciepło. - Nie mogę równać się z tobą, jeśli chodzi o precyzję recytatorską, ale, o ile dobrze pamiętam, stary żeglarz i jego statek z załogą duchów na końcu spotykają eremity pustelnika, co stanowi jeszcze jeden element spajający. Tak, w wierszu było wszystko. Umierający Hunnewell resztką sił, wskazując palcem na ciebie, Oscarze, uznał cię za winnego.

- Strzelił pan w dobrym kierunku, majorze Pitt. - Kelly bez zainteresowania obserwował dym z własnego cygara. - Ale wycelował w niewłaściwego człowieka. Ja wydałem wyrok śmierci na doktora Hunnewella. Oscar jedynie dopilnował wykonania go.

- Ale po co?

- Kiedy minął początkowy entuzjazm, doktor Hunnewell, zastanawiając się nad metodami działania Hermit Limited, zaczął mieć nader prozaiczne wątpliwości - nie zabijaj bliźniego, i tak dalej. Groził, że ujawni naszą organizację, jeżeli nie zamkniemy wydziału asynacji: Był to warunek nie do przyjęcia, jeśli mieliśmy odnieść całkowity sukces. Dlatego doktora Hunnewella należało usunąć z naszej firmy.

- Następną reguła biznesu, rzecz jasna. - Zgadza się - rzekł z uśmiechem Kelty.

- Ponieważ byłem świadkiem, mnie również należało się pozbyć - rzekł Pitt, jak gdyby odpowiadając na pytanie.

Kelty przytaknął skinieniem głowy.

- A co z sondą? - zapytał major. - Skoro zginęły dwie kury znoszące złote jaja - mam na myśli Hunnewella i Fyriego - kto dysponuje wystarczającą wiedzą, by móc zbudować następną sondę? W spojrzeniu Kelly'ego znów pojawiła się pewność siebie.

- Nikt - odparł łagodnie. - Nie potrzebujemy kogoś takiego. Widzi pan, nasze komputery otrzymały niezbędne informacje. Przy odpowiedniej analizie danych powinniśmy mieć całkowicie sprawny egzemplarz w ciągu dziewięćdziesięciu dni.

Pitt milczał przez chwilę zaskoczony nieoczekiwanym obrotem sprawy. Bardzo szybko jednak pozbył się uczucia niepewności wywołanego oświadczeniem Kelly'ego. Mimo że brandy zaczęła robić swoje, jego umysł wciąż pracował z precyzją szwajcarskiego chronometru.

- W tej sytuacji rzeczywiście Hunnewell nie był dłużej potrzebny. Z pewnością wasze mądre komputery odkryły też tajemnicę produkcji celu-279.

- Moje gratulacje, majorze Pitt. Ma pan wyjątkowo przenikliwy umysł. - Kelly niecierpliwie spojrzął na zegarek, skinieniem głowy dał znak Rondheimowi, po czym zwrócił się do zebranych: - Przykro mi, lecz czas upłynął, panowie. Koniec zabawy.

- Co zamierzasz zrobić z nami, James? - Sam dopóty patrzył Kelly'emu w oczy, dopóki nie zmusił miliardera do cofnięcia wzroku. - Jest rzeczą oczywistą, że zdradziłeś swoje tajemnice, aby zaspokoić naszą ciekawość. Równie oczywiste jest to, że nigdy nie pozwolisz opuścić tego domu tym, którzy je poznali.

- To prawda. - Kelly spojrzął na mężczyzn stojących po przeciwnej stronie kominka. - Żaden z panów nie może nikomu wyjawiać tego, co tu dziś usłyszał.

- Po co? - zadał filozoficzne pytanie Sam. - Po co wobec tego odkryłeś karty i tym samym skazałeś nas na śmierć?

Kelly, najwyraźniej zmęczony, potarł oczy i wygodnie rozparł się w miękkim, skórzanym fotelu.

- Nadeszła chwila prawdy, panowie, moment ostatecznego rozwiązania. - Ze smutkiem przyglądał się zgromadzonym w pokoju mężczyznom. Wszyscy mieli pobladłe twarze, na których malowały się niepewność i strach.

- Jest teraz jedenasta w nocy. Dokładnie za czterdzieści dwie godziny i pięć minut Hermit Limited otwiera podwoje i wchodzi na rynek. Dwadzieścia cztery godziny później będziemy się już zajmowali prowadzeniem interesów naszego pierwszego klienta lub jeśli wolicie - kraju. Żeby owo historyczne wydarzenie przebiegło bez większych zakłóceń, potrzebujemy czegoś, aby odwrócić uwagę. Na przykład katastrofy, która stałaby się sensacją dnia, wywołującą autentyczne zainteresowanie wśród przywódców państwowych wielu krajów. My tymczasem moglibyśmy wprowadzać w życie nasz plan praktycznie nie zauważeni.

- I na nas ma skupić się uwaga świata - powiedział wysoki, siwy mężczyzna o uczciwym spojrzeniu.

Przez dłuższą chwilę Kelly przyglądał mu się w milczeniu, a następnie rzekł po prostu:

- Tak.

- Komputery planują śmierć niewinnych ludzi, aby wywołać światową sensację. Boże, to barbarzyństwo!

- Tak - powtórzył Kelly - lecz niestety konieczne. Z tego czy innego względu jesteście znaczącymi postaciami we własnych krajach. Reprezentujecie rządy oraz świat nauki i przemysłu pięciu różnych państw. Wasza niespodziewana śmierć zostanie uznana za tragedię na całym świecie.

- To są chyba jakieś nienormalne żarty! - wykrzyknął Tamarecow. - Nie może pan tak po prostu powystrzelać jak zwierzęta dwudziestu czterech mężczyzn i ich żon.

- Małżonki panów powrócą do miejsc pobytu całe, zdrowe i niczego nieświadome. - Kelly ułożył okulary na futerale. - Nie mamy zamiaru do nikogo strzelać. Pragniemy, aby wszystkim zajęła się Matka Natura - z naszą niewielką pomocą, rzecz jasna. Poza tym ślady postrzałów są powodem do wszczęcia śledztwa, podczas gdy wypadki są jedynie powodem do wyrażenia współczucia.

Rondheim ruchem dłoni rozkazał ubranym na czarno i trzymającym broń w rękach

mężczyznom, aby podeszli bliżej.

- A teraz zechcą panowie podwinąć któryś z rękawów.

Kirsti; jak gdyby na rozkaz, wyszła z pokoju, lecz za chwilę wróciła, niosąc niewielką tacę pełną ampulek i jednorazowych strzykawek.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę wbić sobie igłę w rękę! wybuchnął ktoś z grupy Pitta. - Lepiej od razu mnie zastrzelcie... Jego oczy zaszyły mgłą, gdy padał na podłogę uderzony za uchem kolbą karabinu ochroniarza.

- Mam nadzieję, że już nie będziemy musieli używać podobnych argumentów - rzekł ponuro Rondheim. Zwrócił się do Pitta. Proszę przejść do innego pokoju, majorze. Zamierzam osobiście zająć się panem. - Pistoletem odebrany Kirsti machnął w stronę drzwi.

Rondheim w towarzystwie dwóch ludzi eskorty poprowadził Pitta przez szeroki hall, następnie w dół po krętych schodach do jeszcze jednego hallu, dającego początek korytarzowi, po którego obu stronach było kilkoro drzwi. Rondheim z trzaskiem otworzył drugie z nich. Pitt, celowo idący chwiejnym krokiem, potknął się fatalnie, upadł na podłogę, po czym rozejrzał się po pokoju.

Był ogromny, cały pomalowany na białą i rzeświście oświetlony długimi rzędami świetlówek; na środku leżała duża mata, którą otaczała masa sprzętu treningowego. Pokój okazał się wyjątkowo kosztownie wyposażoną salą gimnastyczną, jakiej nigdy dotąd Pitt nie widział. Ściany zdobiło co najmniej pięćdziesiąt plakatów przedstawiających techniki walki karate. Pitt w myślach wyraził uznanie dla świetnego projektu i wykonania pomieszczenia do sportowego treningu.

Rondheim oddał mały automatyczny pistolet jednemu ze strażników.

- Muszę wyjść na chwilę, majorze - rzekł oschle. - Proszę się rozgościć. Być może zechce pan poprawić kondycję. Niech mi wolno będzie zaproponować panu drążki. - Roześmiał się głośno z własnego dowcipu i wyszedł z pokoju.

Pitt w dalszym ciągu znajdował się na podłodze, skąd uważnie przyglądał się dwóm strażnikom. Pierwszy był gigantem, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, kamienną twarz i zimne oczy. Okalający przedwcześnie wyłysiałą głowę wianuszek ciemnych włosów nadawał mu wygląd mnicha, wrażenie to jednak skutecznie psuł widok półautomatycznego karabinu w czułych objęciach wielkich, włochatych łap. Olbrzym w rewanżu posłał Pittowi spojrzenie, po którym major najchętniej uciekłby, gdzie pieprz rośnie, lecz szanse takiego rozwiązania sprowadzał do zera drugi strażnik. Stał bowiem w drzwiach wychodzących na korytarz; od ramion do futryny dzielił go dystans nie większy niż dwa centymetry. Gdyby

nie duża, czerwona twarz z potężnymi wąsiskami, osobnik ów mógłby natychmiast ubiegać się o dowództwo każdej małej armii. Małpolud nonszalancko opuścił trzymany w jednej dłoni karabin, ręka sięgała mu prawie do kolan.

Upłynęło pięć minut, pięć minut, podczas których Pitt dokładnie zaplanował następny ruch, a straż ani razu nie spuściła go z oczu. Nagle po przeciwległej stronie otworzyły się drzwi i do sali gimnastycznej wszedł Rondheim. Zamiast smokingowej marynarki miał na sobie białe, luźne kimono, jakie noszą adepci karate. Pitt wiedział, że owa szata nosiła nazwę gi. Rondheim z pewnym siebie uśmiechem wykrzywiającym jego wąskie usta przez chwilę stał przy drzwiach. Następnie sprężystym krokiem bosymi stopami przeszedł po podłodze, wkroczył na grubą matę i stanął przed Pittem.

- Proszę powiedzieć, majorze, czy zna pan karate albo kung-fu? Pitt kątem oka dostrzegł wąski, czarny pas wokół talii Rondheima i zaczął się gorąco modlić, aby żar brandy skutecznie osłabił skutki lania, które nieuchronnie miało nastąpić. I przecząco kiwnął głową. - Może judo?

- Nie, nie znoszę fizycznej przemocy.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że okaże się pan godniejszym przeciwnikiem. Ale prawdę mówiąc, od pewnego czasu mogłem się tego spodziewać. - Rondheim bezwiednie skubał japońskie hieroglify wyhaftowane na czarnym pasie. - Mam poważne wątpliwości, czy pan jest prawdziwym mężczyzną, mimo że Kirsti uważa, iż jest pan bardziej męski, niż wskazuje pańskie zachowanie. Wkrótce zresztą zobaczymy.

Pohamowawszy wzbierającą nienawiść, Pitt odegrał scenę strachu. - Niech pan mnie zostawi w spokoju! Niech pan mnie nie rusza! - wykrzyknął wysokim, niemal piskliwym głosem. - Dlaczego chce mi pan zrobić krzywdę? Nic panu nie zrobiłem. - Skrzywienie twarzy dodatkowo podkreślały nerwowe skurcze ust. - Kłamałem mówiąc, że wysadziłem w powietrze wodolot. Nawet nie widziałem go we mgle, przysięgam. Niech mi pan uwierzy...

Dwaj strażnicy popatrzyli na siebie, wymieniając pogardliwe spojrzenia, natomiast na twarzy Rondheima zaszło coś więcej, niż zwykła zmiana, armator wyglądał bowiem tak, jakby za chwilę miał zwymiotować.

- Dostyc tego! - ryknął rozkazującym tonem. - Niech pan przestanie skomleć. Ani przez moment nie wierzyłem, że odważyłby się pan zaatakować i zatopić mój statek wraz z załogą.

Pitt wzrokiem dzikiego zwierzęcia wpatrywał się w Rondheima, a w jego oczach malowało się bezgraniczne przerażenie.

- Pan nie ma powodu, aby mnie zabić. Nic nikomu nie powiem. Proszę! Może mi

pan zaufać. - Zaczął zbliżać się do Rondheima, unosząc w błagalnym geście ramiona.

- Niech pan stoi w miejscu!

Pitt znieruchomiał. Jego plan zdawał egzamin. Teraz pozostawało jedynie mieć nadzieję, że Rondheim szybko znudzi się ofiarą, która nie zamierzała ani bronić się, ani stawić choćby najmniejszego oporu.

- Major Powietrznych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych rzekł Rondheim z grymasem na twarzy. - Idę o zakład, że jest pan nikim innym niż tylko miękkim homoseksualistą, zawdzięczającym swój stopień wpływowi tatusia, pasożytem zostawiającym po sobie jedynie odchody. Zaraz jednak dowie się pan, co to jest ból zadawany przez dłonie i stopy innego mężczyzny. Szkoda tylko, że nie będzie miał pan czasu na przemyślenia dotyczące najbardziej pouczającej lekcji samoobrony, jaką pan kiedykolwiek pobrał.

Pitt stał niczym zamarła ze strachu owca, otoczona przez stado wilków. Stał, mamrocząc nieskładnie, gdy tymczasem Rondheim, przeszedłszy na środek maty, przyjął jedną z pozycji rozpoczynających walkę karate.

- Nie, proszę poczekać...

Pitt zakrztusił się własnymi słowami, konwulsyjnie odkręcając głowę na bok. Dostrzegł przelotny błysk w oczach Rondheima, zapowiedź szybkiego ciosu, jaki Islandczyk wyprowadził w kierunku podbródka Pitta. Przeprowadzony bez użycia całej siły atak przyniósłby dużo poważniejsze obrażenia niż solidny guz, gdyby Pitt nie zwinął się w kabląk, dzięki czemu uderzenie ledwie musnęło cel. Cofnąwszy się o dwa kroki, major wyprostował się i stojąc, bezładnie kiwał się do przodu i tyłu, tak jak zniecka ogłuszony człowiek. Rondheim tymczasem zbliżał się bardzo powoli; regularne, ostre rysy twarzy zniekształcał cień sadystycznego uśmiechu.

Stosując unik major popełnił błąd, szybki refleks bowiem mógł go zdekonspirować. Musiał zmusić się do rygorystycznej realizacji przyjętego planu. Łatwe to nie było. Wszak żaden normalny, umiejący zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo mężczyzna nie będzie stał bezczynnie, gdy ktoś wali weń jak w bęben. Zaciśnął więc zęby i czekał, rozluźnił tylko mięśnie, by jak najbardziej zneutralizować ciosy podczas następnego ataku Rondheima. Przerwa nie trwała długo. Po kilku sekundach usłyszał dźwięk gongu.

To Rondheim kopnął go z pełnego obrotu w głowę. Trafił w twarz, wyrzucając Pitta z maty i ciskając na przymocowane do ściany drabinki. Major bezgłośnie osunął się na podłogę, czując w ustach smak krwi z pękniętych warg oraz ruszające się zęby.

- No, dalej, majorze - mówił Rondheim spokojnym, lecz pełnym pogardy tonem. -

Niech pan wstaje. Lekcja dopiero się zaczęła. Zamroczony Pitt poderwał się na nogi i pijanym krokiem wrócił na matę. Jak nigdy dotąd pragnął odpowiedzieć ciosem za cios, wiedział jednak, że w dalszym ciągu musi odgrywać swoją rolę.

Rondheim postanowił nie marnować czasu i na dobre zabrać się do swej ofiary. Po szybkiej serii bardzo mocnych ciosów prostych w głowę, którym w przekonaniu Pitta nie było końca, nastąpiło kopnięcie w odsłoniętą część tułowia. Major natychmiast poczuł raczej, niż usłyszał, że pęka mu jedno z żeber. Jak na zwolnionym filmie Pitt osunął się na kolana, a potem pomału upadł na zmasakrowaną twarz. Na macie dookoła jego głowy zaczęła się tworzyć coraz większa kałuża krwi zmieszanej z wymiocinami. Nie potrzebował lusterka, by wiedzieć, że został straszliwie skatowany, że ma groteskowo zdeformowaną twarz: podbite oczy z ołowianymi powiekami, dwa plastry żywego mięsa zamiast warg i tylko jedną dziurę w nosie.

Kłujący ból w piersiach i pulsowanie zmalretowanej twarzy zmieniły się w jedną wielką falę cierpienia, która przeniosła go na skraj ciemności; ze zdziwieniem skonstatował, że jego umysł wciąż funkcjonuje normalnie. I zamiast pogрузić się w bezbolesnym zapomnieniu, jakim kusila go utrata przytomności, wolał ją udawać walcząc ze sobą, aby nie jęknąć z bólu i tym samym nie zniweczyć podstępny. Rondheim wpadł w furie.

- Jeszcze nie skończyłem z tym śliskim pedrylem. - Dał znak jednemu ze strażników.

- Ocuć go.

Łysy olbrzym przeszedł do usytuowanej obok łazienki, zmoczył ręcznik i niezbyt delikatnie wytarł krew z twarzy Pitta, a następnie mocno już poczerwieniały materiał przyłożył mu w charakterze kompresu z tyłu do szyi. Widząc, że zabieg nie pomaga, strażnik ponownie wyszedł, lecz zaraz wrócił, niosąc buteleczkę z solą trzeźwiącą.

Pitt zakaszlał raz i drugi, po czym wypłuł kawałek zakrzepłej krwi na but łysego, uśmiechając z satysfakcją, że doszło do tego nieprzypadkowo. Przekręcił się na bok i spojrzał w górę na groźnie stojącego nad nim Rondheima.

Ten zaśmiał się cicho.

- Widzę, że pan śpi na lekcjach, majorze. Może pan się nudzi? Jego głos nagle stał się lodowaty. - Wstawać! Nie skończyliśmy jeszcze... hm... lekcji pokazowej.

- Lekcja? Pokaz? - Pitt mamrotał niewyraźnie, z trudem poruszając obrzmiałymi, rozbitymi wargami. - Nie wiem, o co panu chodzi...

Rondheim odpowiedział uderzeniem kolana w krocze Pitta. Ciałem majora wstrząsnął dreszcz, a z jego ust wydobył się przeciągły jęk; Pitt konał z bólu.

Rondheim plunął na niego. - Powiedziałem: wstać! - Ja... nie mogę.

Schylił się i uderzył Pitta w kark ciosem shuto. Tym razem major nie zmuszał się do niczego ani niczego nie udawał; rzeczywiście zapadł w ciemność.

- Ocuć go! Ocuć go! - Rondheim wrzeszczał jak oszalały. Chcę, żeby stanął na nogi.

Strażnicy patrzyli z niedowierzaniem; nawet im przestawała podobać się bestialska zabawa. Niestety nie mogli zrobić nic innego, niż zająć się Pittem tak, jak para sekundantów, która musi doprowadzić do przytomności znokautowanego boksera. Nie potrzebowali konsultacji lekarza specjalisty, aby stwierdzić, że Pitt nie zdoła samodzielnie wstać. Schwycili go więc pod ramiona i wywindowali w górę; major zwisał pomiędzy nimi niczym ciężki wór z ziemniakami.

Rondheim pastwił się nad bezbronnym, sponiewieranym ciałem, aż gi stało się mokre od potu, a z przodu czerwone od krwi.

Torturowany Pitt w przebłyskach świadomości czuł, że przestaje panować nad emocjami, nad inteligencją; nawet dotkliwy ból zaczął zmieniać się w jednostajne, męczące pulsowanie całego organizmu. Dzięki Bogu, że tyle wypłem - pomyślał. Gdyby nie otępienie wywołane przez brandy, nie zdołałby dotrzeć do tej chwili i nie puściłby płazem Rondheimowi brutalnego pobicia. Teraz jednak po alkoholowy błogostan był mu już do niczego niepotrzebny. Jego zapas sił był na wyczerpaniu, umysł wymykał się spod kontroli, tracąc kontakt z otoczeniem, lecz najbardziej przerażał go fakt, że nic na to nie może poradzić.

Rondheim zadał Pittowi precyzyjnie wymierzone, miażdżące uderzenie nogą w żołądek. Kiedy po raz szósty oczy Pitta zaszły mgłą, a strażnicy zwalniając uchwyt dłoni pozwolili, aby bezwładne ciało opadło na matę, sadystyczny grymas powoli zniknął z twarzy Rondheima. Dysząc ze zmęczenia, przyglądał się obojętnie zakrwawionym, opuchniętym palcom. Następnie klęknął, chwycił Pitta za włosy, przekręcił głowę tak, aby odsłonić gardło, po czym podniósł otwartą dłoń, szykując się do zadania ostatniego uderzenia, coup de grace, śmiertelnego ciosu judo, które odrzuciłoby głowę majora do tyłu, łamiąc mu kręgosłup.

- Nie!

Trzymając dłoń w powietrzu, Rondheim powoli odwrócił się. W drzwiach stała Kirsti Fyrie. Na jej twarzy malowało się bezgraniczne przerażenie.

- Nie! - powiedziała. - Proszę... nie! Nie wolno ci tego zrobić! Rondheim wciąż trzymał rękę w górze.

- Kim on jest dla ciebie?



- Nikim, lecz jest ludzką istotą i nie zasługuje na takie traktowanie. Jesteś okrutny i bezwzględny, Oscarze. Obie cechy nie są rzadkością wśród ludzi. Trzeba je jednak poskramiać, kierując się odwagą. Bicie bezbronnego, półżywego mężczyzny niewiele różni się od torturowania dziecka. Nie ma w tym ani krzty odwagi. Sprawileś mi ogromny zawód.

Rondheim pomału opuścił rękę. Wstał i dysząc z wysiłku, podszedł do Kirsti. Rozerwawszy górę sukni, z wściekłością ścisnął jej piersi. - Ty zboczona kurwo - wysapał. - Ostrzegałem cię, żebyś nigdy się nie wtrącała. Nie masz najmniejszego prawa krytykować ani mnie, ani kogokolwiek innego. Oczywiście najwygodniej jest siedzieć na ślicznej dupie i przyglądać się z boku, jak odwalam całą brudną robotę.

Jej piękne rysy zniekształcił gniew i nienawiść; podniosła dłoń, by go uderzyć. Złapał ją za przegub i tak długo wykręcał rękę, aż krzyknęła z bólu:

- Mężczyzna od kobiety, moje złotko, różni się przede wszystkim siłą fizyczną. - Wybuchnął śmiechem, widząc jej bezradność. Zdaje się, że zapomniałaś o tym.

Wypchnął ją brutalnie za drzwi, po czym zwrócił się do strażników. - Zanieście tego pieprzonego pedała do tamtych - rozkazał. Jeśli uda mu się otworzyć choć jedno oko, będzie miał satysfakcję, że umrze wśród przyjaciół.

## ROZDZIAŁ 17

W najodleglejszym zakątku mrocznej nieświadomości Pitt dostrzegł światło. Było przyćmione i niewyraźne, tak jakby wydobywało się z latarki, której baterie wydawały ostatnie tchnienie energii. Desperacko walczył, aby się tam dostać. Raz po raz z ogromnym wysiłkiem próbował zbliżyć się do jasnego punktu, wiedząc, że jest to okno wychodzące na świat jawy. Ilekroć zdawało mu się, iż ma je w zasięgu ręki, okno odsuwało się, znowu pogrążając go w beznadziejnej nicości. Nie żyję, pomyślał nieprzytomnie, jestem martwy.

Nagle uświadomił sobie istnienie czegoś znacznie bardziej wyrazistego, czegoś, czego być nie powinno. Owo coś wylaniało się z próżni, z każdą chwilą przybierając na sile. W końcu zrozumiał, co to jest, i stwierdził, że wciąż znajduje się pośród żywych. Ból, cudowny, przenikliwy ból. Rozlał się po całym ciele falą o porażającej sile, i wtedy Pitt jęknął.

- Dzięki ci, Boże! Dzięki ci, że przywróciłeś go nam! - Głos dochodził z bardzo daleka. Pitt wrzucił drugi bieg i głos znowu zabrzmiał:

- Dirk! To ja, Tidi!

Na sekundę zapadła cisza. Sekunda wystarczyła jednak, aby major uświadomił sobie, że światło staje się coraz jaśniejsze, że czuje odurzający zapach świeżego powietrza i miękką rękę delikatnie podtrzymującą jego głowę. Widział bardzo źle; jak przez mgłę dostrzegał pochylony nad nim, niewyraźny kontur postaci. Próbował mówić, lecz słowa zmieniały się w jęk; wymamrotawszy kilka, zaczął wpatrywać się w cień na górze.

- Zdaje się, że nasz major Pitt szykuje się do powrotu do życia. Pitt z trudnością odróżniał słowa. To nie był głos Tidi - tego był pewien - był zbyt głęboki, zbyt męski.

- Nieźle go załatwili - ponownie odezwał się nieznajomy głos. Lepiej, żeby umarł, nie odzyskując przytomności. Biorąc pod uwagę to, jak się mają sprawy, nikt z nas nie dożyje chwili...

- On sobie poradzi - to znów była Tidi. - Musi... po prostu musi. Dirk jest naszą jedyną nadzieją.

- Nadzieja... Nadzieja? - wyszeptał Pitt. - Chodziłem kiedyś z dziewczyną, która miała na imię Nadzieja.

Ból w boku był nie do zniesienia; Pitt czuł się tak, jakby ktoś wiercił mu tam dziurę rozpalonym do białości żelazem. Jednocześnie ze zdziwieniem stwierdził, że pobita twarz nie daje o sobie znać; zmasakrowane oblicze było całkowicie zdrętwiałe. Niebawem zrozumiał dlaczego, zrozumiał, dlaczego widzi tylko cienie. Wzrok - co najmniej w trzydziestu procentach - poprawił mu się, gdy tylko Tidi zdjęła rajstopy z jego twarzy, a

właściwie ich fragment, jakim niewątpliwie był pasek cienkiego, mokrego materiału. Nie czuł twarzy, ponieważ Tidi, aby stonować ból, nieustannie zwilżała siniaki, guzy i poranioną skórę lodowatą wodą z pobliskiej kałuży. To, że w ogóle mógł widzieć przez wąskie szparki spuchniętych, porozcinanych powiek, było dowodem skuteczności jej zabiegów.

Pitt nie bez trudności skupił wzrok. Tidi przyglądała mu się z góry; długie, płowe włosy okalały bladą, zatrwożoną twarz. W tym momencie rozległ się nieznamy głos, który nagle przybrał dobrze znany Pittowi ton.

- Zapamiętałeś numery rejestracyjne ciężarówki, majorze? A może to buldożer zdefasonował twój i tak fatalny profil?

Pitt odwrócił głowę i spojrzał na uśmiechniętą, lecz napiętą twarz. To był Jerome P. Lillie.

- Nie uwierzysz, ale zrobił to wielkolud z mięśniami jak kamienie młyńskie. .

- Przypuszczam - rzekł Lillie z oczekiwaniem w głosie - że teraz dodasz: Ale jeżeli uważasz, iż źle wyglądam, to powinienes zobaczyć tego drugiego faceta.

- Muszę cię rozczarować. Nawet palcem go nie tknąłem. - Nie broniłeś się?

- Nie broniłem.

Linie okazał całkowite zdumienie.

- Stałeś i pozwoliłeś... pozwoliłeś się tak strasznie zbić?

- Zamknijcie się, dobrze? - W tonie Tidi zdenerwowanie mieszało się z przygnębieniem. - Jeżeli ktokolwiek z nas ma przeżyć, musimy Dirka postawić na nogi. Nie możemy sobie po prostu siedzieć i plotkować.

Pitt spróbował usiąść i natychmiast zobaczył przed oczami czerwoną mgłę, efekt potwornego bólu, jaki wywołało gwałtownie protestujące zebro. Nagły, krótszy niż mgnienie oka, ruch sprawił, że poczuł się tak, jakby ktoś ścisnął mu klatkę piersiową potężnymi obcęgami, a potem jeszcze je obrócił. Ostrożnie, bardzo powoli podnosił tułów do góry, aż przyjął pozycję, w której był w stanie rozejrzeć się dookoła.

Widok, jaki zobaczył, mógł z powodzeniem pochodzić z koszmarnego snu. Przez długą chwilę przyglądał się nierealnemu obrazowi, to znów Tidi i Lilliemu. Jego oblicze można by uznać za studium konsternacji oraz niewiary. Rychło zakiełkowało mu w głowie ziarenko zrozumienia, a wraz z nim pojawiła się niemal pewność tego, gdzie jest. Jedną ręką oparł się na ziemi i wymamrotał bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

- Mój Boże, to niemożliwe.

Przez dziesięć sekund, może przez dwadzieścia, Pitt siedział w ciszy, jaką często

określa się mianem śmiertelnej. Nieporuszony, jak kamienny posąg, wpatrywał się w rozbity śmigłowiec, leżący w odległości około dziesięciu metrów. Zanurzone do połowy w błocie szczątki roztrzaskanego kadłuba spoczywały na dnie głębokiego wąwozu, którego ostro nachylone ściany na wysokości trzydziestu metrów pozornie stykały się pod niebem Islandii. Pitt zauważył, że roztrzaskany helikopter był dużą maszyną, prawdopodobnie typu Tytan, zdolną przyjąć na pokład trzydziestu pasażerów. Barwy i wszelkie znaki rozpoznawcze, jakie pierwotnie nosił śmigłowiec, były teraz nie do rozpoznania. Większa część kadłuba za kabiną pilota została zgnieciona i złożyła się jak miech kowalski, a cała reszta przypominała artystyczną instalację wykonaną przez umysłowo chorego metaloplastyka.

Pierwsza przerażająca myśl, jaka opanowała jego skołowaną głowę, kazała mu sądzić, że z rozbitego śmigłowca nikt nie ocalał. A przecież było inaczej - wszyscy przetrwali: Pitt, Tidi, Lillie oraz ci sami mężczyźni, którzy stali obok majora w pokoju myśliwskim Rondheima, ci sami mężczyźni, którzy przeciwstawili się F. Jamesowi Kelly'emu oraz Hermit Limited, a teraz byli rozrzućeni na stromych zboczach wąwozu i znajdowali się w nienaturalnych, powykęcanych pozycjach na skutek doznanych cierpień.

Wydawało mu się, że wszyscy żyją, mimo że w przeważającej części byli ciężko ranni; wygięte pod groteskowymi kątami kończyny świadczyły o poważnych złamaniach i zmiżdżeniach kości.

- Przepraszam, że zadaję to nieuchronne w tej sytuacji pytanie wymamrotał Pitt chrapliwym głosem, nad którym szczęśliwie odzyskał kontrolę - ale co się właściwie stało, do diabła?

- Nie to, o czym myślisz - odparł Lillie.

- Więc co? Przecież to oczywiste... Rondheim chciał nas dokądś uprowadzić, ale śmigłowiec uległ katastrofie.

- Nie rozbiliśmy się - powiedział Lillie. - Wrak leży tu już od kilku dni, może nawet od paru tygodni.

Pitt z niedowierzaniem patrzył na Lilliego, który leżał w pozornie wygodnej pozycji na wilgotnej ziemi, najwyraźniej lekceważąc fakt, że dzięki temu ma całkowicie przemoczone ubranie.

- Lepiej mnie oświeć. Co stało się tym ludziom? Jak się tu znaleźliście? Powiedz wszystko.

- Niewiele mam do powiedzenia - rzekł cicho Lillie. - Ludzie Rondheima złapali mnie, kiedy weszłem na przystani Albatrosa. Zanim zdołałem odkryć cokolwiek, zwinęli

mnie i zawieźli do domu Rondheima, gdzie dołączyłem do tych panów.

Pitt przesunął się w kierunku Lilliego.

- Jesteś w kiepskim stanie. Przypatrzmy się temu. Lillie powstrzymał go ruchem ręki.

- Posłuchaj mnie tylko, a potem wynoś się stąd, do diabła, i sprowadź pomoc. Nikt nie jest tak poważnie ranny, aby groziła mu natychmiastowa śmierć - o to chodziło Rondheimowi. Najbardziej zagraża nam zimno. W tej chwili temperatura wynosi jakieś pięć stopni. Za kilka godzin złapie mróz. Wkrótce potem zimno i szok powypadkowy odeślą na tamten świat pierwszych z nas. Do rana w tym cholernym wąwozie będą już tylko zamrożone ciała.

- O to chodziło Rondheimowi? Obawiam się, że...

- Nie rozumiesz tego? Coś za wolno pracuje ci główka, majorze Pitt. Przecież to oczywiste, że jatka, którą tu widzisz, nie jest wynikiem żadnego wypadku. Zaraz po tym jak nasz sadystyczny przyjaciel Rondheim zrobił z ciebie kotlet siekany, każdy z nas dostał solidną dawkę nembutalu, a następnie metodycznie, z zimną krwią, sympatyczny Oscar i jego ludzie zajmowali się wszystkimi po kolei, łamiąc każdą kość, którą uznali za niezbędną do tego, aby nasze obrażenia wyglądały tak, jakbyśmy odnieśli je w katastrofie helikopterowej.

Pitt patrzył na Lilliego, nie odzywając się ani słowem. Był całkowicie zdezorientowany; jego umysł pogrążył się w odmętach niepewności, gorączkowo szukając przyczyn, które uniemożliwiały mu zrozumienie zaistniałej sytuacji. Znajdował się w takim stanie, że właściwie powinien uwierzyć we wszystko, mimo to jednak słowa Lilliego brzmiały zbyt makabrycznie, zbyt nieprawdopodobnie, żeby można było brać je pod uwagę.

- Boże, to niemożliwe. - Pitt zacisnął powieki i wolno pokręcił głową, podkreślając w ten sposób ogarniające go przygnębienie. - To jest jakiś obłąkańczy koszmar.

- Powody tego nie mają nic wspólnego z obłąkaniem - zapewnił Lillie. - W szaleństwie Kelly'ego i Rondheima jest metoda.

- Skąd masz pewność?

- Mam. Ponieważ mnie ostatniemu wstrzyknęli narkotyk, mogłem podsłuchać Kelly'ego, który wyjaśniał sir Ericowi Marksowi, w jaki sposób komputery Hermit Limited zaplanowały tę całą niewiarygodną tragedię.

- Ale w imię czego? Po co to bestialstwo? Kelly mógł po prostu wsadzić nas do jakiegoś samolotu czy śmigłowca i zatopić w oceanie; bez szans odnalezienia maszyny, bez

szans uratowania się kogokolwiek.

- Komputery to bardzo bezwzględne urządzenia, na zimno analizują fakty i mają gdzieś sentymenty - mruknął ze smutkiem Lillie. - Cierpiący wokół nas ludzie są dla swoich szacownych rządów bardzo ważnymi osobistościami. Byłeś na prywatce u Rondheima. Słyszałeś, jak Kelly tłumaczył, dlaczego muszą zginąć - ich śmierć ma odwrócić uwagę, skupić zainteresowanie środków masowego przekazu oraz głów państwa i dać czas Hermit Limited na dokonanie przewrotu bez ingerencji ze strony ośrodków polityki światowej.

Pitt zmrużył oczy.

- To nie tłumaczy, skąd wzięło się okrucieństwo i sadyzm.

- Nie, nie tłumaczy - przyznał Lillie. - Ale w przekonaniu Kelly'ego cel uświęca środki. Wariant zaginięcia na morzu prawdopodobnie wprowadzono do programu komputera, lecz został odrzucony na rzecz bardziej skutecznego rozwiązania.

- Takiego jak odkrycie ciał w odpowiednim momencie.

- W pewnym sensie tak - rzekł powoli Lillie. - Po tygodniu, może dziesięciu dniach, świat przestałby interesować się zaginięciem na morzu - wstrzymano by poszukiwania, bo przecież nikt długo nie pożyje, pływając w lodowatych wodach północnego Atlantyku.

- Oczywiście - przytaknął Pitt. - Zniknięcie Laxa jest tego doskonałym przykładem.

- Dokładnie. Kelly i jego nadziani koledzy potrzebują jak najwięcej czasu, aby okopać się na bezpiecznych pozycjach w tym lub innym kraju, którym zamierzają zawładnąć. Im dłużej uwaga naszego Departamentu Stanu skupiona będzie na zaginionych dyplomatach, tym skuteczniej zostaną przeprowadzone operacje Hermit Limited.

- W ten sposób Kelly zyskuje dodatkowy atut, jakim jest zakrojona na szeroką skalę akcja poszukiwawcza - rzekł Pitt cicho, lecz z pewnością w głosie. - A kiedy wszyscy stracą nadzieję, jakiś podstawiony Islandczyk przypadkowo znajdzie się w rejonie katastrofy i odkryje zwłoki. Kelly znów zyskuje dwa tygodnie, podczas których świat okrywa się żałobą, a dostojnicy państwowi wygłaszają mowy pogrzebowe.

- Wszystko zostało drobiazgowo zaplanowane. Mieliśmy polecieć do posiadłości Rondheima na północy, aby połowić łososie. Jego grupa, czyli Hermit Limited, miała się zabrać w drugiej turze. Właśnie taka historia zostanie podana do publicznej wiadomości.

- Przecież w każdej chwili ktoś przypadkowo może nas odkryć stwierdziła Tidi, delikatnie wycierając strużkę krwi z rozbitych warg Pitta.

- To jest raczej niemożliwe - odparł major, uważnie lustrując bezpośrednie otoczenie. - Można nas zobaczyć praktycznie tylko wtedy, gdy ktoś stanie dokładnie nad nami. Dodaj do tego fakt, że prawdopodobnie znajdujemy się w najmniej zaludnionym

regionie Islandii, a wtedy zrozumiesz, że możesz tak sobie czekać do końca świata.

- Teraz widzisz, jak wygląda sytuacja - rzekł Lillie. - Śmigłowiec najpierw musiał być umieszczony w wąskim zagłębieniu wąwozu, a dopiero potem został zniszczony, ponieważ tutaj nie mógłby rozbić się w ten sposób; świetne miejsce, nie do znalezienia. Samolot lecący dokładnie nad szczeliną wąwozu miałby nie więcej niż sekundę na spostrzeżenie wraka, a więc szansę w najlepszym wypadku jedną na milion. Następnym posunięciem było rozrzucenie naszych ciał po okolicy. Po dwóch albo trzech tygodniach nawet najbardziej kompetentny koroner nie będzie w stanie stwierdzić, kto z nas umarł wskutek obrażeń doznanych w fałszywym wypadku, a kto z zimna i szoku powypadkowego.

- Jestem jedyny, który może chodzić? - zapytał Pitt ostrym tonem. Złamane żebro dokuczało mu jak diabli, lecz pełne nadziei spojrzenia, odrobina przekłętego optymizmu w oczach ludzi zdających sobie sprawę, że od śmierci dzieli ich zaledwie kilka godzin, zmusiły go do zignorowania dotkliwego bólu.

- Paru może chodzić - odparł Lillie. - Ale ze złamanymi rękoma nawet nie wydostaną się z wąwozu.

- Widzę, że wypadło na mnie.

- Wypadło. - Lillie uśmiechnął się. - Jeżeli może cię to pocieszyć, dla własnej satysfakcji powinieneś wiedzieć, że Rondheim ma za przeciwnika znacznie twardszego faceta, niż przewidywały komputery.

Zachęta zawarta w spojrzeniu Lilliego stała się dodatkowym bodźcem do działania, podniętą, której bardzo potrzebował. Pitt wstał z trudem i popatrzył w dół na postać nieruchomo leżącą na ziemi. - Co ci załatwił Rondheim?

- Obie ręce i zdaje się, miednicę - Lillie mówił to tak spokojnym tonem, jakby opisywał załamania terenu na Księżycu.

- Pewnie wolałbyś teraz być u siebie w St. Louis i spokojnie warzyć piwko, no nie?

- Niekoniecznie. Mój ukochany tatuś nigdy nie pokładał wielkich nadziei w swoim jedynym synu. Gdybym... gdybym do twego powrotu wyciągnął kopyta, powiedz mu...

- Sam mu to powiesz. Poza tym zrobiłbym to nieszczerze. - Pitt bardzo się starał, żeby głos mu się nie załamał. - Nigdy nie lubiłem piwa Lillie.

Odszedł kilka kroków i uklęknął przy Tidi. - Co ci zrobili, słoneczko?

- Stopy mam niezupełnie na swoim miejscu - uśmiechnęła się miło. - Nic poważnego. Chyba miałam szczęście.

- Przepraszam cię - rzekł Pitt. - Gdybym nie spartaczył roboty, nie leżałabyś tutaj.

Ujęła jego dłoń w obie ręce i lekko uścisnęła.

- To jest o wiele bardziej ekscytujące niż robienie notatek i pisanie na maszynie listów admirała.

Pitt schylił się, uniósł ją i ostrożnie przeniósł parę metrów, i położył obok Lilliego.

- Masz swoją szansę, poszukiwaczko dobrej partii. To jest autentyczny milioner. I przez następnych kilka godzin twój uważny słuchacz. Panie Jerome P. Lillie, niech mi wolno będzie przedstawić pannę Tidi Royal, oczko w głowie Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Życie długo i szczęśliwie.

Pitt delikatnie pocałował ją w czoło, znów wstał z wysiłkiem i stąpając na chwiejnych nogach po mokrym podłożu, skierował się do starszego pana, który miał na imię Sam. Przypomniał sobie pokój myśliwski, nienaganne maniery starca i jego ciepłe, błyszczące spojrzenie. Teraz patrząc w dół, widział człowieka z nogami wygiętymi na zewnątrz niczym zakrzywione konary starego dębu oraz niebieskimi, zobojętniałymi z bólu oczyma, człowieka, który zmusił się do uśmiechu, uśmiechu pełnego ufności i nadziei.

- Niech pan leży spokojnie, Sam. - Pitt schylił się i położył dłoń na ramieniu dzielnego mężczyzny. - Do południa będę tu z najładniejszą pielęgniarką w Islandii.

Sam nie dał po sobie poznać, jak bardzo cierpi.

- Człowiekowi w moim wieku cygaro dałoby znacznie więcej przyjemności - powiedział.

- Ma pan to załatwione.

Ponownie nachylił się nad Samem i podał mu dłoń. Błękitne oczy nagle ożyły, starzec uniósł się, ściskając wyciągniętą rękę Pitta z siłą, o jaką major nigdy by go nie podejrzewał; rysy zmęczonej, pociągłej twarzy w przypływie determinacji nagle stały się wyraziste.

- Trzeba go powstrzymać, majorze Pitt - powiedział cicho, niemal szeptem, lecz bardzo zdecydowanie. - Nie można dopuścić do tego, żeby James zrealizował swój straszny plan. Ideą Jamesa jest niesienie dobra, natomiast otaczający go ludzie kierują się wyłącznie żądzą zysku i władzy. Pitt nic nie mówił, tylko potwierdzająco pokiwał głową.

- Wybaczam Jamesowi to, co zrobił. - Sam mówił chaotycznie i tak, jakby przemawiał do siebie. - Niech pan mu powie, że jego brat przebacza...

- Mój Boże! - na twarzy Pitta malowało się całkowite zaskoczenie. - Jesteście braćmi?

- Tak, James jest moim młodszym bratem. Przez te wszystkie lata pozostawałem w cieniu, zajmując się finansami oraz rozwiązując problemy, które są trudnym chlebem powszednim ogromnej międzynarodowej korporacji. James jako urodzony przywódca,



pomysłowy biznesmen i erudyta spijał cały miód, pozostając w centrum zainteresowania. Aż do wczoraj stanowiliśmy nader szczęśliwą kombinację. Sam niezauważalnie pochylił głowę w geście pożegnania. - Bóg będzie czuwał nad panem. - Jego twarz pomału rozjaśnił szeroki uśmiech. - I niech pan nie zapomni o cygarach.

- Może pan na mnie liczyć - mruknął Pitt, po czym odwrócił się i odszedł. Choć w głowie miał kłębowisko myśli oraz miotają nim sprzeczne uczucia, powoli zdołał się skoncentrować na wytraconym z magmy emocji jasno określonym zamierzeniu, które z całą bezwzględnością odsunęło wszystko inne na dalszy plan. Siłą napędową była tłąca się w nim kiedyś, a rozpalona przez pierwszy brutalny cios Rondheima, nienawiść, która wybuchła teraz intensywnym, trawiącym umysł płomieniem. Do rzeczywistego świata sprowadził go niski głos rosyjskiego dyplomaty, Tamarecowa.

- Prawdziwy komunista będzie myśłami z panem, majorze Pitt. - Jestem zaszczycony - bez namysłu odparł Pitt. - Nieczęsto się zdarza, żeby komunista musiał powierzać swój los kapitaliście.

- To istotnie jest gorzka pigułka do przełknięcia.

Pitt przystanął i z uwagą przyjrzał się Tamarecowowi, dostrzegając bezwładnie leżące na ziemi ramiona oraz nienaturalnie zgiętą lewą nogę.

- Jeżeli obieca pan nie robić podczas mojej nieobecności żadnych indoktrynujących wykładów, wróć tu z butelką wódki dla pana.

Tamarecow spojrzał na Pitta z ciekawością.

- Czy to ma być przykład amerykańskiego poczucia humoru, majorze? Ale jeśli chodzi o wódkę, myślę, że mówił pan zupełnie poważnie.

Kąciki ust Pitta wykrzywiła namiastka uśmiechu.

- Niech pan mnie nie przecenia. Ale skoro mam zamiar odbyć krótki spacer do najbliższego sklepu z alkoholem, pomyślałem, że zaoszczędzę panu fatygi. - Zanim zaskoczony Rosjanin zdążył odpowiedzieć, Pitt odszedł i rozpoczął wspinaczkę na szczyt zbocza wąwozu.

Początkowo bardzo ostrożnie, aby nie doprowadzić do zatargu z naruszonymi żebrami, nie częściej niż co kilka centymetrów Pitt wbijał palce w miękką, śliską ziemię i przesuwał się w górę, patrząc wszędzie, tylko nie przed siebie. Pierwszych dziesięć metrów poszło łatwo. Potem jednak zbocze zrobiło się bardziej strome, a podłoże było twardsze, co znacznie utrudniało żłobienie otworów, które stanowiły jedyne oparcie dla dłoni i stóp.

Wspinaczka w spazmach bólu zmaltretowanego ciała przyniosła Pittowi oczyszczenie, o jakim nawet w czyścucu nie mają pojęcia. Opuściły go wszystkie uczucia i

emocje, poruszał się jak automat ręka do dziury i do góry, stopa do dziury i do góry... Próbował liczyć długość przebytej drogi, lecz przy trzecim metrze stracił rachubę; jego umysł stał się jałowy.

Pitt poruszał się jak ślepiec wędrujący w pełnym świetle przez zubożniały świat, ślepiec, który mógł przetrwać wyłącznie dzięki jednemu zmysłowi - dotykowi. I wtedy po raz pierwszy poczuł strach; nie był to strach przed upadkiem lub następnymi obrażeniami, lecz autentyczny, paraliżujący strach przed niespełnieniem nadziei ponad dwudziestu ludzi, których życie zależało od tego, czy zdoła dotrzeć do miejsca, gdzie niebo stykało się z ziemią. Wydawało mu się, że szczyt zbocza jest jeszcze wysoko w górze. Mijały minuty dłużące się niczym godziny. Ile ich upłynęło? Nie wiedział i nigdy się nie dowie. Czas pod pojęciem miary przestał istnieć. Pitt zamienił się w robota wykonującego te same ruchy i poruszającego się bez udziału mózgu, który wydając rozkazy, każdorazowo mógł je zweryfikować.

Major znów zaczął odliczać, zatrzymał się przy dziesięciu. Minuta oddechu, nie więcej - pomyślał, a potem wszystko zaczęło się od nowa. Ciężko dyszał, łapiąc powietrze niczym wyjęta z wody ryba, jego palce były w oplakany stanie, miał połamane i zakrwawione paznokcie, od nie kończącego się wysiłku bolały go mięśnie rąk wszystko to nieomylnie wskazywało, że organizm był u kresu wytrzymałości. Strugi potu zalewały mu twarz, jednakże ta niedogodność była niczym w porównaniu z głośnym lamentem całego ciała. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał w górę, lecz nic nie zobaczył przez wąskie szczeliny powiek, pod którymi miał kiedyś zupełnie zdrowe oczy. Skąpana w światłocieniu grań była niewyraźna i zamglona; wszelka ocena odległości stała się niemożliwa.

A potem nagle ręce Pitta, zdziwione niespodziewanym dotykiem, natrafiły na miękką, łamliwą krawędź zbocza. Podciągnął się do góry z siłą, jakiej nie powinien już mieć, wpełzł na równinę i przewróciwszy się na plecy, leżał bezwładnie, tak jakby wyzionął ducha.

Przez prawie pięć minut Pitt trwał w bezruchu, jedynie jego klatka piersiowa unosiła się i opadała poruszana pulsującym oddechem. Kiedy fala skrajnego wyczerpania opadła do poziomu możliwego do wytrzymania bólu, Pitt powoli podniósł się na nogi i popatrzył na dno wąskiej rozpadliny, dostrzegając w dole malutkie postacie. Przyłożył dłonie do ust, lecz rozmyślił się i nie krzyknął. Nie przychodziły mu do głowy słowa; które miały jakiegokolwiek znaczenie lub mogły dodać odwagi.

Ludzie na dole byli w stanie zobaczyć tylko jego głowę i ramiona wystające z nad skraju stromego urwiska. Pomachał im ręką i odszedł.

## ROZDZIAŁ 18

Pitt stał niczym samotne drzewo na pustej równinie. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rozpościerał się dywan ciemnozielonych, podobnych do mchu porostów. Z jednej strony horyzontu był zakończony pasmem wysokich wzgórz, z dwóch innych zaś jego brzegi przysłaniała rozjaśniona słońcem mgiełka. Jeśli nie liczyć kilku niewielkich wzniesień rozsianych po pustej okolicy, teren był w większości niemal płaski. Początkowo Pittowi wydawało się, że jest zupełnie sam. Wkrótce jednak dostrzegł malutką słonkę, która przecinała niebo niczym strzałka lecąca do niewidocznej tarczy. Ptaszek podfrunął, zatoczył krąg na wysokości pięćdziesięciu metrów i popatrzył w dół na Pitta, jak gdyby przeprowadzając kontrolę intrygującego, dziwnego zwierzęcia o czerwonożółtym upierzeniu, tak żywo kontrastującym z zielenią dywanu nie mającego końca. Po trzech okrążeniach zainteresowanie się skończyło i słonka zatrzepotała skrzydłami w powietrzu, podejmując lot w nieznaną stronę.

Mogło się zdawać, że Pitt odgadł myśli ptaszka, popatrzył bowiem na swoje idiotyczne przebranie i niewyraźnie mruknął:

- Bywają takie sytuacje, że człowiek wyszykuje się i nie ma dokąd pójść, ale to tutaj, to już zupełny absurd.

Dźwięk własnego głosu uświadomił mu, że umysł powrócił do stanu użyteczności. Czuł ulgę z przewyciężenia trudów morderczej, zakończonej powodzeniem wspinaczki. Był szczęśliwy, że żyje i że wciąż istnieje nadzieja na znalezienie pomocy, zanim ludzie z wąwozu umrą wskutek działania niskich temperatur. Przepelniony radością ruszył w stronę odległych wzgórz.

Pitt przeszedł nie więcej niż dziesięć metrów, gdy nagle poczuł się tak, jakby trafił go piorun. Zgubił się. Słońce stało wysoko nad linią horyzontu. Nie było gwiazd, które mogłyby go prowadzić. Północ, południe, wschód i zachód były jedynie pustymi słowami, nie mającymi żadnego związku z kryjącym się za nimi znaczeniem. Kiedy tylko wejdzie w mgłę z naprzeciwka pełznąca po ziemi, nie będzie widział ani linii widnokregu, ani innego punktu orientacyjnego w terenie. Zgubił się i szedł z przekonaniem, że zmierza donikąd.

Po raz pierwszy podczas tego zimnego, wilgotnego poranku nie czuł strachu. Wiedział, że strach może zaciemnić obraz sytuacji i utrudnić myślenie, lecz nie o to chodziło. Zżerała go wściekłość, że tak łatwo popadł w podstępne samozadowolenie i z pożałowania godną lekkomyślnością wyruszył po śmierć. Komputery Hermit Limited - jego wróg numer jeden - precyzyjnie przeanalizowały każdą sytuację, wszystko przewidziały. W zbrodniczej grze, jaką prowadzili Kelly, Rondheim i ich bezwzględni

partnerzy, stawki były bardzo wysokie. Pitt przysiągł sobie, że nie da się wypchnąć na jezdnię przy czerwonym świetle i nie zapłaci mandatu, na który go nie stać. Zatrzymał się, usiadł i zaczął robić rachunek strat i zysków.

Nie trzeba było dysponować umysłem o genialnych zdolnościach dedukcji, żeby stwierdzić, iż Pitt siedział gdzieś pośrodku nie zamieszkanego rejonu Islandii. Próbował sobie przypomnieć wszystko a było tego bardzo niewiele - czego nauczył się w szkole o rajach na północnym Atlantyku, oraz odtworzyć kilka szczegółów, które mu wpadły do głowy, kiedy studiował mapy lotnicze na pokładzie Catawaby. O ile dobrze pamiętał, północny brzeg wyspy od południowego dzieliła odległość prawie trzystu kilometrów, a wschodni od zachodniego - niemal pięciuset. Dystans północ-południe był krótszy, więc kierunek wschód-zachód został wyeliminowany. Gdyby ruszył na południe, z całą pewnością dotarłby do masy lodowej Vatnajökull, czyli do największego lodowca nie tylko w Islandii, lecz w Europie; ogromna, zamrożona ściana położyłaby kres wszystkiemu.

Idę na północ, postanowił. Decyzja wydawała się niezupełnie logiczna, lecz głównym powodem jej podjęcia było nieodparte pragnienie przechytrzenia komputerów przez wybór najmniej spodziewanego kierunku wędrówki, kierunku, który niemal do zera sprowadzał szanse na sukces. Normalny człowiek w podobnych okolicznościach prawdopodobnie wyruszyłby w stronę Reykjavíku, największego skupiska ludzkiego, leżącego daleko na południowym zachodzie. Miał nadzieję, że komputery wybrały właśnie ten wariant, najbardziej oczywisty dla przeciętnego człowieka.

Znalazł rozwiązanie, lecz za ledwie połowy problemu. Gdzie bowiem była północ? Nawet gdyby to wiedział, to i tak nie był w stanie iść prosto w obranym kierunku. Niepokoiła go myśl - potwierdzony fakt - że będąc człowiekiem praworęcznym miał naturalną tendencję do zbaczania w prawo i nie dysponując żadnymi terenowymi punktami odniesienia z pewnością zejdzie z trasy, zatoczywszy wielki łuk.

Ze stanu zadumy wyrwał go pomruk silników odrzutowych. Spojrzał w górę, osłaniając dłońią oczy przed blaskiem kobaltowoniebieskiego nieba, na którym zauważył samolot pasażerski zostawiający za sobą proste, białe smugi kondensacyjne. Pitt mógł jedynie zgadywać kurs wielkiej maszyny. Mogła lecieć dokądkolwiek - na zachód do Reykjavíku, na wschód do Norwegii lub na południowy wschód do Londynu. Bez kompasu nie można było tego stwierdzić.

Kompas - słowo, na którym skupił całą uwagę i które było równie kuszące jak myśl o butelce lodowato zimnego piwa, kołacząca się w głowie człowieka umierającego z pragnienia w sercu pustyni Mojave. Kompas - kawałek namagnesowanego żelaza

podpieranego przez prosty bolec i pływającego na powierzchni wody zmieszanej z gliceryną. Nagle w najodleglejszych zakamarkach jego mózgu zapaliło się światło. Dawno zapomniane sprawności, zdobyte przed wieloma laty podczas czterodniowej włości po Sierra Madre z drużyną skautów, zaczęły z wolna wyłaniać się we mgle zapomnienia.

Stracił dziesięć minut, zanim znalazł małą sadzawkę ukrytą w zagłębieniu u podnóża półkolistego wzniesienia. Szybko i na tyle sprawnie, na ile pozwalały porozbijane, krwawiące palce Pitt rozpiął brązową szarfę, po czym z trzymającej ją na właściwym miejscu zapinki wyłamał stalową szpilkę. Przywiązawszy do kolana koniec długiej materii, uklęknął i naciągnął ją lewą ręką. W prawej trzymał szpilkę, którą pocierał o jedwab posuwistym ruchem od główki do czubka, magnesując w ten sposób metalowy pręcik.

Zimno stawało się coraz większe, przenikało przez mokrą od potu odzież i wywoływało fale dreszczy przechodzących przez całe ciało. Szpilka wysliznęła mu się z palców. Tracił cenne minuty na bezproduktywne głaskanie zielonych porostów, aż wreszcie sreberko przypadkowo wbiło mu się pół centymetra w palec. Niemal błogosławił ból, który oznaczał, że zachował czucie w dłoniach. Znów zaczął pocierać szpilką o jedwab, uważając, by mu się ponownie nie wymknęła.

Kiedy z zadowoleniem uznał, że lepiej namagnesować się jej nie da, przesunął szpilkę po czole i nosie, starając się jak najdokładniej natłuszczać łożem skórnym. Następnie z podszewki czerwonego kubraka wyciągnął dwie cienkie nitki i każdą z nich dwukrotnie okręcił luźno końce szpilki. Do wykonania została mu jednak najtrudniejsza część zadania. Odprężył się więc na chwilę, szybko poruszając palcami i masując je niczym pianista przygotowujący się do konfrontacji z „Walcem minutowym” Chopina.

Po tym przygotowaniu delikatnie uchwycił końce nici i ruchem tak powolnym, że sprawiającym ból, opuścił szpilkę na powierzchnię cichego stawiku. Obserwował, jak tafla ugięła się pod ciężarem metalu. Potem nadzwyczaj ostrożnie odciągnął nitki, aby drucik mógł swobodnie pływać podtrzymywany przez napięcie powierzchniowe wody.

Jedynie dziecko, patrzące na prezenty pod choinką szeroko otwartymi oczkami, mogło doznać podobnego, zachwycającego uczucia, jakie ogarnęło Pitta, gdy siedział i gapił się jak zaczarowany na szpilkę leniwie zataczającą półkole i zatrzymującą się, by główką wskazać magnetyczną północ. Przez bite trzy minuty tkwił bez ruchu, wpatrując się w naprędce zrobiony kompas niemal z obawą, że jeśli mrugnie, to szpilka utonie i zniknie.

- Ciekawe, czy przewidziały to te wasze cholerne komputery mruknały w przestrzeń.

Ktoś w gorącej wodzie kąpany natychmiast by pobiegł w kierunku wskazanym przez szpilkę, ulegając złudzeniu, że busola zawsze wskazuje prawdziwą północ. Pitt jednak

wiedział, iż jedynym miejscem, w którym igła kompasu bezbłędnie wychyla się w stronę bieguna północnego, jest niewielki rejon między Stanami Zjednoczonymi i Kanadą na obszarze Wielkich Jezior. Tylko tam przypadkowo nakładały się na siebie proste biegnące do bieguna północnego, tak geograficznego, jak i magnetycznego. Pitt był doświadczonym nawigatorem, więc wiedział również, że północny biegun magnetyczny leżał pomiędzy Wyspą Księcia Walii i Zatoką Hudsona, dokładnie tysiąc sześćset kilometrów poniżej bieguna geograficznego i kilkaset kilometrów powyżej Islandii. Oznaczało to, iż w stosunku do rzeczywistej północy szpilka była wychylona o kilka stopni na zachód. Według swojej busoli oszacował deklinację na około osiemdziesiąt stopni; była to, rzecz jasna, zgadywanka, lecz przynajmniej miał teraz pewność, że północ znajdowała się pod niewielkim kątem na prawo od główki szpilki.

Pitt wyznaczył sobie kierunek marszrutę, wyjął z wody prymitywny instrument i ruszył w drogę przez mgłę. Nie uszedł nawet stu metrów, gdy znowu poczuł smak krwi z rozciętych także od wewnątrz warg, chwiejące się w dziąsłach zęby oraz to, co przyniosło mu tyle cierpienia - wywołany kopniakiem w krocze ból, który nie pozwalał mu iść inaczej niż na miękkich nogach. Zmusił się do marszu, kurczowo trzymając się myśli, motywujących zmaganie z własną słabością i czasem. Teren był nierówny i Pitt bardzo prędko przestał pamiętać, ile razy potykał się i upadał, obejmując ramionami klatkę piersiową w złudnej nadziei osłabienia tortur, jakimi raziły go pęknięte żebra.

Los mu sprzyjał; po półtorej godziny mgła ustąpiła i przez cały czas przechodził obok gorących źródeł, z których wód korzystał przy ustalaniu kierunku wędrówki za pomocą drucianego kompasu. Teraz mógł także obierać na północy punkty orientacyjne i mijać je jeden po drugim dopóty, dopóki nie nabrał pewności, że zbłądził. Wtedy stawał, brał szpilką namiar i znów ruszał w drogę.

Dwie godziny zmieniły się w trzy. Potem minęła i czwarta. Upływające minuty były nieskończenie długimi, zamkniętymi rozdziałami, z których każdy stanowił osobne stadium udręki i cierpienia, paraliżującego zimna, palącego bólu oraz walki o zachowanie kontroli nad umysłem. Czas stracił swój wymiar, stał się nicością, z której nigdy się nie wyrwie, jeśli upadnie na wilgotną, miękką murawę i nie zdoła się podnieść. Pomimo całej determinacji miał wątpliwości, czy przeżyje następne kilka godzin.

Krok po kroku, niczym maszyna wprawiona w powolny, cykliczny ruch, Pitt zbliżał się do granicy ludzkiej wytrzymałości. Potrafił myśleć już tylko o punkcie orientacyjnym przed sobą, a gdy go mijał, przeznaczając każdą odrobinę energii na przejście następnego. Logika przestała dla niego istnieć. Kierował się wyłącznie podświadomością, alarmującą go

od czasu do czasu, że zboczył z trasy. Przystawał wtedy przy parującym zbiorniku z wodą siarkową i za pomocą kompasu ustalał prawidłowy kierunek swej drogi przez mękę.

Przed dwunastoma godzinami, które wydawały mu się odległe o dwanaście lat, miał doskonałą koordynację ruchów i w pełni sprawne ciało, gotowe precyzyjnie wykonać każdy rozkaz płynący z mózgu, ale teraz ręce zdrząły i zawiodły go; magiczna szpilka, uporawszy się z napięciem powierzchniowym wody, zaczęła tonąć w kryształowo czystym, głębokim jezioru. Pitt miał czas, by ją schwycić, gdy była w zasięgu ręki, lecz zanim zdołał zrozumieć, co się stało, stracił cenne sekundy, wpatrując się jak zahipnotyzowany w idący na dno jego kompas. Potem było już za późno, o wiele za późno, by jeszcze mieć nadzieję na wydostanie się z bezludnej, islandzkiej równiny.

Opuchlizna sprawiała, że miał niemal zamknięte oczy, z wyczerpania chwytają go kurcze nóg, głębokimi haustami wdychał powietrze, zakłócając panującą ciszę bolesnym sapaniem, mimo to jednak przewyciężył cierpienie, wstał i powłókł się przed siebie powodowany wewnętrznym imperatywem, jakiego nie spodziewał się już w sobie znaleźć. Przez następne dwie godziny błąkał się ogarnięty nicością. I wtedy nagle, pokonawszy połowę dwumetrowego wzniesienia, wyczerpał się akumulator zasilający system sprawujący kontrolę nad jego ciałem. Pitt niczym balon, z którego uszło powietrze, upadł na ziemię zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od szczytu.

Zdawał sobie sprawę, że przekroczył granicę fizycznych możliwości człowieka i znalazł się na skraju świata mroku i wiecznej ciszy. Jego ciało było nieżywe; Pitt nie czuł bólu, na nic nie reagował i zdawało się, że umarły w nim wszystkie emocje. Wciąż jednak widział, mimo że rozciągająca się przed oczami panorama była ograniczona do kilkunastu centymetrów ziemi porośniętej trawą. Ciągle jeszcze słyszał, choć otepiały mózg nie potrafił uporać się z odbieranym przez uszy głuchym łomotem i nie mógł rozpoznać źródła dudniącego dźwięku oraz ustalić odległości, z jakiej dochodził.

Nagle zapadła cisza. Odgłos zamarły Pittowi został już tylko widok zielonych ździebeł trawy poruszanej oddechem łagodnego wiatru. Coś jednak zakłócało porządek odludzia, które tak niedawno z mozołem pokonywał. Nadludzki wysiłek został zmarnowany, odpowiedzialność wobec ludzi zamarzających teraz w wąwozie wyparowała do atmosfery. Pitt znalazł się na krawędzi istnienia, czując i wiedząc, że nie wskrzesi woli życia i cicho umrze w zimnych promieniach polarnego słońca. Można by łatwo urzeczywistnić tę myśl, wpadając do jakiejś czarnej dziury, z której nie ma wyjścia, jednakże dysharmonia, iluzja zakłócająca obraz otoczenia, zburzyła całą koncepcję śmierci.

Przed zamkniętymi oczami Pitta, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą rosła tylko

dzika trawa, stały buty, dwa znoszone, skórzane buciory. A kiedy para niewidzialnych rąk odwróciła go na plecy, na tle pustego nieba ujrzał twarz, twarz o ostrych rysach i z niebieskimi jak morze oczyma. Siwe włosy obramowywały szerokie czoło niczym hełm głowę wojownika z flamandzkiego malowidła. Z wyglądu ponad siedemdziesięcioletni starzec, ubrany w gruby, nie pierwszej młodości sweter z golfem, schyliwszy się, dotknął twarzy Pitta.

Następnie bez słowa, z zadziwiającą u człowieka w jego wieku siłą; wziął Pitta na rękę i poniół na szczyt wzniesienia. Rozsnuta w umyśle majora pajęczyna myśli zatrzymała czarowną zadumę nad ewidentnym zbiegiem okoliczności, a w istocie cudem, który sprawił, że doszło do tego czarodziejskiego odkrycia. Nie dalej niż w odległości kilku kroków od skraju wyżyny była droga; Pitt upadł nie opodal wąskiego, polnego gościńca biegnącego równoległe do wypływającej z lodowca rzeki, której pokryte białą pianą wody kłębiły się, szybko pokonując załamania wąskiego koryta wyżłobionego w czarnej skale wulkanicznej. Odgłosu, jaki niedawno słyszał, nie wydawał jednak wzburzony potok, lecz układ wydechowy rozklekotanego, pokrytego kurzem jeepa angielskiej produkcji.

Stary Islandczyk posadził Pitta na przednim siedzeniu samochodu niczym dziecko układające lalkę w wózku. Następnie wdrapał się za kierownicę i poprowadził wiekowy pojazd krętą drogą, często zatrzymując auto, aby otworzyć bramę w ogrodzeniu na granicy pastwisk. Bardzo prędko owa operacja stała się rutynowa, jako że wjechali w rejon łagodnych wzgórz przedzielonych pokrytymi soczystą zielenią łąkami, z których podrywały się stada siewek w ucieczce przed głośno zbliżającym się jeepem i krążyły po niebie niczym chmury. W końcu auto stanęło przed małym, gospodarskim domem z białymi ścianami i czerwonym dachem. Pitt odsunął od siebie pomocne dłonie i powłókł się do przytulnego saloniku.

- Telefon, szybko. Muszę zadzwonić. Niebieskie oczy zwięzły się.

- Pan jest Anglikiem? - wolno zapytał Islandczyk, mówiąc po angielsku z wyraźnym nordyckim akcentem.

- Amerykaninem - odparł zniecierpliwiony Pitt. - Jeśli szybko nie sprowadzimy pomocy, umrze dwudziestu czterech poważnie rannych ludzi.

- Na równinie są jeszcze inni? - Starzec nie ukrywał zaskoczenia. - Tak, tak! - Pitt gwałtownie kiwał głową. - Na Boga, człowieku, daj mi telefon. Gdzie pan ma aparat?

Islandczyk bezradnie wzruszył ramionami.

- Najbliższy telefon jest sześćdziesiąt kilometrów stąd.

Fala rozpaczy, jaka spłynęła na Pitta, została bardzo prędko zahamowana



następnymi słowami nieznanego.

- Ale mam nadajnik radiowy - wskazał ręką na pokój obok. Proszę, tędy.

Pitt poszedł za nim do jasnego, po spartańsku urządzonego pokoiku, którego całe wyposażenie składało się z trzech podstawowych mebli: krzesła, komody i antycznego, rzeźbionego stołu ręcznej roboty oraz stojącego na nim, błyszczącego nadajnika najnowszej generacji. Nawet w marzeniach Pitt nie był w stanie wyobrazić sobie, że na zapomnianej przez Boga i ludzi farmie korzysta się z najbardziej aktualnych osiągnięć techniki. Islandczyk podszedł śpiesznie do aparatu, usiadł i zaczął kręcić licznymi gałkami oraz włączać kolejne przełączniki. Ustawił jeden z nich w pozycji „nadawanie”, dostroił częstotliwość i podniósł mikrofon.

Wypowiedział szybko kilka słów po islandzku i czekał. Głośnik jednak milczał. Starzec zmienił częstotliwość emisji i znów zagadał.

Tym razem odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Wyścig ze śmiercią sprawił, że Pitt miał napięte nerwy niczym cumy podczas huraganu, i gdy jego wybawca rozmawiał z władzami w Reykjavíku, major, zapominając o bólu i trudach przebytej drogi, kręcił się niecierpliwie po maleńkim pokoju. Po dziesięciominutowych wyjaśnieniach i tłumaczeniu z języka na język, prośba Pitta o połączenie z ambasadą amerykańską została spełniona.

- Gdzie ty się podziewasz, do jasnej cholery? - głos Sandeckera wybuchł w głośniku z taką mocą, jakby admirał stanął właśnie we drzwiach.

- Czekam na tramwaj i spaceruję po parku - warknął Pitt. To w tej chwili nie ma znaczenia. Jak prędko może się znaleźć w powietrzu medyczna ekipa ratunkowa z pełnym wyposażeniem?

Zanim admirał odpowiedział, przez moment panowała pełna napięcia cisza. Wiedział, że pytanie Pitta zawiera żądanie, wypowiedział je bowiem takim tonem, jaki Sandecker słyszał u niego wyjątkowo rzadko.

- Za trzydzieści minut mogę mieć gotową do startu grupę sanitariuszy wojskowych - rzekł powoli. - Czy możesz mi powiedzieć, z jakiego powodu prosisz o ekipę medyczną?

Pitt nie odpowiedział od razu. Miał trudności z uporządkowaniem myśli. Ruchem głowy podziękował Islandczykowi za odstąpienie krzesła.

- W każdej minucie, którą marnujemy na wyjaśnienia, ktoś może umrzeć. Na litość boską, admirał - błagał Pitt - niech pan się skontaktuje z lotnictwem. Niech załadują do śmigłowców ich sanitariuszy wyposażonych w środki do niesienia pomocy ofiarom katastrofy lotniczej. A potem, jeśli będzie czas, wszystko szczegółowo panu wyjaśnię. „

- Zrozumiałem - rzekł Sandecker, nie marnując czasu na ani jedno zbędne słowo. -

Nie rozłączaj się. Czekaj.

Pitt skinął głową, tym razem sobie, i strapiiony zawisł na krześle. To już nie potrwa długo - pomyślał - żeby tylko zdążyli na czas. Poczul rękę na ramieniu, odwrócił się nieco i uśmiechnął do Islandczyka o ciepłych oczach.

- Jestem bardzo niegrzecznym gościem - rzekł cicho. - Nie przedstawiłem się ani nie podziękowałem za uratowanie życia. Starzec wyciągnął długą, szorstką rękę.

- Golfur Andursson - powiedział. - Jestem szefem przewodników wypraw wędkarskich nad rzekę Rarfur.

Pitt uściskał dłoń Andurssona, przedstawił się, a następnie zapytał:

- Szefem przewodników?

- Przewodnik wędkarski jest też strażnikiem wodnym. Pomagamy wędkarzom oraz zajmujemy się sprawami ekologii rzeki, podobnie jak konserwatorzy środowiska zajmujący się ochroną wód lądowych w pana kraju.

- To praca dla samotnika... - Przerwał w pół zdania, porażony bólem w piersiach, przez który omal nie zemdleł. Zacisnąwszy kurczowo ręce na krawędzi stołu, walczył o zachowanie przytomności.

- Proszę ze mną - rzekł Andursson. - Niech mi pan pozwoli zająć się jego obrażeniami.

- Nie - stanowczo odparł Pitt. - Muszę zostać przy nadajniku. Nie ruszę się z tego krzesła.

Andursson wahał się przez chwilę, po czym kiwnął głową, nie mówiąc ani słowa. Wyszedł z pokoju, by wrócić po mniej niż dwóch minutach, przynosząc dużą apteczkę i butelkę.

- Ma pan szczęście - powiedział z uśmiechem. - Miesiąc temu pański rodak wędkował tutaj i zostawił mi to - z dumą podniósł dłoń z półlitrową flaszką kanadyjskiej whisky Seagrams VO. Pitt zauważył, że nakrętka była nie naruszona.

Kiedy sędziwy strażnik wodny skończył bandażować mu klatkę piersiową, a Pitt czwarty raz pociągał z butelki, zatrzeszczał głośnik i do pokoju radiowego ponownie wdarł się szorstki głos Sandeckera. - Majorze Pitt, słyszy mnie pan?

Pitt podniósł mikrofon i przestawił przełącznik na nadawanie. - Tu Pitt, słucham.

- Sanitariusze w Keflaviku są gotowi, w pogotowiu czekają również cywilne islandzkie jednostki ratownicze. Będę siedział przy nadajniku i koordynowałem ich działania... - Umilkł na chwilę. - Tu jest kupa zmartwionych ludzi. Keflavik nie dostał żadnego zgłoszenia zaginięcia samolotu tak wojskowego, jak cywilnego.

Rondheim nie podejmował najmniejszego ryzyka - pomyślał Pitt. - Skurwiel działał według własnego rozkładu jazdy; powiadomi o zaginięciu gości, kiedy uzna za stosowne. Pitt wziął głęboki wdech i pociągnął jeszcze jeden łyk whisky.

- Zgłoszenie nie było planowane na dzisiaj.

W głosie Sandeckera było słycać całkowite zaskoczenie. - Nie rozumiem. Powtórz, proszę.

- Niech pan mi zaufa, admirale. Przez radio - powtarzam zwłaszcza przez radio nie odpowiem panu nawet na jedną dziesiątą pytań, jakie w tej sytuacji każdemu muszą się nasuwać.

Tak czy inaczej - pomyślał Pitt - nazwiska ludzi znanych na świecie, uwięzionych w wąwozie jeszcze przez co najmniej trzydzieści sześć godzin, nie powinny dostać się do środków masowego przekazu. Zostało więc sporo czasu, aby powstrzymać Kelly'ego, Rondheima oraz Hermit Limited, zanim zorientują się, co się święci, i pozacierają wszystkie ślady. Musiał zaufać admirałowi. Sandecker niemal natychmiast zrozumiał aluzję Pitta dotyczącą konieczności zachowania tajemnicy.

- Potwierdzam twoją sugestię. Czy możesz podać mi pozycję? Posłuż się koordynatami z twojej kontrmapy.

- Przykro mi, ale nic nie wiem...

- Co jest, do cholery?! - wrzasnął Sandecker, doprowadzając głośnik do wyładowań elektrostatycznych. - Rób, co ci każe!

Pitt siedział i tępo wpatrywał się w nadajnik. Dopiero po trzydziestu sekundach jego zmęczony umysł zaczął odbierać zawoalowany przekaz Sandeckera. Admirał stwarzał mu szansę odpowiedzi na pytania bez przekazywania ważnych informacji postronnym odbiorcom; musiał posługiwać się antonimami. W myślach zbeształ się za to, że pozwolił, aby Sandecker okazał się lepszy w grze słów.

Pitt pstryknął wyłącznikiem mikrofonu i zwrócił się do Andurssona. - Jak daleko jest do najbliższego miasta i gdzie ono leży?

Andursson wskazał ręką na nieokreślony punkt za oknem.

- Sodafoss... znajdujemy się dokładnie pięćdziesiąt kilometrów na południe od miejskiego rynku.

Do odległości podanej przez Islandczyka Pitt szybko dodał dystans, jaki pokonał idąc przez równinę, po czym włączył mikrofon.

- Maszyna spadła około osiemdziesięciu kilometrów na północ od Sodafoss. Powtarzam: osiemdziesiąt kilometrów na północ od Sodafoss.

- Cywilna czy wojskowa? - Wojskowa.

- Ile osób uratowało się?

- Dokładnie nie wiem. Dwie, może cztery.

Pitt miał nadzieję, że admirał odgadnie, iż właściwą liczbą jest dwadzieścia cztery. Stary, szczywany oceanograf nie zawiódł go.

- Wierzę, że jutro o tej porze będziemy ich tu mieli całych i zdrowych. - Wzmianka Sandeckera, dotycząca dwudziestu czterech godzin rozwiewała wszelkie wątpliwości. Admirał umilkł na chwilę. Kiedy znów się odezwał, dolatujący z głośnika głos był cichy, stłumiony i pełen troski. - Czy panna Royal jest z tobą?

- Tak.

Sandecker nie odpowiedział natychmiast. Pitt wiedział, że admirał zbladł i głęboko nabrał powietrza. Po chwili w pokoju znów rozległo się pytanie.

- Czy ona... sprawia ci dużo kłopotów?

Pitt zastanawiał się przez moment, starając się dobrać odpowiednie słowa.

- Wie pan, jakie są kobiety, admirał, zawsze na coś narzekają. Najpierw skarżyła się na wymagowany ból w kostkach, teraz znowu marudzi, że jest jej strasznie zimno i pewnie zamarźnie na śmierć. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli zechce mnie pan od niej uwolnić.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby spełnić twoją prośbę - szorstki ton powrócił. - Nie rozłączaj się.

Pitt cicho mamrotał do siebie. To wszystko trwało zbyt długo, cenna była każda minuta, każda mijająca sekunda powodowała niepowetowaną stratę. Spojrzał na zegarek. Była punkt pierwsza - od chwili gdy wypelzł z wąwozu, upłynęło siedem godzin. Nagle poczuł chłód, pociągnął więc z butelki.

W głośniku nadajnika znów rozległ się suchy trzask. - Majorze Pitt.

- Proszę mówić, admirał.

- Mamy tu pewien problem. Wszystkie helikoptery na wyspie są na ziemi. Sanitariuszy trzeba będzie zrzucić z samolotu transportowego.

- Nie rozumie pan? Użycie helikopterów jest konieczne! Rozbitków trzeba podjąć i odtransportować drogą powietrzną. I najważniejsze, admirał, ja muszę kierować akcją ratunkową. Powtarzam: ja muszę kierować akcją ratunkową. Z powietrza miejsce katastrofy jest niewidoczne. Pańska ekipa mogłaby sobie latać całymi dniami, a i tak nigdy by go nie znalazła.

Pitt czuł, jak po drugiej stronie zachmurzyło się. Upłynęło sporo czasu, zanim

Sandecker zdecydował się na odpowiedź. Wreszcie przemówił, znużony i przegrany, czując się tak, jakby wydawał ostatni w życiu rozkaz, rozkaz, który na dodatek mógł oznaczać wyrok śmierci.

- Nie wyrażam zgody na twoją prośbę. Na wyspie jest siedem helikopterów. Trzy należą do wojska, cztery do Islandzkiego Pogotowia Ratunkowego. Wszystkie stoją na ziemi ze względu na jakieś problemy techniczne. - Sandecker umilkł, by za moment podjąć wątek. - Ta możliwość jest raczej mało prawdopodobna - mówił powoli - ale nasi ludzie oraz przedstawiciele tutejszych władz czują w tym sabotaż.

- O, Boże! - mruknął Pitt i nagle poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Wszystko przewidziały. Te dwa słowa prześladowały go. Komputery Kelly'ego coraz bardziej oddalały nadzieję ocalenia.

A doskonale zorganizowana banda morderców z Rondheimem na czele wykonywała rozkazy bezdusznych maszyn co do joty.

- Czy masz tam dosyć płaskiego terenu, aby mogła wylądować awionetka i zabrać cię? - Sandecker próbował szukać wyjścia z sytuacji. - Jeśli tak, to mógłbyś kierować akcją z powietrza.

- Mały samolot byłby w stanie wylądować - odrzekł Pitt. Jest tu równa łąka długości boiska piłkarskiego.

Pitt nie spostrzegł, iż za oknem pomarańczowy dysk słońca stojącego na północnym firmamencie zasłoniły wielkie, czarne chmury szybko piętrzące się na niebie i osłabiające światło dnia. Zerwał się zimny wiatr, przyginając do ziemi trawę łąk w dolinach i na wzgórzach. Major wreszcie zauważył, że w pokoiku zrobiło się ciemniej i w tej samej chwili poczuł na ramieniu dłoń Andurssona.

- Od północy nadciąga burza - powiedział Islandczyk z powagą. - Za godzinę zacznie padać śnieg.

Pitt odsunął krzesło, by śpiesznym krokiem podejść do małego, dwuskrzydłowego okna. Z niedowierzaniem popatrzył przez szybę i zdesperowany uderzył pięścią w ścianę.

- Na Boga, nie! - wyszeptał. - Skok na spadochronie podczas uniemożliwiającej widzenie burzy śnieżnej to samobójstwo. Sanitariuszom nie wolno skakać.

- Przy takiej turbulencji powietrza nie wolno też latać awionetką - dodał Andursson. - Przeżyłem wiele północnych burz i wiem, jak bardzo są groźne. Ta też będzie niebezpieczna.

Major pijanym krokiem wrócił do nadajnika i opadł na krzesło. Dłońmi zasłonił poranioną, wymizerowaną twarz.

- Boże, ocal ich - szepnął. - Uratuj ich wszystkich. Teraz. Czy już nie ma dla nich ratunku?

W głośniku zabrzmiał głos Sandeckera.

- Twoja pozycja, majorze. Możesz mi podać dokładne dane? Andursson nachylił się nad ramieniem Pitta i odebrał mu mikrofon. - Chwileczkę, panie admirale - powiedział stanowczym tonem. - Proszę poczekać minutkę.

Uchwycił prawą dłoń Pitta, mocno ściskając.

- Majorze Pitt, nie wolno tracić panu kontroli nad umysłem. Spojrzał oczyma pełnymi współczucia. -. Węzeł śmierci, choćby zaciśnięty dłońmi olbrzyma, może rozsypać ten, kto zna jego najsłabszy splot.

Pitt powoli podniósł głowę, szukając wzroku Andurssona. - Widzę, że mam do czynienia z jeszcze jednym poetą. Islandczyk nieśmiało potaknął ruchem głowy.

- Ten tydzień wypełnili mi sami poeci - westchnął Pitt. Następnie przywołał się do porządku. Na niepotrzebną gadaninę i nikomu nieprzydatne współczucie stracił zbyt wiele czasu, którego z każdą chwilą robiło się coraz mniej. Potrzebny był mu plan, środek, pomysł na dotarcie do tych, którzy obdarzyli go zaufaniem. Komputery też nie są nieomyślne, powiedział sobie. Te zimne, elektroniczne monstra mogą zrobić błąd - błąd może być malutki, ale przecież taka możliwość istnieje. Ich układów nie wyposażono w emocje i sentymenty, na nostalgię nie ma w nich miejsca.

- Nostalgia - rzekł głośno Pitt, upajając się wypowiedzianym słowem i rozkoszując każdą sylabą. Niczym zaklęcie powtórzył je trzy razy.

Andursson spojrział na niego ze zdziwieniem. - Nic z tego nie rozumiem.

- Wkrótce pan zrozumie - odparł Pitt. - Nie będę czekał, aż znajdę najsłabszy splot w pana poetyckim węźle śmierci. Mam zamiar go przeciąć.

Starzec wyglądał na jeszcze bardziej skonsternowanego. - Przeciąć?

- Tak, śmigłem samolotu, a konkretnie trzema.

## ROZDZIAŁ 19

Jest na tym świecie wiele cudownych widoków, lecz ani start wysokiej na trzydzieści pięter rakiety, udającej się w przestrzeń pozaziemską, ani ostronosy concorde, mknący po niebie dwukrotnie szybciej niż dźwięk, nic w tej chwili nawet w połowie nie było dla Pitta tak niesamowicie piękne, jak stary, trzyśmigłowy ford - słynna Blaszana Gęś - walcząca z wichurą przy wtórce pracujących na najwyższych obrotach silników i wciąż ukryty za przeraźliwie gęstą zasłoną czarnych, groźnych chmur. Pitt, szczelnie zapięty, by móc sprostać coraz silniejszym atakom nawałnicy, obserwował z przejęciem, jak pełen wdzięku, mimo swej brzydoty, antyczny samolot zatoczył krąg nad farmą Andurssona, po czym z przymkniętymi przez pilota przepustnicami przemknął nad ogrodzeniem nie wyżej niż trzy metry i usiadł na łące, tocząc się do przodu na szeroko rozstawionych kołach, a potem zatrzymując się bliżej niż sześćdziesiąt metrów od miejsca przyziemienia.

Pitt zwrócił się do Andurssona.

- No cóż, do widzenia, Golfurze. Dziękuję za wszystko; co pan dla mnie zrobił... dla nas wszystkich.

Golfur Andursson uścisnął rękę Pitta.

- To ja ci dziękuję, majorze. Za zaszczyt i możliwość przyścia z pomocą moim rodakom. Niech Bóg cię prowadzi.

Pitt nie był w stanie biec, nie pozwalały mu na to pęknięte żebra, mimo to dzielący go od trzysilnikowca dystans pokonał w niespełna trzydzieści sekund. Gdy tylko znalazł się obok prawej burty samolotu, otworzyły się drzwi i pomocne ramiona wciągnęły go na górę do wąskiego, ciasnego wnętrza.

- Pan jest major Pitt?

Pitt spojrzał na mężczyznę o byczej posturze, ogorzalej twarzy i długich bakach koloru blond.

- Tak, to ja.

- I znów znajdujemy się w szalonych latach dwudziestych, majorze. Użycie tej przedpotopowej, latającej tarki do akcji ratunkowej to wariacki pomysł. Jestem kapitan Ben Hull. - Wyciągnął rękę.

Pitt ujął ogromne łapsko i powiedział:

- Lepiej startujemy, jeżeli mamy zdążyć przed śnieżycą.

- Zaraz się wynosimy - zadudnił wesoło Hull. - Nie ma co płacić parkingowego. - Jeżeli Hull był lekko zaszokowany porozbijaną twarzą Pitta lub jego dziwaczną garderobą, to zupełnie nie dał tego po sobie poznać. - Wypuszczamy się na tę wycieczkę bez drugiego

pilota. Jego miejsce jest zarezerwowane na pana nazwisko, majorze. Wykombinowałem sobie, że będzie pan wolał nas prowadzić do wraka z głównej łoży.

- Zanim rozłączyliśmy się, poprosiłem admirała Sandeckera o dwie rzeczy...

- Mam dla pana dobrą wiadomość, majorze. Ten stary wilk morski musi mieć niezłe układy. Pociągnął wszystkie sznurki naraz, żeby przed startem dostarczyć to na pokład. - Wyciągnął spod kurtki przesyłkę, pytająco podniósłszy brwi. - Niech mnie szlag, jeżeli wiem, do czego panu potrzebna w takiej chwili butelka rosyjskiej wódki i pudełko cygar.

- To dla dwóch przyjaciół - odrzekł Pitt z uśmiechem. Następnie ruszył do kabiny pilotów, omijając dziesięciu ludzi spoczywających w najróżniejszych, ale zawsze wygodnych pozycjach; ubrani w kombinezony do wypraw polarnych, leżeli na podłodze samolotu, byli potężnie zbudowani, spokojni i wyglądali na kompetentnych. Byli to mężczyźni, którzy mieli za sobą solidny trening podwodny, spadochronowy, na przetrwanie w najtrudniejszych warunkach oraz odbyli dokładne szkolenie medyczne i potrafili sobie poradzić niemal z każdym nagłym przypadkiem chorobowym, jeżeli nie wymagało to interwencji chirurgicznej. Pitt natychmiast poczuł się lepiej już od samego patrzenia na nich.

Schylając głowę w niskich drzwiach kabiny, wszedł do maleńkiego pomieszczenia i wyciągnął obolałe ciało w popękany, skórzany fotelu drugiego pilota. Zapiąwszy pasy raczej z przyzwyczajenia, niż troski o własne bezpieczeństwo, odwrócił głowę i na stanowisku obok zauważył roześmianą twarz sierżanta Sama Cashmana.

- Siemanko, panie majorze. - Oczy Cashmana zrobiły się okrągłe niczym księżyc w pełni. - Jezu Chryste, kto panu tak zdefasonował twarz?

- Opowiem ci kiedyś przy kieliszku. - Pitt rzucił okiem na tablicę rozdzielczą, szybko zaznajamiając się z rozmieszczeniem wskaźników. - Jestem trochę zaskoczony...

- Że zamiast prawdziwego pilota za sterami siedzi sierżant? dokończył Cashman. - Nic pan na to nie poradzi, majorze. Na całej wyspie tylko ja latałem tym starym gratem. To jest ekstrasamolocik. Do startu i lądowania wystarczy mu banknot dolarowy i jeszcze panu wyda resztę.

- Dobra, sierżancie. Pan tu rządzi. Niech pan ustawi maszynę pod wiatr i startuje. Niech pan leci na zachód wzdłuż rzeki. Potem skrećmy na południe. Powiem panu kiedy.

Cashman tylko skinął głową. Zręcznie zapędził Blaszaną Gęś na przeciwległy kraniec łąki i odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni dziobem pod wiatr. Następnie przesuwając do przodu dźwignię gazu starego pasażera, ruszył tym niezgrabnym, podskakującym na nierównościach terenu samolotem w kierunku płotu oddalonego o niecałe sto metrów.



Gdy z ogonem wciąż przyklejonym do ziemi w żółwym tempie mijali front domku Golfura Andurssona, Pitt zdał sobie sprawę z tego, o czym myślał Charles Lindbergh, startując w 1927 roku z błotnistej pasa lotniska Roosevelta na Spirit of St. Louis wypełnionym po brzegi paliwem. Pittowi wydawało się niemożliwe, aby jakakolwiek maszyna latająca, z wyjątkiem śmigłowca lub lekkiej dwumiejscowej awionetki, mogła oderwać się od ziemi na tak niewielkiej przestrzeni. Rzucił okiem na Cashmana i zobaczył tylko niezwykle spokojną, obojętną twarz. Sierżant gwizdał sobie jakąś melodyjkę, której Pitt nie był w stanie rozpoznać, gdyż zagłuszał ją ryczący śpiew tria dwustukonnych silników.

Nie ma powodów do obaw - zawyrokował Pitt. Cashman z całą pewnością wyglądał na człowieka, który wie, jak obchodzić się z samolotem, a szczególnie z tyra. Pokonawszy dwie trzecie łąki, sierżant pchnął stery lekko do przodu, poderwał ogon, a następnie ustawił je w poprzedniej pozycji, unosząc samolot kilkadziesiąt centymetrów ponad murawę. Nagle, ku przerażeniu Pitta, Cashman twardo posadził trzysilnikowiec na ziemi o niecałe piętnaście metrów przed ogrodzeniem. Przerażenie ustąpiło miejsca osłupieniu, gdy sierżant raptownie przyciągnął kolumnę sterową do piersi i najzwyczajniej w świecie przeskoczył nad płotem, zmuszając Blaszaną Gęś do lotu.

- Gdzie, do diabła, nauczył się pan takich sztuczek? - zapytał Pitt, wydając głośne westchnienie ulgi. Przy okazji rozpoznał gwizdaną przez Cashmana melodię, pochodzącą ze starego filmu „Ci wspaniali mężczyźni na swoich latających maszynach”.

- Kiedyś opylałem pola w Oklahomie - odparł sierżant.

- Jakim więc cudem wylądowałeś w lotnictwie jako mechanik? - Pewnego dnia grat, którym leciałem, okropnie się zakrzusił. Zaorał jednemu farmerowi pół pastwiska i parę lat przed czasem przerobił na befsztyki jego medalowego byczka. Cała wieś chciała mnie podać do sądu. Byłem kompletnie splukany, więc wziąłem nogi za pas i zaciągnąłem się do wojska.

Pitt nie mógł powstrzymać się od śmiechu, słuchając opowieści i spoglądając przez szybę na rzekę, płynącą sześćdziesiąt metrów niżej. Z tej wysokości bez trudu dostrzegł wzniesienie, na którym znalazł go Andursson. Zauważył również coś, czego dojrzeć się nie spodziewał. Była to prawie niezauważalna, długa, prosta linia biegnąca po ziemi na południe. Przesunął szybą małego, bocznego okna i spojrzał jeszcze raz. Tak, to było to; ciemnozielony ślad odcinający się od jaśniejszej o ton barwy tundry. Stopy, zagłębiające się w miękkiej roślinności, zostawiły wyraźny trop, którego można się było trzymać niczym białego pasa rozdzielającego jezdnię.

Pitt pochwycił spojrzenie Cashmana i ruchem głowy wskazał na ziemię.

- Skręcamy na południe. Niech pan leci nad tym ciemnym śladem. Cashman, zmieniając pułap, pochylił do przodu samolot i chwilę patrzył przez boczne okno. Następnie w geście potwierdzenia uniósł do góry kciuk i zwrócił dziób Gęsi na południe. Po piętnastu minutach lotu nie mógł wyjść z podziwu dla Pitta i jego bezbłędnego zmysłu orientacji w terenie. Nie licząc kilku przypadkowych odchyień, linia wytyczona przez człowieka na nierównej powierzchni ziemi była tak prosta, jakby została narysowana ręką kreślarza. Piętnaście minut tylko potrzebował latający antyk na przebycie drogi, której pokonanie zabrało Pittowi kilka godzin.

- Widzę! - wykrzyknął Pitt. - Tam, to zagłębienie terenu, gdzie kończy się mój ślad.

- Gdzie pan chce, żebym usiadł, majorze?

- Równoległe do krawędzi wąwozu. Tam, kierunek wschód-zachód, jest płaszczyzna o długości około stu pięćdziesięciu metrów. Niebo z każdą chwilą stawało się coraz bardziej szare, ciemniejąc za zasłoną padającego już w pobliżu śniegu. Gdy Cashman podchodził do lądowania, pierwsze płatki spadły na szybę, błyskawicznie ześlizgując się na ich krawędzie, by pod wpływem pędu powietrza znów ulecieć w przestrzeń. Pitt wygrał wyścig z czasem, choć mniej niż o rzut na taśmę.

Cashman bezpiecznie posadził samolot na ziemi; zważywszy na wyboisty teren i nie sprzyjający wiatr, lądowanie było bardzo miękkie. Tak wyliczył dobieg, że trzysilnikowiec zatrzymał się zaledwie dziesięć metrów od krawędzi rozpadliny.

Koła nie zdążyły się zatrzymać, gdy Pitt wyskoczył z samolotu i już schodził - to potykając się, to zjeżdżając - na dno wąwozu. Z tyłu ludzie Hulla zaczęli metodycznie wyładowywać ekwipunek na wilgotną ziemię i przygotowywać go do użycia. Dwaj sanitariusze zrzucili liny w dół zbocza, by przysposobić się do podnoszenia rozbitków. Pitta zupełnie to nie interesowało. Pragnął tylko jednego: być pierwszy w tym lodowatym piekle.

Ruszył do wciąż leżącego na plecach Lilliego, którego głowę troskliwie podtrzymywała skulona w kłębek Tidi. Dziewczyna mówiła coś do Lilliego, lecz Pitt nie słyszał słów, jedynie słaby głos, a właściwie chrapliwy szept; robiła wszystko, by się uśmiechać, lecz jej ledwo wygięte usta wykrzywiały tylko bolesny grymas. Ani w jej głosie, ani w spojrzeniu nie było śladu wesołości. Pitt podszedł do niej z tyłu i delikatnie pogłaskał po przesiąkniętych wilgocią włosach.

- Zdaje się, że zostaliście dość bliskimi przyjaciółmi.

Tidi odwróciła głowę i w osłupieniu przyglądała się stojącemu nad nią Pittowi.

- Mój Boże, wróciłeś. - Podniosła rękę i dotknęła jego dłoni. Wydawało mi się, że

słyszę samolot. Dobry Boże, jak cudownie, że wróciłeś.

- Wróciłem - rzekł Pitt z bladym uśmiechem, po czym ruchem głowy pokazał na Lilliego. - Co z nim?

- Nie wiem - odparła smutno. - Po prostu nie wiem. Jakies pół godziny temu stracił przytomność.

Pitt uklęknął i zaczął wsłuchiwać się w oddech Lilliego. Jerome P. oddychał słabo, lecz regularnie.

- Da sobie radę. Ten facet ma więcej ikry niż jesiotr. Natomiast . wielką niewiadomą jest to, czy będzie mógł chodzić.

Tidi wtuliła twarz w dłoń Pitta i zaczęła szlochać, jej ciałem wstrząsały konwulsje wywołane bólem, szokiem i nagłym, oczyszczającym przyływem ulgi. Pitt, nie mówiąc ani słowa, przytulił ją mocno. Kiedy pojawił się kapitan Hull, major wciąż obejmował Tidi, głaszcząc ją po głowie jak małą dziewczynkę.

- Najpierw weźcie dziewczynę - powiedział Pitt. - Ma złamane nogi w kostkach.

- Moi ludzie rozbili na górze namiot, służący jako ambulatorium polowe. W środku już grzeje się piec. Będzie tam miała wygodnie do czasu, kiedy odtransportuje się ją do Reykjaviku z ekipą Islandzkiego Pogotowia Ratunkowego. - Hull ze znużeniem potarł oczy. - Ich karetki terenowe już są w drodze. Powiadomiliśmy przez radio.

- Nie możecie jej zabrać samolotem?

Hull przecząco pokręcił głową.

- Przykro mi, majorze. Ten stary grat może zabrać tylko osiem par noszy. Najpierw będziemy musieli zabrać najciężej poszkodowanych. W tym jedynym wypadku kobiety nie będą miały pierwszeństwa. - Ruchem głowy wskazał Lilliego. - A co z tym?

- Ma złamane ręce i miednicę.

Podeszło dwóch ludzi Hulla, niosąc aluminiowe nosze koszyczkowe. - Na początek weźcie jego - rozkazał. - Tylko delikatnie. Jest ciężko ranny.

Sanitariusze ostrożnie ułożyli nieruchome ciało w metalowym łożu, do którego przymocowali liny wyciągowe. Pitt nie mógł ani pomóc, ani powstrzymać się od podziwu dla sprawności i tempa, w jakim jechały do góry nosze z Lilliem. Zaledwie po trzech minutach Hull był z powrotem, tym razem po Tidi.

- Dobra, majorze. Teraz zabiorę tę małą panienkę.

- Tylko niech się pan z nią obchodzi jak z jajkiem, kapitanie. Tak się składa, że to jest osobista sekretarka admirała Sandeckera. Hull nic nie było w stanie zaskoczyć. Zdziwienie w jego spojrzeniu nie trwało dłużej niż mgnienie oka.

- Proszę, proszę - zadudnił. - W takim razie osobiście odeskortuję tę damę na górę.

Hull delikatnie podniósł Tidi wielkimi łapskami i ostrożnie zaniósł ją do oczekującego kosza. Następnie, dotrzymując słowa, towarzyszył noszom przez całą drogę na powierzchnię, a następnie dopilnował, aby została wygodnie ułożona wewnątrz ciepłego namiotu, dopiero potem wrócił na dół.

Pitt wyjął spod pachy niewielką paczkę i trzymając ją w dłoni, ruszył powoli przez pofałdowane dno wąwozu do rosyjskiego dyplomaty, by wkrótce zatrzymać się nad nim.

- Jak się pan miewa, panie Tamarecow?

- Rosjaninowi zimno niestraszne, majorze Pitt. - Zgarnął dłonią garść śniegu z piersi. - Bez śnieżnej zimy Moskwa nie byłaby Moskwą. Śnieg znaczy dla mnie tyle samo, co dla Araba piasek pustyni; jest przekleństwem, jakie nosi w sobie każdy człowiek.

- Bardzo pana boli?

- Prawdziwy bolszewik nigdy nie przyznaje się do bólu. - Szkoda - rzekł Pitt.

- Szkoda? - powtórzył Tamarecow. Obdarzył Pitta podejrzliwym spojrzeniem.

- Tak, bo już chciałem zaproponować panu coś, co doskonale redukuje nieprzyjemne skutki kataru siennego, bólu głowy i brzucha. - Znowu amerykański humor, majorze?

Pitt pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

- Amerykański sarkazm - odparł. - Główna przyczyna niezrozumienia nas przez reprezentantów innych narodów. Każdy przeciętny Amerykanin ma na dole pleców rowek sarkazmu, w którym często przechowuje wyniki nieodpartej logiki. - Usiadł obok Tamarecowa i pokazał butelkę wódki. - Oto przykład. Ma pan przed oczyma owoc mojej wizyty w najbliższym sklepie z alkoholem.

Tamarecow gapił się niczym milicjant na akwarium.

- Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. - Pitt uniósł głowę Rosjanina i przytknął butelkę do poranionych ust dyplomaty. Proszę, niech pan sobie gołnie.

Zanim Pitt zdążył zabrać flaszkę, Tamarecow bez zmrużenia oka opróżnił ją w jednej czwartej. Kiwnął głową i wymamrotał podziękowania. Nagle w jego oczach pojawiło się pełne ciepła zdumienie.

- Krajowa, prawdziwa rosyjska wódka. Jak panu udało się ją tutaj zdobyć? - zapytał.

Pitt wsunął butelkę pod pachę Tamarecowa.

- Akurat była na wyprzedazy - odparł. Następnie wstał i odwrócił się, by odejść.

- Majorze Pitt. - Tak?

- Dziękuję panu - powiedział zwyczajnie Tamarecow.

Leżał pod białą kołdrą śniegu, patrząc nieruchomymi oczyma na ciemne chmury.

Tak go zastał Pitt. Na jego spokojnej, jasnej twarzy nie było śladów cierpienia, tak jakby należała do szczęśliwego człowieka, który wreszcie odnalazł wewnętrzny spokój. Pochylił się nad nim dokonujący oględzin sanitariusz.

- Serce? - cicho zapytał Pitt niemal z obawą, że mógłby obudzić śpiącego człowieka.

- Biorąc pod uwagę jego wiek, jest to najbezpieczniejsza diagnoza, panie majorze. - Sanitariusz odwrócił się i dał znak Hullowi, stojącemu nie dalej niż o kilka kroków.

- Kapitanie, teraz będziemy go wynosić?

- Zostaw go - odparł Hull. - Naszym obowiązkiem jest ratowanie tych, którzy ocaleli. Ten człowiek nie żyje. Dopóki możemy uchronić innych przed jego losem, dopóty będziemy zajmowali się wyłącznie nimi.

- Ma pan rację, rzecz jasna - rzekł Pitt ze smutkiem w głosie. Pan tu gra pierwsze skrzypce, kapitanie.

- Zna pan tego człowieka, majorze? - zapytał Hull nieco łagodniejszym tonem.

- Żałuję, że nie znałem go lepiej. Nazywał się Sam Kelly. Nazwisko naturalnie nic nie powiedziało Hullowi.

- Dlaczego nie daje się pan wyciągnąć na górę, majorze? Pan sam jest raczej w opłakanym stanie.

- Nie, zostanę tutaj z Samem. - Pitt wyciągnął rękę, delikatnie zamknął Kelly'emu powieki i ostrożnie odgarnął płatki śniegu ze starej, pomarszczonej twarzy. Następnie wyjął z pudełka cygaro, na którym rozpoznał opaskę ulubionej przez Sandeckera marki, i wsunął je Kelly'emu do górnej kieszeni marynarki.

Hull stał bez ruchu niemal minutę, jak gdyby szukając właściwych słów. Spróbował coś powiedzieć, lecz po głębszym zastanowieniu zrezygnował i tylko kiwnął głową na znak zrozumienia. Następnie odwrócił się i włączył w wir pracy.

## ROZDZIAŁ 20

Sandecker zamknął teczkę, odłożył ją i nachylił się do przodu tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- Jeżeli prosi mnie pan o zgodę, to moja odpowiedź brzmi: kategorycznie nie!

- Stawia mnie pan w okropnej sytuacji, admirale. - Słowa te wypowiedział mężczyzna, który siedział przed Sandeckerem. Był niski i wystarczająco pękaty, żeby swoją osobą wypełnić niemal całe krzesło. Miał na sobie znoszony, nie rzucający się w oczy, czarny garnitur i białą koszulę ozdobioną czarnym, jedwabnym krawatem. Mimowolnym ruchem i o wiele za często przesuwał dłonią po łysej głowie, jak gdyby szukając włosów, które kiedyś niewątpliwie tam rosły, i patrzył szarymi oczyma, znieruchomiałymi pod wpływem piorunującego spojrzenia Sandeckera. - Miałem szczerą nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Mimo że nie możemy go osiągnąć, muszę pana powiadomić, iż moja wizyta tutaj jest wyłącznie przejawem kurtuazji. Mam już bowiem rozkaz oddelegowania majora Pitta do innych zadań.

- Kto go wydał? - zapytał Sandecker.

- Jest podpisany przez sekretarza obrony - powiedział rzeczowo rozmówca admirała.

- Proszę łaskawie pokazać mi ten rozkaz - zażądał dyrektor NUMA. To był jego ostatni ruch na szachownicy i dobrze o tym wiedział.

- Ależ oczywiście. - Oponent Sandeckera westchnął. Sięgnął do nesesera, wyciągnął plik papierów i podał je admirałowi.

Ten w milczeniu przeczytał rozkazy. Jego usta skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Nie mam wyboru, co? - Nie ma pan.

Sandecker jeszcze raz spojrzął na trzymane w dłoniach dokumenty i pokiwał głową.

- Żądacie zbyt wiele... zbyt wiele.

- Nie przepadam za tego rodzaju rzeczami, ale nie możemy pozwolić sobie na stratę czasu. Cały ten plan, bardzo naiwny plan, jaki urodził się w Hermit Limited, jest absolutnie nierealny. Przyznam, że na pozór to wszystko brzmi zachęcająco. Uratować świat, zbudować raj. Kto wie, może i F. James Kelly ma receptę na lepszą przyszłość. Ale w tej chwili ten człowiek stoi na czele bandy maniaków, którzy zamordowali prawie trzydziestu ludzi. A dokładnie za dziesięć godzin ma zamiar zabić dwóch przywódców państwowych. Naszym nadrzędnym celem jest powstrzymanie go. Major Pitt to jedyna osoba, która fizycznie jest w stanie rozpoznać najemnych morderców od Kelly'ego.

Sandecker rzucił papiery na biurko.

- Fizycznie jest w stanie. Te cholerne słowa są kompletnie wyprane z uczuć. -

Wyskoczył z fotela i zaczął przemierzać pokój. Prosi mnie pan, abym człowiekowi, który jest dla mnie jak syn, człowiekowi, który został pobity niemal na śmierć, kazał wyjść ze szpitala i tropić jakichś bandziorów dziesięć tysięcy kilometrów stąd? - Sandecker pokręcił głową. - Pan chyba nie ma zielonego pojęcia, czego żąda od istoty zwanej człowiekiem. Są pewne granice ludzkiej odwagi i poświęcenia. Dirk i tak zrobił znacznie więcej, niż można było oczekiwać.

- To prawda, że nie wolno nadużywać czyjegoś poświęcenia. I przyznaję, że major zrobił więcej, niż można by sobie wyobrazić. Bóg jeden wie, czy wśród moich ludzi znalazłby się choć jeden człowiek, który by zdołał w taki sposób zorganizować akcję ratunkową.

- Zdaje się, że spieramy się zupełnie niepotrzebnie - stwierdził Sandecker. - Stan zdrowia Pitta może mu nie pozwolić na opuszczenie szpitala.

- Bardzo mi przykro, lecz pana obawy... a może powinienem powiedzieć nadzieje? ...są bezpodstawne. - Łysy mężczyzna zajrzał do brązowej teczki. - Mam tu kilka uwag moich ludzi, którzy, dodam na marginesie, pilnują majora. - Przerwał, by coś przeczytać, po czym podjął wątek. - Świetna kondycja, silny jak byk, doskonałe stosunki z... hm... pielęgniarkami. Czternaście godzin przeznaczono na odpoczynek, zabiegi, włącznie z uderzeniową dawką witamin podanych w zastrzykach, oraz na terapię regenerującą mięśnie, prowadzoną przez najlepszych islandzkich specjalistów. Pitt został pozszywany, wymasowany i oklejony plastrami. Szczęściem w nieszczęściu okazało się to, że złamania żeber - najpoważniejsze z jego obrażeń - nie były zbyt groźne. W sumie major ma kupę usterek, ale ja nie jestem specjalnie drobiazgowy. Wyciągnąłbym go nawet z trumny.

Sandecker miał zimną, nieporuszoną twarz. Odwrócił się, gdy jedna z sekretarek ambasady wystawiła głowę zza drzwi.

- Panie admirale, major Pitt jest tutaj.

Oczy Sandeckera miały błyskawice na otyłego mężczyznę. Konsternacja zaostrzyła ton głosu admirała.

- Ty sukinsynu, od początku wiedziałeś, że on to zrobi. Grubas wzruszył ramionami i nie powiedział ani słowa. Sandecker znieruchomiał. Z urazą spojrział grubemu w oczy. - Dobrze, poproś go.

Pitt wszedł, zamykając za sobą drzwi. Sztywnym krokiem przeszedł przez pokój, podszedł do pustej kanapy i bardzo wolno wyciągnął się na miękkich poduszkach. Całą twarz spowijały bandaże, jedynie wąskie szpary na oczy i nos oraz wystające na górze czarne włosy świadczyły o tym, że pod zwojami białej gazy istnieje jakieś życie. Sandecker

próbował dotrzeć wzrokiem do wnętrza opakowania. Zdawało się, że ciemnozielone, widoczne spod bandaży oczy mają martwe powieki. Sandecker usiadł za biurkiem i założył ręce za głowę.

- Czy lekarze w szpitalu wiedzą, że jesteś tutaj? Pitt uśmiechnął się.

- Podejrzewam, że za pół godziny zaczną się zastanawiać nad moją nieobecnością.

- Rozumiem, że poznałeś już tego pana - Sandecker skinął głową na grubego.

- Rozmawialiśmy przez telefon - odrzekł Pitt. - Nie przedstawialiśmy się oficjalnie... przynajmniej nie z właściwego imienia i nazwiska.

Grubas szybko okrążył biurko i podał Pittowi rękę. - Kippmann, Dean Kippmann.

Pitt uchwycił dłoń. Pozory mylą. Ręka Kippmanna nie była ani miękka, ani słaba.

- Dean Kippmann - powtórzył major. - Szef Narodowej Agencji Wywiadowczej. Nie mato jak grać z najlepszymi zawodnikami. - Bardzo sobie cenimy pańską pomoc - rzekł ciepło Kippmann. - Czy czuje się pan na siłach wziąć udział w małej podniebnej przejażdżce?

- Po Islandii trochę południowoamerykańskiego słońca mi nie zaszkodzi.

- Na sto procent spodoba się ono panu. - Kippmann znów przejechał dłonią po łyścinie. - Zwłaszcza na niebie południowej Kalifornii.

- Południowa Kalifornia? - O czwartej po południu. - O czwartej po południu? - W Disneylandzie.

- W Disneylandzie?

- Doskonale zdaję sobie sprawę - powiedział Sandecker tonem pełnym cierpliwej wyrozumiałości - że miałeś na myśli inny cel podróży. Ale z powodzeniem możemy się obyć bez papugi.

- Z całym szacunkiem, panie dyrektorze, ale tu nic się nie zgadza. - Jeszcze godzinę temu myśleliśmy dokładnie tak samo - odparł Kippmann.

- Właściwie o co panu chodzi? - zapytał Pitt.

- O to. - Kippmann wyjął kolejny plik papierów z nesesera, który wbrew pozorom miał dno. Przez chwilę przeglądał je. Dopóki nie przesłuchamy pana oraz pozostałych uczestników katastrofy, którym pozwoli na to stan zdrowia, dopóty będziemy dysponowali w najlepszym wypadku zarysem tego, co kryje się za Hermit Limited. Wiedzieliśmy, że istnieje, i udało się nam wytropić niewielką część ich operacji finansowych, lecz cele głównego przedsięwzięcia oraz stojący za nim ludzie i pieniądze wciąż stanowią tajemnicę...

Pitt grzecznie wpadł mu w słowo.



- Mielicie przecież trop. Podejrzewaliście doktora Hunnewella. - Cieszę się, że wcześniej pan się w to nie wmieszał, majorze. Tak, NAW miała na oku Hunnewella. Nie dysponowaliśmy żadnymi konkretnymi dowodami, rzecz jasna. Dlatego postawiliśmy go na przynętę... z nadzieją, że doprowadzi nas do ludzi, którzy stali na szczycie tej organizacji.

- Boże, więc to wszystko było ukartowane! - Trudno jest wydać w tym samym momencie okrzyk goryczy i westchnienie bólu, lecz Pittowi się to udało. - To całe przedstawienie na górze lodowej było ukartowane.

- Tak, Hunnewell zwrócił naszą uwagę wtedy, gdy świadomie zaczął przekazywać Fyrie Limited dane potrzebne do skonstruowania sondy podwodnej, jednocześnie nie robiąc nic, aby pomóc na tym polu własnemu krajowi.

- A więc uwięzienie w lodzie Laxa było chytrze spreparowaną pułapką - stwierdził Pitt. - To była wasza karta atutowa. Hunnewell został zmuszony do przyjęcia roli eksperta w efekcie prośby admirała, która w tej sytuacji wydawała się ewidentnym zbiegiem okoliczności. Hunnewell prawdopodobnie nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Natychmiast wyraził zgodę, bynajmniej nie dlatego, żeby dowiedzieć się, co się stało z jego starym znajomym Kristjanem Fyrie - bo akurat tego się domyślał - albo zbadać niezwykle zjawisko, jakim był statek pochłonięty przez lód, lecz raczej, aby zorientować się, co się stało z jego bezcenną sondą.

- Jeszcze raz tak, majorze. - Kippmann chciał podać Pittowi kilka błyszczących fotografii. - To są zdjęcia zrobione z okrętu podwodnego, pilnującego Laxa od prawie trzech tygodni. Pokazują osobliwe cechy załogi.

Pitt, nie zwracając uwagi na dyrektora, posłał Sandeckerowi długie, poważne spojrzenie.

- W końcu prawda wyszła na jaw. Lax został odnaleziony przez jednostki poszukiwawcze, które śledziły go dopóty, dopóki nie spłonął.

Sandecker wzruszył ramionami.

- Pan Kippmann zechciał powiadomić mnie o tym interesującym fakcie dopiero wczoraj wieczorem. - Sępia twarz z zaciśniętymi w lekkim uśmiechu wargami nie wyrażała przyjaznych uczuć do szefa NAW.

- Niech pan nas krytykuje do woli - rzekł poważnie Kippmann - ale sprawą najwyższej wagi było trzymanie was na uboczu tak długo, jak długo się dało. Gdyby Kelly, Rondheim, a przede wszystkim Hunnewell wyczuli, że jesteście w jakikolwiek sposób związani z nami, cała operacja wzięłaby w łeb. - Spojrzał na Pitta . i zniżył głos. - Pan,

majorze, podczas inspekcji Laxa miał występować wyłącznie jako pilot i eskorta Hunnewella, a następnie odstawić go do Reykjavíku, gdzie ponownie podjęlibyśmy inwigilację naukowca.

- Stało się jednak niezupełnie po waszej myśli, prawda?

- Nie doceniliśmy drugiej strony - odparł Kippmann ze słodyczą w głosie.

Pitt zaciągnął się papierosem i obojętnie obserwował dym unoszący się ku sufitowi.

- Nie wyjaśnił pan, w jaki sposób doszło do uwięzienia Laxa w górze lodowej. Nie powiedział pan także, co się stało z piracką załogą, ani słowem nie wspomniał pan również o tym, jakim cudem Fyrie, jego załoga i naukowcy mogli zniknąć na ponad rok, by nagle pojawić się na statku pod postacią zwęglonych zwłok.

- Na oba pytania jest bardzo prosta odpowiedź - rzekł Kippmann. - Załoga Fyriego nigdy nie zeszła ze statku.

Sandecker zdjął ręce zza głowy i opierając je na biurku, pochylił się przed siebie. Jego oczy były zimne jak lód.

- Matajic meldował o załodze złożonej z Arabów, a nie z jasnowłosych Skandynawów.

- To prawda - zgodził się Kippmann. - Byłbym wam zobowiązany, panowie, gdybyście zechcieli spojrzeć na te fotografie. Zrozumiecie, co miałem na myśli w związku z załogą.

Podał zdjęcia Sandeckerowi, a dodatkowe odbitki Pittowi. Następnie usiadł i zapalił papierosa, umieściwszy go przedtem w długiej cygarnicze. Kippmann był zupełnie odprężony. Pitt zaczął podejrzewać, że dyrektor zaraz ziewnie, jeżeli wcześniej nie dostanie kopa w jądra.

- Proszę zwrócić uwagę na zdjęcie numer jeden - powiedział Kippmann. - Zostało zrobione przez peryskop za pomocą bardzo silnego teleobiektywu. Widać na nim dokładnie, jak dziesięciu członków załogi w różnych miejscach statku wypełnia swoje obowiązki. Ani jeden z nich nie jest ciemnoskóry.

- Przypadek - bronił swego Sandecker. - Arabowie, których widział Matajic, mogli być pod pokładem.

- Istniałaby taka możliwość, admirale, gdybyśmy poprzestali na tym jednym zdjęciu. Jednakże pozostałe fotografie zostały zrobione o różnych porach w różne dni. Porównując je ze sobą, doliczyliśmy się dokładnie czternastu mężczyzn, z których żaden nie był pochodzenia arabskiego. Jest rzeczą całkowicie pewną, panowie, że gdyby na statku znajdował się choć jeden Arab, to w ciągu trzech tygodni musiałby pojawić się na

pokładzie. - Kippmann przerwał, aby oczyścić cygarniczkę, opukując ją o popielniczkę. - Ponadto ustaliliśmy, że twarze ze zdjęć należą do ludzi, którzy płynęli na Laksie tuż przed jego zaginięciem.

- Kogo więc widział Matajic? - dociękał Sandecker. - To był wybitny naukowiec, prowadzący szczegółowe obserwacje. Był pewien tego, co spostrzegł.

- Matajic widział ludzi, którzy zostali ucharakteryzowani na różne narodowości - odrzekł Kippmann. - Do czasu, kiedy ich zobaczył, cała załoga osiągnęła mistrzostwo w sztuce kamuflażu. Proszę nie zapominać, że zawijali do wielu portów. Nie mogli ryzykować dekonspiracji. To tylko przypuszczenie, ma się rozumieć pewności już nigdy mieć nie będziemy - ale nie ma większego niebezpieczeństwa w stwierdzeniu, że załoga zauważyła obserwującego statek O'Rileya i zanim Matajic zjawiał się na pokładzie, zdążyła zmienić swój wygląd na fałszywy.

- Rozumiem - powiedział Pitt uprzejmym tonem. - A co potem?

- Może pan zgadnąć, jeśli jeszcze tego pan nie wie. - Przez moment Kippmann bawił się cygarniczką, po czym wrócił do przerwanego opowiadania. - Dość łatwo jest sobie wyobrazić, że w jakiś sposób doszło do eksplozji celu-279, która zmieniła Laxa w pływające krematorium. Nasz okręt podwodny mógł jedynie bezradnie przyglądać się temu; wszystko stało się tak szybko, że nikt nie zdołał ocaleć. Na szczęście marynarka obsadziła tę łódź bystrym dowódcą. Nadciągał sztorm i kapitan doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że rozgrzane do czerwoności blachy kadłuba Laxa ostygną i kurcząc się, pękną na spawach, po czym wewnątrz zaleje powódź i pozostanie już tylko kwestią czasu, kiedy statek pójdzie na dno. Ów finał radykalnie mógł przyspieszyć widoczny na horyzoncie sztorm o sile ośmiu stopni.

- Wtedy kapitan zamienił okręt podwodny wartości dwudziestu milionów dolarów w holownik i wepchnął rozpalonego Laxa w pierwszą napotkaną górę lodową. - Pitt siedział, spoglądając w pogodną twarz Kippmanna.

- Pana teoria jest całkiem słuszna - rzekł Kippmann wysokim głosem.

- To nie jest moja teoria. - Pitt uśmiechnął się. - To teoria doktora Hunnewella. On wystąpił z propozycją wetknięcia gorącego pogrzebacza w lód.

- Rozumiem - powiedział Kippmann, niczego nie rozumiejąc. - Następne pytanie dotyczy bezpośrednio mnie. - Pitt zawahał się. Zgasił papierosa. - Dlaczego przegoniliście Hunnewella i mnie przez prawie cały północny Atlantyk, abyśmy odszukali górę lodową, z której wcześniej celowo usunęliście wszystkie znaki rozpoznawcze? Dlaczego wciągnęliście Hunnewella w poszukiwania Laxa, po czym z premedytacją ukryliście statek?

Kippmann beznamiętnie przyglądał się Pittowi.

-Przez pana, majorze, moi ludzie, wydłubując z lodu czerwoną farbę rozlaną z samolotu Straży Wybrzeża, o mało nie odmrozili sobie tyłków tylko dlatego, że pojawił się pan dwa dni przed terminem.

- Kiedy zjawiliśmy się z Hunnewellem, jeszcze nie skończyliście przeczesywać Laxa. O to chodzi?

- Dokładnie - odparł Kippmann. - Nikt się nie spodziewał, że będzie pan leciał podczas najcięższego sztormu, jaki w tym sezonie tamtędy przeszedł.

- Czyli pana ludzie byli tam... - Pitt urwał, przez dłuższą chwilę patrzył na Kippmanna, a następnie podjął temat. - Kiedy Hunnewell i ja przeszukiwaliśmy Laxa, pana agenci przez cały czas ukrywali się na górze lodowej.

Kippmann wzruszył ramionami.

- Nie dał pan nam szansy na ściągnięcie ich stamtąd. Pitt aż uniósł się na poduszkach.

- Chce pan przez to powiedzieć, że po prostu stali z założonymi rękami, podczas gdy Hunnewell i ja omal nie runęliśmy do tego pieprzonego oceanu. Nie podali liny, nie okazali żadnej pomocy, nawet nie dodali otuchy dobrym słowem, nic nie zrobili?

- W naszym zawodzie musimy być bezwzględni. - Na twarzy Kippmanna zakwitł zmęczony uśmiech. - Nie przepadamy za tym, ale to jest konieczność. Takie są po prostu reguły gry.

- Gry? - zapytał Pitt. - W wymyślanie intryg? W szczucie ludzi na siebie? Czy to ma być uczciwe zajęcie?

- Raczej błędne koło, przyjacielu - odrzekł Kippmann z goryczą w głosie. - Nie my wprowadziliśmy je w ruch. Ameryka zawsze była po właściwej stronie. Ale nie można odgrywać roli rycerza bez skazy, gdy przeciwnik walczy wyłącznie nieczystymi metodami.

- Zgadza się. Jesteśmy krajem palantów, którzy nigdy nie przestali wierzyć, że dobro zawsze triumfuje nad złem. Ale dokąd nas to zaprowadziło? Czyżby właśnie do Disneylandu?

- O Disneylandzie porozmawiamy w odpowiednim momencie rzekł Kippmann opanowanym tonem. - No, dobrze. Z tego, co dowiedzieliśmy się w szpitalu od pana i innych, wynika, że Hermit Limited ma rozpocząć operację dokładnie za dziewięć godzin i czterdzieści pięć minut. Ich pierwszym posunięciem będzie zamordowanie głowy państwa środkowoamerykańskiego, które zamierzają opanować. Dobrze mówię?

- Tak facet mówił - Pitt potwierdził skinieniem głowy. - Zaczną od Boliwii.

- Nie powinien pan wierzyć we wszystko, co pan słyszy, majorze. Kelly posłużył się Boliwią wyłącznie jako przykładem. On i jego grupa nie są wystarczająco silni, żeby zabrać się za kraj tej wielkości. Kelly jest biznesmenem i nie weźmie się za coś, jeśli nie jest w dziewięćdziesięciu procentach pewny, że nie przyniesie mu to zysku.

- Jego celem może więc być którekolwiek z półtuzina państw powiedział Sandecker.

- Skąd pan wie, do diabła, które to będzie?

- My też mamy komputery - stwierdził Kippmann z satysfakcją. - Analiza danych ograniczyła wybór do czterech. A Major Pitt zmniejszył go nawet do dwóch.

- Nic z tego nie rozumiem - rzekł Pitt. - W jaki sposób mogłem...

- Dzięki modelom wydobytym spod wody - wpadł mu w słowo Kippmann. - Jeden z nich jest dokładną kopią parlamentu Dominikany. Drugi natomiast siedziby rządu Gujany Francuskiej.

- W najlepszym wypadku szanse prawidłowego wyboru mają się jak jeden do jednego.

- Niezupełnie - odparł Kippmann. - Według autorytatywnej opinii NAW Kelly i jego grupka spróbują strzelić z dwururki.

- Oba kraje naraz? - Sandecker z zaintrygowaniem przyglądał się Kippmannowi. - Pan chyba tego nie mówi poważnie?

- Mówię zupełnie serio, a jeżeli zechce mi pan wybaczyć to określenie, powiem nawet, że śmiertelnie poważnie.

- Jaki pożytek przyniesie Kelly'emu rozłożenie sił?

- Wbrew pozorom jednoczesne uderzenie na Republikę Dominikańską i Gujanę Francuską nie jest wcale głupim pomysłem. Kippmann wyjął z kartonowej teczki mapę i rozłożył ją na biurku Sandeckera. - Na północnym wybrzeżu Ameryki Południowej ma pan Wenezuelę oraz Gujanę Brytyjską, Holenderską \* i Francuską. Jeszcze bardziej na północ, o zaledwie dzień drogi łodzią albo parę godzin samolotem, leży wyspa, na której są Haiti i Dominikam. Ze strategicznego punktu widzenia jest to doskonała sytuacja.

- Niby dlaczego?

- Przypuśćmy - rzekł Kippmann z troską w głosie - tylko przypuśćmy, iż dyktator, który sprawuje władzę na Kubie, rządziłby również Florydą.

Sandecker ze skupioną twarzą wpatrywał się w Kippmanna.

- Na Boga, toż to jest wspaniała sytuacja. Byłoby tylko kwestią czasu, kiedy operujące na tej samej wyspie Hermit Limited zadusi gospodarkę Haiti i przejmie kontrolę nad sąsiadem.

- Tak jest, wykorzystując wyspę jako bazę, pomału mogliby się rozpanoszyć w głównych krajach Ameryki Łacińskiej i pochłaniać jeden po drugim.

- Historia uczy - Pitt mówił beznamiętnym tonem - że Fidel Castro próbował infiltrować państwa kontynentalne i za każdym razem jego wysiłki brały w łeb.

- Tak jest - powtórzył Kippmann. - Ale Kelly i Hermit Limited dysponują czymś, czego brakowało Fidelowi - poparciem. Kelly będzie miał za sobą Gujanę Francuską. - Zrobił przerwę na chwilę refleksji. - Poparcie tak silne i trwałe niczym to, jakie mieli alianci podczas inwazji na Normandię w 1944 roku.

Pitt wolno kiwał głową.

- A ja myślałem, że Kelly jest szaleńcem. Temu skurwielowi mogłoby się udać. Jego niesamowity plan mógłby się udać. Kippmann przytaknął.

- Biorąc pod uwagę wszystkie fakty, możemy przyjąć, że w tej chwili analitycy postawiliby na Kelly'ego i Hermit Limited.

- Może powinniśmy pozwolić im to zrobić - powiedział Sandecker. - Może Kelly'emu było pisane zbudować idealne państwo. - Nie, to nie jest mu pisane - rzekł bez pośpiechu Kippmann. Nigdy do tego nie dojdzie.

- Jest pan bardzo pewny siebie - zauważył Pitt. Kippmann spojrzał na niego i nieznacznie się uśmiechnął.

- Nie mówiłem panu? Jeden z ptaszków, którzy usiłowali pana zabić w gabinecie doktora, zdecydował się na współpracę. Wszystko nam wyśpiewał.

- Wydaje się, że nie powiedział nam pan o wielu rzeczach stwierdził z przekąsem Sandecker.

Kippmann podjął przerwany wątek.

- Znamienite przedsięwzięcie Kelly'ego jest skazane na porażkę; wiem o tym z najlepszego źródła. - Zawiesił głos, uśmiechając się szeroko. - Natychmiast po przejęciu przez Hermit Limited kontroli nad Dominikaną i Gujaną Francuską w radzie dyrektorów zaczęłaby się ostra walka o władzę. Przelotny znajomy majora Pitta, pan Oscar Rondheim, zamierza pozbyć się Kelly'ego, Marksa, von Hummla oraz pozostałych i zająć miejsce przewodniczącego zarządu. Muszę z przykrością stwierdzić, że intencji, jakimi kieruje się pan Rondheim, nie moim uznać ani za wzniosłe, ani szlachetne.

Kiedy Pitt z podążającym za nim Sandeckerem i Kippmannem wszedł do pokoju szpitalnego, ujrzał Tidi siedzącą w wózku inwalidzkim przy łóżku Lilliego. Wyglądała uroczo.

- Lekarze powiedzieli mi, że będziecie żyli oboje - rzekł Pitt, uśmiechając się. -

Pomyślałem sobie... hm... że wpadnę się pożegnać.

- Wyjeżdżasz? - zapytała Tidi ze smutkiem w głosie.

- Niestety, tak. Ktoś musi rozpoznać cyngle Rondheima.

- Dirk... bądź ostrożny - zająknęła się. - Po tym wszystkim, co zrobiłeś, aby nas ocalić, nie chcemy cię teraz stracić.

Lillie sztywno podniósł głowę.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś w wąwozie? - spytał poważnym tonem. - Jezu, nie miałem najmniejszego pojęcia, że twoje żebra są wkopane do pleców.

- To nie miało znaczenia. I tak tylko ja mogłem chodzić. Poza tym nie mogłem zawieść tak wiernej publiczności.

Lillie roześmiał się.

- Najwierniejszej.

- Jak tam twoje dupsko?

- Wolę nie myśleć, jak długo będę zakuty w ten ohydny pancerz, ale kiedy mi go zdejmą, przynajmniej będę mógł tańczyć.

Pitt spojrzał w dół na Tidi. Miała bladą twarz i oczy pełne łez. Pitt ją rozumiał.

- Kiedy nadejdzie ten wielki dzień - rzekł major, walcząc ze wzruszeniem - uczcimy go zacnym przyjęciem, nawet gdybym z tej okazji musiał raczyć się piwem twego starego.

- Muszę to zobaczyć.

Sandecker chrząknięciem przeczyścił gardło.

- Hm... Wierzę, że panna Royal jest równie dobrą pielęgniarką jak sekretarką.

Linie wziął Tidi za rękę.

- Codziennie łamałbym sobie jakąś kość, mając pewność, że dzięki temu spotkam kogoś takiego jak ona.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Chyba musimy już iść powiedział Kippmann. - Czeka na nas samolot wojskowy.

Pitt schylił się, pocałował Tidi, a następnie podał Lilliemu dłoń.. - Uważajcie na siebie. Liczę, że niedługo zaprosicie mnie na wesele. - Podniósł do góry kciuki i bezradnie wrzucił ramionami. Bóg jeden raczy wiedzieć, gdzie znajdę dziewczynę, która chciałaby kogoś z tak przemodelowaną twarzą.

Tidi roześmiała się. Uścisnął jej ramię, po czym odwrócił się i opuścił pokój.

Siedząc w samochodzie, który pędził do bazy lotniczej, Pitt nie widzącymi oczyma spoglądał przez okno, pozostając myślami w szpitalu.

- On już nigdy nie będzie chodził, prawda?

Kippmann ze smutkiem pokiwał głową.

- To jest bardzo wątpliwe... bardzo wątpliwe.

Po piętnastu minutach, w czasie których nie padło już ani jedno słowo, dotarli na wojskowe lotnisko w Keflaviku, gdzie oczekiwał już na końcu pasa startowego bombowiec dalekiego zasięgu B-92. Upłynęło jeszcze dziesięć minut i ponaddźwiękowy odrzutowiec oderwał się od ziemi, rycząc silnikami nad oceanem.

Admirał, samotnie stojący na skraju pasa, patrzył, jak samolot wzbija się na lazurowe niebo, śledząc wzrokiem maszynę, dopóki nie zniknęła na bezchmurnym horyzoncie. Następnie, z zatroskanym obliczem, udał się do samochodu.



## ROZDZIAŁ 21

Dzięki ośmiu godzinom, jakie zyskuje się lecąc ze wschodu na zachód oraz prędkości bombowca pokonującego w czasie sześćdziesięciu minut ponad dwa tysiące kilometrów, powitał majora ten sam poranek, który żegnał go w Islandii. Zaspany Pitt ziewnął, przeciągnął się w ciasnym wnętrzu mikroskopijnej kabiny i patrząc przez boczne okienko nawigatora, obserwował, jak malutki, podobny do strzałki cień samolotu przesuwają się po zielonych zboczach gór Sierra Madre.

I co teraz? Major uśmiechnął się smętnie, widząc odbicie swojej twarzy w pleksiglasowej szybie, wkrótce po tym jak bombowiec, minawszy pogórze, pożerał przestrzeń nad przykrytą kołdrą smogu doliną San Gabriel. Spoglądając w dół na Ocean Spokojny, który pojawił się w zasięgu wzroku, Pitt uwolnił się od myśli o przeszłości i całą uwagę skoncentrował na tym, co miało nastąpić. Nie wiedział, jak to zrobi, nie miał bowiem ani skrawka planu, ani cienia pomysłu, lecz był absolutnie przekonany, że niezależnie od rodzaju trudności zabije Oscara Rondheima.

W chwili, w której Pitt raptownie przestawił się na myślenie o teraźniejszości, samolot wypuścił podwozie i jednocześnie Dean Kippmann klepnął go w ramię.

- Jak tam drzemka? - Spałem jak zabity.

B-92 dotknął ziemi i gdy pilot zmienił ciąg na wsteczny, natychmiast zawyły silniki. Na zewnątrz kabiny był miły ciepły dzień, a słońce Kalifornii lśniło oślepiającym blaskiem odbitym od wojskowych odrzutowców, których długie rzędy stały wzdłuż pasów postojowych. Nad hangarem Pitt przeczytał wielki, składający się z trzymetrowych liter napis: Witamy w Bazie Lotniczej Marynarki Wojennej w EI Toro.

Gdy silniki bombowca pomału cichły, a na pasie pojawił się pędzący w jego kierunku samochód, Pitt, Kippmann oraz wojskowa załoga samolotu schodzili po wąskiej drabince na betonową płytę lotniska. Z niebieskiego forda kombi wyskoczyli dwaj mężczyźni i podeszli do Kippmanna. Obie strony wymieniły pozdrowienia i uściski dłoni. Po czym cała trójka udała się do samochodu. Pozostawiony samemu sobie Pitt, nie mając nic innego do roboty, podążył za nimi.

Dyrektor oraz jego dwaj znajomi skupili się za otwartymi drzwiami auta i rozmawiali przyciszonymi głosami, gdy tymczasem Pitt stał parę metrów dalej, paląc z przyjemnością papierosa. W końcu podszedł do niego Kippmann.

- Zdaje się, że zepsujemy zjazd rodzinny. - To znaczy?

- Wszyscy są tutaj. Kelly, Marks, Rondheim, cała kompania. - Tu w Kalifornii?

- Tak, śledziliśmy ich od momentu, kiedy wyjechali z Islandii. Numer seryjny

znaleziony przez pana na czarnym odrzutowcu był strzałem w dziesiątkę. Hermit Limited zamówił sześć takich maszyn, które wyszły z fabryki z kolejną numeracją. Pozostałe pięć samolotów mamy teraz pod ścisłą obserwacją.

- To robi wrażenie. Błyskawicznie odwaliliście kawał roboty. Na twarzy Kippmanna pojawił się przelotny uśmiech.

- To znowu nie było takie trudne. Mogło być, gdyby samoloty znajdowały się w różnych miejscach świata, lecz nie w zaistniałej sytuacji, kiedy to stoją równiutko obok siebie piętnaście kilometrów stąd na lotnisku Orange County.

- Zatem kwatery Kelly'ego musi być w pobliżu.

- Na wzgórzach za Laguna Beach, w czterdziestohektarowym kompleksie zabudowań - rzekł Kippmann, wskazując na południowy zachód. - Nawiasem mówiąc, Hermit Limited zatrudnia tam ponad trzystu ludzi, którzy są przekonani, że przeprowadzają tajne analizy polityczne dla własnego rządu.

- Dokąd jedziemy?

Kippmann gestem zaprosił Pitta do samochodu.

- Do Disneylandu - rzekł poważnym tonem - aby zapobiec podwójnemu morderstwu.

Wjechali na autostradę do Santa Ana, lecz skierowali się na północ, zwalniając od czasu do czasu w niewielkich porannych korkach. Kiedy minęli skręt do Newport Beach, Pitt zaczął się zastanawiać, czy śliczny rudzielec, którego parę dni temu spotkał na plaży, wciąż czeka w hotelu Newporter Inn.

Kippmann wyjął dwie fotografie i podetknął je majorowi. - To są ludzie, którym zamierzamy ocalić życie.

Pitt rozpoznał na zdjęciu twarz jednego z mężczyzn. - Pablo Castile, prezydent Dominikany.

Dyrektor NAW przytaknął.

- Wybitny ekonomista i jeden z czołowych przedstawicieli południowoamerykańskiej prawicy. Od momentu przejęcia prezydentury rozpoczął ambitny program reform. Po raz pierwszy w swej historii naród dominikański zaczął żyć w atmosferze zaufania i z optymizmem patrzeć w przyszłość. Nasz Departament Stanu wściekłby się, widząc, że Kelly wszystko psuje i to w czasie, kiedy istnieje realna nadzieja na stabilizację gospodarczą w Dominikanie.

Pitt przyglądał się drugiemu zdjęciu. - Nie wiem, kto to jest.

- Juan de Croix - wyjaśnił Kippmann. - Bardzo ceniony lekarz pochodzenia

hinduskiego. Przywódca Narodowej Partii Postępu - wygrał wybory zaledwie pół roku temu. Obecny prezydent Gujany Francuskiej.

- O ile sobie przypominam niedawne doniesienia, to ten człowiek ma problemy. .

- Ma kłopoty, to fakt - przyznał Kippmann. - Gujana Francuska nie daje sobie tak dobrze rady jak Brytyjska i Holenderska. Ruch niepodległościowy narodził się pięć lat temu. Tylko ze strachu przed rewolucją Francuzi zgodzili się na nową konstytucję i wybory powszechne. De Croix, rzecz jasna, wygrał je i natychmiast ogłosił niepodległość. Ma ciągle trudności. Jego kraj nękają wszelkiego rodzaju choroby tropikalne, a ponadto cierpi na chroniczny brak rodzimej żywności. Nie zazdroszczę mu, nikt mu zresztą nie zazdrości.

- Rząd de Croix jest słaby - rzekł z namysłem Pitt. - Ale co z gabinetem prezydenta Castile? Czy jego ministrowie nie mają wystarczająco silnej pozycji, by utrzymać się po śmierci przywódcy?.

- Naród ich akceptuje. Ale armia dominikańska nie jest zbyt wierna. W wypadku śmierci de Croix władzę niewątpliwie przejmie junta wojskowa, jeśli Kelly, rzecz jasna, wcześniej nie przekupi generałów.

- Jakim cudem obaj znaleźli się w tym samym czasie w jednym miejscu?

- Gdyby czytał pan gazety, wiedziałby pan, że przywódcy półkuli zachodniej właśnie zakończyli w San Francisco konferencję na temat współpracy gospodarczej w dziedzinie rozwoju rolnictwa. Przed powrotem do domu de Croix, Castile i kilku innych szefów państw południowoamerykańskich postanowili trochę pozwiedzać. Jak widać, powód jest prozaiczny.

- Dlaczego nie powstrzymaliście ich od wyjazdu do Disneylandu? - Próbowałem, ale zanim udało się uruchomić służby bezpieczeństwa, było już za późno. De Croix i Castile już od dwóch godzin przebywają na terenie miasteczka i obaj nie zgadzają się na opuszczenie go. Pozostaje nam jedynie modlić się o to, by mordercy Rondheima trzymali się rozkładu jazdy.

- To niezbyt ciekawe zajęcie, prawda? - zapytał wolno Pitt. Kippmann obojętnie wzruszył ramionami.

- Niektóre rzeczy da się kontrolować, innym można się tylko przypatrywać z boku.

Samochód skręcił z autostrady w Harbor Boulevard i wkrótce zatrzymał się przed bramą dla pojazdów dyrekcji. Gdy kierowca okazywał przepustkę i pytał strażnika o drogę, Pitt wystawiwszy głowę przez okno, przyglądał się jednoszynowej kolejce przejeżdżającej ponad autem. Znajdowali się w północnej części parku i wszystko, co był w stanie zobaczyć przez usypane rękami człowieka wzniesienia otaczające budynki, to górna połowa

Matterhornu oraz wieżyczki zamku z Krainy Fantazji. Wkrótce brama została otwarta i wjechali do Disneylandu.

Idąc do podziemnego korytarza prowadzącego do biura ochrony lunaparku, Pitt cały czas myślał o wygodnym łóżku w rejkiawickim szpitalu, zastanawiając się, kiedy znów będzie miał okazję wyciągnąć się i pospać. Nie miał pojęcia, z jaką sytuacją przyjdzie mu się tu borykać, doskonale jednak wiedział, w co wdepnął.

Główny pokój konferencyjny był ogromny; wyglądał niczym wojenna sala operacyjna w Pentagonie, tyle że w mniejszej skali. Stół obrad zajmował przestrzeń przynajmniej piętnastu metrów i był otoczony przez ponad dwadzieścia osób. W jednym rogu znajdował się nadajnik, przy którym siedział radiooperator i w pośpiechu podawał pozycje markierowi, stojącemu na podeście pod mapą, wysoką na trzy metry i zajmującą pół głównej ściany pokoju. Pitt pomału okrążył stół i zatrzymał się przed bajecznie kolorowym planem Disneylandu. Przypatrywał się wielobarwnym światełkom oraz paskom niebieskiej, odblaskowej taśmy, które markier przyklejał w miejscach symbolizujących przecinające park ciągi ruchu, i właśnie wtedy Kippmann klepnął go w ramię.

- Gotów do pracy?

- Mój organizm wciąż pracuje według czasu islandzkiego. Tam jest teraz po piątej. Chętnie bym się czymś wzmocnił.

- Przykro mi, proszę pana. - Te słowa padły z ust potężnie zbudowanego, wysokiego i palącego fajkę mężczyzny, który spoglądał na Pitta zza eleganckich okularów, których szkła pozbawione były oprawki. - W Disneylandzie picie alkoholu jest zabronione od początku istnienia parku i we wszystkich jego częściach. Pragniemy zachować tę tradycję.

- Szkoda - stwierdził bez cienia złośliwości Pitt. Popatrzył z oczekiwaniem na Kippmanna.

Dyrektor NAW zrozumiał aluzję.

- Majorze Pitt, pozwolę sobie przedstawić panu Dana Lazarda, szefa ochrony Disneylandu.

Uścisk dłoni Lazarda nie należał do słabych.

- Pan Kippmann opowiedział mi to i owo o pańskich obrażeniach. Uważa pan, że da radę?

- Jakoś sobie poradzę - odrzekł posępnie Pitt. - Tylko będziemy musieli coś zrobić z bandażami na mojej buźce, wyglądają zbyt podejrzanie.

W oczach Lazarda pojawiła się isierka rozbawienia.

- Myślę, że jesteśmy w stanie tak to załatwić, że nikt ich nie zauważy, nawet

pielęgniarka, która je panu zakładała.

Jakiś czas potem major, przybierając groźną pozę, stał przed obejmującym całą postać lustrem. Zakłopotany, nie mógł się zdecydować, czy ma wybuchnąć wzbierającym w nim śmiechem, czy też zacytować coś ze słownika wyrażen toaletowych. Ów wewnętrzny konflikt został wywołany widokiem ludzkich rozmiarów wilka od trzech świnek, który nieprzyjaźnie patrzył na Pitta z lustra.

- Przyzna pan - powiedział Kippmann, tłumiąc chichot - że w tym przebraniu nawet rodzona matka by pana nie poznała.

- Sądzę, że bardzo pasuje do mojej roli - odparł Pitt. Zdjął głowę wilka, usiadł w fotelu i ciężko westchnął. - Ile mamy czasu? - Do rozpoczęcia operacji Kelly'ego została nam godzina i czterdzieści minut.

- Nie uważa pan, że już teraz powinienem włączyć się do gry? Nie daje mi pan wiele czasu na wypatrzenie bandziorów Rondheima... jeżeli w ogóle ich znajdę.

- Z moimi ludźmi, pracownikami ochrony i agentami FBI na terenie parku powinno być około czterdziestu osób, które zrobią wszystko, żeby nie dopuścić do zamachu. Pana zostawiam na czarną godzinę.

- Mam wystąpić w charakterze koła ratunkowego. - Pitt wyciągnął się w fotelu i odprężył. - Nie powiem, żeby mi się podobała pana taktyka.

- Nie pracuje pan z amatorami, majorze. Wszyscy ci ludzie tam na zewnątrz są zawodowcami. Niektórzy są tak jak pan ubrani w kostiumy, niektórzy trzymają się za ręce i spacerują niczym kochankowie na wakacjach, jedni odgrywają role członków rodzin bawiących się tu w najlepsze, drudzy pracowników technicznych. Rozstawiliśmy ludzi, którzy prowadzą obserwację przez lornetki i teleskopy, nawet na dachach oraz w oknach wyższych kondygnacji makiet. - Głos Kippmanna był łagodny, lecz wyraźnie brzmiała w nim ufność we własne możliwości. - Mordercy zostaną odnalezieni i zatrzymani, zanim wykonają brudną robotę. Dysponujemy wystarczającymi środkami, żeby Kelly nie zdołał dopiąć swego.

- Niech pan to powie Oscarowi Rondheimowi - powiedział Pitt. - Istnieje pewna przeszkoda, o którą w puch rozbiją się pańskie szczytne zamierzenia - pan nawet nie zna swojego przeciwnika.

W pokoiku zapadła głucha cisza. Kippmann potarł dłońmi twarz, po czym wolno zaczął kiwać głową, jak gdyby zaraz miał zamiar zrobić coś, co mu się wyjątkowo nie podobało. Sięgnął po neseser, z którym najwyraźniej nigdy się nie rozstawał, i pokazał Pittowi teczkę oznaczoną jedynie symbolem 078-34.

- Zgadza się, nigdy nie spotkałem się z nim twarzą w twarz, ale nie jest mi osobą nie znaną. - Szef NAW, otworzywszy teczkę, zaczął czytać. - Oscar Rondheim, vel Max Rolland, vel Hugo von Klaussem vel Chatford Marazan, prawdziwe imię i nazwisko: Carzo Butera, urodzony 15 czerwca 1940 roku w nowojorskim Brooklynie. Mógłbym godzinami opowiadać o jego aresztowaniach i aktach oskarżenia. Był grubą rybą w morskim światku Nowego Jorku. Organizował związki zawodowe rybaków. Kiedy wyrolował go z tego syndykat, zniknął z pola widzenia. Przez kilka ubiegłych lat bardzo uważnie przyglądaliśmy się Oscarowi Rondheimowi oraz jego przedsiębiorstwu spod znaku albatrosa. W końcu dodaliśmy dwa do dwóch i w wyniku otrzymaliśmy Carza Buterę.

Na twarzy Pitta pojawił się przekorny uśmieszek.

- Dopiął pan swego. Ciekaw jestem, co w swojej kartotece z brudami ma pan o mnie?

- Mam przy sobie pana papiery - rzekł Kippmann, nie zwracając uwagi na przytyk majora. - Chce pan na nie rzucić okiem?

- Nie, dziękuję. Nie ma w nich nic, o czym bym nie wiedział odparł Pitt beznamiętnym tonem. - Interesuje mnie natomiast, co pan ma na Kirsti Fyrie.

Nagle oblicze Kippmanna zastygło, jak gdyby właśnie trafiła go kula w serce.

- Miałem nadzieję, że nie wspomni pan o niej.

- Jej papiery też pan ma. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Tak - odrzekł lakonicznie. Nie miał wyboru ani argumentów, jakie mógłby wytoczyć przeciwko żądaniu Pitta. Westchnął i niechętnie podał majorowi teczkę opatrzoną numerem 883-57.

Pitt sięgnął po papiery. Przez dziesięć minut zapoznawał się z treścią, wolno i jakby wbrew sobie przeglądając kolejne dokumenty, to znów fotografie i listy. Wreszcie niczym lunatyk zamknął skoroszyt i oddał go Kippmannowi.

- Nie mogę w to uwierzyć. To idiotyzm. Nie wierzę w to.

- Obawiam się, że wszystko, o czym pan przeczytał, jest prawdą - powiedział Kippmann cicho, lecz jednoznacznie.

Major wierzchem dłoni przesunął po oczach.

- Nigdy w świecie bym nie przypuszczał... - Urwał w połowie zdania.

- Nas to także zbiło z nóg. Pierwsza wątpliwość pojawiła się wtedy, gdy nie natrafiliśmy na jej ślad na Nowej Gwinei.

- Wiem. Jeśli o to chodzi, sam ją sprawdziłem i przyłapałem na kłamstwie.

- Pan o tym wiedział? Ale skąd?

- Kiedy razem jedliśmy kolację w Reykjavíku, powiedziałem jej, że na Nowej Gwinei mięso rekina do suszenia owija się w wodorost o nazwie kolczatka. Panna Fyrie kupiła to. Jak na misjonarkę, która wiele lat spędziła w tamtejszej dżungli, była to dość dziwna reakcja, nie sądzi pan?

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? - Kippmann wzruszył ramionami. - Nie mam zielonego pojęcia, co to jest ta kolczatka.

- Kolczatka - rzekł Pitt - to składający jaja mrówkojad, który, jak sama nazwa mówi, ma kolce. Jest ssakiem bardzo często spotykanym na Nowej Gwinei.

- Nie powiem, żeby to było wielkie przeoczenie z jej strony.

- A jak by pan zareagował, gdybym powiedział, że mam zamiar upiec na grillu połędwicę wołową zawiniętą w kolce jeżozwierza?

- Pewnie coś bym powiedział.

- No, to teraz rozumie pan, o co mi chodziło. Kippmann z uznaniem patrzył na Pitta.

- Co pana skłoniło do sprawdzenia jej. Gdyby pan niczego nie podejrzewał, nie byłoby tej próby.

- Jej opalenizna - odparł major. - Była powierzchowna, zupełnie inna od tej, jaką ma się po latach, a nawet miesiącach spędzonych w tropikach.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy - mruknął zamyślony Kippmann. - Ale dlaczego... dlaczego sprawdzał pan osobę prawie mu nie znaną.

- Po części z powodu, dla którego pozwoliłem się ubrać w ten idiotyczny strój złego wilka - wyjaśnił Pitt ponurym tonem. Z dwóch przyczyn dobrowolnie zgodziłem się wziąć udział w pańskim polowaniu na ludzi. Po pierwsze - mam do wyrównania rachunki z Rondheimem i Kellym. A po drugie - wciąż jestem dyrektorem do zadań specjalnych NUMA i w związku z tym mam obowiązek zdobyć plany sondy Fyriego. Właśnie dlatego zastawiłem pułapkę na Kirsti ona wie, gdzie jest ukryty projekt. Dzięki temu, że dowiedziałem się czegoś, czego wiedzieć nie powinienem, uzyskałem informację oraz środek za którego pomocą będę mógł dostać się do niej.

Kippmann potakująco skinął głową.

- Teraz już wszystko rozumiem. - Usiadł na krawędzi biurka, bawiąc się nożem do otwierania listów. - Dobra, kiedy zamknę Kelly'ego i jego koleśków, przekażę Kirsti Fyrie panu i admirałowi Sandeckerowi, abyście mogli ją przesłuchać.

- To nie wystarczy - warknął Pitt. - Jeżeli pan chce, żebym dalej z wami współpracował i rozpoznał zabójców pracujących dla Hermit Limited, musi mi pan obiecać dziesięciminutowe sam na sam z Oscarem Rondheimem. Oraz wyłączność w

dysponowaniu osobą Kirsti Fyrie. - Nie ma mowy!

- Przeciwnie. Chyba nie będzie się pan troszczył o to, czy w przyszłości stan zdrowia Rondheima będzie równie dobry jak teraz. - Nawet gdybym odwrócił się na chwilę, pozwalając panu skopać mu głowę, nie mogę sobie pozwolić na oddanie Kirsti Fyrie.

- Może pan - stwierdził z przekonaniem Pitt. - Przede wszystkim dlatego, że nic pan na nią nie ma. W najlepszym wypadku mógłby ją pan oskarżyć o współudział. Ale w ten sposób naraziłby pan na szwank nasze stosunki z Islandią. Jestem pewien, że Departament Stanu nie byłby tym zachwycony.

- Niepotrzebnie strzępi pan język - powiedział zniecierpliwiony Kippmann. - Kirsti Fyrie, podobnie jak inni, zostanie oskarżona o morderstwo.

- Pan nie jest od oskarżania, pan jest od prowadzenia śledztwa i aresztowania.

Kippmann pokręcił głową. - Pan nie rozumie...

Przerwał, gdyż otwarły się drzwi. Stał w nich Lazard; miał spopielałą twarz.

Dyrektor NAW przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Co jest, Dan?

Lazard otarł czoło i opadł na pusty fotel.

- De Croix i Castile nieoczekiwanie zmienili program wycieczki. Zgubili obstawę i zniknęli gdzieś w parku. Bóg jeden wie, co im się może przydarzyć, dopóki ich nie zlokalizujemy.

Poczerwieniała twarz Kippmanna przez moment nie wyrażała niczego poza całkowitą konsternacją.

- Jezu! - wybuchnął. - Jak to się stało? Jak mogłeś ich zgubić, dysponując połową stanowych agentów federalnych?

- W tej chwili jest w parku dwadzieścia tysięcy ludzi - powiedział cierpliwym tonem Lazard. - Trzeba trafić, że w tym tłumie źle ustawiono dwóch z nich. - Bezradnie wzruszył ramionami. - De Croix i Castile, już w chwili gdy przekraczali główną bramę, postanowili urwać się ochronie, mając gdzieś nasze środki bezpieczeństwa. Weszli razem do kibla, a następnie uciekli jak szczeniaki przez okno i było po zabawie.

Pitt wstał.

- Szybko. Ma pan trasę ich wycieczki z wyszczególnieniem miejsc, które chcą zobaczyć?

Lazard na ułamek sekundy skupił wzrok na majorze. - Tak, proszę. - Podał mu odbitkę kserograficzną.

Pitt błyskawicznie przestudiował plan. Z nieśpiesznie rozkwitającym na twarzy



uśmiechem zwrócił się do Kippmanna.

- Lepiej niech mnie pan wpuści na boisko, trenerze.

- Czuję, majorze - rzekł zbolalym tonem Kippmann - że zaraz zaczniesz mnie pan szantażować.

- Jak mawiali studenci podczas zamieszek w końcu lat sześćdziesiątych, czy wyjdzie pan naprzeciw naszym postulatom?

Ruch ramion Kippmanna był takim samym przyznaniem się do porażki jak wywieszenie białej flagi. Dyrektor wpatrywał się w Pitta. Oczy, które na niego spoglądały, były niepokojąco spokojne.

Kippmann skinął głową, wyrażając zgodę.

- Rondheim i Kirsti Fyrie należy do pana. Zatrzymali się w Disneyland Hotel po drugiej stronie ulicy. Mają przyległe pokoje: sześćset pięć i sześćset siedem.

- A Kelty, Marks, von Hummel i reszta?

- Wszyscy tam mieszkają. Firma Hermit Limited zarezerwowała całe szóste piętro. - Kippmann z zakłopotaniem pocierał twarz.

- Co pan chce z nimi zrobić?

- Niech się pan nie martwi. Tylko pięć minut z Rondheimem.

Potem może go pan sobie wziąć. Zatrzymam tylko Kirsti Fyrie. Proszę to uznać za prezent NAW dla NUMA.

Kippmann całkowicie skapitulował.

- Wygrał pan. A teraz gdzie są de Croix i Castile?

- To proste. - Pitt uśmiechnął się do Kippmanna i Lazarda. Dokąd mogliby pójść dwaj mężczyźni, którzy wychowali się na Karaibach?

- Boże, trafił pan - powiedział Lazard niemal z goryczą w głosie. - Ostatni punkt ich programu - „Piraci mórz południowych”.

Obok przemyślnie skonstruowanego „Domu strachów”, największą atrakcją słynnego na cały świat Disneylandu są „Piraci mórz południowych”. Trasa czterystumetrowej przejażdżki łodzią jest usytuowana na dwóch podziemnych kondygnacjach, zajmujących hektar powierzchni. Uczestnicy mrożącej krew w żyłach eskapady przepływają przez labirynty tuneli, mijają bitwę morską i odwiedzają będące celem zbójceckich wypraw miasta portowe, spotykając po drodze prawie sto naturalnej wielkości figur, które nie dość, że konkurują z manekinami madame Tussaud, to jeszcze śpiewają, tańczą i rabują.

Pitt był ostatni przy zejściu na rampę prowadzącą do przystani, na której

pracownicy parku sprzedawali bilety i pomagali wchodzić do łódek ludziom, udającym się na piętnastominutową wyprawę. Gdy Pitt, za plecami Kippmanna i Lazarda przedzierał się do przodu, pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób stojących w kolejce machało do niego i wypowiadało wesole uwagi na temat jego kostiumu. On także pozdrawiał ich, kiwając rękami i jednocześnie wyobrażając sobie miny kolejkowiczów, gdyby nagle przyszło mu zdjąć wilczy łeb i pokazać obandażowaną twarz. Doliczył się co najmniej dziesięciu maluchów, które po takim przeżyciu już nigdy by nie chciały, aby na dobranoc czytać im bajkę „O trzech świnkach i złym wilku”.

Lazard chwycił za ramię szefa przystani i zarazem głównego biletera.

- Prędko, musisz zatrzymać te łódki.

Bileter, chudy blondynek, mający nie więcej niż dwadzieścia lat, przez minutę stał jak zamurowany.

Lazard, który najwyraźniej nie lubił tracić czasu na bezproduktywne dyskusje, podszedł śpiesznie do stanowiska kontroli, unieruchomił znajdujący się pod wodą łańcuch, który ciągnął łodzie, włączył hamulec ręczny i ponownie zwrócił się do osłupiałego chłopca.

- Dwaj mężczyźni, czy do łódki wsiadali dwaj będący razem mężczyźni?

Przestraszony młody człowiek wyjąkał:

- Ja... ja nie jestem pewien, proszę pana. Tu... tu przychodzi tyle osób. Nie przypominam ich sobie...

Kippmann wysunął się przed Lazarda i pokazał chłopcu zdjęcia obu prezydentów.

- Poznajesz tych ludzi?

Szef bileterów szeroko otworzył oczy.

- Tak, proszę pana. Teraz sobie przypominam. - Na jego dziecięcej twarzy zakwitł płomienny rumieniec. - Ale oni nie byli sami. Było jeszcze dwóch innych mężczyzn.

- Czterech! - wrzasnął Kippmann, powodując skręt przynajmniej trzydziestu głów. - Jesteś pewien?

- Tak, proszę pana. - Chłopiec gwałtownie zamachał jasną czupryną. - Absolutnie. W łódce mieści się osiem osób. Pierwsze cztery miejsca zajęła para z dwojgiem dzieci. Ci panowie ze zdjęć usiedli z tyłu razem z dwoma innymi mężczyznami.

W tym momencie nadszedł zadyszany Pitt i walcząc z bólem i wyczerpaniem, zacisnął kuczowo dłonie na poręczy.

- Czy jednym z tych dwóch pozostałych był wielki, łysy facet z owłosionymi dłońmi? A czy drugi miał czerwoną twarz, potężne wąsy i ramiona jak u goryla?

Przez chwilę młody kierownik gapił się bezmyślnie na przebranie Pitta. Wkrótce

jednak na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. - Opisał ich pan bez pudła. Dobrana para. Jakby żywcem wyjęta z komiksu.

Pitt zwrócił się do Kippmanna i Lazarda.

- Panowie - rzekł głosem lekko przytłumionym przez gumową głowę wilka. - Myślę, że spóźniliśmy się i nasza łódź właśnie odpłynęła. - Na litość boską! - wymamrotał zdenerwowany Kippmann. Chyba nie będziemy tutaj stali?!

- Nie. - Lazard pokiwał przecząco głową. - Tego na pewno nie zrobimy. - Skinął na chłopca. - Zadzwoń pod trzysta dziewięć. Powiedz komukolwiek, kto odbierze telefon, że Lazard odnalazł zgubę wśród piratów. Powiedz mu, że sytuacja jest czerwona i że myśliwi też tam są. - Zwrócił się ponownie do Kippmanna i Pitta. - My trzej będziemy iść po pomostach technicznych wzdłuż dekoracji, aż ich znajdziemy. Prośmy Boga, żebyśmy tylko nie zjawili się za późno.

- Ile łódek po nich odpłynęło? - zapytał chłopca Pitt.

- Dziesięć, może dwanaście. Powinni być w połowie trasy, prawdopodobnie gdzieś między płonącym miasteczkiem i bitwą armatnią.

- Tędy! - szczechnął Lazard i już zniknął za drzwiami na końcu przystani, opatrzonymi napisem:

Nie zatrudnionym wstęp wzbroniony.

Gdy zanurzyli się w ciemnościach spowijających mechanizmy poruszające piratów, usłyszeli, dochodzący z zasłoniętych scenografią łódek, pomruk rozmów wycieczkowiczów przeniesionych do fascynującego świata przygód. Pitt pomyślał, że zarówno obu prezydentom, jak i ich potencjalnym mordercom krótka przerwa w podróży nie powinna wydać się podejrzana, lecz nawet gdyby tak było, stan rzeczy nie ulegał zmianie, istniało bowiem duże prawdopodobieństwo, iż plan Kelly'ego i Rondheima został już wprowadzony w życie. Pitt, zmagając się z bólem w piersiach, podążał za niewyraźnym cieniem postaci Lazarda mijającego instalację, która ukazywała pięciu morskich rozbójników pochłoniętych zakopywaniem skarbu. Piraci wyglądali niczym żywe istoty i Pittowi z trudnością przyszło uwierzyć, że były to tylko elektronicznie sterowane manekiny. Realizm inscenizacji tak go zafrapował, że wpadł na Kippmanna, który chwilę wcześniej nagle zatrzymał się.

- Spokojnie, spokojnie - instruował dyrektor.

Lazard dał im znak, żeby zostali w miejscu, a sam, przemierzając z kocia zwinnością wąski korytarz, wychylił się nad barierką ograniczającą podest dla obsługi technicznej, biegnący wzdłuż kanału, po którym holowano łódki. Następnie machnął ręką, aby Pitt z

Kippmannem podeszli do niego.

- Tym razem szczęście nam dopisało - powiedział. - Patrzcie. Pitt, z oczyma nieprzywykłymi jeszcze do widzenia w mroku, spojrzał w dół i zobaczył nierzeczywisty widok - przeniesiony z niesamowitego snu obraz, przedstawiający co najmniej trzydziestoosobową bandę piratów palącą i grabiącą miasto, które wyglądało na miniaturową replikę Portu Royal lub Panama City. Kilka domów stało w płomieniach. W podświetlonych od tyłu oknach paru innych budynków raz po raz ukazywały się sylwetki rechoczących rabusiów, którzy uganiaли się za uciekającymi z krzykiem, nieprawdziwymi dziewczętami. Za sprawą donośnych śpiewów, jakimi rozbrzmiewały ukryte głośniki, można było odnieść wrażenie, że gwałt i łupiestwo były niczym innym niż tylko zdrową, wspaniałą zabawą.

Kanał stanowił zamkniętą całość i na tym odcinku przepływał przez miasto, dzięki czemu wzrok podróżników przenosił się z jednego brzegu na drugi, zatrzymując się to na dwóch piratach bezskutecznie usiłujących zaprząć opornego muła do wyładowanego łupami wozu, to na trójce ich kompanów, ostro popijających na szczycie groźnie rozkołysanej piramidy beczek. Pitt jednak całą uwagę skoncentrował na środku kanału. W łódce, znajdującej się prawie dokładnie pod wznoszącym się nad wodą mostem, siedzieli Castile i de Croix; szczęśliwi niczym para chłopców grających w hokeja w piątkowy poranek, pokazywali sobie najbardziej zapierające dech w piersiach fragmenty niesamowitej sceny. Pitt bez trudu rozpoznał w dwóch złowieszczych postaciach, siedzących jak mumie za plecami południowoamerykańskich prezydentów, ludzi, których ręce dwa dni temu w Reykjaviku podtrzymywały jego bezwładne ciało, aby Rondheim mógł rozbić je na miazgę.

Major spojrzał na fosforyzującą, pomarańczową tarczę doxy. Do rozpoczęcia operacji Kelly'ego została jeszcze godzina i dwadzieścia minut. Dużo czasu, bardzo dużo, ale przecież dwaj mordercy już znajdowali się przy swoich przyszłych ofiarach i to w odległości nie przekraczającej metra. Brakowało bardzo ważnego elementu układanki. Pitt nie wątpił, że Kelly zapoznał Rondheima z prawdziwym rozkładem godzinowym przedsięwzięcia i że ten będzie się go trzymał. Lecz czy na pewno? Jeśli Rondheim rzeczywiście zamierzał przejąć kontrolę nad Hermit Limited, to ewentualna zmiana planów nie byłaby nielogiczna.

- To jest twoja działka, Dan - powiedział cicho Kippmann, zwracając się do szefa ochrony. - Jak chcesz ich wziąć?

- Żadnej strzelaniny - odparł Lazard. - Ostatnia rzecz, jakiej tu potrzebujemy, to

śmierć dziecka od zabłąkanej kuli.

- Może lepiej poczekajmy na posiłki?

- Nie mamy czasu. I tak już za długo zatrzymujemy łodzie. Ludzie zaczynają się denerwować, włącznie z typami zza pleców Castile'a i de Croix.

- Musimy więc zaryzykować. - Kippmann wytarł chusteczką pot z czoła. - Puść łajby. Gdy ta z naszymi przyjaciółmi zacznie wpływać pod most, wtedy ich weźmiemy.

- Dobra - zgodził się Lazard. - Most da nam wystarczającą osłonę, żeby zbliżyć się do nich na półtora metra. Ja pójdę naokoło i wyjdę przez drzwi, nad którymi wisi szyld tawerny. Ty, Kippmann, schowaj się za mułem i wozem.

- Chętnie poszedłbym z wami.

- Nic z tego, majorze. - Lazard spojrzał na Pitta opanowanym wzrokiem. - Pan w tej chwili raczej nie nadaje się do bijatyki. Przerwał i uściśnął Pitta za ramię. - Ale może pan odegrać nie mniej ważną rolę.

- Co mam zrobić?

- Stań na moście w kostiumie wilka. Jako element scenografii mógłby pan zająć uwagę tych dwóch w łódce dostatecznie długo, by dać Kippmannowi i mnie parę dodatkowych sekund.

- Może się mylę, ale wilk i piraci to dwie różne bajki - rzekł Pitt. Zaraz po znalezieniu telefonu i nakazaniu obsłudze wznowienia ruchu łódek za dwie minuty, Lazard przedostał się wraz z Kippmannem do płonącego miasteczka, na tyły dekoracji, tak wiernie imitującej frontony domów, gdzie obaj zajęli ustalone pozycje.

Pitt, potknąwszy się o sztywne ciało pirata, który wyzionął ducha najprawdopodobniej z nadmiaru wypitego wina, schylił się i zabrał kordelas sztucznemu nieboszczykowi, dziwiąc się przy okazji, że kopia historycznej broni była zrobiona ze stali. Nawet z bliska nie przestawał go zachwycać nadzwyczaj realistyczny wygląd mechanicznych rozbójników. Szklane oczy osadzone w twarzach z brązowego wosku zawsze patrzyły tam, gdzie skierowana była głowa, brwi zaś unosiły się i opadały równo z ustami markującymi wykonanie słynnej pieśni pirackiej „Piętnastu chłopów na umrzyka skrzyni”, płynącej z głośników zainstalowanych wewnątrz aluminiowych ciał.

Major dotarł na środek mostu, łukiem spinającego brzegi kanału, i dołączył do trzech wesoło śpiewających bukanierów, którzy siedzieli na imitacji kamiennej balustrady, bujając nogami i wywijając kordelasami w takt ulubionej szanty. Pitt w kostiumie złego wilka, kiwając ręką i porykując wraz z rozdokazywanymi piratami starą morską przyspiewkę, przedstawiał dość dziwny widok dla oczu pasażerów łodzi. Dzieci - prawie

dziesięcioletnia dziewczynka oraz chłopczyk mający, według Pitta, nie więcej niż siedem lat - natychmiast rozpoznały bohatera filmu rysunkowego i zaczęły machać do trójwymiarowej repliki.

Castile i de Croix, podobnie jak młodzi towarzysze wycieczki, parsknęli śmiechem, pozdrowili po hiszpańsku wilka, a następnie pokazując sobie zabawną bestię, wymieniali żartobliwe uwagi. Wysokiego, łysego zabójcy oraz jego kolegi po fachu, barczystego prymitywna, zupełnie nie zainteresowała wesoła scenka na moście; siedzieli nieporuszeni i z kamiennym wyrazem twarzy. Pitt czuł się tak, jakby stąpał po kruchym lodzie, wiedząc, że nie tylko jeden niewłaściwy krok, ale wręcz najdrobniejszy fałszywy ruch może sprowadzić śmierć na mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy niczego nieświadomi radowali się jego błazeństwami.

Nagle zauważył, że łódka ruszyła.

Dziób właśnie przesunął się pod jego stopami i w tym samym momencie wyszły z ukrycia dwie niewyraźne postacie, błyskawicznie przemknęły przez tłum ruchomych manekinów i wskoczyły na tył łodzi. Zaskoczenie było całkowite. Pitt jednak tego nie widział. Bez pośpiechu, zbędnych gestów i słowa ostrzeżenia, spokojnym, mocnym ruchem wepchnął kordelas pod pachę, zanurzając ostrze w piersi siedzącego obok pirata.

Nagle stało się coś dziwnego. Pirat wypuścił swój wielki nóż, szeroko otworzył usta w bezgłośnym grymasie bólu i spojrzał wzrokiem wyrażającym zdziwienie przechodzące w szok, który niemal natychmiast zastąpiła świadomość nieuchronnego końca. Zajrzał w głąb własnej głowy i runął, wpadając z pluskiem do wolnego od łodzi kanału.

Drugi pirat o ułamek sekundy spóźnił się z reakcją, dzięki której mógłby sparować cięcie Pitta. Usiłował coś powiedzieć, lecz major z całą siłą uderzył zza głowy czerwonym od krwi ostrzem, tnąc pozoranta w szyję, powyżej uzbrojonego w kordelas lewego ramienia. Mężczyzna jęknął i uniósł prawą rękę, tak jakby chciał złapać równowagę, lecz pośliznął się na nierównej powierzchni mostu, opadł na kolana i niczym gumowa kukła przewrócił się na bok; z półotwartych ust płynął pulsujący strumień krwi.

Pitt kątem oka zauważył, jak w ostrym świetle błysnął metal. Odruchowy skręt głowy ocalił mu życie, gdyż kordelas trzeciego pirata zdołał jedynie przeciąć cylinder, który zdobił wilczy łeb. Za daleko; Pitt posunął się za daleko w igraszkach z losem. Załatwił dwóch ludzi Rondheima, gdyż niczego się nie spodziewali, lecz trzeci miał wystarczająco dużo czasu, by uprzedzić atak Pitta i zaskoczyć go przeciwnatarciem.

Instynktownie odparowując cięcia i wycofując się przed wściekłą napaścią, Pitt wił się niczym targany konwulsjami, lecz w końcu udało mu się odskoczyć na bok; przesadzić

niską balustradę i runąć do zimnej wody. Nawet nurkując słyszał świst ostrza pirackiego kordelasa, tnącego powietrze w miejscu, w którym stał jeszcze przed sekundą. Ale w tym samym momencie, gdy z wielką siłą wyrzwał ramieniem w dno płytkiego kanału, doznał szoku. Nastąpiła eksplozja bólu i wydało mu się, że nagle wszystko się skończyło i nastąpiło ostateczne rozwiązanie.

Piętnastu chłopów  
na umrzyka skrzyni.

- Jo-ho-ho!

i butelka rumu!

- Boże - pomyślał oszołomiony Pitt - czy te automatyczne skurwiele nie mogłyby zaśpiewać czegoś innego? Zaraz potem, niczym lekarz diagnosta, ostrożnie zbadał najbardziej obolałe partie zmaltretowanego ciała oraz położenie rąk i nóg w skąpanej w ogniu wodzie. Czuł w piersiach pożar żeber, który błyskawicznie rozprzestrzenił się na plecy i ramiona. Wydostał się na brzeg, wstał z trudem i słaniając się na nogach, utrzymywał pionową pozycję tylko dzięki kordelasowi, którym podparł się jak laską, dziwiąc się jednocześnie, że ani na chwilę nie wypuścił broni z ręki.

Przyklęknął, prowadząc ciężki bój o odzyskanie oddechu i czekając, aż serce zwolni tempo. Jednocześnie lustrował otoczenie, usiłując przebić wzrokiem ciemności, jakie panowały poza zasięgiem łuny sztucznych pożarów wznieconych przez sztucznych bukanierów. Most był pusty, trzeci pirat ulotnił się, a łódka znikła na zakręcie, prowadzącym do kolejnej przygody. Odwrócił się w samą porę, by spostrzec, że zbliża się następna łódź z grupką zwiedzających.

Zapoznawał się z sytuacją w sposób mechaniczny, nie zastanawiając się nad znaczeniem poszczególnych obserwacji. Pochłonięty był bowiem myśleniem o tym, że gdzieś w pobliżu czai się przebrany za pirata morderca. Czuł się bezradny; wszystkie manekiny były podobne do siebie, a zdarzenie na moście miało tak błyskawiczny przebieg, iż nie zdołał zapamiętać żadnych szczegółów kostiumu przeciwnika.

Niemal ogarnęło go szaleństwo, gdy usiłował zaplanować kolejne posunięcie. Nie było już najmniejszej szansy na zaskoczenie - żywy pirat wiedział, jak wygląda Pitt, natomiast major nie był w stanie odróżnić kukły od człowieka, tracąc tym samym możliwość wykonania pierwszego ruchu. W głowie miał kłębowisko przygnębiających myśli, lecz mimo to zdawał sobie sprawę, że musi działać.

Sekundę potem usiłował biec brzegiem kanału, słaniając się i jęcząc, gdy po każdym kroku fala bólu ogarniała jego ciało. Przedarł się przez czarną kurtynę do następnej

instalacji. Scena rozgrywała się w ogromnym, kopulastym pomieszczeniu i przy słabym świetle, aby uzyskać efekt grozy.

W przeciwległą ścianę wbudowana była dokładna kopia pirackiego statku w zmniejszonej skali, z mechaniczną załogą i powiewającym na wietrze Jollym Rogerem - budzącą lęk czarną banderą, poruszaną strumieniem powietrza z ukrytego wentylatora. Sztuczne działa ziały ogniem salwy burtowej, wycelowanej ponad wodą i głowami turystów w odległą o dziesięć metrów miniaturową twierdzę, wznoszącą się na szczycie nadbrzeżnego urwiska po drugiej stronie sali.

Było zbyt ciemno, by zauważyć jakiegokolwiek szczegóły w łódce. Na rufie panowała cisza, więc Pitt miał pewność, że Kippmann i Lazard panowali nad sytuacją, lecz niestety byli w stanie kontrolować tylko najbliższe otoczenie. Kiedy wreszcie w mroku nierealnej nocy zaczął widzieć port rozciągający się między fortecą i statkiem, dostrzegł, że pasażerowie łodzi leżą stłoczeni na dnie przy obu burtach. Jednak dopiero po pokonaniu rampy technicznej, prowadzącej do góry na pokład pirackiej jednostki, zrozumiał, co się stało, usłyszał bowiem dziwny odgłos podobny do cichego plaśnięcia, jakie wydaje rewolwer zaopatrzony w tłumik.

Wkrótce potem stał już za plecami ubranej w piracki kostium postaci, która trzymała w dłoni jakiś przedmiot skierowany na unoszącą się na wodzie łódkę. Pitt uważnie przyjrzał się piratowi, zatrzymując wzrok na ręce bukaniera. Nagle podniósł kordelas i płaską stroną klingi uderzył zamachowca w przegub.

Rewolwer wypadł za burtę. Pirat odwrócił się gwałtownie; spod szkarłatnej, zawiązanej na głowie chusty wystawały siwe włosy, w szaroniebieskich oczach gniew mieszał się z zaskoczeniem, a usta były mocno zaciśnięte. Kiedy otwarły się, zabrzmiał ostry, metaliczny głos.

- Zdaje się, że jestem pańskim więźniem.

Przez ułamek sekundy Pitt poczuł się niewyraźnie. Te słowa bowiem stanowiły kamuflaż, przykrywkę dla błyskawicznego ruchu, jaki z pewnością zostanie wykonany. Człowiek, do którego należał głos, był niebezpieczny i grał o wysoką stawkę. Lecz Pitt dysponował czymś więcej niż tylko groźnym narzędziem w dłoni - poczuł w całym ciele przypływ nowych sił, ożywczą falę podobną do tej, jaką Nil obdarowuje spragnioną pustynię. I zaczął się uśmiechać.

- A, to ty. Oscarze.

Przerwał, udając zdziwienie i obserwując Rondheima kocim wzrokiem. Trzymał głównego kata Hermit Limited na odległość wyciągniętej głowni, ściągając jednocześnie



wilczy łeb. Na twarzy Rondheima wciąż malowało się skupienie i bezwzględność, lecz oczy wyrażały absolutne zdziwienie. Pitt upuścił maskę, przygotowując się do chwili, na którą czekał, choć na dobrą sprawę nie wierzył w jej nadejście. Nieśpiesznie, jakby dla wywołania większego efektu, zaczął rozwijać bandaż z głowy, które spadając, układały się na podłodze w bezkształtne wzniesienia rozplątanej gazy. Kiedy skończył, spojrzawszy obojętnie na Rondheima i cofnął się o krok. Rondheim poruszył ustami, usiłując sformułować pytanie, lecz osłupienie nie pozwoliło mu dokończyć rozpoczętej czynności.

- Żałuję, że nie jesteś w stanie rozpoznać mojej twarzy, Oscarze rzekł cicho Pitt - ale sam jesteś sobie winien.

Rondheim przyglądał się opuchniętym oczom, nabrzmałym, porozcinanym wargom oraz bliznom na brwiach i policzkach, a potem z jego ust dobył się zmieszany z oddechem szept:

- Pitt!

Major potwierdził skinieniem głowy.

To niemożliwe - wydyszał Rondheim. Pitt roześmiał się.

- Przepraszam, że psuję ci humor, ale właśnie okazało się, że nie można ślepo wierzyć komputerom.

Rondheim posłał mu długie, badawcze spojrzenie. - A co z innymi?

- Z jednym wyjątkiem, wszyscy żyją i naprawiają kości, które im tak gruntownie połamałeś nie szcędząc wysiłku. - Patrząc ponad barkiem Rondheima, Pitt zauważył, iż łódź bezpiecznie płynęła do następnej instalacji.

- I znowu zostaliśmy tylko my dwaj, majorze. Teraz jednak znajduje się pan w znacznie lepszej sytuacji niż wtedy w sali gimnastycznej, gdzie dzięki panu przeżyłem kilka miłych chwil. Mimo to proszę nie robić sobie większych nadziei. - Jego wargi wykrzywił podobny do uśmiechu grymas. - Bohaterowie bajek nie są godnymi przeciwnikami dla mężczyzny.

- Zgadza się - odparł Pitt.

Rzucił nad głowę Rondheima kordelas, który z pluskiem wpadł do wody. Rzucił okiem na swoje dłonie. One muszą wystarczyć. Wziął kilka długich, głębokich oddechów, przyglądał z grubszą mokre włosy, by nie opadały mu na twarz, i jeszcze raz przelotnie spojrzawszy na palce. Był gotów.

- Oszukałem cię, Oscarze. Pierwsza połowa to był mecz do jednej bramki. Nie dość, że nie było w niej bramkarza, to na dodatek miałeś po swojej stronie sędziego i publiczność. Jak się czujesz, gdy zostałeś sam, Oscarze, nie mając przy sobie płatnych

zbirów, którzy przytrzymałoby ci ofiarę? Jak się czujesz na obcym boisku? Wciąż masz czas i szansę na ucieczkę. Poza mną nic nie zagradza ci drogi do wolności. Zaręczam ci jednak, że nie będę łatwą przeszkodą.

Rondheim wyszczerzył zęby w pogardliwym uśmiechu.

- Do załatwienia cię, Pitt, nikt mi nie jest potrzebny. Żałuję tylko, że czas zmusza mnie do skrócenia twojej kolejnej lekcji cierpienia. - Dobra, wystarczy tego psychologicznego pieprzenia - rzekł spokojnym tonem Pitt. Major dokładnie wiedział, co zamierza zrobić. To prawda, że wciąż był osłabiony i śmiertelnie zmęczony, ale owe dolegliwości musiały ustąpić miejsca samozaparciu i sile, jakich nigdy by w sobie nie znalazł, gdyby nie Lillie, Tidi, Sam Kelly, Hunnewell i pozostali, którzy oddali swe losy w jego ręce.

Gdy Rondheim przyjął pozycję do walki karate, na jego twarzy pojawił się zagadkowy uśmiech. Nie na długo. Pitt uderzył Rondheima. Trafił go prawym sierpem, doskonale mierzonym ciosem, który odrzucił na bok głowę przestępcy i pchnął go na grotmaszt pirackiego statku.

W głębi duszy Pitt wiedział, że nie wytrzyma dłuższego starcia z Rondheimem, że jest w stanie stawić mu czoło zaledwie przez kilka minut, ale przewidując to, precyzyjnie zaplanował element zaskoczenia, który miał mu pomóc, zanim ciosy karate znów zmasakrują mu twarz. Teraz jednak okazywało się, że jego podstęp dawał bardzo małe szanse na wygranie walki.

Rondheim był niesamowitym twardzielem; potężny cios nie zrobił na nim większego wrażenia i błyskawicznie przyszedł po nim do siebie. Odbił się od masztu i od razu spróbował kopnąć Pitta w głowę. Major zrobił lekki unik i cios o milimetry minął cel. Brak precyzji sporo kosztował Rondheima. Pitt złapał przeciwnika serią lewych prostych, zakończoną soczystym podbródkowym z prawej, którym rzucił go na kolana. Rondheim trzymał się za krwawiący, złamany nos.

- Robisz postępy - wyszeptał, usiłując zatamować krwotok. - Przecież mówiłem, że cię wykiwałem. - Pitt stał lekko cofnięty w pozycji gotowego do walki džudoki, czekając w pełnej koncentracji na atak Rondheima. - Prawdę mówiąc, jestem takim samym pedałem jak Carzo Butera.

Na dźwięk swego prawdziwego nazwiska Rondheim poczuł się tak, jakby śmierć zajrzała mu w oczy, mimo to potrafił doskonale zapanować nad głosem i mimiką zakrwawionej twarzy, przypominającej pozbawioną wyrazu maskę.

- Wygląda na to, że nie doceniłem cię, majorze.

- Bardzo łatwo dajesz się wpuszczać w kanał, Oscarze, czy może wolisz, żebym posługiwał się imieniem z twego aktu urodzenia? To zresztą nie ma znaczenia. Tak czy inaczej jesteś skończony.

Ze stekiem przekleństw na ustach i twarzą ogarniętą nienawiścią Rondheim skoczył na Pitta. Nie zdołał zrobić uniku i major natychmiast trafił go ostrym podbródkowym, którego nie powstydzilby się Muhammad Ali. Pitt dał z siebie wszystko, uderzył z balansem ciała do przodu, zadając cios tak potworny, że niemal sam się znokautował, wywołując przeraźliwy ból w piersiach. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie będzie miał siły na powtórzenie akcji.

Rozległo się głuchoe plaśnięcie połączone z nieprzyjemnym chrzęstem. Kiedy pięść Pitta trafiła w cel, Rondheim poczuł, że wybite zęby kaleczą mu wargi. Usiłując złapać równowagę, przez dwie, może trzy sekundy stał nieruchomo, tak jak postać zatrzymana na stopklatce, a potem niewiarygodnie wolno, niczym ścięte drzewo, które nieuchronnie spadnie na ziemię, padł na pokład, nie wydając żadnego dźwięku.

Pitt ciężko dyszał i wciąż mocno zaciskał zęby. Prawa ręka bezwładnie zwisała wzdłuż ciała. Patrzył na światełka migające w lufach dział miniaturowej fortecy. W tym samym momencie zauważył, że do sali wpłynęła następna łódź. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć, lecz nic nie zobaczył, gdyż pod powieki dostały się kłujące kropelki potu. Miał jeszcze coś do zrobienia. Myśl o tym napawała go wstrętem, odegnał ją jednak przekonany o konieczności doprowadzeniu do końca swego zamierzenia.

Stanął w rozkroku nad nieprzytomnym mężczyzną, nachylił się, po czym oparł rękę Rondheima o podstawę burty. Nadepnął na ramię i aż drgnął, słysząc trzask złamanej nieco poniżej łokcia kości. Rondheim poruszył się nieco i jęknął.

- To za Jerome'a Lilliego - powiedział Pitt cierpkim tonem. Podobnie potraktował drugie ramię Rondheima, zauważając z ponurą satysfakcją, że oczy jego ofiary są otwarte, a źrenice powiększone przez szok i ból.

- To z pozdrowieniami od Tidi Royal.

Pitt działał jak automat, przekręcając Rondheima o sto osiemdziesiąt stopni i opierając jego nogi o burtę tak samo, jak uprzednio ramiona. Ta część mózgu, która odpowiadała za myśli i emocje Pitta, była martwa. Umysł majora potrafił już tylko komunikować się z centralnym układem nerwowym, by sterować ruchami rąk i nóg. Ciało miał jednak sprawne i mimo wielu skaleczeń, ran i złamań czuł, że jego mechanizmy pracują cicho i niezawodnie niczym silnik rolls-royce'a. Śmiertelne wyczerpanie i ból przestały dla Pitta istnieć do momentu, w którym umysł znów zacznie normalnie

funkcjonować. Postępując mechanicznie, wskoczył na nogę Rondheima.

- A to za Sama Kelly'ego.

Rondheim wydał okrzyk, który zamarł mu w gardle. Szaroniebieskie szklane oczy szukały w górze wzroku Pitta.

- Zabij mnie - wyszeptał. - Dlaczego mnie nie zabijesz?

- Nawet gdybyś żył tysiąc lat - rzekł posępnym tonem Pitt to i tak byś nie odpokutował całego bólu i wszystkich cierpień, jakich byłeś sprawcą. Chcę, żebyś wiedział, co to znaczy ból połamanych i przemieszczających się kości, żebyś leżał i bezradnie przyglądał się swojej masakrze. Powiniennem złamać ci kręgosłup, tak jak ty Lilliemu, a potem przypatrywać się, jak gnijesz przez resztę życia w wózku inwalidzkim. Ale niestety są to tylko pobożne życzenia, Oscarze. Twój proces może trwać kilka tygodni, a nawet miesięcy; nie ma na świecie takiego sądu, który skazałby na śmierć trupa. Nie, nie oddam ci przysługi, pozbawiając cię życia. A to za Williego Hunnewella.

Na twarzy Pitta nie pojawił się najłżejszy uśmiech, ciemnozielone oczy nie błysnęły, uprzedzając o tym, co miało nastąpić. Major skoczył po raz czwarty i ostatni, a przez pokład statku przetoczył się rozdzierający, wywołany strasliwym bólem krzyk, którego echo długo rozbrzmiewało w całym pomieszczeniu, by wreszcie zamilknąć.

Pitt z poczuciem pustki, wręcz ze smutkiem, usiadł na pokrywie luku i patrzył na połamanego Rondheima. To nie był miły widok. Jego furia znalazła w końcu ujście i gdy czekał, aż ustanie łomot serca, a oddech wróci do normy, czuł się tak, jakby odebrano mu całe jestestwo.

Major wciąż siedział nieruchomo, gdy na pokładzie zjawili się Kippmann i Lazard, prowadząc za sobą małą armię ludzi ochrony. Obaj mężczyźni milczeli. Nie . mieli zresztą nic do powiedzenia, przynajmniej przez całą minutę, zanim w pełni nie uzmysłowili sobie tego, co zrobił Pitt.

Kippmann wreszcie przerwał ciszę.

- Trochę go pan zdefektował, prawda?

- To jest Oscar Rondheim - rzekł smętnie Pitt. - Rondheim? Jest pan pewien?

- Mam dobrą pamięć do twarzy - odparł major. - Zwłaszcza wtedy, gdy jedna z nich należy do człowieka, który mnie skopał jak psa. Lazard spojrzał na Pitta. Jego usta wykrzywił przekorny uśmiech. - A ja w swojej naiwności uważałem, że nie nadaje się pan do walki wręcz.

- Żałuję, że nie zdążyłem dotrzeć do Rondheima, zanim nie zaczął strzelać. Trafił kogoś? - zapytał Pitt.

- Castile lekko dostał w ramię - odrzekł Lazard. - Gdy załatwiliśmy tych dwóch palantów z tylnej ławki, odwróciłem się i zobaczyłem pana w roli Karmazynowego Pirata. Zorientowałem się, że to jeszcze nie koniec zabawy, więc skoczyłem na dziób i zmusiłem rodziców wraz z dziećmi do położenia się na dnie.

- To samo zrobiłem z naszymi dostojnymi gośćmi z Ameryki Środkowej. - Kippmann, uśmiechając się, rozcierał guza na czole. Wzięli mnie za wariata i przez dobrą chwilę dali mi się we znaki.

- Co teraz będzie z Kellym i Hermit Limited? - zapytał Pitt. - Pan Kelly wraz ze swoimi bogatymi partnerami z zagranicy zostanie, rzecz jasna, aresztowany, ale szanse na postawienie przed sądem ludzi z ich pozycją prawie nie istnieją. Mam nadzieję, że zainteresowane rządy uderzą ich tam, gdzie najbardziej boli, czyli po kieszeni. Grzywny, jakie prawdopodobnie będą musieli zapłacić, powinny pokryć koszt nowego lotniskowca.

- To o wiele za niska kara za te wszystkie cierpienia, jakie spowodowali.

- Niemniej jednak jest to kara - wymamrotał Kippmann. - Tak... niby tak. Dzięki Bogu, że zostali powstrzymani. Kippmann przytaknął.

- To panu musimy dziękować, majorze Pitt, za rozbicie w puch Hermit Limited.

Nagle Lazard uśmiechnął się szeroko.

- W związku z tym pierwszy chcę wyrazić swoją wdzięczność za pański heroiczny wyczyn. Gdyby pan nie wziął inicjatywy w swoje ręce, nie byłoby tu teraz ani Kippmanna, ani mnie. - Położył dłoń na ramieniu Pitta. - Bardzo mnie coś intryguje. Niech mi to pan wyjaśni. - Co mianowicie?

- Skąd pan wiedział, że ci piraci na moście to żywi ludzie?

- Było dokładnie tak, jak w jakiejś starej piosence - odrzekł wymijająco Pitt. - Siedzieliśmy na moście zapatrzeni w swoje oczy... i mógłbym przysiąc, że widziałem, jak ten obok je zmrużył.

## EPILOG

Był miły, południowokalifornijski wieczór. Całodniowy smog rozwiął chłodny zachodni wiatr i wypełnił główny ogród Disneyland Hotel silnym, czystym zapachem Pacyfiku, łagodząc ból poturbowanego ciała i uspokajając myśli związane z zadaniem, które Pitt miał jeszcze do wykonania. Major spokojnie czekał, aż kursująca po zewnętrznej ścianie budynku szklana winda zjedzie na dół.

Winda zaszumiała, stanęła i otworzyła podwoje. Pitt schylił głowę, by potrzebnie nie swędzącą powiekę, choć w istocie pragnął zasłonić twarz przed spojrzeniami kobiety i mężczyzny - dwojga roześmianych, trzymających się pod rękę młodych ludzi, którzy przeszli obok, nie zauważywszy ani jego budzącego grozę oblicza, ani umieszczonego w plastikowej skorupie i wiszącego na czarnym temblaku ramienia.

Wszedł do szklanej klatki, a następnie przycisnął guzik z cyfrą sześć. Winda miękko ruszyła w górę i Pitt przez chwilę przyglądał się krajobrazowi pod niebem Orange County. Wziął głęboki wdech, po czym wolno wypuścił powietrze, obserwując przez pierwsze trzy piętra błyszczący, rozpostarty po ciemny horyzont świetlny dywan. Migoczące w kryształowym powietrzu punkciki przypominały mu otwarte puzderko z biżuterią.

Nie upłynęły jeszcze dwie godziny od momentu, gdy zatrudniony w Disneylandzie lekarz nastawił Pittowi dłoń. Po zabiegu major wziął prysznic, ogolił się i zjadł pierwszy solidny posiłek od wyjazdu z Reykjavíku. Doktor był absolutnie zdecydowany odesłać pacjenta do szpitala, ale Pitt nie chciał o tym słyszeć.

- Jest pan głupcem - oznajmił kategorycznym tonem lekarz. Pan jest śmiertelnie wyczerpany. Już przed paroma godzinami ogólne osłabienie powinno zwalić pana z nóg. Jeżeli grzecznie nie położy się pan w szpitalu, to może pan doświadczyć eleganckiej zapaści.

- Dzięki - rzekł zdawkowo Pitt. - Jestem panu wdzięczny za troskę, ale mam jeszcze coś do zrobienia. Potrzebuję dwóch godzin nie więcej - a potem ofiaruję medycynie to, co zostanie z mego ciała.

Winda zwolniła biegu, zatrzymała się, otworzyły się drzwi i Pitt wszedł do wyłożonego miękkim, czerwonym dywanem korytarza na szóstym piętrze. Nagle przystanął, aby nie zderzyć się z grupką trzech mężczyzn, pragnących zjechać na dół. Uznał, że dwaj z nich są agentami Kippmanna. Natomiast w trzecim mężczyźnie, stojącym ze spuszczoną głową pośrodku, bez wahania rozpoznał F. Jamesa Kelly'ego.

- Niemal żałuję, Kelly, że twój wielki plan nie wypalił. W teorii był wspaniały. Jednak w praktyce okazał się niemożliwy do zrealizowania.

Oczy miliardera powoli rozszerzyły się, a z twarzy odpłynęła krew. - Na Boga... to pan, majorze Pitt? Ale... przecież pan...

- Nie żyje? - dokończył Pitt tak, jakby nikogo to już nie obchodziło z wyjątkiem niego samego.

- Oscar przysięgał, że pana zabił.

- Udało mi się wcześniej wyrwać z prywatki - odparł major lodowatym tonem.

Kelly kiwał głową.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie powiódł się mój plan. Zdaje się, że los powierzył panu rolę mojej Nemezis.

- Stało się tak wyłącznie dlatego, że w nieodpowiednim czasie znalazłem się w niewłaściwym miejscu.

Kelly uśmiechnął się blado, głową dał znak dwóm agentom, po czym cała trójka weszła do czekającej windy.

Stojący z boku Pitt nagle odezwał się: - Mam dla pana wiadomość od Sama.

Minęło kilka sekund, zanim do Kelly'ego dotarły słowa majora. - Czy Sam...

- Pana brat zmarł w tundrze. Na kilka godzin przed śmiercią poprosił mnie, żebym powiedział panu, że mu wybacza.

- Mój Boże... mój Boże - jęknął Kelly, zakrywając dłońmi oczy. Jeszcze przez wiele lat miał stać przed oczyma Pitta widok oblicza Kelly'ego tuż przed zamknięciem się windy. Głębokie zmarszczki, pozbawiony życia wzrok i przeraźliwie blada cera; to była twarz człowieka, który poczuł oddech śmierci.

Major chciał otworzyć drzwi oznaczone numerem 605, lecz były zamknięte od wewnątrz. Poszedł w głąb korytarza i przekręcił gałkę pokoju 607. Zamek był otwarty. Po cichu dostał się do wnętrza i delikatnie zamknął drzwi. W apartamencie było ciemno i zimno. Jeszcze w przedpokoju jego nozdrza zaatakowała ostra woń z niedopałków cygar. Przykry zapach wystarczył, aby nabrał pewności, że znalazł się w pokoju Rondheima.

Firanki rozpraszały poświatę księżyca i rzucały na sypialnię długie, bezkształtne cienie. Pitt, przeszukując pomieszczenie, zauważył, że ubrania i bagaże Rondheima są nietknięte. Kippmann dotrzymał słowa. Jego ludzie działali bardzo ostrożnie, aby nie zaalarmować Kirsti Fyrie i w żaden sposób nie wzbudzić podejrzeń dotyczących losu narzeczonego oraz nagłego zniknięcia dyrektoriatu Hermit Limited.

Pitt ruszył w stronę pasma żółtego światła, przenikającego przez wpółotwarte drzwi do sąsiedniego pokoju. Skradając się bezgłośnie niczym gotowy do skoku nocny drapieźnik, major przekroczył próg. Pomieszczenie to trudno było nazwać pokojem,

bardziej trafne zdawało się określenie „pluszowy apartament”. Numer 605 składał się bowiem z hallu, salonu wyposażonego w bogato zaopatrzone barek, łazienki oraz sypialni, którą duże rozsuwane drzwi ze szkła łączyły z niewielkim balkonem.

Wszystkie pomieszczenia były puste, z wyjątkiem łazienki; szum wody wskazywał, że Kirsti bierze prysznic. Pitt podszedł do barku, zrobił sobie szkocką z lodem i niedbale wyciągnął się na długiej, bardzo wygodnej kanapie. Po dwudziestu minutach i dwóch drinkach Kirsti wynurzyła się z łazienki. Miała na sobie kimono z zielonego jedwabiu, luźno przewiązane w talii. Złote włosy tańczyły wokół jej głowy niczym promienie słonecznej aureoli. Wyglądała niesamowicie świeżo i powabnie.

Przeszła przez sypialnię do salonu i w trakcie przyrządzania drinka . spostrzegła Pitta w lustrze za barem. Znieruchomiała, jakby nagle dotknął ją paraliż, na poblądłej twarzy pojawiła się niepewność.

- Wydaje mi się - rzekł Pitt - że gdy piękna kobieta wychodzi z łazienki, każdy szanujący się dżentelmen powinien zakrzyknąć: Oto Wenus wynurzyła się z fal.

Odwróciła się i posłała mu spojrzenie, w którym niepewność pomału ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

- Czy my się znamy? - Tak, spotkaliśmy się.

Zacisnęła kurczowo dłoń na krawędzi barku i w milczeniu badawczo przyglądała się nieoczekiwanemu gościowi.

- Dirk! - wyszeptała ciepło. - To ty. To naprawdę ty. Dzięki Bogu, że żyjesz.

- Twoja troska jest nieco spóźniona.

Spojrzeli na siebie; zieleń spotkała się z fioletem.

- Elsa Koch, Bonny Parker i Lukrecja Borgia - powiedział one wszystkie mogłyby uczyć się od ciebie, jak mordować przyjaciół i manipulować wrogami.

- Musiałam zrobić to, co zrobiłam - odparła nieśmiało. - Ale przysięgam, że nikogo nie zabiłam. Zostałam wciągnięta w ten piekielny kołowrót przez Oscara wbrew sobie. Nigdy nie przypuszczałam, że jego współpraca z Kellym doprowadzi do śmierci tak wielu ludzi.

- Mówisz, że nikogo nie zabiłaś.

- Tak.

- Kłamiesz.

Posłała mu zdziwione spojrzenie.

- O czym ty mówisz?

- Zabiłaś Kristjana Fyrie!



Patrzyła teraz na niego jak na kogoś, kto postradał zmysły. Jej usta drżały, a oczy - cudowne fiołkowe oczy - pociemniały ze strachu. - Chyba nie mówisz tego poważnie - szepnęła. - Kristjan Fyrie zginął na Laksie, spalił się... spalił się na popiół.

Nadszedł czas, powiedział sobie Pitt, na wyrównanie rachunków i podanie wyniku końcowego. Przechylił się do przodu.

- Kristjan Fyrie nie zginął w płomieniach na statku znajdującym się na północnym Atlantyku. Umarł pod nożem chirurga na stole operacyjnym w Veracruz w Meksyku.

Dał jej czas na przyswojenie wiadomości. Upił drinka i zapalił papierosa. Nie miał do powiedzenia nic przyjemnego, więc jeszcze przez chwilę obserwował ją w milczeniu.

- Mam na to dowody - podjął wątek. - Operacja odbyła się w szpitalu Sau de Sol, a przeprowadzał ją doktor Jesus Ybarra. Podniosła wzrok pełen bezgranicznego cierpienia.

- A zatem wiesz wszystko.

- Prawie. Zostało jeszcze kilka niejasności.

- Dlaczego torturujesz mnie niedomówieniami? Dlaczego nie powiesz wszystkiego wprost?

- Co mam powiedzieć? - zapytał spokojnie. - Czy to, że jesteś Kristjanem Fyrie? Że nigdy nie było żadnej siostry? Że Kristjan umarł w chwili, gdy ty się narodziłaś? - Pitt pokiwał głową. - Jakie to ma znaczenie? Kristjan nie akceptował własnej płci, więc poddał się operacji plastycznej i zmienił się w Kirsti. Kristjan przyszedł na świat jako transwestyta. Geny pokrzyżowały mu życie. Nie mógł pogodzić się z tym, czym obdarzyła go natura, więc postanowił to zmienić. Co tu jest jeszcze do powiedzenia?

Wyszła zza barku i oparła się o jego przednią, wybitą skórą ściankę. - Cóż ty o tym możesz wiedzieć? Skąd możesz wiedzieć, jak trudne i przygnębiające jest życie, jeśli na pokaz musisz odgrywać rolę silnego, energicznego poszukiwacza przygód, podczas gdy w istocie jesteś kobietą, która tęskni za wolnością.

- Wyrwałaś się więc ze swojej muszli - rzekł Pitt. - Wymknęłaś się do Meksyku, do chirurga specjalizującego się w operacjach zmiany płci. Poddawaś się kuracji hormonalnej oraz przeszłaś zabieg... hm... między innymi wszczepienia wkładek silikonowych powiększających piersi. Następnie opalałaś się na słonecznej plaży w Veracruz czekając, aż zagoją się pooperacyjne blizny. A później, w odpowiednim momencie pojawiłaś się w Islandii twierdząc, że jesteś siostrą Kristjana, która przed wielu laty wyjechała na Nową Gwineę. Musiałaś bardzo wierzyć w siebie, jeżeli sądziłaś, że zdołasz uciec od przeszłości. W swoim krótkim życiu spotkałem już paru przebiegłych cwaniaków, ale, na Boga, Kirsti, Kristjanie - nie wiem, którym imieniem mam cię nazywać - ty jesteś najwredniejszym

skurwielem... a raczej najwredniejszą kurwą, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. Nikogo nie oszczędziłaś. Oszukałaś admirała Sandeckera, każąc mu myśleć, że zamierzasz przekazać sondę Stanom Zjednoczonym. Wyprowadziłaś w pole kilkuset ludzi, którzy na statkach i w samolotach przeczesali cały północny Atlantyk w poszukiwaniu jednostki, która nigdy nie zaginęła, nie mając przy tym pojęcia, że to jest wyprawa z motyką na słońce. Okpiłaś doktora Hunnewella, swojego starego przyjaciela, który zidentyfikował spalone zwłoki jako twoje. Wykorzystałaś pracowników Fyrie Limited, którzy zginęli, wykonując twoje polecenia. Wykorzystałaś Rondheima. Wykorzystałaś Kelly'ego. Usiłowałaś nawet posłużyć się mną, mając nadzieję, że pomogę ci pozbyć się Oscara. Ale w końcu balon musiał pęknąć. Pierwszym ogniwem w łańcuchu oszustw jest oszukanie samego siebie. Na tym polu osiągnęłaś oszałamiający sukces.

Kirsti bez pośpiechu podeszła do stojącego przy przeciwległej ścianie stolika i z podróznego kuferka wyjęła małe nóżki, automatyczny colt kaliber dwadzieścia pięć. Wycelowała broń w pierś Pitta.

- Twoje oskarżenia wcale nie są tak trafne, jak by ci się zdawało. Bijesz na oślep, Dirk. I błędzisz jak ślepiec.

Pitt spojrział na pistolet, po czym odwrócił 'się nonszalancko, ignorując śmiertelnością zabawkę.

- Może więc naprowadzisz mnie na właściwą drogę?

Kirsti patrzyła na Pitta niepewnym wzrokiem, lecz wciąż nieruchomo, niczym posąg, trzymała w dłoni pistolet.

- Miałam szczerzy zamiar oddać sondę twojemu krajowi. Mój pierwotny plan zakładał, że naukowcy popłyną Laxem do Stanów, a następnie udadzą się do Waszyngtonu na uroczystą demonstrację sondy. Podczas podróży przez północny Atlantyk Kristjan Fyrie miał wpaść za burtę i zaginąć.

- A tymczasem poleciałaś do Meksyku na operację.

- Tak - łagodnie odrzekła Kirsti. - Ale przez niewiarygodny i bardzo nieszczęśliwy zbieg okoliczności moje nowe życie, które tak starannie zaplanowałam, zaczęło się od katastrofy. Doktor Jesus Ybarra okazał się członkiem Hermit Limited.

- I natychmiast doniósł o wszystkim Rondheimowi. Kirsti przytaknęła.

- Od tej chwili stałam się niewolnicą Oscara. Groził, że ujawni światu moją przemianę, jeżeli nie przekazę mu, a także Kelly'emu, kontroli nad moimi interesami. Nie miałam wyboru. Gdyby moja tajemnica została odkryta, doszłoby do skandalu, który spowodowałby upadek Fyrie Limited, a także poważnie naruszył równowagę ekonomiczną

mojego kraju.

- A po co była ta cała maskarada z Laxem?

- Mając mnie w ręku, Oscar i Kelly dysponowali również sondą, której nie zamierzali nikomu oddawać. Wymyślili więc historyjkę o zaginięciu Laxa. Musisz przyznać, że była to dla mnie bardzo korzystna sytuacja. Świat bowiem dowiedział się, iż sonda spoczęła gdzieś na dnie oceanu.

- Tak jak Kristjan Fyrie.

- Zgadza się. W ten sposób wszystko układało się po mojej myśli. - To jednak nie wyjaśnia powodu przebudowy Laxa - upierał się Pitt. - Dlaczego po prostu nie zainstalowano sondy na innym statku? Po raz pierwszy Kirsti uśmiechnęła się.

- Sonda jest bardzo skomplikowanym urządzeniem. Wymaga specjalnie zaprojektowanego statku. Przeniesienie jej i zamontowanie na jakimś nie rzucającym się w oczy trawlerze rybackim musiałoby zająć przynajmniej kilka miesięcy. Kiedy wszyscy szukali Laxa na Atlantyku, jacht został dyskretnie przebudowany w małej zatoce na wschodnim wybrzeżu Grenlandii.

- A jaką rolę odgrywał doktor Hunnewell?

- Pracował ze mną nad skonstruowaniem sondy.

- To wiem. Ale dlaczego z tobą? Dlaczego nie z kimś z własnego kraju?

Przez długą chwilę z uwagą wpatrywała się w twarz Pitta.

- Sama finansowałam badania oraz budowę sondy, ponieważ nie chciałam od kogokolwiek się uzależniać. Amerykańskie korporacje miały wielką ochotę skorzystać z jego usług i tym samym z wyników badań. Doktor Hunnewell jednak brzydził się robić cokolwiek, co miało służyć wyłącznie celom komercyjnym.

- Mimo to związał się z Kellym i Rondheimem.

- Kiedy Lax prowadził prace poszukiwawcze na dnie u brzegów Grenlandii, nastąpiła awaria sondy. Doktor Hunnewell był jedyną dysponującą odpowiednimi kwalifikacjami technicznymi osobą, która była w stanie pokierować doraźną naprawą. Kelly samolotem przywiózł go z Kalifornii. F. James Kelly ma ogromny dar przekonywania. Kupił Hunnewella dla Hermit Limited w imię idei ocalenia świata. Doktor nie potrafił się temu oprzeć. Podobnie jak większość Amerykanów, gorąco wierzył w konieczność czynienia dobra. - Na twarzy Kirsti pojawiło się współczucie. - Wkrótce jednak zaczął żałować swojej decyzji i dlatego musiał umrzeć.

- To wyjaśnia przyczyny wybuchu pożaru na statku - rzekł Pitt z nutką nostalgii w głosie. - Nie doceniliście doktora Hunnewella. On nie uległ magii słów Kelly'ego. Przejrzał

brudną intrygę. Nie spodobało mu się to, co zobaczył na Laksie, że twoi naukowcy są więźniami załogi Rondheima. Niewykluczone, iż właśnie oni szepnęli mu to i owo na temat śmierci doktora Matajica i jego asystenta. Wtedy zdał sobie sprawę, że coś musi zrobić, by powstrzymać Kelly'ego. Zaprogramował więc sondę na samozniszczenie, które miało nastąpić w czasie, gdy będzie leciał z powrotem do Stanów. Niestety przeliczył się. Nawet on do końca nie znał destrukcyjnych właściwości celu, którego eksplozja zniszczyła nie tylko sondę, ale cały statek wraz z załogą. Byłem przy nim, kiedy powrócił na Laxa. Widziałem przerażenie, jakie pojawiło się na jego twarzy, gdy zrozumiał, co zrobił.

- To była moja wina - powiedziała drżącym głosem Kirsti. Ja za to odpowiadam. Nie powinnam ujawniać jego nazwiska Oscarowi ani Kelly'emu.

- Kelly odgadł, co się stało, i kazał Rondheimowi uciszyć Hunnewella.

- To był mój najlepszy przyjaciel - rzekła cichym, łagodnym głosem - a ja wydałam na niego wyrok śmierci.

- Wiedział o tobie?

- Nie, Oscar powiedział mi po prostu, że leżę w szpitalu.

- Okazał się większym przyjacielem, niż sądziłaś - rzekł Pitt. Na pokładzie wraka dokonał fałszywej identyfikacji rzekomo twoich zwłok. Zrobił to dlatego, by Kristjan Fyrie, jakiego znał, nie został wmieszany w aferę Hermit Limited, o której zamierzał powiadomić władze. Niestety zło zatriumfowało nad dobrem. Rondheim był szybszy. - Pitt pokiwał głową i westchnął. - I w tym momencie na scenę wkroczył Dirk Pitt.

Kirsti drżała na całym ciele.

- Właśnie z tego powodu nalegałam na spotkanie z tobą. Chciałam podziękować ci za próbę uratowania mu życia. Wciąż jestem twoją dłużniczką.

Pitt przejechał zimną szklanką po czole.

- Za późno się na to zdecydowałaś. Teraz to już nie ma znaczenia. - Ma, dla mnie ma. Dlatego nie pozwoliłam, żeby Oscar zakatował cię na śmierć. - Jej głos załamywał się. - Ale ja... nie mogę jeszcze raz cię ocalić. Muszę ratować siebie, Dirk. Bardzo mi przykro. Do powrotu Oscara musisz tu zostać.

Pitt znów kiwnął głową.

- Nie licz na to, że Oscar ci przyjdzie z pomocą. W tej chwili twój były pan i władca leży nieprzytomny w szpitalu. Ma na sobie z pół tony bandaży, lecz jest pod doskonałą opieką. Pielęguje go bowiem spore grono agentów NAW. Na szubienicę pewnie zawiozą go w wózku inwalidzkim, bo o własnych siłach już nigdy nigdzie nie pójdzie.

Pistoletem dotknęła włosów. - Co to znaczy?

- Koniec, masz go z głowy. Jesteś wolna. Hermit Limited i jego zarząd właśnie zostali załatwieni.

Dziwnym trafem Kirsti nie posądziła Pitta o utratę zmysłów. - Chciałabym ci wierzyć, ale czy mogę?

- Podnieś słuchawkę i zadzwoń do Kelly'ego, Marksa, von Hummła albo do twojego przyjaciela Oscara Rondheima. A najlepiej zajrzyj do każdego pokoju na szóstym piętrze.

- I kogo tam zastanę?

- Nikogo, absolutnie nikogo. Wszyscy zostali aresztowani. Pitt dokończył drinka i odstawił szklaneczkę. - Zostaliśmy tylko ty i ja. To zasługa NAW. Jesteś nagrodą - małym prezentem na boku - za owocną współpracę. Czy ci się to podoba, czy nie, ale z rąk Rondheima przeszłaś w moje.

Gdy Kirsti pojęła znaczenie tych słów, przed oczyma zawirował jej cały pokój. Przed wizytą Pitta zastanawiała się, dlaczego nie odezwał się Rondheim, dlaczego zgodnie z zapowiedzią nie odwiedził jej Kelly, dlaczego przez dwie godziny nie zadzwonił telefon ani nikt nie zapukał do drzwi. Zapanowała nad sobą, szybko godząc się z tym, co się wydarzyło.

- Ale... co ze mną? Czy też mam być aresztowana?

- Nie, NAW wie o twojej operacji. Skojarzyli fakty i zorientowali się, że Rondheim cię szantażował. Chcieli cię zgarnąć za współudział, ale im to wyperswadowałem.

Pistolet został delikatnie odłożony na stół. Zapadło nieprzyjemne milczenie. W końcu Kirsti popatrzyła na Pitta i rzekła:

- Na pewno będę musiała za to zapłacić? Za takie przysługi zawsze się płaci.

- Dużo cię to nie będzie kosztowało, jeżeli wziąć pod uwagę twoje błędy przeszłości... błędy, których nie jesteś w stanie naprawić ani ich odkupić, nawet za całą twoją fortunę. Możesz jednak puścić w niepamięć to, co minęło, i rozpocząć nowe życie bez ingerencji z zewnątrz. Żądam od ciebie jedynie gwarancji stałej, bliskiej współpracy między Fyrie Limited i NUMA.

- Czego jeszcze?

- W pamięci komputerów Kelly'ego jest wystarczająco dużo danych, by zbudować nową sondę. NUMA chciałaby, a mówię to wyłącznie w imieniu admirała Sandeckera, abyś kierowała pracami nad rekonstrukcją i modernizacją urządzenia.

- To wszystko, nic więcej? - spytała zaskoczona.

- Przecież powiedziałem, że nie będzie cię to dużo kosztowało. Spojrzała na niego prowokująco.

- Skąd mam mieć pewność, że jutro, za tydzień lub rok nie podwyższysz ceny?

Oczy Pitta stały się lodowato zimne, podobnie jak głos.

- Nie zapominaj, że ja gram w zupełnie innej drużynie niż twoi dotychczasowi koledzy. Ludobójstwo i szantaż nigdy mnie nie podniecały. Nie mam zamiaru zdradzać twojej tajemnicy, a jeszcze mniejszą ochotę na to ma NAW; już oni dopilnują, żeby ani Rondheim, ani Kelly, ani tym bardziej Ybarra nigdy nie zbliżyli się do jakiegokolwiek dziennikarza na mniejszą odległość niż pięćdziesiąt metrów.

- Przepraszam - rzekła niepewnie. - Bardzo przepraszam. Co mam jeszcze dodać?

Nie odpowiedział, obserwował ją.

Odwróciła się i popatrzyła przez okno na najslynniejszy lunapark świata. Wieżyczki zamku z Krainy Fantazji jaśniały niczym świece na urodzinowym torcie. Rodziny wróciły do domów. Ich miejsce zajęły młode pary; chłopcy przytulali swoje dziewczyny, spacerując alejkami i uliczkami Disneylandu i poddając się romantycznej atmosferze nieprawdziwego świata bajek.

- Co teraz będziesz robił? - zapytała.

- Po krótkim urlopie wrócę do Waszyngtonu do centrali NUMA i zajmę się kolejnym zadaniem.

Odwróciła się do niego.

- A gdybym cię poprosiła, abys pojechał ze mną na Islandię i wszedł do zarządu Fyne Limited?

- Nie jestem typem menedżera.

- Czym wobec tego mogę ci się odwdziżyć?

Ruszyła pomału w stronę Pitta, by zatrzymać się tuż przed nim. Jej usta wykrzywiły się w znaczącym uśmiechu, wielkie sarnie oczy spoglądały wyrozumiale, a na czole pojawił się ledwie widoczny ślad potu.

- Zrobię wszystko, o co poprosisz - powiedziała wolno. Podniosła rękę i opuszkami palców delikatnie dotknęła jego porozbijanej twarzy. - Jutro spotkam się z admirałem Sandeckerem i potwierdzę gotowość współdziałania. - Z wahaniem cofnęła się o krok. W zamian jednak muszę coś od ciebie wyegzekwować.

- Co mianowicie?

Rozwiązała pasek i zsunęła z ramion kimono, które opadło na podłogę. Stała tak naturalnie, jakby pozowała do klasycznego aktu. W świetle lampy wyglądała niczym jedwabście gładki, brązowy posąg wyrzeźbiony cierpliwymi dłońmi wielkiego artysty. Miękkie, o zaokrąglonym kształcie usta były lekko rozchylone, niecierpliwe i pełne pożądania. Łagodne fioletowe oczy spoglądały zapraszająco. Urodę jej twarzy i ciała mogło

oddać wyłącznie słowo: cudowne; Kirsti była zachwycającym pomnikiem, jaki wzniosła ku swojej chwale chirurgia plastyczna.

- Być może sprawię ci przyjemność - rzekła niskim, zmysłowym głosem - gdy powiem, iż ani przez chwilę nie wierzyłam, że jesteś homoseksualistą.

- Trzeba nim być, żeby mieć podobną pewność.

- To, kim teraz się stałam, to zupełnie co innego - powiedziała z pobladłą twarzą.

- Stałaś się zimną, przebiegłą i wyrachowaną wiedźmą. - Nie!

- Kristjan Fyrie był pełnym ciepła człowiekiem, prawdziwym humanistą. Operacja, jaką przeszedłeś, zmieniła nie tylko twoje ciało, ale również psychikę. Ludzie stali się dla ciebie wyłącznie przedmiotami, które wyrzuca się, gdy są już niepotrzebne. Jesteś zimna i chora.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie... nie! Tak, zmieniłam się. Ale nie stałam się zimna... nie jestem zimna. - Wyciągnęła ramiona. - Udowodnię ci to.

Stali na środku pokoju, patrząc na siebie w milczeniu. Po chwili na twarzy majora pojawił się grymas, który zmusił Kirsti do opuszczenia rąk. Niezwykłe fiołkowe oczy wypełniło przerażenie; paralizujący strach nie pozwalał jej oderwać wzroku od oblicza Pitta. Czerwonofioletowe sińce, opuchlizna i skaleczenia zmieniły je w obrzydliwą maskę. Pitt przestał dostrzegać urodę Kirsti. Widział jedynie prochy, w które obrócili się ludzie. Przed oczyma miał obraz Hunnewella umierającego na pustej plaży, a zaraz potem ujrzał niknącą w płomieniach twarz kapitana wodolotu. Przypomniawszy sobie tak dobrze mu znany ból, jakiego doświadczyli Lillie, Tidi i Sam Kelly. Nie musiał jednak sobie przypominać, że za ich cierpienia lub śmierć po części odpowiedzialna jest Kirsti Fyrie.

- Niech strzegą cię niebios - powiedział.

Odwrócił się i otworzył drzwi. Najtrudniejsze były pierwsze kroki, które skierował do windy. Później już poszło łatwiej. Nim zjechał na parter, doszedł do krawężnika i przywołał taksówkę, odzyskał dawną pogodę i spokój ducha.

Kierowca otworzył drzwi, po czym włączył taksometr. - Dokąd jedziemy?

Pitt wsiadł do samochodu. Po chwili milczenia wiedział już dokąd. Nie miał wyboru. W końcu był taki, jaki był.

- Do hotelu Newporter Inn. Mam nadzieję... że do czułego rudzielca.